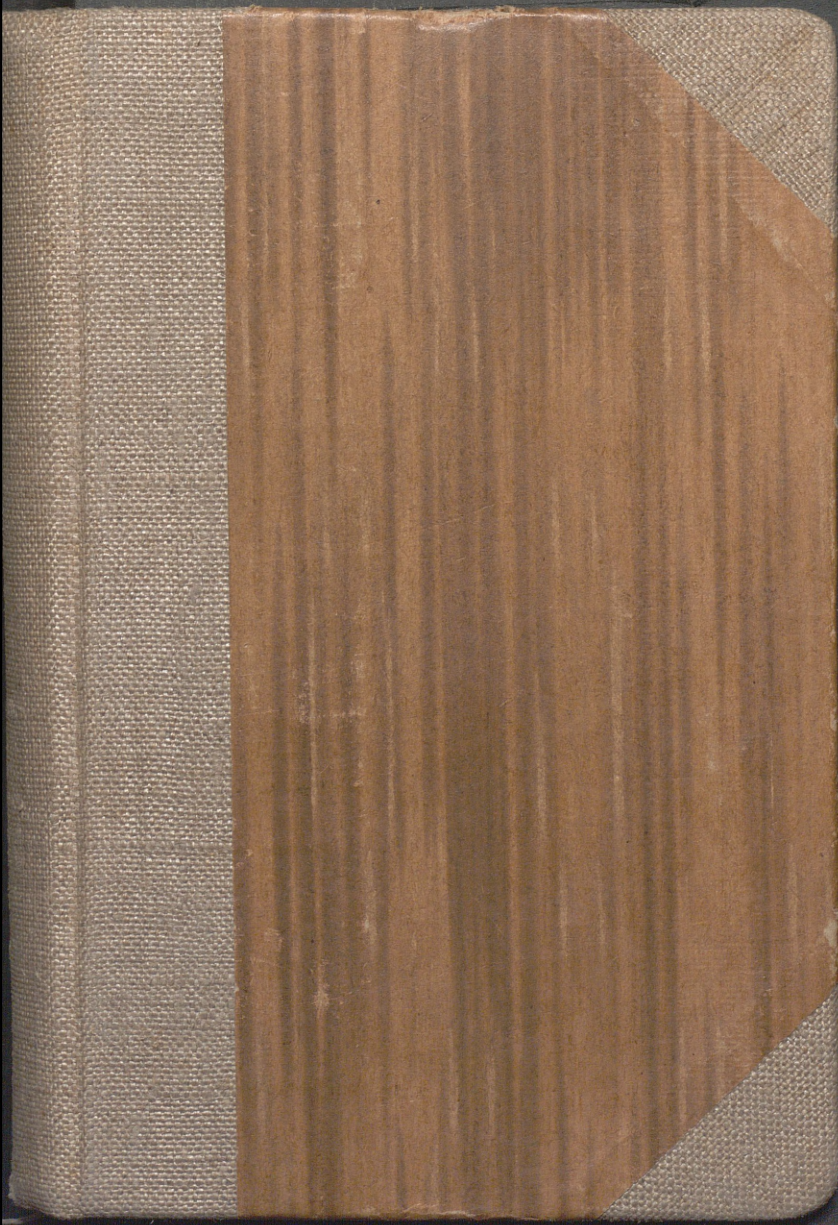
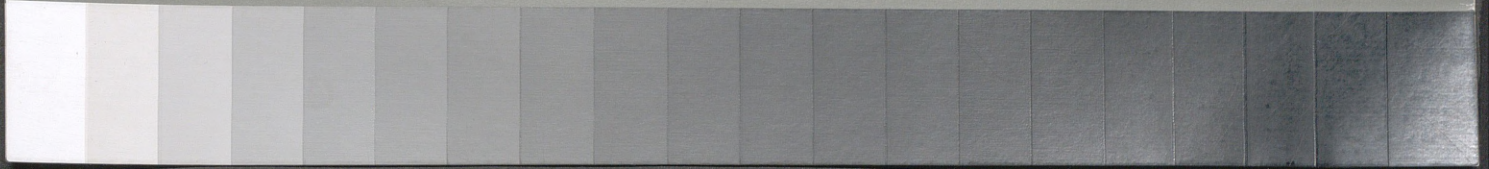
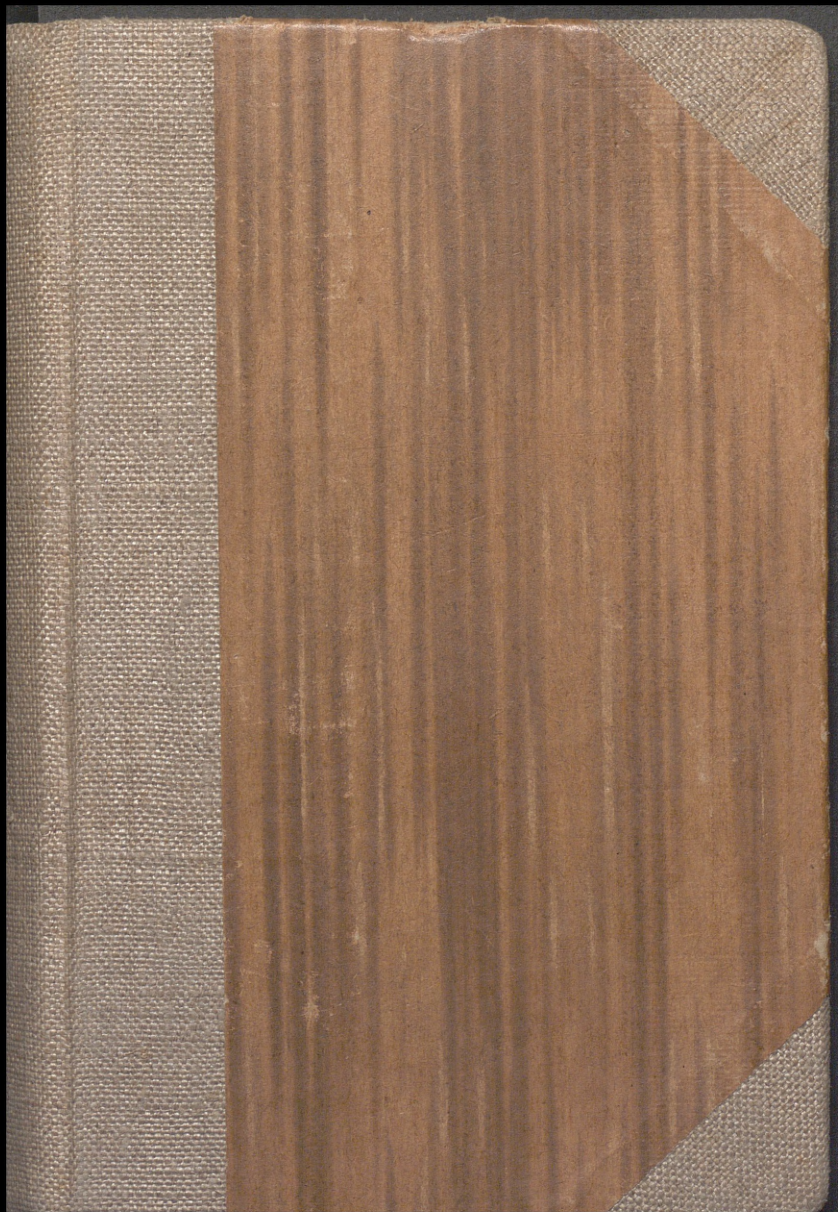


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





POWSTANIE POZNAŃSKIE

w roku 1848.

« Na śmiertelną obłudę, ostatniem
lekarstwem cyniczna prawda »

POWSTANIE POZNAŃSKIE

w roku 1848.

W KSZTAŁCIE OBJAŚNIEŃ DO JĘDRZEJA MORACZEWSKIEGO POWIEŚCI

OPISAŁ

LUDWIK MIEROSŁAWSKI

WYDANIE POMNOŻONE Z MAPĄ OBJAŚNIAJĄCĄ.

HENRYK KOSKOWSKI

PARYŻ

W DRUKARNI L. MARTINET,

PRZY ULICY MIGNON, 2.

1860



11012

2

POWSTANIE POZNAŃSKIE

w roku 1848.

« Na śmiertelną obłudę, ostatniem
lekarstwem cyniczna prawda »

Cierpiąca Demokracja krajowa i wojująca Demokracja Emigracyi szukając się długo pod podwójnem ciemnictwem obcego najazdu i szlacheckiego gospodarstwa, spotkały się nareszcie w związkach od roku 1836 sporadycznie w trzech razem zaborach poczętych, a w latach 1844 i 45 przez Centralizacyę Towarzystwa Demokratycznego do wspólnego czynu skonfederowanych. Zawieszone w roku 1846 powstanie, nie złożyło broni pod szubienicą Potockiego i Wiśniowskiego, pod rzezakim Szeli, pod procedurą pruską. Uwięzione przez lata 1846 i 47, w r. 1848 wystąpiło na wezwanie wstrząśnienia Europejskiego jedno i te same, z nieprzegadaną ewanielją swoją, z wytrwałą wiarą w świętość zamierzonego celu i w godziwość środków ku dopięciu onego po-

przedniemi spiskami umówionych. Ale jak samo było niezmiennem w jestestwie i dążnościach swoich, tak o równie niepoprawnych uderzyć się musiało przeciwników, czy w roku 1846 czy w 1848, a zawsze trojakiemu rodzaju: bezpośrednio, o państwa zaborcze i o upór ekonomiczny tej szlachty która się podzieliła materyalną ojczyzną z zaborcami; pośrednio, o sprzymierzoną z niemi reakcyę całej Europy. Więc też tam gdzie, jak w Zaborze Rossyjskim, te trzy przeciwniństwa pozostały naprzeciw powstaniu w niewątpliwj przewadze, powstanie nie próbowało nawet wystąpić: tam znowu gdzie, jak w Zaborze Austryackim, niedostateczność pierwszego i trzeciego wynagrodziła się zbytkiem drugiego, powstanie strwoniło na daremnym dialogu z szlachetczyzmem czas przez Opatrzność do wystąpienia porachowany.

W jednym tylko Zaborze Pruskim przyszło do chwilowej równowagi między Rewolucyonizmem a Kontrarewolucyą; a ta chwila jakkolwiek przelotna, streściła usiłowania zmartwychwstańcze nie jednej tylko prowincyi, nie jednego momentu, ale całego narodu i wszystkich jego poprzednich wyteżeń. Z jeograficznych i statystycznych nastawień ościenności wypadło, że prokuracyą tego popisu narodowego zaszczyconą została w r. 1848 prowincya Poznańska, jak w r. 1831 Powiśle,

przedniemi spiskami umówionych. Ale jak samo było niezmiennem w jestestwie i dążnościach swoich, tak o równie niepoprawnych uderzyć się musiało przeciwników, czy w roku 1846 czy w 1848, a zawsze trojakiemu rodzaju: bezpośrednio, o państwa zaborcze i o upór ekonomiczny tej szlachty która się podzieliła materyjalną ojczyzną z zaborcami; pośrednio, o sprzymierzoną z niemi reakcyę całej Europy. Więc też tam gdzie, jak w Zaborze Rossyjskim, te trzy przeciwnieństwa pozostały naprzeciw powstaniu w niewątpliwj przewadze, powstanie nie próbowało nawet wystąpić: tam znowu gdzie, jak w Zaborze Austryackim, niedostateczność pierwszego i trzeciego wynagrodziła się zbytkiem drugiego, powstanie strwoniło na daremnym dialogu z szlachetczyzmem czas przez Opatrzność do wystąpienia porachowany.

W jednym tylko Zaborze Pruskim przyszło do chwilowej równowagi między Rewolucjonizmem a Kontrarewolucyą; a ta chwila jakkolwiek przelotna, streściła usiłowania zmartwychwstańcze nie jednej tylko prowincyi, nie jednego momentu, ale całego narodu i wszystkich jego poprzednich wytężeń. Z jeograficznych i statystycznych nastawień ościennosci wypadło, że prokuracyą tego popisu narodowego zaszczyconą została w r. 1848 prowincya Poznańska, jak w r. 1831 Powiśle,

Ruś i Litwa, jak w r. 1846 Kraków; wszakże tych pojedynczych wykrzykników, od ciągłego i ogólnego manifestu Rewolucyi Polskiej odrywać niepodobna bez sfałszowania zupełnie dziejów i pomylecia pojęć potomnych. Odrębna kronika czy odrębny protokularz *W. Ks. Poznańskiego* dla nikogo niema sensu, chyba dla landratów pruskich i kilku amatorów paleografii. Kto się tem zabawia, obraża prawdę narodową, która organizmem będąc w odcinkach żyć nie chce i nie może; znowu, szlachcic belletrysta zbierający swoje dokumenta po zaułkach powiatowych z pretensją do dziejopisarstwa współczesnego, musi zejść aż do bredni nawet dla landratów niezrozumiałych, ale niemniej przeto naszemu zdrowiu intelektualnemu szkodliwych.

Dotąd, żaden z kronikarzy poznańskich tego bezdroża nie chybił. Jan Koźmian zarejestrował urzędowe mistyfikacje *W. Ks. Poznańskiego*, i chciałby wyperswadować czytelnikowi że mu przedstawił *Stan Rzeczy* w pewnej części Polski. Jędrzej Moraczewski zeszył w kalendarczyk parafialny wszystkie facecye, dykteryjki, przysłowia gminu szlacheckiego o roku 1848, i tuszy sobie że opisał *Wypadki Poznańskie*.

Ani jeden ani drugi nie dotknąwszy się nigdy osobistym czynem sprzysiężenia narodowego, jeno obaczywszy raptem że się powierzchnia jakiegoś

ustronia Polski rusza, nie samo przez się nie tłómaczące zjawisko ubrali, ten w protokoły, ów w plotki, i kontenci. Wszakże zbywać jednako oba te pisma byłoby ubliżeniem autorowi *Wypadków Poznańskich*. Stracił on wprawdzie wzrok myślowy na szperaniu w zamglonych baśniach przeszłości; więc jaskrawości bieżących wypadków wytrzymać nie był zdolny. Oczywista dotykliwość myli go i boli, jak nas za to mylą i bolą średniowieczne zabobony. Zbyt go atoli świeżbiał patriotyzm parafialny iżby się mógł powstrzymać od postawienia mu pomnika, na jaki stać było jego anachronicznej niecierpliwości. Wdzięczny miejscowemu przechwalstwu, że go od przewlokłych a dolegliwych indagacyj wyzwałało, skwapliwie pochwytawszy rapporta przedbojowych dezterterów, żale obozowych banitów, zmyślania samozwańczych emissaryuszów, wszystko to na prędcę obwiał i uściskał szlachekiem «kochajmy się!» prosząc niejako i łaskawego czytelnika ażeby mu przyjemności pokochania tego wszystkiego nie odmawiał. Ale jakimikolwiek niedorzecznościami J. Moraczewski własne opowiadanie poprzekreślał, wymawia go łatwowierna poczciwość jaką się nasi starzy kronikarze wykupywali od frasunku krytyki i sprawdzań wszelkich. Przebija się w całym jego piśmie intencya rzewna, polsko-domatorska,

z którą po wielu sprzeczkach i komentarzach ostatecznie dogadać się można i potrzeba. Dla tego jemu jednemu, lat temu siedm, daliśmy naszą odpowiedź, i dzisiaj jeszcze takowej trzymać się wiernie będziemy, jako najdogodniejszej dla nas poręczy w tym ważnym procesie dziejowym.

Zaś wstręt nasz do polemiki z panem Koźmianem wyjaśni się najlepiej przez zdefiniowanie partyi, jakiej w W. Ks. Poznańskiem książka jego jest organem. Zabory Pruski i Austryacki otworzyły w r. 1832gim rozległe a bezpieczne schronienie fakcyom kontrarewolucyjnym, które powstanie Listopadowe podkopały. Co do samego Ks. Poznańskiego, dość by zacytować dwie osobistości streszczające w sobie tę upiorową zawziętość fakcyj Dyplomatycznej i Pretoriańskiej: Hr. Tytusa Działyńskiego i Gł. Dez. Chłapowskiego. Leży między niemi atoli ogromna różnica szkodliwości. W roku 1831 *bonne-pour-tout-faire* Skrzyneczczyzny, jak go ta niewdzięczna koterya na bankietach głównej-kwatery poufale nazywała, zupełnym brakiem mózgu assekurywany od wszelkiej odpowiedzialności historycznej, częstemi zaś wybrykami staropolskiego serca jakby galwanicznie wyrzucany z nór swojej fakcyi do regionów prawdziwego niemal patriotyzmu, pierwszy z nich, od dnia upadku powstania Listopadowego na nie

zgoła współhrabiom wielkopolskim się nie przydał. Mawiali tylko między sobą wzruszając ramionami «Cette bonne-pour-tout-faire est devenue en vieillissant notre enfant terrible.» Z resztą, o ile dyplomatyizm polistopadowy jest tylko uboczną fistułą powszechnego *hrabiostwa*, które już od wieku martwość polską toczy i wyjada, wszyscy tacy Działyńscy w Zaborze Pruskim nikli obok hrabiego Edwarda Raczyńskiego; ten zaś samotnik zbyt opodał od wszelkiej możliwej Polski dąsał się, ażeby grzechy jego pokolenie nasze trapić miały. Niewiele zatem pomylemy się mówiąc że w Zaborze Pruskim, osobna funkcya konserwatywna, zapisana w dziejach 1831go roku pod rubryką *fakcyi dyplomatycznej*, rozczyniła się w innych wydziałach szlachetczyzny: mianowicie w *Chłapowszczyźnie*, która niewiedomie wszystkie inne szołdować sobie umiała.

Mogło by się zdawać że Chłapowszczyznę zaszczerpił w całym Zaborze Pruskim odłam drugiej kontrarewolucyjnej fakcyi z r. 1831go, to jest fakcyi pretoryańskiej. Wszakże grubiański ten i bezdzietny wydział kontrarewolucyi nigdzie w kraju powstania przez się zdradzonego przeżyć nie był zdolny, i tylko emigracyjny czyściciel poszedł zakłócać. Ażeby go tedy podnieść na stopę doktryny konserwatywnej, musiał Gł. Chłapowski oczyścić go starannie z wszelkich pretensyj żołą-

dackich, i jak podobny mu niegdyś wojak hiszpański, Ignacy Lojola, tylko zeń cyment ślepej subordynacji zachowując, owe rozwaliny marsowe na świątynię pokoju do niepoznania przebudować. Jakoż natychmiast za powrotem do zagród domowych, nie marnując ducha na melancholię po przepadłych ruchawkach, generał i wierni jego sztabowcy jęli się z mężną pokorą przekuwać szable na lemiesz i zmieniać powstańcze papierki na talary pruskie, pod natchnieniem Przenajświętszego Sakramentu. Taką metamorfozą Chłapowszczyzna zatarła swój początek pretoriański, pochodzenie swoje od zdrady Kurszańskiej i od kapitulacji Gorzódzkiej. Tym kunsztem zjednała sobie podziw całej szlacheckich wielkopolskiej i niemałe względy u Flotwella; ale nadewszystko błogosławieństwo Jezuitów, szukających podonczas właśnie, w najcięższych boleściach porodu, pod czym płaszczem znieśćby swoją ikrę, w obec argusowego krytycyzmu i w kraju i w emigracji na wszystko rozpasanego. Nie dziwno że wzięty a swawolny chmiel polskiego konserwatyzmu począł się zewsząd nawijać około tego ułamanego od lancy drzewca co jeden, zieleniejąc cudownie w kłęskach narodu, nieodgadnionemi korzeniami swojemi umiał ssać pot i krew pożywną nawet z polistopadowych cmentarzów. «To nam patryota! to dyplomata! to eko-

subordynacja
konserwatyzm

nomista, a wszystko robiący z Bogiem, więc téż wszystko mu się wie dzie!» Tak, wzdychając, mawiał o grzeszniku Kurszańskim nie jeden sparzony Wielkopolanin, co roztrzępane zbankrutowawszy na Polsce wojującej, odrobić się gwałtownie potrzebował na praktyczniejszej i jakieś nareszcie procenta przynoszącej ojczyźnie.

Daremnie téż prawdziwi arystokraci, jak Radziwiłł, jak Raczyński, jak Sułkowski zzymali się na dorobkowiec; daremnie go pocziwa szlachta lżyła i wyszydzała; daremnie lud przeklinał i rozpowiadał fantastyczne legendy: «o furgonach moskiewskich, bez koni ni furmana zwożących co rok ruble na mierzwę do wzorowych folwarków zapredanej diabłowi duszy»; nadaremnie Marcinkowszczyzna współzawodnicząca na drodze filantropii i ekonomii z Chłapowszczyzną, usiłowała wyzwolić się od takowej i przelicytować ją na targu *opinii publicznej*: Chłapowszczyzna wszystkich przemogła stoicznym milczeniem, a bogobojnym powodzeniem skruszyła. Ale osobliwie rzadką między Polakami abnegacją upokorzyła wszystkie inne wydziały kontrarewolucyjne: bo zupełnym umorzeniem się mistrza w powodzeniach zakonu i chowaniem się wszelkich rażących osobistości na ofiarę rezultatom. Jakoż w ćwierć już wiekowych podkopach Chłapowszczyzny, najmniej słyhać o Chłapowskim, a

mało co więcej o erebowych jego ministrach ; ledwie że wstrząśnienie 1848go roku, zdołało dwóch z nich wywabić z nór zbytnej skromności na jasność bożego słońca. Już nie jeden badacz dostrzegł że niesforna forfanteria polskiej szlachty chyba jój pocziwych robót się tyczy, bo co w niepocziwych, to jej trudno odmówić karniej bardzo i cierpliwiej dyskrecyi. Na dowód czego, w przeglądzie roku 1848go, wszystkie niemal kontrarewolucyjne sprężyny znikną z widowni, ażeby na takowej pozostawić tylko demokratyzm szlachecki na nich się mimowiednie chuzdający, z nieograniczoną licencyą wymyślania na nie i przezywania po staremu niedopatrzzonego nigdzie chuzdacza swojego, «zdrajcą i jezuitą».

Wszakże na tę porę nie czekając, już we wilię naszego niedoczynu, w roku 1845, co tylko w Zaborze Pruskim ciężarem bardzo oryginalnej cnoty nie ściekło do powstańczego przysiężenia, chcąc nie chcąc, przyjąć musiało impulsyę i nadzór Chłapowszczyzny, jako jedyne go sztabu istotnie świadomego kontrarewolucyjnej encyklopedyi i kontrarewolucyjnej mety. Co niebądź o niej czy przeciwko niej dało się powiedzieć, ostatecznie ona jedna dotąd potrafiła, bez napuszenia i rozpęknięcia się, pomieścić w sobie, by je ku dobru konserwatywnemu pogodzić, wszystkie siedm obłud śmiertelnych nowoczesnej szlachetczyzny:

jezuityzm, dyplomatyzm, liberalizm konstytucyjny, filantropię, spekulantyzm, angielskie gospodarstwo i belletrystykę. Dla uproszczenia jednak naszego książkowego narzecza, składny ten bukiet kontrarewolucjonizmu nazwiemy od celującego w nim kwiatu, dyplomatyzmem; a to ze względów następujących:

Wszystkie inne pierwiastki kontrarewolucyjne: jezuityzm, filantropia, belletrystyka i t. d. niosą ze sobą pewną pańszczyznę; przywiązane są do nich przymus i odpowiedzialność osobista, na ktore nie stać ani szlacheckiemu niedołęstwu ani pysze szlachetczyzny. Tylko jej tajne sztaby zdolne są zdobyć się na tak pracowite obłudy; ale pospolitemu jej ruszeniu potrzeba takiej filozofii coby jedném kłamstwem wszystko mu obiecała, a zgoła go do niczego nie obowiązywała. *Owóż sztuka stanu* jest tym wabikiem, dla tego właśnie że z tą sztuką, szlachta bez Stanu, na trzeźwo nic do czynienia niema i mieć nie może. Oczywiście że tajemnice państwa bez śladu państwa, polityka bez krzty czy to praw, czy obowiązków politycznych, dyplomacya i internacjonalność bez granic, bez organu, bez budżetu i bez wojska, mogą być tylko przywidzeniem u haka węzy kontrarewolucyjnej. Mimo to a raczej właśnie dla tego, szlachta polska zatym hakiem goni żeby w piekło. Jednakże czy w marzeniu, czy

w rzeczywistości, sztuka stanu rozkłada się zawsze na dwa antitezowe zadania: jak utrzymywać, a jak burzyć państwa? a więc w zastosowaniu przez Polaków, swojego państwa nie mających, jak utrzymywać a jak burzyć cudze? Pierwszy z tych dwóch kunsztów, nazywa się w pogrobowém narzecz Polaków *dyplomacyą*, drugi zaś *konspiracyą*. Taka dyplomacya jest rzeczywiście czyścowym postulatem *arystokracji*, a taka konspiracya czyścowym postulatem *demokracji*; i dla tego bardzo właściwie, w czasie przyszłym konjugacyi narodowej, dyplomatyzm znaczy to samo co Arystokracya, a spiskowanie to samo co Demokracya.

Wedle takiej klasyfikacyi, w obłudzie poetycznej zwać się może kto chce dyplomata a konspiratorem; ale w cynicznej prozie naszego społecznego życia, dyplomata czyli arystokratą mimowolnym każdy co już siedząc na ojczyźnie prywatnej, zmartwychwstania powszechnej się stracha; sprzysiężonym zaś czyli demokratą, każdy co w prywatnej nie znajdując pociechy, wyzwolenia powszechnej łaknie. Owóż massa wszelkiego ujarzmionego i rozebranego narodu nie mieści się szczelnie ani w jednej ani w drugiej z tych dwóch ostateczności, lecz się błąka i rozbija w neutralnym mroku między ojczyzną prywatną a powszechną, czyli między dyplomacyą a sprzysiężeniem.

Tak się błąkać i rozbijać musi całe szlacheckie nasze pospolite ruszenie wedle kaprysów losu lub temperamentów. Czyli że po większej części każdy z nas raz wydaje się demokratą, kiedy mu potrzeba burzyć cudze państwa które go do ojczyzny powszechnej nie dopuszczają, to znowu arystokratą, kiedy chce je podtrzymywać ku assekrowaniu sobie ojczyzny prywatnej. Zwykle, szczerzą nas pod tym względem, wiek i odpowiednie wiekowi stanowisko na skali społecznej. Zwykle, szlachcic polski zagorzale poczyna zawód życia z zamiarem burzenia państw ciemnych; ale brakiem tchu rychło poprzestaje na zamiarze; skoro zaś tylko dorwie się do byle prywatnego gniazda, przechyla się na konserwatystę. Szczęściem dla zbawienia duszy jego że skąpy ujarzmionego narodu czyściciel wysłużonym tylko szatanom bezpiecznych posad do konserwowania udziela, a tymczasem szlachty polskiej niecierpliwosć rzadko ją na takowe kwalifikuje. Ztąd zawsze dużo nadziei że polski konserwatysta lada dzień znowu na patryotę się wylikwiduje. W przecięciu jednak, powiedzieć można że wszystkie niedoczytny i cała jeszcze niemoc poświęcenia rewolucyjnego należą do pierwszego, do wiosennego okresu żywota szlacheckiego; drugi zaś okres, okres właśnie mocy i dojrzałości, zabiera co tylko rozum szlachecki uciulać zdolny kapitału do opłacenia

żandarmeryi konserwującej mu ojczyznę prywatną. Czyli że pospolicie młody Polak bywa burzycielem, a dojrzały, stróżem niewoli ojczystej. Trzebaż było Chłapowszczyzny na przewrócenie tego naturalnego stosunku, i wykradzenie sprzyśiężenióm narodowym najnałężniejszego im pokolenia; i w tém, zdaniem naszym, najbrzydszy tej fakcy występpek.

Dzięki jęj konserwatywnej edukacyi, nasze wskrzeszalne usiłowania od roku 1845 do 1848, istotnej młodzieży w Zaborze Pruskim wyszukać sobie do ręki nie zdołały; za to, pełno bogobojnych Jakóbków przemyśliwających jakby pod sierścią męznego Ezau, odsadzić go od błogosławieństwa ośleplęj ojczyzny. Zdawało się jakoby archanielskie pokolenie akademików wileńskich, podchorążych i belwederczyków warszawskich, rok 1831 sobie jednemu na niepowrotną pochłonał legendę. Ale tak istotnie nie było. Póki tylko Polska Polską sama się nazywa, snadź materyał na jęj mścicieli jest niewyczerpalny, byle go rozmyślnie nie zagniatać w nasieniu, nie zatruchać, nie chlorkować. Takie wyłamianie, taka kastracya młodzieży wielkopolskiej nierównie więcej wymagała przemysłu, aniżeli hannibalowe jęj wychowanie na grobach akademij Wileńskiej i Warszawskiej; czego dowodem że krajowa szlachetczyzna, ani krajowa intelligencya zdo-

być się na guwernera do tych paziów Chłapowszczyzny nie potrafiły. Jak do wystawienia Wielkopolanom bazarowej bóżnicy, potrzebnej im jak dziura w moście, a kosztowniejszej niż naprawa mostów w całej Polsce, zjechać musiał dopiero z fenickiej szkoły Hiram Marcinkowski, tak równie dopiero z utilitarno-jezuickich mętów tułactwa, udało się Chłapowszczyźnie wygrzebać sobie wzorową piastunkę dla swoich wychowañców.

Jan Koźmian emigracyjny już bywalec, przyjęty do domu i nieograniczonego zaufania Jła. Chłapowskiego na kilka lat przed wstrząśnieniem 1846go roku, nie mało przynosi zaszczytu patrona swojego przenikliwości. Jeżeli krajowy rewolucjonizm wszystkie szczepy swoje winien emigracyi, nie ma co mu pod tym względem i konserwatyzm krajowy zazdrościć. Nie żeby po Londynach i Paryżach skołatany rychłym przekwitem młodości, wszystkiego prócz emigracyjnych trudów ciekawej, Koźmian powróciwszy do kraju samolubnych miał szukać powabów w grzeszeniu; bo wtedy, jak mistrz każdy, raczej uczyć młodszych swojego fachu, aniżeli sam jeszcze takowy praktykować był sposobny; nie myślemy przeto posądzać jego obyczajów osobistych. Ale im sam czuł się już nieprzystępniejszym dla marnych pokus tego świata, tém był uczeńszym

i spokojniejszym ogrodnikiem pokrzyw, w poruczonem jego doświadczeniu tréibhauzie. Niewątpliwie że co tylko za dotknięciem się tych krzewin w latach 1845 i 1848 ukłuło nas mroźnej kalkulacyi, skąpstwa w czynie a w słowach rozrzutności, narcysowej kochliwości a spazmowej nienawiści dla wszystkiego co takową roztargnąć mogło: wszystko to one nie z rodzinnego gruntu wysały, ale z exotycznej, z ultramontańskiej atmosfery jaką ją ten najęty przez Chłapowszczyzną magnetyzer zdenerwował. Niepatentowanemu, ku pomocy dojeżdżał z emigracyi drugi, patentowany jezuita, Semeneńko. Dopieroż we dwóch święconym jadem starannie je polewając, w przeciągu trzech lat niespełna, wypłukali do szczętu z wszelkich spiskowanych zapałów, z wszelkich marzeń konradowych, jeden im tylko *praktyczny*, to jest procentujący patryotyzm przebacząc. Owego mędrszego od saméj mądrości szaleństwa, co niegdyś akademików i podchorążych do nieba patronów ojczyzny na listopadowej błyskawicy uniosło, i wytryskowego tego ukropu krwi lechickiej co od czasu do czasu jak lawa islandzka, najgrubsze lody szlacheckiego egoizmu i szlacheckiego zamrożenia topi, wysadza, na gradową burzę rozbija: tego mądrego szaleństwa, tego trzeźwiącego ukropu już ani zapachu w głowie i w żyłach ówczesnej młodzieży wielkopol-

skiej! W żyłach zamiast tej tradycyjnej lawy, rybi jakiś, czy skrofuliczny szlam neokatolickiego zwątpienia i neokatolickiej ironii; w mózgu próżność i próżnia: często trupie już czaszki na osiemnastoletnich ramionach! Wielkopolski patriotyizm wszystko to zganiała na zarazę niemiecko-universytecką; ale co tej konfesyonałowej pedagogii, to już przecie nie Fichte i Hegel winni.

Wprawdzie Chłapowszczyzna ledwie jedną trzecią tego kwiatu wielkopolskiego uszczknęła, drugą jego trzecią wypuszczając na różne manipulacje ekonomiczne Marcinkowskiemu, a trzecią wyklinając do szkoły Libelta. Wszakże już powiedzieliśmy że Marcinkowszczyzna a Chłapowszczyzna, że kram a konfesyonał to dwa tryby jednego i tego samego konserwatyzmu, jednej i tej samej rękodzielni. Koźmian fabrykował potrzebnych, konsumentów; Marcinkowski, lichwiarzy, producentów: niby haftki a koniki dokładnie się zapinające. Nie spierali się zatem lecz ściśle dopełniali w porozumieniu i szacunku wzajemnym, na złość wszelkim ruchawkom. Dopiero co z pomiędzy tych dwóch gręplów odleciało, szło pod luźną opiekę Libelta, a przez niego, jak niósł przesąd powszechny, pod terroryzm Towarzystwa Demokratycznego. Owóz to przesąd oplakany, bo tego rzeczywiście nie wodził ani Libelt, ani żaden centralizator; ani metafizy-

ka, ani praktyka rewolucyjna ująć tego nie była mocna: bo im i te rzadkie okruszyny zaraz z ręki wydzierał herostratyzm Filareta Prawdowskiego, to jest demokratyzm sejmikowy, szlachecki. I nie dziw, skoroć ze szlacheckiego piasku ironiczna Opatrzność kazała nam kręcić linę do powstańczej kotwicy!

Poniżej wypadnie nam tę w Polskim rewolucjonizmie herezyę jaśniej określić. Tym czasem, powiemy tylko że dla oszczędzenia sprawie publicznej strasliwego rozczaru w latach 1846 i 1848, do życzenia było, ażeby i ten trzeci wykrój młodzieży szlacheckiej odrazu był się do szeregów konserwatyzmu zaciągnął, a statystyki powstańczej fałszywemi obietnicami nie bałamucił. Dość też tego, ażeby zrozumieć dla czego w czynie, wszystkie trzy, mimo niby takiej między nimi różnicy, zejść się musiały do jednej, a ujemnej dla narodowego powstania wypadkowej.

Wolno i ostrożnie bardzo próbować musiała Chłapowszczyzna swoich sił, zaczęła się odważyć na nie w praktyce rachować; tyle bowiem przesadzone o rewolucjonizmie wielkopolskim miała wyobrażenie, ile ten miał dla niej samochwalczej pogardy. Dopieroż bezbójna kłęska nasza w Lutym, roku 1846go, na raz wynurzyła wietkość naszego patriotyzmu, a konserwatyzmu tężyznę w całym Zaborze Pruskim. Z dozgonnie

zranionem sercem pomijamy obraz dwóch lat potém zszarżanych przez belletrystykę i retorykę szlachecką na obmazywanie pianą niewolniczego strachu, pręgierzów demokracji ukrzyżowanej; ale to mi zeń do wytlómaczenia powtórnego upadku naszego niezbędnę: że równo zuchwałymi podszuczującami tej niechrześcijańskiej reakcyi wystąpiły obie Marcinkowskiego i Koźmiana szkoły. Tylko ponieważ nagła śmierć pierwszego owdowiła patriotyzm filantropijno-spekulancki z osobowej chorągwi, jedna Koźmiańszczyzna pozostała się za obie na widowni, osobliwie przed kratami naszego berlińskiego więzienia. Do Berlina bo téż, pod pozorem familijnych z uwiezionymi stosunków i wypraszenia dla nich łaski królewskiej, zjechał się przez prokuracyę konserwatyzm jezuicko-hrabiowski obu niemieckich Zaborów. Pod koniec roku 1846, słyhać nawet było o wzajemnem zobowiązaniu się do wydawania emissaryuszów, między konserwatystami poznańskimi a galicyjskimi, którzy podobno z umyślnem po temu pełnomocnictwem wyprawili do Berlina piewę *Ziemi Naszej*, W. Pola.

Tu téż konserwatyzm wszechpolski założył najpomysłniejszy warsztat potwarzy i obelg miotanych z drugiej ręki przez dziennikarstwo niemieckie, przeciw polskiemu *komunizmowi* i polskiemu *ateizmowi*. Właśnie tylko młodzieży

nienawiść tę do poległej i deptanej Demokracji przyswoić sobie sposobnej, stać było na kosztowną edukację w Berlinie, pod niezmiernie domyślnym dozorem pruskiej policji. Cała więc, rzec można, kwalifikowała się pod kropidło Koźmiana, i cała, znawiając za panią matką pacierz, z dzienniczków Czartoryszczyzny, z paszkwilów Wielopolskiego i Brezy, z poselstw Pola a Krasińskiego Psalmów Oszczerstwa, uczyła się dziejów bieżących. Cóż temu winna, że na uwieczonych *komunistów* spozierała mimowolnie przez kraty Moabitu, jak na hyeny od których może tylko czujność Mintołogo uratowała herbową i liberyjną jej spuściznę?

Nie żeby bróń Boże, polskie uczucie już w tych młodych sercach nazawsze wygasło; ale szkaradne przykazania fatalizmu neokatolickiego jakimi je studzono, odbierały im siłę potrzebną do szukania prawdy i cnoty w sprawie zwyciężonej. Z wietrznością właściwą wiosnie życia juści i najniedołężniejsze jakąś tam ojczyznę kochały, jakiejś tam Polski pragnęły, byle nie tej za którą «tylu zacnych obywateli pokompromitowało się i niewinnie w kozie siedzi.» Pewnie też nie proces Berliński i mizerne kruczki jakimi się więziona szlachta od niego myślała ratować: nie takie to od męczeństwa wykrety, mogły tę młodzież do patryotycznego męczeństwa zapra-

wić. Jakiemkolwiek tedy współczucie wiązało ją prywatnie z krewnymi *zabłakany* do tej *awan-tury*, dla dobrego tonu przez dwa te lata powtarzała za dewotkami i belletrystami: «że to wielkie nieszczęście» a w żadnym razie do takich głupich losów przypisać się nie była ciekawą.

Ale co najboleśniejsza, to że owe szlacheckich pączków zamrożenie jakoś tak chronicznie stwardniało od trzaskającej reakcyi lat 1846 i 1847, że europejski pożar roku 1848go ledwie powierzchu i to na chwilę tylko zdołał je odwilżyć. I tego przelotnego wrażenia na usługę ojczyzny nic się nie ostało. Rodzice, piastunowie, nauczyciele tak jednozgodnie przekonali swoich pieścuchów o politycznej nicości tej ojczyzny, w takim ich wykołysali uwielbieniu żandarmeryi kiedy już nie moskiewskiej i pruskiej, to znowu francuzkiej, że z szyderczą obojętnością zbywali wszelkie podszepty o strzaskaniu jarzma własnemi narodu szablami. Najdalej zapędzony w dziedzinie marzeń, marzył chyba o Polsce otrąbionej bez wystrzału przez liryczny manifest Lamartina; po dziennikach pilnie szukał czy nie trzaśła rewolucya w Anhalt-Coethen, ale żeby téż o własnej przy tej okazji pomyślał, żeby przyłożył rękę do jakiego polskiego drąga ku pomocy owemu dźwiganiu się wszechludów na nogi, na to mu już nie stać było nawet studenckiej fantazyi. A z takim usposobieniem

Koźmiańszczyzna przyjęła rewolucję nie tylko w Paryżu i w Anhalt-Coethen, ale i w Wiedniu, a nareszcie pod własnymi nogami, przy zawaleniu się bruku Berlińskiego.

I owszem: im bliżej Polski wiała zawierucha, tém te wypłowiełe potomstwo lechickiego rycerstwa mniej się lechickiem czuło i pojmowało, francuzkiem wszakże, ani anhalt-coeteńskim, wiedeńskim ani berlińskim, zcuć się także nie mogąc. Ręczyć możemy zatém, niestety! że pociężne zażalenia króla na udział młodzieży polskiej w boju barykadowym, niezasłużonym obarczyły ją zaszczytem. Od czegoż to z ramienia Chłapowszczyzny roztropny Koźmian wodził ją i reflektował, by bez szwanku dla trzewiczków po tém ziemiotrzęsieniu stąpała? Żebyż to przynajmniej Koźmiańszczyzna na własnej neutralności poprzestała! ale nieproszenie narzuciła ją jeszcze i nam Moabitom, przeszkadzając umówionemu na pierwszy wystrzał wyzwoleniu, któreby ślubem wspólnego nad monarchią zwycięstwa, gwałtem słońdowało lud Berlinski polskiej sprawie. Toby naszą rogatą czapkę nadało za sztandar europejskiej krucyacie; toby jedno, wszystkie faraonstwa przywalające grobowiec polski, terrorem siedmiu plag egipskich skruszyło. Tylko z barykadowej Sinaï i to w pierwszym zaraz brzasku karabinowej jutrzeńki, Polak dla pleby europej-

skiej zrozumiałym jest prorokiem; więc téż od dnia rozbiorów Polski, jedyna to nasza dyplomacya, jedyny nasz kunszt internacyonalny, niech to każdy Polak wie i pamięta. Skoro nas więźniów, wolna Koźmiańszczyzna do tej mojżeszowej trybuny, w samejże nocy 17go Marca, nie dopuściła, daremnie było potem berlińskim filistynom o polskich przykazaniach prawić: daremnie jeszcze oczywiście, niewywróconemu na wywróconych barykadach królowi.

Owóż nie tylko podczas boju, polsko-berlińska kolonia starannie pomyliła powstańcom tropy do naszego więzienia. Trzeciego dnia po wszyskiemu, trzeba aż było zacnego żyda Remaka, poczciwego nadreńczyka Deuksa i kaprysu niefilozofującej hołoty, ażeby tej kolonii przypomnieć przy chłodzie błogo już zastygającej dla filozofów i dla niej reakcyi, że jej rodacy, odtyloletni wiesszce obecnej zagadki, nad takową darmo dotąd łamią sobie głowę o kraty i rygle Moabitu! Wypuszczeni po czasie, a więc nie pogromcami, lecz już zakładnikami królewskiej konstytucyi, mimo polskiego konserwatyzmu i z niematem takowego upokorzeniem, nie dziw że zaraz na wychodném napotkaliśmy domową wojnę ze wszystkimi jego harcownikami. Osobliwie Koźmiańszczyzna stanęła nam przykro w oczy, w kosmopolitycznej żałobie po zachwianych tronach,

ołtarzach i landszaftach. Na taką to straż chorągwaną nawinął się ów legion polsko-akademicki, którego berlińskie filistyny posądzali, mój Boże! o zмовy z Mierosławskim i przedniejskimi komunistami ku wyrzuceniu świeżej konstytucyi przez okna zamku królewskiego. Przecież nie Mierosławski władał tymi młodymi starcami; nie komitet też rewolucyjny zapróbowany około niego, w płonnej wyznając nadziei poprawnego w Berlinie powstania, miał ich na swoje rozkazy. Władał nimi, trzymał ich zazdrośnie na swoich konserwatywnych posyłkach Jan Koźnian; bo jego niezmiennej pieczy powierzeni byli, za rekomendacją Chłapowszczyzny, przez rodziny wielkopolskie. Nie Mierosławski wreszcie, przypasał ich do municypalnych pałaszy i postawił na warcie przy gmachach berlińskich. Przypasał ich skwapliwie do tych tępych pałaszy, postawił na tej konstytucyjno-policyjnej warcie doskonale ich rewolucyjnej niewinności świadomy, a Poznańczykom pamiętny prezydent policyi Minutoli, ten sam co Mierosławskiego przypasał był do łańcusków 14go Lutego w roku 1846.

Nie chciałbym kłaść na to zbyt ciężkiego akcentu. Nie gorszy mnie bardzo że polskich studentów olśnił błysk chociaż i takich szabel, a że ich zapalał młodzieńczy wartowaniem na pruskiej poczcie, jak umiał tak poprawiał się z odbieżenia barykad

17go Marca. Wszakże tem, doskonale sobie teraz tłómaczę dla czego taki *legion* nie dał się później przehartować na nic ostrzejszego, i przyprawić do żadnej zbrojni powstańczej. Ta jego *Minutolowa* fundacya wykrywa dla czego mimo przewzania go przez Mierosławskiego szkołą podchorążych w Poznaniu, i rychłego doń napływu wcale żwawszych żywiołów, pozostał on uporczywie szkołą *Koźmiana* nie *podchorążych*; dla czego następnie żwawsze te żywioły żwawszym zwróciwszy obozom, z nieodstępem od swojego chorążego jądrem pozostał wiernie na dyplomatyczno-umiarkowanie - kontrarewolucyjnych posyłkach komitetu szlacheckiego. To nam wyjaśni nareszcie jakim sposobem, skoro tylko te jego posyłki udaremnione zostaną w samą wilię boju, Koźmian ostatni jego hufiec w tak wzorowym porządku z pod Raszkowa odprowadzi do kazamat Kistrzyńskich, pod eskortą pruskich pacyfikatorów. Bez tego wyjaśnienia, trudnoby zaiste pojąć, jak zastęp zawiązany wprawdzie z samej Koźmianyszczyny na dymiących się jeszcze barykadach berlińskich pod nazwą straży akademickiej, ale zaraz zasilony przybyszami czy to z więzienia moabickiego, czy z różnych stron kraju i oddany pod komendę wypróbowanych patriotów jak pułkownik Biesiekierski i St. Poniński, nic jednak na takim przerozieniu nie zyskał. Jakoż mimo najusilniejszych

Mierosławskiego starań ażeby go utrzymać na stopie roty chorągwianej dla powstania ludowego, po kilku tygodniach rozpuścił się po większej części w parafiańszczyźnie poznańskiej, jakby zaniedbane tylko przez się indywidualności zostawując w kadrach obozowych. Niby to wszelkich kadrów powstańczych pestkową i najtwardszą kadrą, nie powinna pozostać młodzież szlachecka? Snadź jaką chłapowszczyzną skorupka nasiąkła od roku 1846 do 1848, od takiej się i rozbiła na pierwszych falach ruchawki. Krucha by to zaiste *ojczyzny nadzieja*, gdyby też sama ruchawka nie odkopała zaraz nadziei mniej kruchych a mniej drożących się, w innych warstwach narodu.

Co bądź, musieliśmy wstępnie pokazać czyją to edukacją i czyim przemysłem zaczynu koniecznego wszelkiemu wstrząśnieniu narodowemu: młodzieży serdecznej, wielkomyślniej, rycerskiej, zupełnie nam w roku 1848 do ręki zabrakło. Dostatecznie zdaje się dowiedliśmy że Chłapowszczyzna, niby owad jadowity niewidzialnie siedziała na dnie tego kwiatu szlacheckiego, jak siedziała na dnie mistycznej lilii neokatolików, na dnie utilitarnych ziół marcinkowszczyzny, na dnie przenicy czynszowej, w zielnikach biblioteki Raczyńskiego, i w tym mchu i w tych wszystkich chwastach kontrarewolucyjnych, jakiemi, nie ruszając się od roku 1831 pod ciemnym spokojem, kamień

polskiego grobowca spodziewał się obrosnąć do koła bogobojnie a tłusto.

Wszakże na zbawienie wojującego patriotyzmu, groźną tym zaroślom szlacheckim konkurencyę założyło na emętarzach Wielkopolskich niemieckie łakomstwo. Łakomstwo te z jednej strony rozbudziło nareszcie gniew ludowy, jedyny i ostatni dzisiaj ratunek ojczyzny; ale z drugiej, konserwatyzmowi szlacheckiemu dostarczyło maski patriotycznej, którą mu zedrzeć bardzo trudno, chociaż taka przezroczyta! Największy też żal naszego rewolucjonizmu do niemieckiej w Poznańskim szarańczy, bodaj czy nie ten że wyjadła mu przegrodę od swojskiego kąkolu; że zmąciła w jednej ku sobie zawziętości to, bez rozdzielenia uprzednio czego, Polska pozostanie wiecznie męczeńskim chaosem, przedwskrzeszalną boleścią. Bo i jakże odsunąć od sprawy publicznej a więc od psucia takowej, kontrarewolucyę odrzekającą na wszystkie zaskarżenia: «I czegoż od nas chcecie? czyż nie odpychamy jak i wy obcego gadu od ziemi naszej?» Ale tu zważyć należy iż żadna kontrarewolucya o własnej twarzy pokazać się nie może, bo najkonserwatywniejszy dobrodziej nie podałby jej szklanki wody przy skonaniu, gdyby się rzetelnie w niej przejechał. Musiała zatem i Chłapowszczyzna pożyczyć połowę namiętności swoich od patriotyzmu, ażeby się pod szlachetczyzną

wielkopolską podszyć, a tym sposobem umorzyć prawdziwy patriotyzm. Oczywiście że takim negatywnym między rewolucją a kontrarewolucją łącznikiem w całym zaborze niemieckim, wspólna acz zupełnie różnopowodna do niemieckiego gospodarstwa nienawiść.

Jakoż naród wojujący nienawidzi Niemców jako bezpardonowego wroga na dozgonném polu bitwy. Szlachetczyzna nienawidzi ich jako współobjadaczy polskich cmentarzów: gorzej może zatem, choć wcale inako. Dla narodu wojującego, Niemiec przysiadły na jelitach polskich jest sępem który ludzkiej mowy nie rozumie, z którym przeto daremnie gadać. Rozkuć oto Prometeusza a wszystkie sępy od niego odlecą. Nasza przyszła Demokracja nie mając żadnych *akcyj* w tej sępiej *antrepryzie*, nie zazdrości jej powodzeń, nie ma się o co z nią gołosłownie spierać; nie wymyśla téż na nią, chyba kiedy się zdarzy zakłębieniem kartaczowém, a co głosu zachowała, woli nim leczyć co ludzkim głosem uleczyć podobna: np. samegoż Prometeusza niemęskie omdlenie i lamenta. Szlachetczyzna procesuje się owszem ekonomicznie z najazdową szarańczą o podział pogrobowych żniw Polski, niby jak i my szacując, ale inną wcale miarą, tę funtową i morgową ojczyznę swoją. Mniej nierównie chodzi jej o wyzwoleńie polityczne, któreby ją do frasowniejszych

może jeszcze rachunków pociągnęło z wydziedziczoną powszechnością narodu, jak o najsmaczniejszy i najbezpieczniejszy z czterech działów, na jakie się rozpadł kapitał rozbranej rzeczy - pospolitej. Zaś od żydów się nauczyła że na targu i w trybunałach fuzya na nic się nie przyda, a że to owszem nieochybniej przegranej *corpus delicti*; więc fuzyi niecierpi, tylko kodexami, choćby kodexami trzech współdziałników swoich, wojować pochopna.

Daremnie kodexa owe, nie dla niej, lecz dla i przez jej trzech współzawodników fabrykowane, regularnie i we wszystkich ją instancjach niszczą, tradują, od najpośledniejszych okruchów współrozbioru odganiają, raczej już do takowych prawdziwych żydów dopuszczając. Daremnie, z drugiej strony, naród wojujący perswaduje nieszczęsnej że na tem bezdrożu zaborczej legalności, chyba legalnego bankructwa i legalnej bezczęści dożyć się może. Ona w pieniackiej złości swojej, od wojującego narodu ogania się piskiem, oszczerstwem, nogotupaniem, a z konkurentami dalej się procesuje do ostatniej koszuli, do tchu ostatniego, exekucyje po exekucyach przypisując nie własnej głupocie, ale narodu wojującego niepokojóm.

Kitoby tedy polski patriotyzm mierzył tylko zewnętrzniemi pojawami jego nienawiści przeciw zaborcom, bez względu na rozmaite każdej partyi do

tego powody, wydziwić i nacieszyć by się nie mógł jego jednomyślności. Gdyby nawet miał stopniować swój podziw i dać której partyi pierwszeństwo, to niewątpliwie współzapaśnikom niemieckiej eksploatacy, bo dziesięć razy więcej od narodu wydziedziczonego kładą do dziś dnia palestrych, parlamentarskich i polemicznych dowodów swojego żalu do trzech innych rozbiorców Polski. Jeno pytanie o co taz obczyzną zażarta dysputa? Czy o Polskę żywą, o Polskę wskrzeszoną przez wszystkich i dla wszystkich Polaków, czy tylko o martwy żér z zasolonej i zamrożonej przez konserwatywną ekonomię? Tu dopiero rozbija się jednomyślność patryotyzmu Polskiego, mimo wspólnej wszystkim partyom nienawiści ku Moskalom i Niemcom, a darmo téż się ludzi nadzieją sprowadzenia ich do zgody na tak fundamentalną niezgodę.

Kiedy zatem dostrzeżesz o jaką to Polskę, Jan Koźmian z polecenia Chłapowszczyzny tak obszernie i dokumentnie w swoim *Stanie Rreczy* pieńczy się z Flottwelem, z Arnimem, z Beuermannem, z Jłem. Pfuelem, z sejmem Berlińskim, z sejmem Frankfurtskim, z urzędnikami, kolonistami i żydami poznańskimi, czujesz zaraz że to wszystko choć niby po polsku drukowane, pozostanie wiecznie dla Polski wojującej kłótnią niemiecką i niemieckiem kazaniem. Wyznajemy że

w takiej kompanii odechciewa nam się wymyślania żeby na najnieznośniejsze ciemństwo, a wszelki z takowem proces wolemy odłożyć do palnej i siecznej instancyi.

Ten będzie powód wstrzeźliwości naszej w lzeniu jawnych wrogów Polski, iżby całe oburzenie słowa naszego zachować na tajnych, co to cię na argument przeciw pierwszym wzywają; ale skoro chcesz obuchem dysputę zakończyć, obuch ci cichym sztyletem z ręki wytrącają. Nie z książką przeto Koźmiana, ale z żywą fakcją jego rozprawiemy się w tej odpowiedzi na powieść św. pamięci Jędrzeja Moraczewskiego. Do tej zaś boleśnej polemiki z nieodżałowanym dziejopisarzem *Rzeczypospolitej*, wiadomo żeśmy lat temu ośm zmuszeni zostali niebacznem zabłąkaniem się jego w regiony nie dla takich temperamentów otwarte. Szczerą nosząc już żałobę po narodowym obrońcy przedwcześnie poległym na bojowisku właściwem jego męstwu, osobę pokochawszy, malarza przeszłości wielbiąc, jakżebym pragnął być dzisiaj wyzwolonym, chociażby kosztem najdotkliwszego upokorzenia, od dzikiej pokuty niepokojenia tak szacownych popiołów! Ale na to wyzwolenie, daremnie lat siedm czekałem. Na sto poimiennych wyzwzań, pierwszym wydaniem mojej odpowiedzi objętych, bezimienny poemat «*Gorzkich Żalów*» nie zdaje mi się dostateczną repliką. Przedawnie-

nie owszem tak wymownego milczenia jakoby zastudziło moje twierdzenia na naukę niezatartą dla lepszego pokolenia, nierozłącznie z wszelkimi skazami stylu i smaku, razem z żuźlami i opryskliwościami jakie mi przed siedmią laty w tym gorącym odlewie prawdy, pomieszane z takową wyleciały z serca. Niechże te skazy do joty pozostaną na powtórnem wydaniu odpowiedzi mojej, jako dowodne naszego cierpiącego kościoła zmarszczki, świętej pamięci Jędrzeju! Wszak czytelnik dobrej wiary wyczyta co pod niemi leży, a dla złej wiary korekty się żadne nie opłaca. Sławie też Twojej, co po słów moich skrobaninie? Wzbiłeś się do wyżyn z których głosu ludzkiego nie słyhać, a tylko myśl z pod nich tryskająca ku Bożemu tronowi, tęczą przymierza wiąże prawych Polaków na ziemi i w niebiosach.

Zatem jak temu lat siedm, bez zmiany, ale z obfitem dopełnieniem, komentarz mój zaczynam od stronicy 15tej *Wypadków Poznańskich*.

I

Str. 15. W. P. «Dembowski, niby jeneralny inspektor, wszystko osobiście przeglądał, i ze wszystkich stron na Centralizacyę o pospiechu naglił, i t. d.»

Edward Dembowski, rzadkiej szlachetności, rzad-

kiego poświęcenia, ale niedowarzonych wcale instynktów demagog, chyba na trzech lub czterech roztrzępanszych jeczce od siebie studentów mógł wpływać, nie na Centralizację, która od lat kilku stateczniejszymi posługiwała się inspektorami w Poznańskim, w Galicyi, w Królestwie i na Litwie. Mierosławski nie na Dembowskiego, ale na Wiśniowskiego i Heltmana wezwanie zjechał po dwa razy do kraju, ażeby w porozumieniu z komitetami krajowemi ustanowić rząd rewolucyjny, i oznaczyć termin do powstania. Z resztą, jałowy herostratyzm Dembowskiego tak był znany związkowym, że go od narad stanowczych w Krakowie jednomyślnie odsunięto. Jakoż wszystkie styczniowe postanowienia zjazdu Krakowskiego, w nieobecności Dembowskiego i bez wiedzy jego zapadły.

Ani cel ani rozmiary tego pisma nie pozwalają nam zbyt dalekich wycieczek po za ramy roku 1848go; nie możemy jednak ustrzedz się tutaj od krótkiego rodowodu stronnictwa którego Edward Dembowski niewątpliwie najwielkomyślniejszym męczennikiem, ale które samo jest tylko sektą w niedoczynie Towarzystwa Demokratycznego. Musiemy zatem i ten pamiętny na emigracyi związek pobieżnie zcharakteryzować.

Jak kontrarewolucya tocząca od ćwierć wieku mękę narodową, wszystkimi namacalnemi ko-

rzeniami sięga epoki Listopadowej, tak i rewolucjonizm polski we wszystkich swoich wydziałach jest tylko dalszym rozwojem niedokonanych w tej epoce ratunków.

Powstanie Listopadowe utknęło na swoim wstępie, nie zdążywszy *zdefiniować* swojej rewolucyjności. Poszło zatem definiować się na wygnaniu, na pokucie, jak Budha, jak Mojżesz, jak Solon, jak wszyscy narodów prorocy i rewolucyoniści. W niedostatku męża-proroka, o co podobno daremnieby się u niebios dopominać w wieku XIXtym, wygnanie wyłoniło z mąk swoich szkołę, a przynajmniej organiczną przemowę do szkoły rewolucyjnej, Tow. Demokratycznem zwanej: szkołę o wiele w roku 1846tym niedokończoną, a w kraju tylko z przydomka przeszyszaną, przez fantastyczną akustykę szpar grobowych. Ponieważ jednak sąd potomności już świtający nad testamentem tego związku, zaczyna wyznawać że po za nim, ćwierćwiekowa ducha polskiego pielgrzymka nic zgoła innego ku wskrzeszalnej edukacyi narodu nie odkryła, musi obecne pokolenie, pod zagrożeniem wiecznej schizmy i anarchii myślowej, uznać go jakoby za sobór Trydentski swego wojującego kościoła.

Trzynastoletnie obrady tego soboru podzieliłoby można na trzy, około czteroletnie okresy. W pierwszym od r. 1833—37, Tow. Demokratyczne mu-

siało najprzód mechanicznie wygrzebać się z od-
 mętu emigracyjnego: z owego szlacheckiego
 jeszcze szlamu co przy okrzykach «kochajmy się!»
 wszechwładnie *jednocząc* życie ze śmiercią, byt
 z niebytem, niesłychaną większością głosów de-
 kretowało wieczną zgodę na niezgodę. A przecież
 rodzić się, jest to wydzielać się.

Ależ i przez cały ten okres porodny, Tow.
 Demokratyczne pozostać musiało bakalarstwem
 czysto krytycznym; a i w tej kłótni trzymać się
 krytycyzmu zrozumiałego dla przeciwników swo-
 ich, pod karą kłócenia się na puszczy; jedynie
 zaś wspólnym wszystkich szlacheckich wolno-
 myślności mianownikiem był na owe czasy *Lele-*
welizm.

Lelewel jest Eneaszem, który ze zgliszczów
 Warszawy wyniósł lary demokratyzmu szlachec-
 kiego, jedyne co bądź kto powie, na jaki się
 Listopadowe niemowlęctwo zdobyło; daremnie
 zatem było około czego innego naszą przyszłą
 Romę fundować. Kto w tym emigracyjnym przed-
 świcie Demokracji nie był wyznawcą Leleweliz-
 mu, żadnej nie miał sumiennej wymówki od
 algierskiej żandarmeryi Czarторыskiego i Bema.
 Lelewel zatem jako negatywny symbol od złego,
 jako woda święcona na wszystkie czary pretorya-
 nizmu i dyplomatyizmu w odkupnej narodu
 pielgrzymce, niewątpliwie pozostanie na wieki

wieków wielebnym, Enejdowym pomnikiem. Wszakże to nie przeszkadza dyssekcji szlacheckiego demokratyzmu, którego legendowy ten patryarcha jest balsamatorem. Z wszelkich znowu dyssekcji i doświadczeń pokazało się że demokratyzm Lelewelowy jest to wynoszenie starożytnej swawoli szlacheckiej do pretensyi nowoczesnego gminowładztwa, za pomocą gadania i pisania o ludzie, dla ludu, bez ludu; zakadzanie Rewolucyi pochlebstwami, aby się nigdy do czynu nie przebudziła; rozczywanie propagandy w polemice i belletrystyce; rozczywanie sprzysiężeń w karbo-narstwie i symbolizmie; rozczywanie powstania w partyzantce; rozczywanie władzy w sejmikach, ojczyzny we łzach patryotycznych, trajedyi wszelkiej w parodii, i rzeczy wszelkiej w tej samej rzeczy przesadzie.

Ogromnej większości emigracyjnej co po za szczupłą koteryą kontrarewolucyjną bezwładnie obczyznę zalegała, na lepszy i wyższy patryotyzm stać nie było; boć to wszystko była szlachta, szlachta zwyciężona, pokutująca, ranami duszy i ciała rozgrzeszona, ale szlachta.

Gamma tych szlacheckich temperamentów ustąpiowała Lelewelizm w nieskończone odcienia, począwszy od indyjskiej samegoż Lelewela dla ostatnich żyjatek dobrośliwości, aż do fantastycznej wściekliczny hrabiów strąconych do *gminy*

Humani i Grudziądz. Ale to wszystko były wyższe i niższe chyba nóty jednej i tej samej szlacheckizny; wszystkie też pozostały negatywnie skonfederowane pod firmą *Zjednoczenia*, przeciw organicznemu wydzieleniu się Tow. Demokratycznego, któremu Lelewelizm jeno jako pilnik na Lelewelizm, przy tem genezyjnym odczepianiu się był niezbędny. Sam Lelewel tej homeopatycznej metody nauczył był fundatorów Tow. Demokratycznego, kiedy Mikołajowi konstytucyjnemu kazał się bić z carem Mikołajem. Ale z tej smutnej konieczności w okresie krytycznym Tow. Demokratycznego, wynikły w dwóch następnych kolejach jego rozwoju niezatarte szlacheckiego herostratyizmu narowy, dziedziczne klubu Warszawskiego i sukursalnej onego *Dziurki* tradycje. Tych, zupełnie poskromić, Centralizacya Tow. Demokratycznego nigdy nie potrafiła; tak, że po rozwiązaniu się tego pamiętnego ciała, znowu się wszystkie na jego zwłokach z przykrym hałasem wyroiły.

Z tąd naiwne dziwienie się Jednoczeńców «dla czego jednakowych będąc *zasad*, co nie prawda, dwa odmienne stanowiliśmy obozy? ale co gorsza, zupełne przesłyszenie się patryotyzmu krajowego o owych Tow. Demokratycznych zasadach. Jakoż zobaczymy zaraz że krajowy patryotyzm tylko ten pierwszy, niemowlęcy, krytyczny okres naszej szkoły emigracyjnej pojąć i przejąć zdolny, na

nim też się zatrzymał i rozkruszył. Tchu i zmysłów mu zabrakło, ażeby dalej dobiegać za swoją wygnaną chorągwią; tak że ta, od własnych niepoznana żołnierzy, znalazła się bez straży na wyłomie roku 1846, a w roku 1848, niemal tylko na fajerwerkową igraszkę herostratyzmowi posłużyła. Nad tem wszystkim, płytki nasz entuzjazm zastanawiać się w długich nudach czyśca swojego nie lubi; więc też zawód żaden nie bywa dla niego przynajmniej ćwiczeniem, a całą powstającą edukację narodu, *da capo* po każdym jej udaremnieniu poczynać nam potrzeba.

Dopiero po roku 1836—37, kiedy z gliny emigracyjnej ogromnym trudem i niezmiernym kunsztem, Tow. Demokratyczne wybrnęło pod postacią szczypty *aluminiumu*, jakoby nieznanego dotąd polakom kruszcu, dały się dostrzedz i zważyć metaliczne emigracyi przymioty. Umyślnie kolcami sektarstwa odgradzone od psot i ciekawości zjednoczonej przeciw niemu szlachetczyzny, Tow. Demokratyczne zabrało się do oznaczenia przyszlęmu powstaniu owej mety matematycznej, owego ideału Demokracji politycznej i społecznej, niedostatkiem którego wszystkie poprzednie powstania rozbiły się w mgłach szlachetczyzny na półdrogi do portu. I w tym drugim, organicznym już peryodzie, skutek o wiele zamiarowi nie dopisał; ale została się zeń gimnastyka

karności myślowej nigdy wprzód nie slychana; został się regulamin taktyki rewolucyjnej, którego żadnemu nadal związkowi powstańczemu ignorować i pominąć nie wolno, którego też zlekceważenie przez szlachecki demokratyzm lat 1846 i 1848, jest obu tych zawodów celującym powodem.

Chętnie wyznajemy że o podał od łona ojczystego, od codziennych mąk ludu polskiego, emigracya demokratyczna do pisania ustaw dogmatycznych dla tego ludu, nie była ani zdolną, ani prawowitą. Potrącane, roztargnione wirem społeczeństwa zachodniego, które na innej zupełnie drodze wyrosło i w innych od naszego rozmiarach wyzwoliło się, jak sejm czteroletni dla zmyślonego mieszczaństwa i zmyślanej monarchii, tak Tow. Demokratyczne chyba dla fantastycznego a przynajmniej dla nienarodzonego jeszcze ludu przez te lat ośm rozprawiać mogło. Zgoda. Ale czem żadne czteroletnie, dwuletnie czy jednoroczne sejmy szlacheckie temu emigracyjnemu sejmowi nigdy nie dorównały, to pokorą heroizmu i poświęceniem słowa czynowi. Jakoż, za pierwszym szemraniem niecierpliwości krajowej, bez pychy, bez żalu, bez obejrzenia się na tyle marnych trudów, jak lwica troskliwe, a powolne jak dziecko, Tow. Demokratyczne anachroniczną togę swoją na sztandar powstańczy podarło i

wszystkie foliały swoje oddało na obwijanie ła-
dunków. A do czego znalazło w swoim sercu
prawdziwą namiętność, znalazło też i rozum
żadnym dotąd innym rozumem nie przekresko-
wany. Jeżeli bowiem projekta ustawodawcze tego
stowarzyszenia dla przyszłego, dla wskrzeszonego
dopiero ludu, jeżeli mówię, strona prorocz-
dogmatyczna jego obrad poważniejszej krytyki
wytrzymać nie jest mocna, zato, jego regulamin
rewolucyjny, to jest regulamin wstępu wskrze-
szalnego, pozostanie nieodpartym dekalogiem na-
szego narodu, aż do ostatniej sekundy dobijania
się jego o wolność.

Jużci i tego regulaminu, definiującego lud a
władzę w anormalnem wytężeniu powstania,
Tow. Demokratyczne z własnego palca nie wys-
sało, ani go też z chronicznie szlacheckich dzie-
jów naszych wyssać nie mogło. Przejęło go,
prawda, w wielkich zarysach od monumentalne-
go rewolucjonizmu Francyi; ale tem już nie
pomyliło swojej narodowości, skoro rzeczą do-
wiedzioną, że francuzka rewolucya jest tylko
streszczeniem w najwyższej potędze, antenato-
wych wstrząśnieni całej ludzkości. Jak nie konie-
cznie trzeba być żydem, i owszem, ażeby obja-
wienia ewangelii szukać w Jerozolimie, tak
można pozostać bardzo czystym polakiem idąc
po naukę do Komitetu-Zbawienia-Publicznego.

Dopiero w przykładaniu i rozkładaniu tej nauki abstrakcyjnej, osobliwie polskiemu *ikaryzmowi*, niepospolitej potrzeba czujności, trzeźwości i energii ażeby się zaraz z tej niebotycznej tragiki nie wywalił w hecę konfederacką, ażeby z okazji Jezusa Chrystusa nie uwierzył w Towiańskiego, ażeby z uwielbienia dla Robespiera i St. Justa nie małpował Heberta i margrabiego de St. Hurugue, ażeby krocząc za Kilińskim i Kołłontajem nie zatoczył się do Honoratki.

Drugą dla naszej słowiańskiej niewybredności pokusą, drugim niebezpieczeństwem w tych godziwych zresztą pożyczkach od uniwersalnego banku rewolucyi francuzkiej, ażebyśmy w nim narodowości naszej na lichwę nie oddawali; ażebyśmy idąc po ryby nie wracali z żabami; ażebyśmy wybrawszy co z abstrakcyjnych pewników rewolucjonizmu zachodniego karnie i szczerze pasuje do naszej sielsko-rycerskiej natury, nie trawestowali jej daremnie w paryzki jakóbinizm lub kanuteryą lugduńską.

Trzeciem zwykłym mamidłem dla naszej luźnej sentymentalności, rozmiłowanie się w całym cierpiącym świecie, kosztem najwpierw obowiązującego nas patriotyzmu, czyli otwarcie mówiąc, wykpiwanie się pierwszym od drugiego. Ztąd owo rozwiązanie się wszystkich Zjednoczeń emigracyjnych w *Młodej Europie*; stępienie się naszego

charakteru narodowego o nieujęty kosmopolityzm; piętnastoletnie mistyfikowanie Lelewelistów to przez Mazzinistów, to przez liberalnych Państwistów; z tąd utracenie polskiego drogiomiaru, a nareszcie wszelkiego zmysłu do rozmawiania na mię z własną ziemią i z własnym ludem. Do tego stopnia, że kiedy z naglącego polecenia związku krajowego, Centralizacya Tow. Demokratycznego wezwała wszystkie odcienia demokracji emigracyjnego do swojej *kolumny szturmowej*, pod karą zmarnienia na uboczach, wszystkie londyńskie, bruxelskie czy paryzkie ich dzienniczki zakrzyczały ją wyrzutem «że swoją sektarską odrębnością zrywa solidarność ludów». Masz tobie !*

Czwartem rodowem kalectwem naszego demokracji jest anachroniczność, zwałająca przez lenistwo na jedną kupę wszystkie rozdziały i momenta rewolucyi. Nie chce się nam zauważyć że rewolucya wszelka musi przechodzić okropnym trudem przez dwa przykre szczeble kościoła Cierpiącego i kościoła Wojującego, do dalekiej świątyni Tryumfującej wolności. Nie mamy odwagi wyznania sobie że w kościele cierpiącym jest płacz i zgrzytanie zębów: same ciężary bez praw

* Rozpatrz pamiętne *Konferencye Sekcyj Tow. Demokratycznego z zakładami emigracyjnymi* w miesiącu Sierpniu 1844 r.

żadnych, a jeżeli i bez obowiązków, to i bez nadziei. Dnia w którymby Polska potknęła się aż do takich głębin piekła, niepowrotnieby się bytu rzekła; dla Polski zatem, póki Polską się zowie, maximum znośnego cierpienia zatrzymuje się na tym pierwszym progu piekła do czyśca, na którym są same ciężary i obowiązki, jedynie assygnatami nadziei płatne. Przez cały peryód czyścowy, czyli kościoła wojującego, jeszcze i ciągle same ciężary z wzrastającymi obowiązkami, więc i z pozwolną o tyleż nadzieją; lecz o prawach jakichkolwiek, szeptanie nawet w tym surowym przybytku zakazane, pod karą powrotu na próg piekielny i oddeptania *da capo* całej drabiny wskrzeszenia. Jeżeli tedy w tym kościele jest jaka wolność, to wolność potykania się bez końca z najwyższego szczebla Golgoty do wrzącej smoły, jak to czyni nasz szlachecki demokratyzm od lat 88. Bo dopiero w osiągniętym poprzednimi próbami Syonie, do jednego dopełnione w cierpieniu i w walce obowiązki na raz zapłacone zostaną równoważnemi prawami, a papierki srebrem brzękną. Kto zaś, bez żadnych targów z ojczyzną, tak późnego terminu wypłaty doczekiwać się nie ma wstrzemięźliwości, niechaj się do polskiego niebowstąpienia wcale nie zaciąga.

Piątą na oczach naszego szlacheckiego demokratyzmu, a cztery poprzednie konieczne dopeł-

niającą kataraktą: szarlatanizm, aktorstwo w śnie i na jawie, słowem, mistyfikacja. Bywamy wprowadzanie szarlatanami nie dla intrygi i oszustwa, jak się to powszechnie dzieje u obcych, ale z jedynej żądzy *popularności*, jako fundamentalnego zabytku naszego konfederackiego republikanizmu. Ponieważ intelligencja pospolita narodu na krok po przed te tradycje nie postąpiła, a jednak galerya popularnością niegdyś szafująca niepowrotnie w Rozbiorach przepadła, zapóźnieni na scenie aktorowie przed imaginacyjną krygować się muszą, i niezmordowanie do własnego umizgają się zwierciadła.

Z tej zrozumiałej niegdyś, ale dzisiaj bonifratrowej już tylko ambicyi, czy to w katakombach krajowego, czy na rynkach emigracyjnego demokracji, wynikała równa passya okłamywania się wzajemnego, ale i wzajemnego sobie w tem kłamaniu pobłażania, pod karą realności i trudów nieznośnych dla szlacheckiego niedołęztwa. Jak tedy na emigracji cały Lelewelizm bawił się niewinniej przez lat siedmnaście w Rzeczpospolitą Fenelońską, gniewając się bardzo na jedyny związek bawić się w to nie mający czasu, tak znowu w kraju, polistopadowe pokolenie bawiło się w konspiracye, ale z okrutnem marnotrawstwem poświęcenia i heroizmu, na najprawdziwsze i najskuteczniejsze konspiracye wystarczają-

cego. Tak gladyatorowie w aktorskiej exaltacji, sami leli w paszczę tygrysom krew dziesięćkroć do ich wyzwolenia od tygrysów i Cezara dostateczną!

Karby obcego jarzma jeszcze oszpeciły tę wrodzoną naszą teatralność, larwą machiawelską, obrzydliwie krzywiącą się na naszym wcale nie machiawelskim rozumie. Nagięta do mylenia policyi moskiewskiej, pruskiej i austryackiej, młodzież krajowa nie umiała się już wyprostować do szczerości względem nikogo; a nie mogąc współbraci mylić fałszywą nیکczemnością, myliła ich fałszywém uniesieniem. Cały zawód 1846go roku nie czem był naciągnięty jak temi figlami niemocy pnącej się samiusieńskich mistyfikacyj nakładem, do taniej zapewne, ale też i niemożliwej sławy. Najsmutniejszy efekt tego malowanego rewolucjonizmu, pokazał się przy wyzwaniu go do przewodniczenia *massom ludowym*, do których się nigdy nie schylił, choć go ledwie dziurawe dworaków posadzki od niego przegradzały — *massom ludowym* o których exystencji dopiéro się dowiadywał z broszurek przemycanych — *massom ludowym* po których mimowiednie deptał, a przez podeszwę tyle ich nawet nie czuł, ile je czuła przez grubość globu antypodyczna im emigracya! Niemylnem zaś, acz na nic już we wilię wybuchu nieprzydatnem ostrzeżeniem takiej szarlataneryi,

był budżet naszego związku. Wiedźże czytelniku iż związek ten rozgadany i rozpisany przez lat ośm na całą Polskę od morza do morza, od Dźwiny do Odry, we wilię wyboru między wybuchem a rusztowaniem uskąpił swojej centralizacyi wykonawczej czem kupić zapalek na wybuch. Pamiętaj iż związku tego, na przytłumienie którego skarbcie ciemieżców wydał 10—12 milionów, i wystawy i niedoczynu i pogrzebu koszta, pokryć ostatecznie musiały po naszej stronie składki emigranckie! Gdybym sobie i tak w tej książeczce nie zabronił, jako może jeszcze zawczesnych, dziejów sprzyśiężenia do roku 1846, zdaje mi się że ten jego lakoniczny bilans, uwolnił by mnie od rozwodzenia się nad wszelkimi innymi powodami jego bezskuteczności.

Owóż dla łapczywego demokratyzmu naszego, owe szczeblowe promocyje z pracą i podatkowaniem, rzeczą nieznośną i niepojętą. Zdaje mu się że krócej i taniej będzie wyklamać sobie samemu kościół tryumfujący bez żadnych progów i przysionków, a w nim zastawioną biesiadę pod kotarą wolności pożyczoną od cudzych rewolucyj. Zadrzymuje się tedy ciągle przed tym rajem malownym, lata cierpienia daremnie karbując sobie za lata zasługi, a sińce i guzy swoich Syzyfowych upadków, za Chrystusowe rany. To złudzenie jest najniebezpieczniejszą chorobą naszej polityki. Ogół emigracyi zupełnie zmarnował ćwierć-

wieku tych mąk Syzyfowych na daremném drapaniu się do praw obowiązkami niewylegitymowanych, do wolności karnością nie zarobionej, do braterstwa ojcowstwem i synowstwem niepoprzedzonego: zgoła na zachciance Rzeczypospolitej bez wybolenia sobie takowej. Ogół ten prawiąc ciągle o *postępie*, przez ćwierć wieku pojęciami swojemi nie okroczył jednego szczebla rewolucjonizmu, bo delektował się nad rewolucją francuzką, a naczelne jej przykazanie, jedyne do naszej przystajne, przykazanie równości w obliczu pęków liktorskich, odrzucił.

Jedne Towarzystwo Demokratyczne wyskoczyło z tego nieruchomego wiru, na pierwsze szczeble Demokracji wojującej. Jedne, po siedmiu latach bicia się z myślą własną, wybiegło całym pędem heroicznego zniecierpliwienia z pomiędzy czterech skopułów: herostratyzmu, frankomanii, kosmopolityzmu i swawoli, od których wartałka hezytacyj szlacheckich ciągle dotąd odskakiwała na odwieczne swoje miejsce. Jakoż:

1° Na zupełnej równi kładąc w rodzicielskiej namiętności swojej co rewolucyjny poród zabija i co temu porodowi przeszkadza, do jednego kosa wrzuciło kontrarewolucyę i extrarewolucyę, śmierć i monstrialność, Marią Antoinettę i Herberta, Hotel Lambert i Gminę Human, hrabiów austryackich i Szelizm. Z tych dopiero symetry-

cznych wystrzyżyn wypogodził się i wyzdrowiał polski rewolucyonizm : zakon krzyżowy, związany ślubem nie spoczęcia aż na odbitym i rozwartym grobowcu ojczyzny.

2° Wybrawszy uważnie z wzorów rewolucyi francuzkiej co w nich do wszech-humanitarnego rozumu należy, to jest metody dynamiczne zmartwychpowstawania i walczenia ze śmiercią, pozostawiło społeczeństwu zachodniemu nienaruszony benefis właściwych mu dziejów. Przyjęło, prawda, telegrafowy dekalog Komitetu Zbawienia, ale przetłómaczony na regulamin rycerski, bośmy rycerstwem, nie mieszczaństwem. Uznało, prawda, wszechwładztwo ludu, ale własnego a prawdziwego, więc dopiero ostatnią kroplą krwi naszej wykupionego : kiedy się iloty naszej szlachetczyzny na kłębach armatniego dymu, do dostojności wszechwładnej zbiorowości wyniosą. Wszechwładztwa zaś polskim jeszcze ilotom, osobliwie wszechwładztwa sejmikującej za nich szlachetczyźnie, pod pozorem że Ratusz Paryzki zbawił Francję w r. 1793, Tow. Demokratyczne wręcz odmówiło ; bo chłop polski nie Gallo-romański municypalista, a klub Jakóbinów nie klub Sali Redutowej pod prezydencją Lelewela. Uznało, prawda, sakramentalność *dyktatury* przy zmartwychpowstawaniu wszelkiego ludu,—terrorycznej nawet, kiedy się naród polski na terrory-

czne posłuszeństwo, jak ongi naród francuzki sam poświęci; ale dyktatury w czapce Kościuszkowskiej nie frygijskiej, boby takową chłop polski, klasycznej symboliki nie świadomy, wziąć gotów niesłusznie za niemiecką szlafmycę w szlachtuzie zafarbowaną. Ostrożność ważna dla praktycznych rewolucjonistów.

3° Dla tego właśnie że ludzkość szczerze i poważnie pokochała, Tow. Demokratycznemu danem było dostrzedz, iż *Młoda Europa* dopóty pozostanie miłością bez uczynku, a wedle ówczesnego neologizmu francuzkiego pantejstyczną *blagą*, dopóki się z niej najprzód na czysto nie wygrzebie Polska, jako udzielna a przodkująca jej funkcya. Przodkująca zaś dla tego, że jedna absolutnie nic do stracenia w trzęsieniu ziemi Europejskiej od r. 1832 nie mając, Polska jest *samo przez się* prototypem rewolucjonizmu między narodami. Tym argumentem Tow. Demokratyczne położyło koniec mozoleniu się półmędrków nad *racyą Stanu* dla Polski, jak żeby Polska nie miała takowej w tym naturalnym a radykalnym swoim rewolucjonizmie, od chwili zamordowania naszej Rzeczypospolitej przez solidarny monarchizm całej Europy? Nie przez pychę zatem, ale dla zbawienia wszystkich swoich rewolucyjnych konfederatów, wystąpiło z bezsilnego ich natłoku, jako szturmowa ich awangarda. Polski li na pol-

skim wyłomie szukając, było pewne że jedynie przez ten wyłom utoruje się *via sacra*, dla wszystkich innych narodów do powszechnego kapitolu wolności; nie bało się też zrywać solidarności ludów, nawołując maróderów emigracyjnego demokratyzmu do swojej szturmowej kolumny.

4° I po temu wyrzekło: że całemu polskiemu demokratyzmowi potrzeba zostać kolumną szturmową nie czem innym; zrozumiało, że tę stromą eskaladę do Syonu demokratycznego, można tylko wykonać w szyku, w milczeniu i w karności koscioła wojującego: retorykę wszelką odstępując bębnom, a błogą wolność spadkobiercom. Osądziło zgoła, że wszystkie obywatelskie prawa wypada nam złożyć na progu powstania, jak żołnierz składa tórnister u stóp wyłomu, iżby na takowy drapać się z samymi obowiązkami nabitemi w ręku. O tórnister albowiem zwycięzcy nie troskać się, a zwyciężonemu raczej zacięży śmiercią niż mieniem.

5° Powiedzieliśmy że pojęcia Tow. Demokratycznego nie wyszły Minerwą z żadnej migreny Jowiszowej; że bodaj czy nawet osobliwą charakterystyką tego wojującego a szarego zakonu, nie właśnie brak zupełny mitologicznej rewelacji i osobowych świeczników, a z tąd najprzód empiryczna i mozolna macanina jego edukacji, potem zaś szorstkość Dyogenesowa jego patriotyzmu,

tradycjom szlacheckim tak nieznośna! Ale téż w nim z łąd, na końcu, cnota niezmiernie rzadka między Polakami: pogardzanie zalotną renomą, akuratne zamiarkowanie zmysłów swoich i surowa trzeźwość w szacowaniu siebie samego. Po doświadczeniu Listopadowém, Tow. Demokratyczne, jedne w kraju i na emigracyi, przyszło do określenia swoich atrybucyj istotnem koliskiem swojej sięgalności. Pajęczynami popularności i malowaną władzą, kalectw swoich nie drapowało. Jedno téż między wszystkimi messyanizmami które się abonowały do ziemi obiecanej, godnie milcząc złożyło na progu takowej, testament swój ze zwłokami swojemi: «Czyń cicho coś powinien, a o koniec durniu nie pytaj» takie było przysłowie, taka jedyna na wszelkie niepotrzebne ciekawości i interpellacye, odpowiedź zasłużonego sekretarza Centralizacyi, Macieja Stacherskiego: przysłowie najwiernej oddające humor stoicznizantropijny zakonu, którego skromny ten a niezłomny człowiek był najpowierniejszym lewitą. Zatem, dla przyszłości do niczego względem niego niezobowiązanej, zrzekając się wszelkich podręcznych pociech i emocyj, Tow. Demokratyczne na emigracyi sejmikom Zjednoczenia, a w kraju konspiratomanom zostawiło do zabawy i insygnia prorocze i czary karbonarskie; samo zaś postawiło się po prostu szykiem wytycznym do marszu i do

boju, szykiem mającym się rozwiązać u pierwszych słupów granicznych powstającego kraju, bez żadnych targów, obrzędów i melodramatów.*

Te są kardynalne punkta wyróżniające szkołę Tow. Demokratycznego od czczych ogolników, komunałów czy zabobonów starego demokratyzmu szlacheckiego: demokratyzmu który nie tylko zwichnął missyę emigracji, ale jeszcze nowe w kraju pokolenie do ostatniej niemocy obałamucił, wskazując mu «*Wolność, Równość i Niepodległość*» nie za cel dopięro i zapłatę karnej a krwawej ofiary, lecz za środek któren jak Bóg jaki miał tworzyć sam siebie, bez trudu i bez bólu.

A do tego trzeźwego pojęcia wolności z karności dopięro płynącej, Tow. Demokratyczne nie przyszło, powtarzam, z natchnienia żadnego męża, statysty lub proroka osobliwą łaską Boga na wygnanie zesłanego. Wiadomo owszem, iż wszyscy mężowie, statysci i wieszczce szczególną Boga konfidencyą słynący: Lelewel, Mochnacki, czy Mickiewicz (że patentowanych nie policzę) ani

* Na końcu tej książki umieszczamy testamentową niejako Tow. Demokratycznego spowiedź, we wilię rozwiązania się takowego w szeregach postanowionego już powstania. Jakoż ta przemowa prezydującego na obchodzie rocznicy Listopadowej w roku 1845, streszczała urzędowie wszystkie konkluzye naszej dziesięcioletniej propagandy, i miała stanowić ostateczne wyznanie wiary Demokracji Wojującej, w kraju powstającym.

słyszeć chcieli o *koteryi studentów i sierżantów* zakłócających *jedność* emigracyjnego chaosu. Ale ci studenci i sierżanci narodzili się do życia politycznego z czynu Listopadowego, nie z burszówki, nie z belletrystyki, nie z majówki, nie z romansowego koleżeństwa. Wiązała ich mściwa zasada, ślub hannibalowy, nie sympatya osobista. Wykuścić krwią i potem, nie łzami, nie kwiatkami, nie jałmużną poległą w ich objęciach synowskich ojczyznę: to całe zadanie ich zakonu, jedyna też ich wyznania rewelacya. Duch Święty, Magja i Muzy równie na nich nie łaskawe, odmówiły im wszelkiej lampy. Empirycznie, powtarzam, po omacku, przez lat ośm tłuc się musieli po nieznanomych im labiryntach mądrości Zachodniej; przez lat ośm mylić się, wracać na punkt wyjścia, i jedynie kierując się na zawzięte bicie własnego serca, wśród szyderstw i szturchańców jeszcze ślepszycy od siebie zawiści, myłki swoje niezmoredowaniem takowych powtarzaniem prostować. I nic dziwnego: z czynu wyszli nie z księgarni; więc też mimo swoich skrybowych pozorów, tylko do czynu czynem zaiskrzonego przejrzyć i trafić byli zdolni.

Iskrą tą, podobną do trysku piorunowego co męty chemiczne rozkłada, ażeby dobrane zeń powinowatości skrybować, stały się dopiero sprzysiężenia krajowe, po różnych zakątkach

cele
dziwni
walle

przez emissaryuszów Centralizacyi około roku 1842 odkryte, i jakoby do jednego Voltajskiego stosu nęczone. Że nęczone tylko a nie sprowadzone, więc ostatecznie piorunu nie wydały; ale dla lunatycznego patryotyzmu emigrantów dość było ich najłżejszego dreszczu, ażeby taki osobliwie jak Tow. Demokratyczne przewodnik na wskrós zelektryzować. Jakoż zjawiska takiego, samo poświerzenie wywarło zaraz na Tow. Demakratycznym wszystkie uzdrawiające wrażenia piorunu. W przeciągu lat dwóch, co w niem się jeszcze katarzyło zaległości Lelewelowych, majówek Wileńskich, Honoratki Warszawskiej, partyzantki Litewsko-ruskiej, belletrystycznego bałagulstwa i partactwa wszelakiego, cały ten muł z sekcij Towarzystwa sam wyleciał jako ze zbyt dlań twardych i cisnących naczyń. Wyczyściła się tedy i została na rok 1845 jakby z pobojuwisk Listopadowych zmartwychwstała Szkoła Podchorążych, z nowym tylko regulaminem w tych ojczystych tajnikach znalezionym. Pod jedyną bo *szkoły podchorążych* postacią, do czynu ciągle występować musi wszelka polska filozofia i polityka, dopóki za nią rotami, cały naród nie przeszturmuje się do Demokracji tryumfującej. Od tej téż daty, Tow. Demokratyczne przeobraziło się z biura dziennikarskiego na Gimnazyum Rycerskie; założyło kursa sztuki bojowej; umieściło po instytucjach woj-

skowych francuzkich młodzież chorążną co tak niepokalanie wynieść miała sztandar polski z najstraszniejszych opałów lat 1848 i 49 w Poznańskiem, we Węgrzech, we Włoszech i w Niemczech; wydało regulamina i prawidła taktyczne dla powstającego narodu; w manifestach swoich nareszcie przybrało lakoniczną niecierpliwość rozkazów dziennych, i wszystkim swoim domniemanym sukursalom w kraju, usiłowało nadać postawę i karność *stanu oblężenia*, na jakie się samo wyprężyło.

Dopiero na niemiłosiernem bojowisku realności wyszło na jaw, że ta nowa szkoła podchorążych była jeszcze sztabem bez wojska. Jakoż w kraju ujarzmionym, (a głównie mówię o Zaborze Moskiewskim) polistopadowemu patryotyzmowi nie podobna było za tym oderwanym sztabem wydażyć. Sukursalne jego pod jarzmem pokolenie utknęło na pierwszej stacyi jego pochodu, więc na stacyi chaotycznego jeszcze Lelewelizmu, i krokiem naprzód przez lat siedmnaście zeń się wyplątać nie potrafiło. Przykajdanione do ponuro milczącego grobowca, szamotało się na miejscu w malignowej rozpaczey, z niedościgłych dla się odgłosów emigracyi przejmując tylko jakieś ułamane wykrzykniki pomsty, ale pomsty bezdennej i bezimiennej jak jego katusze. Wydziedziczone, odpędzane przez utilitystów od pleśniowego

nawet karmu tego grobowca, wykleło się, prawda, karmnej szlachetczyzny, i krytycznie mówiąc, może to było najrewolucyjniejsze pokolenie, jakie męki narodu polskiego wyboleć sobie od lat stu umiały. Ale w narzeczu naszego rewolucjonizmu organicznego, było to pokolenie zupełnie *stagnacyjne*, ile że Mikołaj tak je krótko do swojego pala uwiązał, że nie dopiero do emigracyi sięgnąć, ale nawet do podręcznych mass ludu schylić się, nie-szczęśne, nie było zdolne. Było to męczeństwo za przegrodą, męczeństwo za nikogo i dla nikogo! Owszem, depcząc samotnie około swego pala, wydeptywało sobie przepaść nieprzebytą do chmar organicznych, przepaść jakiej nigdy wprzód nie było między gminem a trybunatem cierpienia! Jedno tedy powstanie, powstanie jakiegokolwiek i czemkolwiek, nadkruszyć mogło choć pierwsze ogniwo tego piekielnego łańcucha.

O jedynactwie tego ratunku, emisaryusze Centralizacyi przekonywali się coraz żywiej za każdym dotykaniem się pulsu krajowego; a takim bodźcem na wskroś polskiego serca przesywani, radzi byli chór przekleństw buchający z tych pieczar, brać za harmonię rewolucyjną — wyprzysięganie się męki, za sprzysiężenie wolności — niedowiązek wszelakich przeczeń, za związek jednomyślniej afirmacyi. Bo złe które Tow. Demokratyczne tak łatwo i śmiało dostrzegło na tułactwie, tego samego

złego przez czas długi dostrzedz i nie mogło, i bało się, w matczynich wnętrzach ojczyzny. Skoro zaś nareszcie dobrało się do rzetelnej dyagnostyki tych kalectw, utwierdziło się tylko w przekonaniu że o leżanych katuszach daremnieby się ich uzdrowienia doczekiwać, więc że innej na nie rady niema, jak najprędsza chirurgia powstania.

Dla popsutychi zmysłów krajowego demokracji, Tow. Demokratyczne było tylko symbolem negatywnej exasperacji. Całe osobliwie pokolenie wyrosłe w Moskiewskich klatach, tyle o niem do końca wiedziało, że ono jest antitezą fakcyj kontrarewolucyjnych które powstanie Listopadowe do spółki z najezdcami pogrzebały : że z nienawiści ku tym fakcyom wylęzło się, i nieubłaganą nienawiścią ku nim żyje. Ale na tej definicyi krytycznej urwały się pojęcia krajowe o dziejach emigracyjnych. Jaką drogą organiczną poszła dalej ta reforma? Co na miejsce zwałonego szataństwa zbudować zamierza? Z kąd weźmie rusztowanie do tej budowy? na taką ciekawość męczarniom niewoli męstwa i trzeźwości stać nie było. Jak i ogromna tułactwa większość, ugrzęzłe we wstępnym, w chaotycznym okresie rewolucjonizmu polistopadowego, wyjść zeń przez lat 17 nie potrafiły; całą zatem genezę swoją przemącaniem tego chaosu obyły, myśląc nieszczęsnel że coś stawiają do spółki z Tow. Demokratycznym.

A na dobrej wiary takiego złudzenia dowód, kodyfikator tego stagnacyjnego zamętu, Filaret Prawdowski, zbyt słynne niestety! dzieło swoje, pod tytułem *Prawd Żywotnych*, Centralizacyi Tow. Demokratycznego ze czcią synowską dedykował. Owóż jedna chyba *Biesiada* Andrzeja Towiańskiego, bardziej obrazić mogła o tej porze nasz organiczny rewolucyonizm, od tego rozwlekłego i nudnego katechizmu konfederackiej demagogii. Był to po prostu zbiór dogmatycznych nonsensów, rozkruszających najprzód dla zabawki cmentarze Polski na nie ujęte żadnem wskrzeszeniem, bo żadnym sterem ani żadną miarą atomy, z obietnicą spotęgowania ich jeżeli da Bóg kiedyś, na coś bardzo nowego i ciekawego. Na domiar akuratny tego *credo* anarchizmu politycznego i socyalnego, w którym pokutowała dusza młodzieży krajowej, Lelewelizm emigracyjny ze swojej strony popisał się z regulaminem anarchii strategicznej, pod tytułem *Partyzantka, jako wojna dla narodów powstających najwłaściwsza*. Obie te książeczki najpowierzchniejszej krytyki nie wytrzymujące, rozdrapane jednak zostały jakoby wszechszakplerz i wszechrecepta na wszystkie ciemności piekielne; dla czego? — bo w gruncie, Prawdowskiemu i Stoltzmanowi wprzód je byli, że tak powiem, sami ich czytelnicy we śnie magnetycznym podyktowali. Nie dość żeż to dobitny symptomat nie-

uleczalnego chyba chirurgią powstańczą anarchizmu, anarchizmu śmiertelnie stagnacyjnego, jaki opętał w całej Polsce polistopadowe pokolenia?

Bóg świadkiem, że nie Tow. Demokratyczne Prawdowski i Stoltzmanem dwóch tych pamiętnych mistyfikacyj; ale ponieważ w patryotycznym przesłuchu podziem krajowych, Tow. Demokratyczne jedne istniało na tułactwie; ponieważ rozszeptem swojej czarnoksiężkiej powagi, sięgało mimowiednie od najodleglejszych puszczy Ameryki do najgłębszych kopalni Nerczyńska, wszelaki rewolucjonizm krajowy własnego mózgu malignę jego Delfickim objawieniom przypisywał, a istotnych jego objawień raczej pod placki używał. Tym trybem i z takiego przesłuszenia się między demokratyzmem krajowym a emigracyjnym, wyniósł ów bliźni *herostratyzm*, z którym Centralizacya spotkać się miała na pierwszym zaraz wylocie ze wspólnego mroku konspiracyjnego do jasności powstańczej.

Daremnie Centralizacya próbowała przed wybuchem spuścić nieco tej jasności do owego mroku. Dwa lata podziemnych jej perswazyj i polemiki w tej mierze ze współprzysiężonymi nic nie wskórały, a raczej podniosły herostratów w pychę grożącą potarganiem ostatnich pajęczyn nitujących tułactwo z dolą krajową. Znaleźliśmy się

nareszcie w rozpaczliwym macierzyństwie kury, która wysiedziawszy jaja kacze, daremnie gdacze na około blocka w którym zuchwałe pisklęta radośnie babrzą. Trzeba było albo związek porzucić i na bezpłatne jatki wydać, albo z nim poświęcić się przynajmniej na studia anatomiczne dla następnych sprzysiężeń. Ten był bodziec powstańczej rezulucyi która zapadła między Centralizacyą a głównym komitetem spiskowym już na początku roku 1845. I Centralizacya, i prawdziwi jej w kraju powiernicy, doskonale przewidywali że gwałtowność imaginacyi nie męskiej śmiałości, lecz przeciwnie niemocy wykonawczej jest oznaką: czyli że zupełnie co innego być rewolucjonistą w gębie, a co innego w czynie. Nie nam też zgryzliwym lekarzom zagorzałstwa emigracyjnego, dowiadywać się było dopiero, że im zagorzałstwo krajowe czuło się niezdolniejszym do powstańczej trzeźwości, z tem obłudniejszą natrętnością wołało o powstanie. Nie takie zatem podniety upoważnić mogły i upoważniły nasze hazardowne postanowienie. Wszakże pod temi wrzaskami i konwulsjami studenckiej bezsilności, leżało coś świętszego i rozleglejszego. Na piekielnym spodzie leżały krzyżem od morza do morza i od Mongolii do Niemiec, omdlałe pod dwupiętrowem zawaliskiem masy pańszczyzniane, co rok, co godzina, głębiej i niepowrotnie tem brzemieniem wkopywane

do grobowca narodowego. Nad temi, następnie, jak dzisiaj, leżało milion szlachciców strąconych przez *arystokrację Rozbiorów* do poziomu nędzy i barbarzyńczej chłopskiej, a jednak zawziętością, pamięcią i sprytem dymiących się i iskrzących, że tak powiem, po nad wszelkie arystokracje. Obaczmy przy opowiadaniu wstrząśnienia Poznańskiego, że domyślność nasza o wiecznej gotowości tej pośredniej lawy do wytrysku, nie była przesadzona: byle jej po temu mechanicznie *dostateczny* wylot gdziekolwiek i kiedykolwiek szlachta osiadła odszpuntować raczyła. Owóż ani masy chłopskie, ani ten żar, między niemi a warstwą właścicieli duszony, sprzysiężeniem objąć i ująć się nie dawały, aż na sygnał i w samych już płomieniach wybuchu; doczekać się zatem ich wstępnego sprzysiężenia było daremnem, a osobliwie biernym pokładom chłopstwa, każda taka zwłoka groziła historyczną *asfixią*. Dla tych to dwóch pięter zawaliska narodowego, nie dla związku, czy sformie z nami, czy bez nas swawolnie piankującego sobie po ich wierzchu, czuliśmy gwałt trzeźwiącego powietrza i heroicznego aromów ognia karabinowego. Że w tem, chorobliwa niecierpliwość wychowawców *Prawd Żywotnych* mimowiednie się zgadzała z wskrzeszalną troskliwością organicznego rewolucjonizmu, tem lepiej i nie dziwna; boć ostatecznie najkoślawsze niedorostki myśli naszej,

byle pierwotnie naszej, z jednego pnia z nami się rozeszły i do jednego błąkały się celu — a dla tego się doń *błąkały*, że w zaduchu i ciemnościach.

Dość z resztą było samemu przebyć gorączkę i tęsknoty młodości niewolniczej, ażeby się tej epidemii mózgowej nie dziwować i z niej zbyt strasznych rzeczy sobie nie robić. W pieczarach spiskowych jątrzące bez końca, bardzo niebezpieczne a zarazem bardzo jałowe, podziemne to szturganie się ustąpić musiało bezappellacyjnemu wyrokowi czynu; po takim albowiem wyroku żeby też najwprawniejsza falsyfikacya energii i patryotyzmu stawała się trudniejszą i kosztowniejszą od samej energii i od samego patryotyzmu. Przeczuliśmy tedy że na pierwszy wystrzał insurrekcyjny, wszystkie na raz trawestacye opadną z aktorów, i że każdy zagorzalec będzie musiał, albo jak jeden Edward Dembowski aż przesadzić w rzeczywistości przechwalstwa własnej imaginacyi, albo jak mnóstwo *nie Dembowskich* uciec w kąć, jak Ewa z nagą grzesznością swoją przed grzmotem bożego zawołania. Jeden powód więcej do przebicia tego śmiertelnego zaduchu i tych ślepiących ciemności zaraz a zaraz, byle jaką wulkanową szczeliną.

A ostatnim i wszystkie poprzednie summującym do takiego ratunku powodem to, że wóz raz na złamanie karku rozpędzony po fatalnej pochyłości,

z nami czy bez nas i tak diabli brali. Jakoż herostratyzm krajowy nikogo nie słuchający, bo samego siebie nie słyszący, tak niedyskrecją przechwalstwa swojego rozwnętrzył spisek cały przed policją Moskiewską, Pruską i Austryacką, że w końcu roku 1845, nie zgoła do odgadywania zemście ciemieźkiej nie pozostawił. Pozostawił tylko sobie i nam *szansę* wyścignięcia tej zemsty, jak to uczynił Edward Dembowski, przesadnem urzeczywistnieniem wszelkich przechwalstw herostratycznych. Na tem zgoda i niezgoda, między rewolucjonizmem a herostratyzmem demokratycznym, w latach 1846 i 1848.

II

Str. 16. W. P. «Starania krewnych ułatwiły obcowanie między więźniami, a ztąd propagandę między ludem więzionym pospołem z panami.»

Wątpię, ażeby szlachta więziona w Poznaniu, Sonnenburgu i Berlinie, zawdzięczała J. Moraczewskiemu za przypomnienie jej propagandy, której jedynym przedmiotem było wykręcanie się dziedziców od kodexu pruskiego, kosztem ekonomów, karbowych, lokai, guwernerów, emigran-

tów, po karku których, przed uwięzieniem, pięli się do popularności i dostojenstw konspiracyjnych. Wynikła zaprawdę propaganda z Moabitu, ale nie drogą familizmu szlacheckiego. I owszem, widząc dopiero jak namiętnie szlachta wyprzysięga się od męczeństwa, od wszelkiego w cierpieniu z ludem współnictwa, lud więziony począł sam przemyślać o takiej Polsce na przyszłość, coby pod ziemią czy na ziemi, łzami czy chlebem, porówni bliźnięta swoje karmiła. Propaganda szlachecka w więzieniu wywołała reakcję propagandy ludowej, ale akurat tyle ma w niej zasługi co choroba w wynalazku lekarstwa.

III

Str. 25. W. P. «Mierosławski i Libelt, świeżo wypuszczeni z więzienia, nie wiedząc co król patentem 18go Marca przyrzekł dla prowincyi Poznańskiej, nie obstawali w naradach Deputacyi za wyzwoleniem W. Ks. Poznańskiego od panowania Pruskiego.»

Nasamprzód, Mierosławski i Libelt nie należeli do Deputacyi Poznańskiej, ale do Komitetu Rewolucyjnego, którego zamiary przez ową właśnie

Deputację zniweczone zostały. Następnie, chociaż w kozie, lecz że w Berlinie, Mierosławski i Libelt dwoma dniami wprzód od Poznańczyków wiedzieli o patencie królewskim. Ale dla tego właśnie, że wcześniej a z bliska dotykał się tego patentu, domaganie się udzielnosci dla jakiegoś Księstwa Poznańskiego drogą petycyj konstytucyjnych, wydawało się Mierosławskiemu wierutnym głupstwem; czy zaś i Libeltowi, dokładnie nie wiem. Dość, że widząc jak Komitet Poznański dał się ułudzić czczemi obietnicami dworu Berlińskiego, obadwaj byli zdania, że zamiast trwonić czas na gonitwie za bajecznemi *fuerosami*, należy raczej podchwycić na roztargnienu owego dworu jaką bądź organizację wojenną, z której przedsiębiorczy patryotyzm zrobi potem co mu się tylko spodoba. W tem była jedyna otucha Rewolucyi, a nie w parfialnej udzielnosci, na którą rząd Pruski ani mógł, ani chciał przystać, a o którą też dalej patrzącym rewolucyonistom szło tyle, co o swobody municypalne Wielkiego-Nowogrodu i Pskowa. Boć dzisiaj mówiąc między nami po polsku i dyskretnie, zadaniem Mierosławskiego od lat trzech, było nie fundowanie dzielnicy szlachecko-konstytucyjnej na Pałukach, ale przeprowadzenie jakim bądź kosztem i sposobem planu zaprzysiężonego ku zbrojnemu powstaniu całej Polski, od Poznańskiego i Galicyi

poczynając. Mierosławski stał obecnie na dogodniejszym od wszelkich komitetów czy deputacyi stanowisku, dla dostrzeżenia zaraz co w interesie tego planu dawało się żądać od rządu Pruskiego, a co nie. Jakoż, w siedm godzin zaraz po swoim wypuszczeniu z więzienia, miał on z prezesem rady ministrów, Arnimem, krótką ale dobitną rozmowę, w skutek której uprzedził przyjaciół swoich w Paryżu, że sprawa Polska pod tym rządzie niczego spodziewać się nie ma, dopóki albo Rzeczpospolita Francuzka zbrojnie go nie zagadnie, albo my sami podstępłą czy gwałtowną impozycyą nie wydrzemy mu czego nam do rozległego powstania brakuje.

Z tego stanowiska zapatrującemu się na wypadki, natrętny prowincjonalizm Poznańczyków wcale nie był na rękę. Zamysłem Mierosławskiego potrzeba było owszem: 1° ażeby Berlin popatrzał przez szpary na zbrojenie się Poznańskiego; 2° doczekać się instruktorów i urzędników rewolucyjnych z emigracyi, bo doświadczenie nauczyło, że osiedlonym i spekulującym patryotyzmem nie w powstaniu dokonać niepodobna; 3° wyrównania się Galicyi na szyk insurekcyjny Poznańskiego, bez czego znowu, jak w roku 1846, z osobna i kolejno rozbrojeni zostaniemy. A tutaj patrycyat Poznański, napierając się wrzaskliwie o księżyc z węborka, przychodzi otwierać oczy rządowi

Pruskiemu, i nastęrczać mu powód do poszczucia całych Niemiec przeciwko naszemu sprzysiężeniu!

Bo téż J. Moraczewski zdaje się wcale o tem nie wiedział, że w nocy zaraz po swoim wypuszczeniu i owej z Arnimem rozmowie, Mierosławski wyprawił kilku gońców do Poznańskiego i Pruss-Zachodnich dla postawienia na powrót planu z r. 1486 na nogi; że nazajutrz, młodzież zwołana pod wrażeniem tego ostrzeżenia i tego zamiaru do *Knejpy Polskiej*, wybrała Komitet Rewolucyjny, nie dla znoszenia się z rządem (bo do tego pewnieby nie obierała Mierosławskiego), ale 1° dla wypróbowania usposobień republikańskich ludu Berlińskiego; 2° dla powtórzenia w Polsce, chybionego przed dwiema laty powstania. J. Moraczewski nie wiedział, czy wiedzieć nie chciał, że w sumiennem wykonaniu pierwszego z tych dwóch mandatów, Mierosławski usiłował przeistoczyć obrząd pogrzebowy 20go Marca na poprawną przeciw Hohenzollernom insurekcyę; ale daremnie, bo w Berlinie na istotnym materyale republikańskim zbywało i długo zbywać będzie. I to J. Moraczewskiemu niewiadomem, że Komitet Rewolucyjny, w przeciągu czterdziestu godzin swojej exystencyi, wyprawił za poprzednimi gońcami ośmnastu czy dziewiętnastu *Moabitów* lub wojażerów do Pruss-Zachodnich, Poznańskiego,

Szląska i Krakowa, z zatwierdzeniem jednychże ciągle i tych samych poleceń: «Trzymać się ślepo regulaminu powstańczego z roku 1846, na żadne przygody, opozycyje ani bałamuctwa nie zważając.»

Nie umiem powiedzieć czy Libelt te postanowienia Komitetu Rewolucyjnego podzielał, bo raczej imieniem swoim jak osobą w nim zasiadał; ale za solidarność innych czterech członków jak najpamiętniej ręczę. Jakoż, wszystko już się zgodnie i karnie ku temu tradycyjnemu sprzysiężeniu nachylało, kiedy Komitet Poznański, zaniedbawszy w pierwszych godzinach swojej instalacji, zwołać sobie ku pomocy do Poznania chmury powiatowe i niemi obrzucić cytadellę, w zaślepieniu parafialnem wyprawił deputację do króla, *dopominając się królewskiej obietnicy na drodze konstytucyjnej.*

Te dwie Komitetu Poznańskiego zdrożności, powtórzone z przesadą przez Komitet Krakowski, sięły na pniu Rewolucyę roku 1848. Chociaż w miniaturze, odpowiadają one dokładnie negocyacyom Rady Administracyjnej z Carem konstytucyjnym i bezczynowi wojennemu Dyktatury po powstaniu Listopadowem. Kto zapamiętał te dwa zarody upadku naszego w r. 1831, ma równie klucz do klęski doznanej w r. 1848. Niczegoż się tedy pokolenie ostatnie nie nauczyło, zaglądnąca

przez lat szesnaście do trumny przedostatniego? I owszem, dowiedziało się że dopóki w Polsce, przysiężenia demokratyczne pozostaną anarchiczną mniejszością i zarozumiałym niedoczynem w obec szlacheckiego kontrarewolucjonizmu, dopóty wszelkie z przeszłości doświadczenia, li temu kontrarewolucjonizmowi idą na zysk i zdrowie. Albowiem jak w roku 1831, tak w 1848, pieniactwo szlacheckie zabrało miejsce kodexowi rewolucyjnemu, samo trawy nie jedząc i krowie jeść jej nie pozwalając. A w tem przeszkadzaniu, szlachta Poznańska wszelką nad garstką naszą miała przewagę; już to dla tego że psuć zawsze jest łatwiej niż robić, już też z powodu że się znajdowała przeciwko rewolucjonizmowi w przy mierzu rozmyślnem z tak zwaną *opinią Księstwa*, a w mimowolnem z interesami rządu Pruskiego.

Więc nic dziwnego, że w Berlinie deputacya prowincjonalna za pierwszym dotknięciem się grona Mierosławskiego, takowe rozbiła; kiedy jednocześnie w Poznańskiem, Komitet uniewła dniał wszelkie jego posyłki. Cóż pozostawało do próbowania rewolucjonizmowi tak umorzonemu niedojrzałością narodową? Czy o wszystkim zroz paczać i odbiedz sprawę publiczną, czyli też gor szyć obcych i swoich jałowemi waśniami?

Ani jedno, ani drugie. Trzeba było przyjąć sprawę jak się stawiała i wydobywać z niej

Niechże więc sobie miał rację, pan Jędrzej, twierdzić że tak znieawidzonego człowieka głos w naradzie Jarosławieckiej wiele ważyć nie mógł; ale kiedy już wymieniać nienawistnych po imieniu, to nie trzech pierwszych lepszych.

Przytem, zapomniał rozróżnić w naradzie Jarosławieckiej dwie umowy z Willisenem: szlachecką, polityczną, spisaną i podpisaną, a Mierosławskiego militarną, ustną i warunkową. Do pierwszej, Mierosławski nie miał ani ochoty ani okazji wtrącać się, bo nie wziął na to żadnego od szlachty poznańskiej mandatu. Był to układ konstytucyjno-prowincjonalny zawarty w Poznaniu między Willisenem i Bauermanem z jednej, a Komisją Reorganizacyjną z drugiej strony; układ nie ruchawkę żadną, ale nietykalność szlacheckiego w Księstwie gospodarstwa mający na pieczy; układ zatem, o którym Mierosławski wcale nie wiedział, ile że podczas onego właśnie, poszedł szukać między kosynierami zaprzeczanej mu przez Komitet buławy.

Mierosławski nie przeczył że wszelkim kosztem należy zyskać zwłokę, przestrzeń i bezpieczeństwo do jak najzupełniejszego wykończenia naszych zborów potrzebne; że zatem dyplomacya to nasze dzieło osłaniająca, godziwa jest, choćby jej przyszło zdepopularyzować się pozornymi ustąpieniami. Ale w czém przeniecierstwo szkaradne

widzi, to w wydzieleniu się owej dyplomacji od interesów umówionego dzieła, i w szachrowaniu z władzami pruskimi na własną rękę ku zgubie takowego. Jak daleko Komissya Reorganizacyjna odskoczyła w układach swoich z Willisenem od zdania Mierosławskiego, wykaże to przestroga jego do obozów, skoro po pierwszej zaraz rozmowie swojej z tym komissarzem królewskim, upatrzył co z pochyłości Willisena do rokowania da się zużytkować na korzyść naszych przygotowań powstańczych.

Wypis z Aktów Obozu Książkiego.

WYDZIAŁ WOJENNY.

DO DOWÓDCZÓW OBOZOWYCH.

Wyjazd generała Willisen do Obozów Narodowych jest wątpliwy, z powodu nadzwyczajnych jego tutaj zatrudnień. Trzeba więc, w przewidzeniu że sprawa cała listownie traktować się będzie, przygotować się na odpowiedź następującej treści :

1° Polacy nie powątpiewają o dobrej wierze i znacznych zamiarach generała Willisen, ale mają niezliczoną moc powodów do powątpiewania o dobrej wierze Regencyi Poznańskiej. Przeto, siły nasze pod żadnym warunkiem rozejść się nie mogą, dopóki obwieszony przez generała projekt, zreorganizowania wojska narodowego, w wykonaniu do takiej nie dojdzie dojrzałości, iżby powątpiewać już nie można o rzetelności rządu pruskiego.

2° Rozbrojenie sił obecnie zgromadzonych nie da się wykonać bez największych klęsk i niebezpieczeństw, tak dla zwierz-

chników którzy całemu temu ruchowi przewodniczyli, jako i dla urzędników niemieckich, przeciw którym odwróci się oburzenie i rozpacz rozpuszczonych tłumów. Łatwo pojąć, że rozkielznanych mass żadne organizacye papierowe nie będą w stanie przyprowadzić do *legalnego porządku*, jak to nazywa generał Willisen.

3° Że zatem, jeżeli projekt zreorganizowania Księstwa w dobrej wierze podany, ostateczną propozycją naszą jest: po odtrąceniu tylko niezdatnych, bezpośrednie zamienienie sił już zgromadzonych na część wojska narodowego poznańskiego, bez żadnego rozpuszczania czy rozbijania. Co do zmian zewnętrznych i organizacyjnych, jakim siły nasze uleść będą mogły, celem zaassymilowania ich do proponowanego wojska poznańskiego, łatwa na to będzie umowa z generałem, skoro tylko zasada utrzymania przy broni sił już exystujących przezeń przyjętą będzie.

Poznań, dnia 7go Kwietnia 1848.

Ludwik Mierosławski.

Świadczy: Seweryn Mielżyński.

Wszakże zamiast trzymać się tej zasady, Komitet Poznański skwapliwie korzystając z odjazdu Mierosławskiego do obozów, wybrał w swoim łonie Komisyę Reorganizacyjną, która w naradach 9go i 10go, z prezesem prowincyi i komisarzem królewskim, od myśli uzbrojenia powstańczego zupełnie odstąpiła, z Mierosławskiego przeciwnikami w obozach zwąchała się celem rozpuszczenia wszelkiej ruchawki, planów jego i rozporządzeń najstaranniej się zaparła, a li dzieciń-

stwami miejscowemi zapocona, swoje pretensye wojenne uskromniła do miłej nadziei, że barwy narodowe może zdobić kiedyś będą landwerę poznańską.

Z owej zaocznej, względem Mierosławskiego, umowy między Willisenem a komitetem szlacheckim, ostała się jednak bardzo doniosła na tę chwilę instytucya komissarzy narodowych, przeciwstawionych landrathom pruskim w każdym powiecie. Komissarze ci, od dwóch już tygodni wybrani przez szlachtę, *de facto* administrujący i przez komitet skwapliwie uznani, samém już wystąpieniem swoim wygnali landratha z każdego ogniska powiatowego przez załogę pruską nie zajętego; a tam nawet gdzie landrath pozostał, absolutnie władali żywiołem polskim. Od ich zatem nie od czyjzego skinienia, zależało ciągle i wszędzie uzbrojenie lub rozbrojenie massy ludowej, która, choćby tylko na przekorę znieawidzonej administracyi pruskiej, z oczami w nich wlepionemi, na te skinienie baczyła. Oni to właściwie dzierżyli krajem, ludnością, wszystkiemi re-sursami powstańczemi na całej powierzchni Zaboru Pruskiego przez tygodni sześć; oni zatem naj-bezpośredniej odpowiadają za niedopuszczenie ludowego powstania.

Że mogli co chcieli, a że co się nie stało ich zakazów jest skutkiem, nieodpartym dowodem

tlumne ludu zbiegowiska na tak zwane *manifestacje*, to jest, dopóki patriotyzm szlachecki spodziewał się wystraszyć sobie na odurzeniu pruskim udzielne Księstwo Poznańskie, tanim nakładem owych bezbronnych zbiegowisk; staranne zaś takowych przytłumianie od dnia w którym komentarz Mierosławskiego do konwencji Jarosławieckiej, wszechletnie i wszechpłciowe te odpusty polecił streścić na powstańcze rezerwy, do posiłków i do sieczy obozom naszym nieustannie gotowe.

Nieuważni kronikarze obliczają na 30,000 luda, początkowe zbiorowiska które wsiąkły napowrót w ziemię od 11go Kwietnia. Niewątpliwie że przeszło 20,000 siły zbrojnej wydobyć można było w kilku tygodniach z tej poczciwej i obfitej rudy; ale to jedynie trybem wskazanym 11go właśnie Kwietnia przez instrukcję Mierosławskiego, nie zaś trybem kiermaszów manifestacyjnych, którym do tej daty, komissarze i oboźni komitetowi li w szlachecko-parafialnym szyku i zamiarze przewodzili. Teraz to sztuką było i patryotyzmem wgadnąć się w plan Mierosławskiego. Ale właśnie od tej chwili kiedy musiano zaprzestać bawienia się w dekoracye, a stanowczo wybrać między krwawem powstaniem czy bezbojną niewolą, komissarze powiatowi zapomną raptem tego swojego kunsztu manifestacyjnego, ażeby go nie szarzać

na pożytek zbiegowisk siecznych i palnych. Tą to pacyfikacyjną wstrzeźliwością wytrąca Mierosławskiemu 20,000 rezerw czynnych z ręki, swojej sztabowej kolligacji zostawując wytrącenie mu 3,000 obozowego żołnierza: jedno i drugie w najprzykładniejszym porozumieniu z Komisją Reorganizacyjną i całym konserwatywnym komitetowym. Nie pojmuję też zład urosł przesąd że szlachta polska nie umie już na nic się zgodzić, że przestała być korporacją społeczną, kastą polityczną, związkiem zmawiającym się na miגי przeciw wszystkiemu cokolwiek jej emętarnemu gospodarstwu i emętarnemu jej spokojowi zagraża?

Przy takim to już pacyfikacyjnem usposobieniu *osiadłej intelligencji* w całym Zaborze Pruskim, trzeciego dnia pobytu swojego w obozach, a z osobistej tylko Willisena grzeczności, Mierosławski ostrzeżony został 10go Kwietnia wieczorem we Wrześni o wiszącym nad Środą ataku. Powrócił on zatem na noc do tego obozu, i tam dopiero, poufnie ale zapóźno, przez Libelta, zawiadomiony został o zawartym za jego plecami układzie z komissarzem królewskim. Widno przytem było że władze wojskowe pruskie akurat symetrycznie Willisena i dyplomację jego traktują, jak Mierosławskiego i jego ruchawkę traktował komitet szlachecki; a więc że śmiejąc się z jego rozciem-

stwa, już jednomyślne wojsko Colomby, po nad głową roziemcy na cel niemiłosierny bierze nasze kupy. 11go Kwietnia od świtu do godziny dziesiątej z rana, Mierosławski zatrudnił lud zbrojny czy bezbronny barykadowaniem mieściny, ażeby lada czem zaimponować napastnikowi za ledwie pajęczynką Willisenowej parlamentarki od nas przedzielonego. Jednakże chyba przez parę godzin potrzebnych jeszcze Colombowi do przespiegowania naszej rzeczywistości, dekoracye te powstrzymały mogły drapieżność pruską, bo za niemi, strzelb całych nie czerniło się trzydziestu, w białym lesie dwóch tysięcy drągów. Potem dopiero, Mierosławski wyjechał z parą officerami do Jarosławca.

Od tam, (nie przed pełnomocnikami komitetu tedy, jak się J. Moraczewskiemu wydało, ale po nich) przybyłego, jak w pamiętnej nocy 7go Września 1831go roku od niewinnego Małachowskiego, żądano podpisu na umowę zapadłą bez niego w Poznaniu; czyli że szlachta rada była mieć sobie tego emigranta do boju podporucznikiem, a do dyplomacyi naczelnym wodzem; ale *to nie idzie*, jak mawiają na Pałukach. Zostawując przeto szlachcie poznańskiej zasługę jej dyplomacyi, a pełnomocnikom komitetu zapieczętowanie takowej, Mierosławski wziął Willisena do drugiego pokoju, i rzekł mu:

— Zawarfeś z obywatelami W. Księstwa Po-
znańskiego ugodę do której mieszać się nie moja
jest rzeczą; ale obok W. Księstwa Poznańskiego
jest jeszcze rewolucya polska, o której panowie
zupełnieście zapomnieli, a z którą przecie trza się
także porachować. Ja z pośrodku tej rewolucyi
wracam. Oszukiwać cię kochany Jenerale prze-
sada jej potęgi nie myślę, boby się to pod ogniem
jedenastu tysięcy pruskiego wojska na długo nie
przydało. Dla skrócenia zatem targu, przypuść-
my że za wtórym wystrzałem waszych armat cała
się rozpierzchnie. Niechże pan Bóg strzeże Niem-
ców i Żydów od tak świetnego zwycięstwa wa-
szego, bo wtedy wierzaj mi, mściwe bojowisko
rozściele się jak daleko sięgnie nasza rozsyпка.
A nie powiesz, żeś nie był ostrzeżony!

— Chyba garstka opryszków podobnej zgrozy
się dopuści, bo czyż prawdziwy żołnierz polski
nie znajdzie godniejszego dla siebie miejsca w dy-
wizyi narodowej jaką umowa zastrzega?

— Przeciwko dywizyi obiecanej nic nie mam;
ale to projekt między królem konstytucyjnym a
obywatelami W. Księstwa Poznańskiego. Co do
ludu zbrojnego, w którego imieniu przybywam, i
którego jakie bądź losy dzielić postanowiłem,
ten się kontentuje dywizją jaką sam wystawił.
Wszak wam wygodniej zamienić mu w rękę kosa
na karabiny, i już zebranemu wdziać mundur

polski, aniżeli potem szukać rozpierchniętych rzezuniów po lasach?

Dobitność tej propozycji nieprzyjemnie zafra-sowała Willisena, bo z Komissyą Reorganizacyjną, powstania na celu nie mającą, była tylko mo-wa o jakiejś przyszłej dywizyi konstytucyjnej, ni-by o gruszkach na wierzbie. Wyobrażając sobie, że Mierosławski jedynym jest uporu gminnego podszuczawczem, komissarz królewski podszę-pnął mu odczepnego wyprawę do Galicyi i kilka milionów zasiłku, do poruszenia tej *niewyczerpa-nej*, jak mówił, prowincyi.

«J'entends, vous voudriez déjà que j'aïlle me faire pendre ailleurs? attendez pour cela, que j'en réchappe ici, d'abord,» odrzekł Mierosławski.

Więc w targ. Poleciwszy B. Dąbrowskiemu baczyć na poruszenia wojska pruskiego, Miero-sławski żądał najprzód pięciu obozów bez okre-ślenia ich mocy, to jest zachowania wszystkiego co pod jakąkolwiek bronią stało. Tymczasem index zegara chylił się ku fatalnej godzinie. Wpadł officer pruski z oddziałem huzarów do dworu, ostrzegając komissarza królewskiego że Jrań Colomb wydał rozkaz do atakowania Środy. Willisena do kapelusza, Mierosławski z towarzy-szami swoimi do koni.

«Voyons, que cela finisse!» zawołał na progu Willisen, a po wyczerpaniu żwawo ze stron obu przegrózek, podchwytówi argumentów wszelkich, do konwencji w Poznaniu już zredagowanej, jakoby w *post-scriptum*, dodano cztery dopiero co wytargowane przez Mierosławskiego obozy, czyli poprostu *zawieszenie broni z gwarancją palną i sieczną w naszym ręku*. Dla kraju szczerze a same-mu uzbroić się pragnącego, więcej nie było potrzeba; zresztą więcej wymagać od fortuny w tak niefortunném położeniu, było daremną gaskonadą, skoro porównywano taki rezultat z projektem owej komissyi dezorganizacyjnej, co w łaknieniu jakiego bądź wypoczynku, wszystkie przezorności powstania sprzedała była za jakieś niedosiągalne swobody prowincjonalne. Ale w czém armistycya przez Mierosławskiego otrzymana, nagłym była ratunkiem, to jako odwołanie wczorajszych, sztabów Wrzesińskiego i Książkiego głosowań za zupełnem rozpuszczeniem wojska.

Każdemu dzisiaj wiadomo, ile wypadek tych sejmikowych konsultacyj, przez Słomczewskiego i Stefańskiego przywieziony do Poznania, wpłynął na koncessye uczynione Willisenowi przez Komissyę Reorganizacyjną. Jakiemże czołem, sztaby szlacheckie Garczyńskiego i Budziszewskiego użalać się mogły na powolność negocyatorów po-

znańskich względem komissarza królewskiego, skoro same za pierwszym komitetu zapytaniem wszelkiego prawa oręźnego się zrzekły? Mierosławski przybyły 10go Kwietnia do Wrześni, w parę godzin po zawotowaniu rozbrojenia przez tych panów, z największą dopiero trudnością wykłócił i wystraszył sobie na Garczyńskich, Kosińskich i Malczewskich blankiet do odwołania, jeżeli czas jeszcze, tak nierozważnej spowiedzi. Obecność jego w Jarosławcu nazajutrz i udział jego w sporach z komissarzem królewskim, innego zamiaru nie miały. Co do zdobyczy otrzymanej przez niego na wahanii się Willisena, pod bezpośrednim zamachem kilkonastotysięcznego wojska pruskiego, większej, powtarzam, żaden targ, żadna też determinacya otrzymać nie były zdolne, po ustąpieniach przez szlachtę tak komitetową jak obozową już poczynionych. Smutną było rzeczą zapewne, Środę opuszczać, ale zapamiętać należy, że w Środzie nie było jeszcze czém się prawdziwej napaści odstrzelać; przykrą było rzeczą odsyłać do rezerwy nadkomplet obozów Wrzesieńskiego i Książkiego, ale mniej przykrą niż wedle wczorajszego zdania sztabów szlacheckich ze wszystkim do domów powrócić. Co do obozów Pleszewskiego i Dobrojewskiego nareszcie, te nic nie traciły na ścieśnieniu kadrów powstania, bo pierwszy w tem nawet ścieśnieniu

jeszcze nie exystował, a drugi zaledwie przycho-
dził do zawiązku.

Ostatecznie więc, Mierostawski utrzymał się
11go Kwietnia, pod podwójnym zamachem atta-
ku pruskiego i przeciwięstwa komitetowego,
przy wszystkich punktach zastrzeżonych bądź
swoją instrukcyą 7go Kwietnia, bądź rozporządze-
niami powstańczeni od 3go do 7go przez siebie
wydanemi. Cóżby nam pożądańszego, najświe-
tniejsze zwycięztwo nad Prusakami przyniosło ?
Obecny na naradzie Lamartina posłannik, pan
Didier, naszej niemocy a Pruskiej zaczepności
świadek, nadziwić się nie mógł tak zyskowej
dla powstania naszego armistycyi. Zdawało by się
nawet z przytłumionych jego wykrzykników :
« C'est incroyable ! c'est trop fort ! » że ten po-
mocnik pana de Circourt strawić nie mógł takiego
dyplomatycznego sukcesu *polskiej barbaryi* nad
mądrością cywilizacyjną żandarmów pruskich :
a panu Jędrzejowi nie było tego dosyć ! Chciałaż
jeszcze szlachta poznańska ażeby wojsko Colomba
zamieniło się na kokardy z kosynierami, i wła-
snemi rękami dobarykadowało nam Środę ?

Ale, jeżeli w tym układzie mieścił się dla prze-
zornej insurrekcyi plon czasu i środków znakomi-
ty, nie mniej na nim zyskiwały rojenia prawó-
dawców prowincjonalnych, przeciwko którym
Mierostawski nie miał, byle jego planowi po-

wstańczemu nie zabierały miejsca. Oddając robotę Komissyi Reorganizacyjnej jakoby pod straż zbrojnej zwłoki Mierosławskiego, Libelt i Stefański szczęśliwiej dopełnili swojego dyplomatycznego mandatu, aniżeli się miano prawa po nich spodziewać, kiedy ich posyłano podpisywać gołe obietniki. Dle tego też, chociaż dla zachowania w oczach reakcyi pruskiej groźnej udzielności która całą jego moc stanowiła, i w braku wszelkiego urzędowego charakteru, Mierosławski tak wyraźnie urzędowego aktu jakim jest konwencya 11go Kwietnia, podpisać nie mógł i nie chciał, wszakże sygnatorów onej statecznie opędał od obłudnych wrzasków zwanych w Poznańskim *renomazem*, a jakimi szlachta tamtejsza zwykła obrzucać swoich mandataryuszów, kiedy zaraz nie wyszukają jej na kredyt i sławy, i szczęścia i wolności. Żal Mierosławskiego i jego powierników nie do samejże konwencyi, ale do antecedensov i następstw takowej, nic wspólnego nie ma z fochami owych wybrednych patriotów, co to pod pozorem że im reakcyja pruska nie daje takiej Polski jakiej sobie życzą, na żadną sami zapracować nie chcieli; co *zważywszy*, iż konwencya wzbrania im wprost na Warszawę maszerować, nawet do Miłosławia i Wrześni nie przyszli; co sygnatorom konwencyi wyrzucali rozwiązanie bajecznych tysięcy wojska, a dla trzech rzeczy-

wistych tysięcy żeby też choć jeden karabin sprowadzili. Żal loicznych rewolucjonistów do *następstw* układu Jarosławieckiego, wcale był inny. I tak mówiąc:

VII

Str 71, W. P. «Emigranci z Francyi i z Kongresówki, wypuszczeni z Moabitu spiskowi, cały słowem element rewolucyjny wyrzekał na konwencyę Jarosławiecką, a to oburzenie doszło w obozach aż do rokoshu przeciw niektórym wyższym officerom.»

J. Moraczewski ciągle miesza konwencyę 11go Kwietnia z wytlómaczeniem i zastosowaniem takowej. Już powiedziano, że w tej konwencyi były dwie rzeczy zupełnie różne: 1° zbycie się powstania narodowego za marną obietnicę prerogatyw prowincjonalnych, aktem już w Poznaniu przez Komissyę Reorganizacyjną sporządzonym, a który swoim kosztem ofiarnym w Jarosławcu do podpisania tylko posłała; 2° proste zawieszenie broni z *gwarancyą czterech obozów*, na obawach i znużeniu Willisena przez Mierosławskiego, niezależnie od poprzedniego układu, podchwycone czy wytargowane, o to mniejsza. Ostatnie do Mierosławskiego słowa Willisena, wracające pod przewidziane

obelgi* własnego wojska, były: «Vous m'avez arraché là une concession que je vais payer cher; mais vous ne vous en réjouirez pas longtemps, car ce n'est qu'une suspension d'armes à bref délai. Je vous conseille donc de ne pas vous endormir dessus, et d'en tirer bien vite de quoi ne plus en avoir besoin une seconde fois.»

Przestroga ta nie pozostawiała żadnej wątpliwości co do sposobu, w jaki nam Polakom wypadło wytłómaczyć sobie ten dwuznaczny traktat, i rzeczywiście chyba ludzie szukający wykretu od frasunków insurrekcyi, mogli wyczytać zeń co innego, jak zyskanie czasu do przygotowania się na bój bezpardonny. Jakoż, w Środzie natychmiast wystąpiła jawnie ta różnica w pojmowaniu jednego i tego samego aktu przez szlachtę, a przez lud i emigrantów; przez komitetu, a przez Mierosławskiego zwolenników. Brzezański i Libelt, tłumacze sensu szlacheckiego tej konwencyi, o mało nie zostali wykoszeni. Woźny tej samej konwencyi, tylko że militarnie zrozumianej, Mie-

* Wiadomo jakim w szeregach Colomba rokoszem i jakim w Poznaniu kamienowaniem powitany został słaby ten, ale prawy i świątły człowiek, za swoim powrotem z konferencyi, w której przenikliwość wściekłej pruskiej słusznie dostrzegła wsadzenie niewytrącalnej broni w rękę powstańcom. Ale przenikliwszy jeszcze konserwatyzm poznański, nie głupi był takiego wniosku z układu Jarosławieckiego wprowadzać.

rosławski przez ten sam rokosz został obniesiony w tryumfie, chociaż powszechnie wtedy mniemano że wszystko podpisał, czemu dla osłonięcia rzeczywistych sygnatorów nie przeczył. Więc też bez najmniejszego oporu, tego samego dnia zaraz, wydzielił od gotowego żołnierza obozowego co pacyfikatorowie nazywali *odstawą*, a co on nazywał *rezervą* powstania; przeniósł obóz ze Środy do Miłosławia, i wszelkie podejrzliwości usunął przepowiadając nieochybną a bliską wojnę z Prusakami. Jeszcze tego samego wieczora, po ustnem wyłożeniu w zgromadzeniach officerów i ludu, jak należy rozumieć układ rano zawarty, rozpiął własnoręcznie instrukcyę odpowiednią do czterech sztabów: Miłosławia, Wrześni, Książa i Pleeszewa.

Wypis z Aktów Obozu Książkiego.

SENS UKŁADU JAROSŁAWIECKIEGO
DLA ZWOLENNIKÓW KOMITETU.

SENS UKŁADU JAROSŁAWIECKIEGO
DLA POWIERNIKÓW MIEROSŁAWSKIEGO.

Jarosławiec dnia 11go Kwietnia 1848.

Do wszystkich zwierzchników obozowych.

Umówiona konwencya w sposób następujący wykonaną w stanie:

Miłosław, dnia 11go Kwietnia 1848.

1° Ludzie do pierwszej klasy należący, jako do służby

Dziś o godzinie siódmej z rana, w Środzie, pełnomoc-

niezdadni, zostaną dziś zaraz, to jest 11go, w Środzie podług powiatów zebrani i przez zaufanych przewodników do domu odprowadzeni. Kosy i broń wszelką zabiorą ze sobą na wozach.

2° Landwerżyści zbiiorą się w dniu natępnym i do kwater swoich sztabów odprowadzeni zostaną, jeżeli jenerał kominenderujący nie dozwoli im udać się wprost do domów.

3° Żaden rekrut z Księstwa Poznańskiego nie będzie wprowadzony z tej prowincyi, ani też żaden obcy do takowej wprowadzony.

4° Ludzie do 3ej klasy należący, jako do służby zdadni i ochotnicy, zostają zebrani dopótąd, dopóki się nie roztrzygnie w jaki sposób mają być wcieleni do dywizyi poznańskiej. Zbory te jednak tylko w następujących czterech miejscach pozostać mogą: we Wrześni, Książu, Pleszewie i Miłosławiu. Każdy z tych garnizonów obejmować ma nie więcej jak 600 piechoty

nicy Komitetu Narodowego znieśli Wydział Wojenny, a natomiast postanowili Sztab Główny, którego szefem mianowali niżej podpisanego*.

Mierosławski zachowuje w Sztabie Głównym dawnych członków Wydziału, a pierwszym adjutantem mianuje Bronisława Dąbrowskiego.

O godzinie 9tej z rana, zjechał do Jarosławca, o ćwierć mili od Środy, jenerał Willisen z ostatecznem wezwaniem do rozpuszczenia obozów i masą wojska pruskiego do ataku gotowego. Delegowani Komitetu Narodowego Libelt i Stefański, przy świadectwie delegatów obozów Szredzkiego, Wrzesińskiego i Pleszewskiego, po długich debatach, podpisali układ, skutkiem którego Willisen uznał cztery nasze obozy pod Wrześnią, Pleszewem, Książem i Miłosławem.

* Nie sądziłem stosownem uprzedzać zwierzchników obozowych w tym okólniku, że zamianowanie Mierosławskiego Szefem Sztabu było raczej osobistem Libelta jak Komitetu uznaniem. Komitet rzeczywiście żadnej władzy Mierosławskiemu udzielać nie myślał i nie chciał. Kreatury Komitetu aż nadto dobrze o tem wiedziały.

w jednym batalionie i 120 konnych w jednym szwadronie, dopóki nie nadejdzie chwila wcielenia tych batalionów i szwadronów do dywizji poznańskiej. Siły te żywione będą dobrowolnemi ofiarami obywateli i do rekwizycji prawa nie mają; dozór główny nad niemi posiadać będzie wyższy officer pruski. Oddziały zbrojno zebrane na innych miejscach, opuszczą je w przeciągu dni trzech, i ściągną się do czterech głównych garnizonów w sposób wyżej przepisany. Przeto Środa w trzech dniach opuszczoną być musi, a ochotnicy tego obozu przeniosą się do Miłosławia, o czém generał Willisen doniesie komenderującemu generałowi 13go Kwietnia. Żaden wojskowy, ani landwerzysta, jako takowy do odpowiedzialności pociągnięty nie będzie. Cudzoziemcom (emigrantom z zaboru rosyjskiego), zapewnia się że wydani nie będą.

Środki powyższe nie będą przeszkadzać Komissyi Reorganizacyjnej w osadzaniu

wiem, ten ostatni jako zastąpić mający obóz Szredzki, który po trzech dniach ma być ewakuowany.

Cztery te obozy obejmować mają każdy po jednym batalionie piechoty i po jednym szwadronie jazdy; batalion z 600, a szwadron z 120 ochotników mają być złożone.

Naszą będzie rzeczą podwoić a nawet potroić tę siłę, luzując co tydzień owe 3000 ludzi przez 3000 innych, byle nie więcej występowało na raz w czterech oznaczonych obozach jak taka ilość zbrojnych. Staraniem przeto czterech komendantów obozowych musi być: 1° dobór doskonały 720 ludzi, koni i sprzętu z każdego obecnego obozu; 2° dobranie sobie drugiej zmiany, a o ile się da i trzeciej, w podobnej sile, a które rozlokowane po okolicy, zatrudnione pozornie po wsiach i ǳworach, co każdy lub drugi tydzień luzować będą pierwszą w ognisku obozowem. Tym sposobem możemy nieograniczenie pomnożyć nasze siły, nie przekraczając dotykalnie warunków układu za-

władz, tak iżby cały mechanizm rządowy mógł wejść natychmiast w obieg bez żadnej zawady. Wszelka własność prywatna, nie dobrowolnie ustąpiona, zwróconą lub zapłaconą być musi.

Skorotyłko warunki te przez Polaków dopełnione zostaną, ruchy wojska Pruskiego wstrzymane będą.

Moment rozpoczęcia tych środków poczyna się dzisiaj, 11go w Środzie, we Wrześni 12go, w Książu 13go, w Pleszewie 14go bieżącego miesiąca; na dokonanie zaś zostawia się wszędzie dni trzy.

Podpisano :

Pełnomocny komissarz królewski : generał Willisen.

Z polecenia Komitetu Narodowego: K. Libelt, Stefański.

wartego między Komitetem Narodowym a Willisenem.

Każdy z czterech wymienionych obozów ma wysłać na dzień 16ty Kwietnia do Wino-góry po dwóch pełnomocników, celem urządzenia hierarchii tymczasowej, iżby odjąc Prusakom wszelki pretekst mieszania się do naszej organizacyi. Trzeba ażeby ci pełnomocnicy przybyli do Wino-góry z gotową listą kadydatów oficerskich, i z ich rozkładem już umówionym w gronie korpusu oficerów, iżby komisyi stanowczej oszczędzić sporów i macaniny. Dotychczasowe oddziały podchorążych dostarczą podoficerów, i w dniach oznaczonych odbywać będą zbiorowo szkołę podoficerską i oficerską.

Mimo bezpieczeństwa niby zaręczonego umową dzisiejszą, obozy mają się mieć na największej baczności i pilnować się jak w czasie wojennym.

Ludwik Mierosławski.

Podobnaż było dobitniejszą łopatą kłaść w głowę zwierzchnikom obozowym, że wymagana

układem sił naszych redukcya dotyczy li czterech miast wymienionych ; więc nie przeszkadza zachować pod formą straży bezpieczeństwa czy urlopowanych tyle rezerw ile ich tylko przezorny patriotyzm wyżywić, uzbroić i na zawołanie powstania utrzymać potrafi w okolicy tych czterech obozów i wszędy? W tym duchu, instrukcya czyli komentarz Mierosławskiego nakazuje dowódcom obozów, iżby dla pozorów zachowując w tak zwanych kadrach wybór zgromadzonego ludu i rynsztunku, resztę rozlokowali w obrębie powiatu; do mustry zmijali ją o ile się da z tamtym, i utrzymali pilnie w nieustannej do zboru gotowości, uważając ją jakoby *kordon wartujący o podał na około swojego garnizonu*. Nie był to zresztą żaden nowy wynalazek, ale stary od samychże Prusaków pożyczony fortel. Wiadomo albowiem, że pomijając podobnymże wybiegiem podejrzliwość traktatu Tylżyckiego, Prusy potrafiły zachować pod dozorem komissarzy francuzkich trzykroć silniejszą armię aniżeli traktat zastrzegał. Tu, nawet dozoru nieprzyjacielskiego nie było na zawadzie, bo Mierosławski kazał Willisenowi oświadczyć, że jemu jednemu wyjąwszy, żadnemu officerowi ani urzędnikowi królewskiemu w obozach polskich pokazać się nie dozwoli, dopóki wszystkie warunki konwencyi do joty przez Prusaków dopełnione nie zostaną.

W gruncie tedy i *dla przenikliwego patryotyzmu*, wyjąwszy opuszczenia Środy (co zapewne było ciężką, ale niezbędnego zawieszenia broni niezbędną zapłatą), tak zwana przez J. Moraczewskiego *kapitulacja* Jarosławiecka istotnej zmiany do trybu naszych uzbrojeń nie wniosła. Boć i tak w czterech żydowskich mieścinach dłużej kwaterować, żywić i pod bronią trzymać więcej nad cztery bataliony i cztery szwadrony niepodobna było; boć z konwencją czy bez konwecyi, ochoczego i użytecznego żołnierza nad te trzy lub cztery tysiące nie mieliśmy *o tój porze*, a co go przybyć mogło, nierównie nam łatwiej było uitać, wyżywić i elementarnie zorganizować po obszarze całego kraju, aniżeli w kilku ciasnych garnizonach. Pilnując się instrukcyi Mierosławskiego w dobrej wierze, z należąną sprężystością i należąną karnością, za trzy tygodnie najdalej, powinniśmy byli wystawić cztery ruchome cyta-dele, oparte ze wszystkich stron o niewyczerpalną rezerwę narodu. Kiedyby się Prusacy spostrzegli, jużby im nie czas było temu wojennemu sprzy-siężeniu zaradzić; mając zaś do wyboru między bardzo kosztownem, bardzo wątpliwem nad niem zwycięstwem, a wypuszczeniem go na Moskwę, pewnieby temu upustowi mniej gorliwie prze-szkadzali.

Taki był plan stateczny Mierosławskiego, w kon-

tynuacyi dzieła temu lat dwa zawieszono i w dopełnieniu wzajemnych z naczelnikami Galicyi zobowiązań. Jeżeli go strona polityczna konwencyi Jarosławieckiej ani grzała ani ziębiła, za to jej strony militarnej bardzo sobie i powstaniu winszował; bo takowa, byle przez szafarzy powstania rzetelnie zrozumiana, udzielała nam wszelkich swobód spiskowo-organizacyjnych, brakiem których w r. 1846 poszliśmy do kozy, zamiast ku Warszawie.

Ale do tego, powtarzam, trzeba było ścisłego między szlachtą poznańską a Mierosławskim porozumienia; czyli jaśniej mówiąc, trzebaby było poświęcić wszelką parafianśszczyzną koniecznościom wojny narodowej. Tymczasem, spór od r. 1845 trwający między Mierosławskim a komitetami szlacheckimi, między sprawą Polski a sprawą W. Ks. Poznańskiego, między rewolucją a prowincjonalizmem, przeniósł się z postępową zawziętością do aplikacyi układu Jarosławieckiego. Willisen, któremu się zdudziło uchodzić za zdrajcę między żydami i żandarmami poznańskimi, i większość Komitetu Poznańskiego bardziej jeszcze po konwencyi niż przed konwencyą pożądliva pokoju, przysięgli się przeciw instrukcyi Mierosławskiego, i postanowili rozprządz podstępem czego umową 11go Kwietnia nie potrafili. Na pomocnika do tej szpetnej roboty wypadło

komissarzowi królewskiemu przydać którego z sygnatorów układu. Libelt, zrażony przygodą Szredzką, odsunął się od wszystkiego. Ale drugi pełnomocnik Komitetu, Stefański, bez przesądów żadnych i udzielniejszego ducha człowiek, skwapliwie podjął się rozwiązać zagadkę konwencji Jarosławieckiej w sensie najprzychylniejszym rozczarowi Willisena i patryotów przyzwoitych. Jak Williselowi męczeństwo uliczne, tak Stefańskiemu sprzykrzyło się biegać od jezuityzmu do komunizmu za wynalazkiem nowej religii*; tęsknił więc mocno za wypoczynkiem na posadzie adjunkta przy przysłym prezydencie policji w zreorganizowanym księstwie; a tymczasem przeniósł do swojej służby dezorganizacyjnej przy komissarzu królewskim, cały zapał i tę exageracyę podejrzaną jakimi dawniej bałamucił współspiskowych. Zresztą pełnomocnik komitetu sprostowanego po

* Nie mogę zapomnieć posiedzenia komitetowego, na którym uniesionemu najsroższym zapałem terrorystycznym Stefańskiemu, wchodząc przerwał mowę Potworowski, zapewnieniem że wszystko jak najlepiej idzie z mediatorami Pruskiemi. Oświadczył bowiem że przystają na przyłączenie Polaka do każdego wyższego w Regencyi urzędu, i że Stefański proponowany na *adjunkta przy prezydencie policji*, może być pewnym że go ten zaszczyt nie minie. Uważałem że od tej chwili, od tej sekundy, Stefański oniemiał, a z nieznośnego demagoga wyszedł zaraz na bardzo porządnego w Wielkiem Księstwie Po znańskiem obywatela.

usunięciu się Libelta do natchnień M. Mielżyńskiego, przybywał do gotowej już w obozach kontrarewolucyi; bo tak zwane *sztaby* i wszyscy oficerowie komitetowej kreacyi tchnęli tą samą co Komitet i Willisen niecierpliwością do pokoju, nie pytając czy pokój godziwy i rzetelny jest możliwym.

Willisen z żądzą powrótca bez krwi przelewu do łaski żydów i jenerałów Poznańskich, Stefański z blankietem od dogorywającego Komitetu do wykonania konwencji, zjeżdżają tedy popierać przeciw komentarzowi Mierosławskiego bunt Garczyńskiego we Wrześni, Brzezańskiego w Miłosławiu, Budziszewskiego w Książu. Stefański nie potrzebował zadawać sobie dużo trudu, ażeby tym dowódcom, zagniewanym na Mierosławskiego za proces Berliński, wyperswadować że konwencya znaczy nie żadne zawieszenie broni i zysk czasu do uzbrojenia się na serio, ale przyspieszenie legalnej rewolucyi w Księstwie, a zatem pozbycie się co żywo wszelkiej ruchawki, przez doszczętne rozpuszczenie takowej.

Pierwszy sztab Garczyńskiego, jako najbardziej widać na Mierosławskiego rozżalony za dzieje Berlińskie, rozpuścił a raczej wyгнаł z Wrześni co tylko się gwałtem nie przykrępowało do chorągwi. Drugim z téj gorliwości pojednawczej odznaczył się Budziszewski w Książu; trzecim

Brzeżański w Miłosławiu, chociaż tych dwóch patriotów żaden stosunek poprzedni z Mierosławskim nie wiązał. Ile mógł, wiernym Mierosławskiego instrukcyi pozostał jeden tylko Białoskórski w Pleszewie; ale to sprzeniewierzenie się względem solidarności szlacheckiej miał naprawić w boju pod Miłosławiem. Dość że pod natrętnym dozorem pełnomocnika Komitetu, cała Mierosławskiego instrukcyja albo pominięta, albo przeznaczona została przez sztaby obozowe, odpierające ją argumentami: 1° że dowódzcy patenta swoje nie od Mierosławskiego, ale od Komitetu dzierżą; 2° że skoro konwencyi nie podpisał, Mierosławski nie ma prawa wtrącać się do jej wykonania; 3° że nie będąc W. Ks. Poznańskiego obywatelem, nie zna stosunków miejscowych, a więc nietylko rozkazów, ale rad nawet swoich nikomu narzucać nie powinien.

Na zasadzie takiej loiki, rezerwy nakazane instrukcyą, zamiast osiedlić się w kolisku obozów pod pieczę i komendą officerów krajowych, poszły na dobre i na zawsze do domu, uwożąc co tylko do wojny służyć może, a zostawując kadrom łachmany, hetki i żerdzie najskromniej okute, tudzież *waryatów zupełnie skompromitowanych*. Wszakże nad giestami tych ostatnich poświęcili się czuwać do końca powierni Komitetu officerowie, ażeby uniesionemu próżnością udawa-

czowi nie przyszło czasem do głowy i z tem burdę rozpocząć.

Taki jest, w dniach 12go i 13go Kwietnia, pierwszy akt wykonawczy układu Jarosławieckiego, dokonany przez pełnomocnika Komitetu i sztaby komitetowe pod natchnieniem komissarza królewskiego.

Jednakże partya rewolucyjna, która Mierosławskiego okrzyknęła swoim, nie Ks. Poznańskiego wodzem, a wiedziała dokładnie jaki on sens przypisuje układowi Jarosławieckiemu, w tak przewrotnej onego interpretacyi upatrzyła od razu coś nader przybliżonego do zdrady. Deputacya po deputacyi poczęły nachodzić główną-kwaterę, żądając od Mierosławskiego tolerancyi kiedy nie wyroku do wywieszania sztabów Garczyńskiego, Brzezańskiego i Budziszewskiego, pod groźbą *wojny ludowej*, co się prozą znaczyło humaniszczynę na Niemców i szlachtę, od tej ostatniej poczynając. Bóg jeden zapamięta Mierosławskiemu w czyścicu, co w tych chwilach wyteżył woli, poświęcił popularności, wypotrzebował życia i władzy, ażeby ustrzedz szlachtę poznańską od rozwieszanej nad nią Galicyady. A nie przez upodobanie żadne do tego piasku, co tylko każdego dnia bardziej zamula potok historyczny narodu, a z którego sam archaniół Michał nie potrafi już i pół bicia ukreścić na ciemnieców Polski; ale najprzód z po-

czucia że zbyt oczywistej mniejszości jaką jeszcze byliśmy o tej porze, nie wolno jest przyszłość swoją kompromitować niedoczynami terroryzmu; a potem z dziejowo-filozoficznego zastanowienia się nad jałowym fałszem *ludowego* terroryzmu w takim, jak polskie, społeczeństwie. Nie mówię przeto, ażeby nie miało się u nas zjawić w każdym wstrząśnieniu, pełno jakobińskich postulantów; ale to będzie wiecznie sztab bez wojska, i jakoby sznurkowa mustra która się nigdy swoich żywych szeregów nie doczeka. Jakoż dzisiaj, kiedy by się terroryzm na coś przydał, to w Polsce *ludu* jeszcze nie ma; a skoro lud ten zmartwychwstanie, to znowu *terroryzm* w sensie rewolucjonizmu zachodniego stanie się dlań tak zbytęcznym i niezrozumiałym, jak nasze znowu uniesienia biblijne czy krucyatowe źle są brzmiąciami dla dzisiejszych społeczeństw zachodnich.

○ Dwa te wyrazy które się istotnie zesłyły dziejowo w rewolucyi francuzkiej i bliźnie otrzymały w niej znaczenie, żadną miarą zejść się u nas nie mogą, brakiem podobnegoż społecznie chronologicznego łącznika. Wiadomo że takim łącznikiem na całym Zachodzie, wyłonionym z ruin rzymskich, był lud przedrewolucyjny komun i municypiów: lud mrówny, przemyślny, zmożny, nieprzerwanem spadkobierstwem pokoleń sposobowany około swoich dzwonnicy ratuszowych, a którego trybu-

sielski, (ten właśnie z którego wysnuwają się całe nasze dzieje i wszystek nasz rewolucjonizm), gmin ten rodzimy politycznie nie zmartwychwstał i nigdzie w rewolucjonizmie nowożytnym, jako zbiorowość samowiedna i odpowiedzialna, to jest jako *lud* nie występuje. Więcej powiem: bo ile razy wystąpił, to z negatywną zapamiętałością przeciw filozoficznemu rewolucjonizmowi Gallo-romańskiego mieszczaństwa, które bez niego i mimo niego zwyciężyło feudalność.

U nas, przeciwnie, gdzie po za sielskimi masami, nie ma żadnej innej tkanki pierwotnej na społeczeństwo, massy te są też jedynym źródłem odradzania się, czyli rewolucjonizmu, a takowego tryb *sielsko-rycerski*, jedynym trybem terroryzmem przystającym do polskiej filozofii, do polskich tradycyj i do polskiego temperamentu.

Terroryzm jakobiński wyborny, jedyny do wydobycia ostatniego grosza i ostatniej kropli krwi na ofiarę ratuszowym larom owego *tiers-etat*, które Sièyes tak dokładnie zdefiniował, szeląga jednego i odstawnej szkapy nie wydrze szlachcico-wi nie wierzącemu w lary ratuszowe, a tém mniej rozrzewni chłopą który jak żyje o tych larach nie słyszał. Więc nieletniej tylko szlachcie, czy nieletniemu tylko obywatelstwu, jakim są u nas gromady włościańskie, gwałtem przypinać insygnia tego zachodnio-municypalnego fanatyzmu, jest

arcykontrarewolucyjnym żartem. Wiadomo że takiego właśnie niebezpiecznego żartu, pozwoliła sobie fakcya Czartoryskiego i Lubeckiego, ku ohydzeniu ludowi Lelewela podczas wybierania go na pentarchę przez sejm szlachecki, po detronizacyi Mikołaja. Jakoż fakcya ta rozgłosić usiłowała, że lada chłopska tnąca sieczkę dla kawaleryi za Trzema-Krzyżami, nie czem jest jak pożyczoną przez Lelewela od Jakóbinów paryżkich gilotyną, na wycięcie polskiej szlachty*. Była to złośliwa satyra na rewolucyonizm francuzki, przyczepiony do naszych dziejów.

Na nieszczęście, satyry kontrarewolucyjne nie zawsze się na żartach kończą. Nasi kontrarewolucyoniści tak śmiało wyzywają upiory Dantona, Robespiera i Marata, bo dobrze wiedzą że te mary nie mają co robić na Polskiej ziemi; ale na to nie baczą że w miejsce mar niemożliwych, niewprawna ich nekromancya może wywołać czego wcale nie szukała: coś bardzo odmiennego od terroryzmu francuzkiego a tańszego téż nierównie. Bo zaprawdę, jeżeli naszej czerniawie uciśnionego włościństwa nie stać na tysiącnoletnie ratusze i szkołę encyklopedyczną, na kontrakt socyalny i dekreta konwencyi, na metafizyków i chirurgów terroryzmu, to im niedaleko szukać Szeli i Żeleźniaka. Owoż, broń Boże! rewolucyonizm polski

* Mochnacki, Tom IV. Str. 282, wydanie Wroclawskie.

jeszcze bardziej niż szlachtę polską od takich rewolucjonistów.

Kontrarewolucjonistom i herostratom, którzy dwa te rodzaje krwiotoku radziby kłaść na równi, jednym w ich trwodze, a drugim w uwielbieniu, niedostaje najelementarniejszego sensu dziejowego. Jakoż Koliszczyzny i Galicyady nasze są nie ultra-rewolucją, ale ultra-barbaryą: zaprzepieczeniem wszelkiego rewolucjonizmu i zabezpieczeniem się przeciw niemu mrokiem Caratu. Zatem terroryzm zachodni, a nasz szelizm, nie tylko geograficznie i historycznie, ale i psychologicznie są dwoma wprostprzeciwneimi biegunami dynamiki humilitarnej; w tém zaś że jeden i drugi krew ludzką leją, nic dziwniejszego od podobieństwa dwóch nożów z których jeden od śmierci ratuje, a drugi śmierć zadaje. Dotykalną między niemi różnicą to, że terroryzm jakóbiński, wcale z resztą do naszej ekonomii nieprzystajny, był, prawda, gwałtem, przemocą, despotyzmem, ale gwałtem loiki nad przyrodzeniem, — przemocą abstrakcyj filozoficznych XVIIIgo wieku nad zwierzęcą stroną człowieka — ostatecznie, despotyzmem idei nad materją. Przeciwnie, Szeli, bróń boże doktoryzować się jak Maratowi na Diderocie, Helwecyuszu czy J. J. Russie, bo by go niezawodnie właśni uczniowie pierwszego na widły wzięli. Ah! nie Marat dopiéro, ale czyż najszlachetniejszy i naj-

niewinniejszy takiego przeliczenia się męczennik, Edward Dembowski, swoją aureolą nie rozświetlił nam po wieki, przepaści dzielącej Galicyady od Jakóbinizmu, wściekłą dzikością od terroryzmu cywilizacji, rozbyczenie się Apisa na kapłanów swoich, od by też najkrwawszych ofiar Ozyrysowej mitologii?

A nie da się tu rzetelny rewolucjonizm zagadać fatalistycznymi sofizmatami o expiacyjnych krwiotokach; żadnym nie jest dla niego argument, żadną pociechą te nawet prawidło «że na niepoprawne samolubstwo, nie ma w dziejach ziemskich innej sprawiedliwości: więc że jaki lud szlachecka polska pod nogi sobie posłała, na takim wyspać się musi.» Bo tu, powtarzamy, nie o szlachecką chodzi, ale o całą narodowość naszą niepodzielnie, solidarnie, na wskroś. Barbarya, istny Herod, istna bestya, nie umie przebierać między winnymi a niewinnymi, między szlachecką a szlachcicami, między inteligencją co ją kulbaczy a inteligencją co ją leczy. Dla jej krwią zaszytych ślipiów to zbyt delikatna wybredność; a jeżeli jej wandalizmowi stać czasem na jakiś wybór, to pewnie wyżyny ludowe rozkopie a przed możnowładniami uklęknie: z rozdeptanego kopca Kościuszki dosypie warownię Krakowską, i zedrże skórę ze swoich apostołów na dywany dla batożników swoich.

Zgoła że gdzie ludu w znaczeniu cywilizacyjnego rewolucjonizmu jeszcze nie ma, paplany przez herostratów *terrorizm* wychodzi oczywiście na pastwienie się kłów zwierzęcych nad rozbitymi mózgami: na despotyzm materji nad ideą, więc na demokratyczne samobójstwo, a nie na żadne, jako żywo! zwycięztwo demokracji nad arystokracją.

Chyba tedy ta sama liryczna głupota co w roku 1846 szeptała lirycznemu tchórzostwu margrabiów Wielopolskich i hrabiów Krasieńskich o samobójczem przez nas ostrzeniu kłów galicyjskich, (czy nie dla *pankracowej* satysfakcy porwania ze sobą pół tuzina podobnych im gnid do piekła?) ta sama chyba głupota, mogła w roku 1848ym posądzać Mierosławskiego, czy o zachcianki jakobińskie, czy o zachcianki szeloskie w niepokalanych obozach Miłosławia, Wrześni, Pleszewa i Książa.

Wszakże z tej równej odrazy polskiego orła, czy do małpiarstwa, czy do hyenizmu rewolucyjnego, nie należy wnosić że się skapłonił i z orlich szpon na zawsze wyzuł w kurnikach szlacheckich. Tak źle jeszcze nie jest. I duch polski ma w ostatnim zapasie swojski *terrorizm*, to jest przyrodzoną a heroiczną chirurgię na przyrodzone a śmiercią grożące mu kalectwa. Tylko to ani *terrorizm* jakobiński, ani *terrorizm* hajdamacki. Tym *terroryzmem*, polskim rewolucyom właściwym, a do

którego znowu zachodnim społeczeństwom daremnie by się było uciekać, doraźność rycerska, rycersko-sielskim początkiem i rozwojem naszej narodowości uprawniona. Jak Polska na wskroś jest jednym zakonem rycerskim, jedną kolonią wojenną, a lud jej cały albo jest rycerstwem, albo go wcale nie ma, tak jej rewolucya, czyli odradzanie się, w najwyższym napięciu terrorycznym, musi być doraźnym kodexem obłożonej warowni, obsaczonego taboru, najeżdżanego czworoboku, niczem mniej, niczem więcej, niczem inném. Na chwilę jedną, na chwilę uroczystą bytu lub niebytu, przyszło i konwencyi francuzkiej poddać swój terroryzm mieszczański, temu terroryzmowi rycerskiemu: kiedy 13go *Vendémiaire*, cała wdziała żołnierskie lederwerki i ze swoich krzesel wszechwładnych zesła na assekurację do bateryi młodego Bonapartego, w szturmowanym grodzie Tuileryjskim. Owóż, czem konwencya francuzka raz na tę chwilę się pokazała, tem ciągle być powinien cały nasz rewolucyonizm od pierwszego dnia Rozbiorów, do ostatniej doby naszego odbudowania. Wszechwładztwa ludu polskiego, aż do tej doby, szarfą konwencyonalną lederwerki; konstytucyą, szyk czworoboczny; terroryzmem, kul własnych matematyczna niepowsięgliwość, a równość wszystkich stanów w obliczu kul nieprzyjacielskich. Za nie wszy-

idea
wojny

stkie topory i gilotyny w porównaniu z takim strychem; żaden go retor nie przedeklamuje, żadna termidorowa syrena nie zmiękczy. W parzącym rygorze takiej karności, cokolwiek takowego wytrzymać nie mocne, mdleje, rozpuszcza się i przeobraża bez pomocy trybunałów ni kata, naturalnie, chemicznie. Tak, i tylko tak, nie kunstem Marata lub Szeli, polska szlachetczyzna bez cierpienia rozpuści się i w zachwycie odpustnej metamorfozy zniknie z dymem własnej palby, byle raz ją kiedy między siebie porwały szeregi rzetelnego powstania. I dla tego to, a nie bynajmniej z obawy Jakóbinizmu lub Szelizmu tak jej do tych szeregów nie pilno. Obłudna! ona się nie śmierci w powstaniach narodowych boi, ale przeobrażenia; a lęka się przeobrażenia, bo chyba nie poczuwa się zasługami swojemi do wznioślejszego w przeobrażonej Polsce dostojenstwa, od tego lichego na jakim ją w zapludem i zdeptanem społeczeństwie cierpią ciemieży. Ale niechaj, jak wnuk Turenniusza, rozgrzeszy się i odrodzi w letejskim terrorze kanonady, a ten sam lud co hetmańskie jej popioły rozsypał, grenadierskie jej serce weźmie sobie na chorążną relikwię. Co do wszechwładnego ludu, w takim terroryzmie szeregowym, *prawa i obowiązki* jego wszystkie prostują się do elektrycznego posłuszeństwa komendzie. Wtedy kto padnie od jego kuli czy szty-

chu, arystokrata czy demokrata, generał czy ciura, sam sobie winien że się miejsca swojego w tym bezpardonnym szyku nie pilnował. Kogo znowu bez sądu, kolumna w ruchu zadcpcze, widać rotę i krok nie trzymał; lecz do tego, regulaminowej dyktaturze i pirotechnicznemu jej terroryzmowi ani gilotyny, ani nożów nie potrzeba.

Ale czego koniecznie potrzeba, nie do czynu dopięro ale do narodzenia się, to domyślnego a pożądanego uznania od wszystkich warstw ujarzmionego narodu; bo dyktatury wojennej nie ma po za obozem powszechnym; a znowu wojska powszechnego nie ma po za wszech-narodem. W tem, nierozwiązalna dotąd trudność polskiego rewolucjonizmu; ale też i jego *jutro* potęga, i jego prawowitość i wyższa świętość jego terroryzmu, skoro nareszcie godzina jego rewelacji w dziejach ludzkości wybije. Gdyby moc i twórczość tej próby zmyślić sobie można, jak się zmyślają między nami dla rozrywki nudów czyścowych sprzysiężenia, centralizacye i różne komiteta, już sto najmniej dyktatur wyprzedziłoby przebudzenie się narodu polskiego do realnej rewolucyi; ale ponieważ jest to jedyna w zapasie naszego odrodzenia realność, to też jedyne podobno lekarstwo którego sfałszować nikt jeszcze nie potrafił. I królem malowanym być nie sztuka; i *rump parlamentem* bez Hampdena ni Kromwela, jeszcze; i rze-

czypospolite bez republikanów widziało się; a cóż dopiero carów samozwańców? Ale co polskiej dyktatury z podwójnym terroryzmem na trzy ościenne caraty i na kontrarewolucję domową, takowej bez tętniącego i błyszczącego na nią od Odry do Dźwiny mandatu, żaden Dymitr ani Adam 1szy nie zapróbował i nie zapróbuje, za to ręczemy. Nie na fortunniejszego też wyszedłby był Mierosławski terrorystę, gdyby przez emulację z Krautoferem, ogłosił się był dyktatorem stodoł miłosławskich, wśród dwudziestu milionów, samą bezczynnością usuwających mu się z pod ramienia Polaków. Osobliwie nie zastraszysz terroryzmem szeregowym, szlachetczyzny w szeregi wiązać się nie głupiej; chyba nam było tedy dla wprawy, terroryzować drużynę kosynierów i strzelców, co zapomnieli niebaczni! 11go Kwietnia, uciec z pod pęków liktorskich do domu.

Jakoż, dalej wyczytuję z opowiadania J. Moraczewskiego:

VIII

Str. 75. *W. P.* «Po zrobieniu rozruchu przez Krotowskiego w obozie Wrzesieńskim, a ustępując przed napieraniem Hirszfelda,

Garczyński nie widział innej rady, jak cofnąć obóz z Wrześni do Nowego-Miasta.»

Owóz cały ten Krotowskiego i wielu mniej szczerych od niego demagogów herostratyzm, przypadł wybornie na rękę wybiegom szlachty, która pod pozorem że ją chcą palić i wyrzynać, jęła się tem donośniej tłómaczyć układ Jarosławiecki w duchu jak najskorszego z Prusakami pojednania. Sztab Garczyńskiego osobliwie, pragnął dać Hirszfeldowi jak najwięcej zadatków pokoju; Willisén i pełnomocnik komitetu znaleźli go więc w szczególnem do nowej koncessyi usposobieniu, i tu się rozwija, od 13go do 17go Kwietnia, drugi akt wykonawczy konwencji Jarosławieckiej, w systematycznym przeniewierstwie względem rozporządzeń Mierosławskiego. Od tego też momentu, rola naszych komissarzy powiatowych, zupełnie się przewróciła. Z jakim zapałem i z jaką zabiegliwością we wstępie *manifestacyjnym*, fundamentalni i niezbędni ci wszelkiego poruszenia ludowego gospodarze, zwoływali gminy na odpusty kórkardowe, kazalne i wiwatowe, teraz z taką samą starannością jęli się wszędzie przytłumiać rzetelną krucyatę ku ratowaniu obozów zawadzających szlacheckiej polityce. A dość sobie przypomnieć iż owymi komissarzami nie zjawili się lada herostraty i amatorowie, lecz istotnie

najszacowniejsi w każdym powiecie wybrańcy obywatelskiego zaufania i obywatelskich sprawunków, ażeby się przeświadczyć o niepodobieństwie zgwałcenia ich konserwatyzmu i wydarcia im mass z garści, bez jałowo okropnej wojny domowej. Nie bez słusznego przecucia, zatem, instrukcje wydane rządowi powstańczemu w lutym roku 1846, taki położyły były przycisk na inwestyturę tych elementarnych urzędników z ramienia dyktatury powstańczej, a nie z kolligacyj szlacheckich, które wszelkie ruszanie się ludu najniewinniej rozbrajać wiecznie będą, bo muszą.

Wykazano, że rozporządzenia Mierosławskiego* wymagały nietylko rozłożenia sił naszych na dwa nabory strzegące się wzajemnie, ale nadto utrzymania się niezłomnie przy siedliskach konwencyą nam zawarowanych, z zaręczeniem wszechstronnej pomocy najwpierw napastowanemu. Polecenie to, Mierosławski gruntował tyle na mocnem postanowieniu doczekania się prawdziwego powstania narodowego pod osłoną armistycyi, ile na tajnych, lecz pewnych ze sztabu pruskiego doniesieniach: 1° że Prusacy którzy w skutek konwencyi zupełnie zmienili pierwotny rozkład siły i komend swoich, nie są jeszcze gotowi do powtórnej napaści; 2° że dopóki tą razą wszystkie kolumny

* Wróć do rozkazów i rozporządzeń z 3go, 4go, 7go i 11go Kwietnia.

napastnicze nie staną na równi, co do kilku tygodni odwlec się może, dowódcy takowych mają surowy nakaz ograniczyć się na drażnieniu nas i wyzywaniach wyczerpujących naszą cierpliwość. Byle im tedy wszędzie stawiać miedziane czoło, w żadne parlamentarki się nie wdawać, żwawo a cicho zbroidzić się i ćwiczyć; byle pozornie zamknąć się w czterech widomych kadrach, a rzeczywiście dojrzewającymi wszędy rezerwami podkopać ziemię polską jak długa i szeroka pod nogami ciemiężców; byle, krócej mówiąc, pilnować się nie martwej litery ale żywego ducha konwencyi, nie było w tej chwili najmniejszego powodu ustępować przed *strachami na Lachy*.

To téż, za pierwszą wieścią o umizgach Hirszfelda do Wrześni, sztab Wrzesieński otrzymał od Mierosławskiego dobitny rozkaz odparcia broni bronią, a obóz Miłosławski wystąpił 13go Kwietnia w nocy do marszu ku pomocy napastowanemu. Przed świtem, poręka ta wyruszała już do Kębłowa, kiedy Mierosławskiemu wręczono list od szefa sztabu Wrzesieńskiego, donoszący mu że Garczyński *upoważniony przez pełnomocnika Komitetu*, zawarł sobie z Hirszfeldem osobny układ, w skutek którego wydawszy miasto Prusakom, przenosi się do Nowego-Miasta nad Wartą. Nie dziw że wtedy i Krotowski ze swoim wędrownym klubem, i ktobądź czy wiedzą czy prostym in-

stynktem troskał się o sprawę publiczną, zbiegł do Miłosławia, jako do głównej-kwatery, użalać się po swojemu na dotykane przeniewierstwo szlachty względem Rewolucyi. Jednakże Mierosławski rozpedził natychmiast ten sejmik, a malkontentów rozesłał o podał z apostolskimi zleceniami; bo w jego przekonaniu wszelkie trawestacye terroryzmu, zamiast powściągać kontrarewolucyę, przychodzą jej owszem w pomoc, rozprzegając do szczeru co pozostało mocy i świadomości publicznej do zwalczenia jej. Mierosławski sądził, że odrazu i mężnie potrzeba było wybrać między wściekłą, bezpardonną wojną domową, a odporną rezygnacyą, dopóki wypadki nie przechyliły fortuny na stronę rewolucjonizmu; że zaś po rozpatrzeniu się w stosunkach bieżących, dostrzegł iż pora historyczna pierwszej nie nadeszła, postanowił nie przypuszczać do siebie Honoratki przebranej za Nemezys, a nieczemu zgoła zaradzić nie zdolnej. Z resztą, ażeby się przekonać jak ci zaszerogowi agitatorowie niesprawni byli do odgadywania prawdziwych podstępów kontrarewolucyi, dość przytoczyć że J. Moraczewski, odgłos i powiernik takowych, nie podejrywał roli jaką w tem wszystkim odegrywał nawet jego własny pełnomocnik, pełnomocnik Komitetu. Cóż dopiero miały o tem wiedzieć w samymże ciągu wypadków bazarowe sejmiki, własnego wrzasku dosły-

szyc nie zdolne? Domyślałyż się te gęsi kapitolne, które Mierosławski wysłał agitować Berlin, powiaty okoliczne i Polskę Kongresową, (bo tam trza było na gwałt agitacyi, a nie po stodółach Wrześni czy Miłosławia), domyślałyż się one że wczorajszy anabaptysta, postrach szlachty i dzieciąt szlacheckich do trzeciego pokolenia, dzisiaj najniepoczciwszych oszustw szlacheckich merkury, w tej samej chwili do wszystkich obozów usiłował rozciągnąć hańbę Wrzesieńską?

A to rzemiosło pełnomocnika Komitetu, chociaż zupełnie nowe dla niego, dzięki wszechstronnym zachętom samo się toczyło; bo jak mozolnie było doszukiwać się w Poznańskim najdrobniejszej pomocy dla sprawy powstańczej, choćby powrózów do zaprzężenia pukawek Wenclewskiego, tak przeciwnie do układów z władzami zaborczemi, do psucia rozporządzeń Mierosławskiego, pełno nasuwało się amatorów. Wszystko co za czasów rzewnego, dobrowiernego patryotyzmu wykradałoby się z domu rodzicielskiego *do ułanów*, kwalifikowało się tutaj do dyplomacyi. Każdy młody a dobrze wychowany dziedzic, któremu mama nie kazała pospolitować się z ruchawką, meldował się z rumakiem Willisenowi, Stefańskiemu, Garczyńskiemu, komissarzom powiatowym, Bóg wie nie jakim komitetom, na trębacza do kwater pruskich: pomijał zaś bacznie główną-kwaterę,

jako niemającą kontroli *nad wyższą polityką*. Tym trybem najzgubniejsze dla nas kapitulacye zawierały się wprost z officerami Komitetu, z *dowódcami* obozów, którzy czasem, kiedy łaska, zdawali Mierosławskiemu rapport z dokonanego już głupstwa, ale najczęściej zachowywali poważne milczenie.

Dnie tedy i *noce* dla Mierosławskiego, dla trzech lub czterech jego pomocników, pełżyły w połowie na zapobieganiu fortelom szlacheckim, a w połowie na osłanianiu tej samej szlachty od oburzenia żołnierskiego. Przyszło nareszcie głównej-kwaterze zostać samej forpocztą, bo wyjąwszy na swoje szeregowy w obozach stronnictwo, a któremu dla uniknienia rzezi domowej musiał starannie swoje umartwienia taić; wyjąwszy więc na kilku przyboczników którzy musieli wszystko za wszystkich robić, Mierosławski nie mógł na nikogo się spuścić w ustrzeżeniu kadrów od jakiego zdradzieckiego napadu Prusaków.

Główna-kwatera przeniosła się z tego powodu do Winogóry pod same widety pruskie, kiedy budząc się 15go Kwietnia rano, Mierosławski dowiadyje się, że Stefański poleciwszy tajemnie Brzezańskiemu ustąpić Winogórę, Szlachcin, Kębłowo i całą strefę naszych rezerw nieprzyjacielowi, sam rozprzega obóz Miłosławski, w skutek jakiejś nowej z Willisenem umowy. Brzezański wezwany

do pozostania na miejscu, przed szwadronem już uszykowanym do wymarszu odpowiada Mierosławskiemu, że on się jedynie rozkazów pełnomocnika Komitetu pilnuje; że wreszcie za parę godzin ma zjechać *wódz naczelny*, który spór rozstrzygnie. Owym szwadronem dowodził krewny Brzezańskiego, a przytem wieść rzucona o mającym przybyć wodzu odbierała Mierosławskiemu w tej okolicy wszelką władzę, nawet moralną. Widząc że się z sędziwym półkownikiem nie dogada, Mierosławski bieży do Miłosławia po żywe argumenta. Tam, w pałacu, zastaje Stefańskiego otoczonego officerami fabrykacyi szlacheckiej, którym pełnomocnik Komitetu poleca ażeby ustępując wszelką okolicę Prusakom, garnizon Miłosławski ściśle ograniczyli do mocy konwencyą przepisanej. A ponieważ sam Miłosław czterech kompanij objąć garnizonem i opatrzyć nie był w stanie, dotykalnem było, że jak z Garczyńskim we Wrześni, tak z Brzezańskim tutaj, agent Komitetu zgodził się na ostateczne rozbiecie kadrów, izby przyspieszyć pacyfikacyę Księstwa i ową organizacyę *regularną*, do której oględni konserwatyści sprowadzili już sobie z Belgii patentowanego generała.

Stefański przyparty do ściany, zastawia się blankietem Komitetu i powagą Willisena; Brzezańszczyźnie zostawia jednak przykrość dalszego

z Mierosławskim zatargu, a sam leci *dopełnić swojej misyi* w Książu i w Pleszewie. Mierosławski rusza na czele piechoty Miłosławskiej zawrócić zbałamuczone oddziały na okoliczne posterunki, a przez holendra posyła generałowi Wedel ostrzeżenie, ażeby ruchy Polskiego wojska uważając jako prostą przemianę kwater, żadnego po nim stanowiska nie ważył się zajmować, boby to było wypowiedzeniem wojny.

W tem zjeżdża istotnie do Miłosławia zapowiedziany generał. Trzeba wiedzieć, że przed odjazdem naszym do Jarosławca, 11go rano, w Środzie, po srogiej kłótni z Brzezańskim który żadną miarą słuhać nie chciał porucznika, *i to piechoty*, Mierosławski oświadczył, że jeżeli jego plany powstańcze nie ostoją się mimo wszelkich jego postanowień, natenczas nie mając czem się bawić w żandarmeryi pacyfikacyjno-konstytucyjnej W. K. Poznańskiego, ustąpi właściwyszemu patryocie dowództwa i odjedzie do Galicyi. Na ten przypadek, radził bezinteresownie konstytucjonalistom wystrzegać się zbyt osławionych przygodami roku 1831go zbawców, coby nieochylnie wywołało wojnę domową, a wezwać generała Kruszewskiego, który jako skromny a sprężysty organizator, jeżeli sam nie dźwignie narodu, to przynajmniej przechowa na późniejsze powstanie, jakieś porządne jądro zbrojni narodowej. Ale

w zamian tego przyrzeczenia, samą partyj loiką zaręczonego, Mierosławski narzucił przeciwnikom swoim konieczny obowiązek posłuszeństwa, dopóki jakikolwiek związek powstania dotrzyma placu. Kruszewski i Mierosławski znali się i szacowali wzajemnie od dawien dawna, ale do różnych specjalności i do różnych momentów patryotyzmu wychowani, nie mieli co do współpracy robić w Zaborze Pruskim. Sprowadzenie więc Kruszewskiego do kraju miało niby znaczyć, że niesłubne wesele skończone, ruchawka wszelka ubita a organizacya pacyfikacyjna W. Ks. Poznańskiego uznana. Owóż to wszystko było fałszem, bo jeżeli co jeszcze polskiego stało na nogach na całym obszarze Zaboru Pruskiego, to właśnie i tylko trochę ruchawki; bo jeżeli co zaprzeczanego i ubitego niepowrotnie było, to organizacya pacyfikacyjna W. Ks. Poznańskiego. Cóż zatem mogło spowodować zwyciężonych zewsząd pacyfikatorów do tak nierzetelnego anachronizmu? Oto chęćka oszukania fortuny za pomocą mylnego sygnału. Ale to fortel zużyty, a fortuna nie emigrant. Zaproszony przez fakcyę pacyfikatorów ażeby dopięro rozpręgał powstanie, Kruszewski człowiek z taktem i wolny od czarów parafialnych, za pierwszym spojrzeniem na rzeczywistość odmówił tego zaszczytu. Trzech więc kwadransy nie zabawiwszy w Miłosławiu, odjechał jak przyjechał,

chłodny, grzeczny i dyskretny. Niepotrzebnie może zostawił Sew. Mielżyńskiemu na piśmie poradę pojednania się z władzami pruskiemi, bo mu tej roztropności sama szlachta Poznańska miała na zbycie; ale między nami zachowane, to pożegnanie nie zaszkodziło nikomu. Co nierównie było szkodliwsze, to sens nadany temu zjawisku przez domysł publiczny, na szkodę powagi i tak dość skubanej Mierosławskiego, a której na nieszczęście najmędrsza zawisć żadną podręczniejszą w tej chwili zastąpić nie była w stanie. To też zaledwie dwie doby uporczywej waśni z kolligacją Brzezańskiego wystarczyły ku odzyskaniu opuszczonych stanowisk na około Miłosławia. Przed Winogórą i Kębłowem o włos co nie przyszło do bitwy z Prusakami, których ledwie żeśmy zdążyli uprzędzić w tej reokupacyi. Ostatecznie jednak ustąpili bez wystrzału, co jawnie dowodzi jakiej zdrożności dopuścili się Garczyński opuszczając Wrześnię, a Brzezański chcąc ścieśnić swoją komendę do Miłosławia. Całego też złęgo o wiele naprawić było niepodobna, bo ruszony ze swoich leżysk nadkomplet nie mogąc się pomieścić w Miłosławiu, rozszedł się podczas tego zamieszania do domów, jak już się była ulotniła połowa siły Wrześniańskiej w przenosinach do Nowego-Miasta.

Tak tedy, kontrarewolucya prowincjonalna pała się naszym zgorszeniem, prawie ruszać się

nie potrzebując, a reakcyja pruska nie wiele więcej zadając sobie trudu, czekała aż prowincjonalizm spożyje rewolucyę, ażeby potem obadwa razem udusić. Komissarz królewski obrawszy sobie przechodnią siedzibę w Boguszynie, w pośród uwielbień szlacheckich, na pół drogi od Książa do Nowego-Miasta, rozpromieniał ztąd swobodnie przez ajenta Komitetu swoją rozprzegającą działalność do czterech sztabów waśniących się z główną-kwaterą; tak, że nareszcie władza tej ostatniej o mało co nie zesłała do ścieszek po których stąpały konie owych pomocników, na których wedle J. Moraczewskiego, «Mierosławski znać się nie miał talentu» (str. 98 W. P.) Ufni więc, że resztę strudzonej jego baczności pomina, Willisen, Stefański i sztaby komitetowe przystąpili do *trzeciego aktu wykonawczego konwencji Jarosławieckiej* w duchu jak najrychlejszej pacyfikacyi.

Powiedzieliśmy, że pierwszym zamachem, od 11go do 13go Kwietnia, rozpuścili co tylko dało się powstańców; że następnym, od 13 do 17go, ustąpili Prusakom co tylko się dało przestrzeni; teraz postanowili rozbroić tę resztę reszty, a to, jak mówili, iżby pozbawić władze rządowe czasu i pretextu do napaści zbrojnej; iżby własnymi siłami przywrócić pokój i porządek w Wm. Księstwie. Tylko proszę zauważyć, że wszystkie Targowice równie chrześcijańską przejęte bywały in-

tencyą, a że tak zwani przez gmin zdrajcy, są tylko zawiedzionymi w swoim miłosierdziu pojednawcami.

Ledwie na powrót zajętemu ćwiczeniem, zbrojeniem i przeglądaniem garstek pozostałych w obozach, donoszą Mierosławskiemu o jakimś walnym zjeździe dyplomatyczno-wojennym w Witaszycach, między Nowem-Miastem a Pleszewem, na dzień 17ty Kwietnia. Mierosławski z jednym adjutantem wjeżdża w sieć tego kongresu. Po drodze, w Jarocinie, napotyka pierwsze oddziały jazdy rozpuszczonej z Księża i rozchodzącej się na spokojne kwatery w skutek rozkazu wydanego Budziszewskiemu przez pełnomocnika Komitetu. Nagłym kontrarozkazem wstrzymawszy tę nową rozsypkę, Mierosławski spieszy do Witaszyc, i wpada niewielce pożądanym gościem znowu na *fakt dokonany*. Był to podpis pełnomocnika Komitetu *na rozebranie kadrów po wsiach wyznaczonych przez komissarza królewskiego, aż do zupełnego ich rozpuszczenia*.

Z obozem Książkim rzecz zdawała się zupełnie zawarta, bo ze strony Budziszewskiego pacyfikatorowie żadnego się oporu nie obawiali; szczęściem że z Białoskórskim, prywatą od łaski szlacheckiej zależnym, lecz z przyrody poczciwym i rzemiosłowym żołnierzem, wtedy jeszcze nie tak łatwo było się porozumieć. Z dwoma jego wy-

słańcami, Franciszkiem Żychlińskim i Jezierskim, ludźmi zacnymi, Willisen i Stefański długi spór stoczyć musieli, bez otrzymania żadnego wyraźnego na nic zezwolenia. Jeden tylko Wojciech Lipski, w imieniu swojej parafii, przystał na dyzlokację części obozu Pleszewskiego po powiecie Odolanowskim; ale i to bez rzeczywistej krzywdy dla Powstania któreby sobie umiało poradzić w Odolanowskim, czy nie w Odolanowskim.

Mierosławski zerwał naradę, Stefańskiego zmusił do podarcia swego podpisu w obliczu delegowanych, Willisenowi oświadczył, że choćby z tysiącem, choćby ze stoma pozostałymi powstańcami, bronić będzie konwencji Jarosławieckiej jak ją rozumiał, a że dowódcom obozów wydał na swoją odpowiedzialność zakaz ustąpienia choćby na krok jeden z zajętych stanowisk. Po wspólnych w Berlinie naradach nad wojną przeciwko Rosyi, po upoważnieniu przez się danem w Poznaniu Mierosławskiemu do szeregowania i zbrojenia wszelkich zbiorowisk ludowych, osobliwie po przestrogach z jakimi się przy końcu konferencji Jarosławieckiej wynurzył, komissarz królewski nie mógł teraz pogodnie oczu podnieść na Mierosławskiego. Zrazu zatem, przybrał względem niemu ów ton roztrzępany a zadąsany, jakim zła wiara zastawiać się zwykła od konfuzji. Daremnie jednak chciał sobie utaić, że się osta-

tniej dopuszcza niegodziwości wykradając nam podstępem, czego od razu w Jarosławcu odmówić nie miał odwagi; a że większa jeszcze niegodziwość jakiej się dopuszczają Polacy którzy mu się w tem stręczą na faktorów, w praktyce bardzo miernym będzie mu posiłkiem do przełamania naszego uporu. Tutaj więc jak w Jarosławcu, musiał Willisen odstawić na bok wszelkie pacyfikacye zasła bez poradzenia się Mierosławskiego, uznać nieważność umówionego ze Stefańskim rozbrojenia, własnoręcznie zatwierdzić kontrarozkaz wydany w Jarocinie Budziszewskiemu, i ostatecznie powrócić do wszystkich założeń Jarosławieckich.

Wypis z Aktów Obozu Książkiego.

DO DOWÓDZCY OBOZU POD KSIĄŻEM.

Witaszyce, o godzinie 3ej z rana, 18go Kwietnia 1848.

Posyłam ci szanowny Pulkowniku, zatwierdzenie przez generała Willisen rozkazu jaki wydałem wszystkim dowódzcom, ażeby ze swoich stanowisk, zagwarantowanych umową 11go Kwietnia, nie ustępowali. Toż rozkaz do pułkownika Brandt, ażeby was nie zaczepiał. Dotrwać na miejscu, nigdy nie ustępować, a wszystko dobrze pójdzie.

Szef Sztabu i Inspektor Jeneralny :

Ludwik Mierosławski.

Jako ślad jedyny tego chybionego zamachu, pozostał uboczny układ Lipskiego, dotyczący rozłożenia nadkompletu Pleszewskiego w Odolanowie i Raszkowie. Ze względu czysto strategicznego, przypisek ten wcale się Mierosławskiemu nie podobał; ale jak wzięli dwaj komissarze ręczyć mu, że takie rozszerzenie naszej działalności pod samą granicę Szląską jest rzeczą ekonomicznie bardzo pożądaną, umilkł, czyniąc patriotów miejscowych odpowiedzialnymi za tę *rozszerzalność*.

Jakoż na raz przełamanym Willisenie, Fr. Żychliński i Lipski wymogli łatwo powtórzenie dawniej już udzielonego pozwolenia na *guardye bezpieczeństwa* w powiatach którym przewodzili jako komissarze, czyli bez ogródki mówiąc, blankiet na zasiewanie ruchawki pókąd i ile starczy im własnego zmysłu i rzetelnej do tego ochoty. Nowy a nieodżałowany dowód, że gdyby szlachta Poznańska chciała była wyteńczyć na wyrozumienie instrukcyj Mierosławskiego choć połowę tego sprytu, jaki strwonila ku udaremnieniu takowych, niezawodnie że w konwencji Jarosławieckiej była forma do ulania jakich dwudziestu tysięcy bardzo groźnego powstania, zaczem by Prusacy zdążyli ją roztluc!

Zjazd Witaszycki pod tym względem niezmiernie ważny, że jest ostatnią bitwą dyplomatyczną

rewolucyi z konstytucjonalizmem poznańskim. Willisen, najświatlejszy i najzacniejszy może Prusak z jakim kiedykolwiek przyszło i przyjdzie Polakom się stykać, ale dusza rozlazła i chwiejąca się, zrażony uporem Mierosławskiego, odrzeka się medyacyi i oddaje nas na pastwę władzom królewskim. Stefański swoje niepowodzenia dyplomatyczne i rozwiane w zreorganizowanej policyi nadzieje koi powrotem do rzewniejszego niż przedtem illuminizmu. Wtedy komitet rozpaczliwie próbuje sił własnych, ażeby nas udusić bez krwi przelewu, ale tylko dokaże że i na swoim nie postawi i nam naszego dokonać przeszkodzi. Bo téż czas jest fundamentalnym wyrazem wszelkiego zadania powstańczego, a każda godzina strwoniona na daremnem sprzeciwianiu się instynktom wojowniczym ludu, tylko generałom pruskim iść mogła na korzyść. Tak, że Mierosławski dopiero na parę dni przed zerwaniem armistycyi wygrzebawszy się trochę z pod zawaliska szlacheckiego, już niemal pod ogniem Prusaków musiał rozpoczynać, co w przewidzeniach jego instrukcyj, od dni piętnastu miało być skończone.

IX

Str. 98. W. P. « Mierosławskiemu powszechnie odmawiano talentu znania się na ludziach i używania ich stosownie do usposobienia. »

Pierwszym warunkiem dokonania czegokolwiek, jest dobranie sobie narzędzia do ręki. Nie od roku 1848 Mierosławski domyślał się wspólnie z Towarzystwem Demokratycznym, że z upadkiem powstania Listopadowego, Opatrzność zamknęła księgę dziejów szlacheckich w Polsce; że po tym straszliwym pogrzebie, Rewolucya koniecznie z innej warstwy narodu będzie musiała czerpać i moc i rozum swój; a zatem, że posługiwać się nadal w powstaniach szlachecką hierarchią, szlacheckim patryotyzmem, szlachecką ekonomią, na jedno wyjdzie co strzelać kartaczami z rury blaszanej.

A tutaj, ażeby być dobrze zrozumianym, *szlachtę* nazwać muszę, nie społeczeństwa naszego inteligencyjne wyżyny, zasługom warstw spodnich ciągle dostępne, jak by to być mogło i powinno; lecz tę osobliwą narośl *inteligencyi* narodowej, której od Rozbiorów jedynym przemysłem, jakby *pod jakąkolwiek formą dzierżawić* dziedzicznie od zabor-

ców cmentarz Polski, i opłaciwszy zeń haracz niewoli politycznej, Ojczyznę powszechną rozebrać sobie na ojczyzny prywatne, z wykluczeniem całego narodu cierpiącego i wojującego. Owóż, w tej ogromnej reszcie narodu, w różnych czasach, różnymi drogami i w rozmaitym stopniu wyzutej ze wspólnego dziedzictwa, obok czerniawy od wieków przykutej przemocą czy ciemnotą do pługa, jest drugi gmin bez więzów społecznych, bez własnego kómina, błędny, radny, ruchliwy, namiętny, któremu pilno do Ojczyzny publicznej, bo prywatnej nie ma, a przecie téż gdzieś grzać się i wypocząć musi.

Ta to warstwa kotłująca się bezimiennie jak Polska rozległa i głęboka, między szlachtą osiadłą a granitami pańszczyźnianemi, nadaje *ruch* narodowi. Jako zdetronizowana przez heroldyę Mikołajowską, pruską i austryacką, więc jedynie prawowita *szlachta*, ona, a nie chorobliwie konserwatywna narośl Rozbiorów co ją ugniata, pragnie Polski całym zapasem zdrowia i zemsty uskarbionej od stulecia. Ona to, a nie pogrobowa przywalina jej praw i spuścizny, od stulecia tłucze się na cholewach o głodnej nadziei, po konfederacyach Barskich, po obozach Kościuszkowskich, po Napoleońskich legionach, po bojowiskach Listopadowych, po emigracyjnych przepaściach, po barykadach całej Europy. Ją téż, a nie swojej

heroldyi lenników, Mikołaj daremnie wytepić usiłował — a daremnie, bo Bieda, najpłodniejsza z matek, rodzi ją i nieskończenie rozradza. W sensie tedy patryotycznego rewolucjonizmu, ma Polska swój *stan-średni*, od konstytucyi 3go Maja, ani od kart ratuszowych początku swojego wywodzić nie potrzebujący; a co raz ogromniejszy, a co raz bardziej niewyczerpalny, co klęska bardziej niezwyczęzony, bo jakby procentem od procentu wszystkich bankrutctw zwierzchnich mnożący się. Ale ponieważ jedynie powstań statystyką i policją jest ujęty, a w kraju powstania rzadkie jak komety, przeto wyjąwszy na emigracyi, gdzie, jako w nieustającej insurrekcyi śmiało czuje się u siebie, w powierzchownych dziejach narodu zaledwie znać go i słychać. Owóż, zapomocą wytryskowego prądu powstania, wpuścić tylko do tego koła rycerskiego wszystkie ludu napływy, a niezmierna szerzyzna naszego azyatycko-europejskiego między-morza pofali się jednolitem gminowładztwem, o jakim w całych dziejach chrześcijaństwa jeszcze słyhać nie było. Zaczem edukacja powstańcza, edukacja armatnia, jedyna przystająca do ich rozumu, wydzwignie tłumy rolnicze do dostojenstwa obywatelskiego, co własną tych tłumów gimnastyką nie nastąpi, bo człowiek sam siebie nosić nie może, cała Rewolucyi polskiej otucha

w tym drugim proletaryacie, przebiegłym jak szlachcic, łakącym jak chłop, odważnym za obudwu, ale którego największa ztąd potęga że nie jest ograniczony ani w ilości, ani w definicyi swojej, bo jest *tem wszystkim*, co tylko do dwóch warstw sąsiednich ściśle a ciągle nie należy, tem wszystkim co już i co jeszcze nie jest martwością w narodzie. W zastępstwie nazwy właściwej dla tej funkcyi narodowej, której rzeczywiście ani klasą, ani pokoleniem, ani plemieniem osobnem mianować nie można, nawyknęto kochać ją i nienawidzić pod firmą *Demokracji*.

W tymto żywiole nieśmiertelnie wypełniającym czysćciec Polski, Rewolucya czerpać musi materyał do wstępnego wcielenia swojego, bo osiadła szlachta już dla niej popiołem, a chłop jeszcze zagrzebany w głębinach kopalni, nie rozczyniony, że tak powiem, do jej potrzeby. A i tego żywiołu, powtarzamy, nie cała massa równie leży pod ręką Rewolucyi. Jakoż, jedną jej trzecią pochłaniają sybiry i szeregi zaborcze; drugą trzecią unieruchomiają w kraju ucisk i nędza; dopiero część najlotniejsza, parująca za najmniejszym wstrząśnieniem peryodycznie a nieustannie pod formą *emigracyi*, dogodnym i bezpośrednim stać się może konduktorem dla patryotyzmu jakiego wymagają dzieje nowe. Ale znowu, za lada zetknięciem się Emigracyi z krajem, cała miejscowa re-

wolucyjność w nią wsiąka; tak, że emigracya a patryotyzm krajowy są tylko dwoma różnemi momentami jednej i tej samej rewolucyjności, przez antycypację, proroczo, zwanej Demokracją.

To wszystko dobrze zważywszy, pierwszą Mierosławskiego przezornością, nie czekając roku 1848, ale jak tylko wprzągnął się do sprzysiężenia, było sprowadzić do kraju wypróbowanych pomocników, z rycersko-rewolucyjnego zakonu zwanego Emigracją; nie żeby w kraju samym nie było już komu wojować, broń boże! ale tą razą wojna miała się zacząć od zapalenia miny pod ciemiężcami; zaś ażeby zejść do studni minowej, trza dobrać ochotników bez ojczyzny prywatnej, bez tórnistrów, bez manatek żadnych. Emigracya, która nie czem jest jak najczystsza, najswobodniejsza a nieustającą manifestacją rewolucyjności narodowej, jedna dostarczyć mogła rzemieślników specjalnych do przodkowania powstaniu, i do takiego spowinowacenia się z demokratyzmem krajowym, ażeby zaraz potem wspólnie z tym drugim dźwigać tłumy rolnicze do wojującego obywatelstwa. Innego mechanizmu powstańczego w Polsce nikt nie wymyśli, bo jak już powiedziałem, Emigracya nie jest żadnym wyjątkiem w narodzie, lecz organem, zmysłem przez osobliwe potrzeby narodowego męczeństwa, od czasu Roz-

biorów wyrabianym, i przez każdą klęskę nową zaostrzanym.

W tem wszystkim, szlachty osiadłej funkcją, jeżeli jakiej podjąć się chce szczerze, byłoby dostarczać paliwa Demokracji wojującej, ale się do użycia takowego jak najmniej wtrącać. Na przykład, Jędrzeja Moraczewskiego funkcją wcale nie-dopełnioną w ruchawce 1848 roku było, wedle własnych jego przyrzeczeń, dostarczyć drukarni polowej dla głównej - kwatery, nie zaś rozpisywać uboczne proklamacye i rozsądzać procesa strategiczne. Na przykład, funkcją równie nie dopełnioną właścicieli Poznańskich w tejże ruchawce, było opatrzyć bronią i ryszunkiem, pod formą straży bezpieczeństwa zmobilizować i na każde skinięcie dowódcy półowego w pogotowiu trzymać całą swoją klientelę ekonomiczną; nie zaś takową w polu dowodzić, a za nią gadać na sejmikach i kongresach pacyfikacyjnych. Jeżeli Jędrzej Moraczewski ten rozkład obowiązków wedle stanowiska i narowów społecznych każdej zbiorowości, nazwał używaniem ludzi stosownie do ich usposobienia, to zgoda; ależ Mierosławskinie co innego czynił, zwywając do kierowania Demokracją wojującą wypróbowanych pionierów, a *szlachtę* ile możliwości obsyłając do magazynów i do pociągu, gdzie jeszcze cichuteńko, pożytecznie i błogosła-

wiona, zakończyć by mogła swój żywot historyczny w Polsce zmartwychwstającej.

Wszakże nie dość było Mierosławskiemu poznać się na tem usposobieniu szlacheckich polskiej, ale trzeba było przede wszystkim, ażeby się ona sama do niego poczuła ; boć nie Mierosławski wypuścił jej cmentarz polski w dzierzawę wieczystą, nie Mierosławski zatem mógł ją od takowej grzeczną prośbą odsadzić. A owszem, z tej wychodząc zasady, że wszystko ma i że wszystko trzyma, szlachecka perswaduje sobie statecznie, że wszystko umie i że wszystko może. Nadaremnie też Mierosławski przeznaczył wszystkie urzęda rewolucyjne bądź Łokietkom, którzy po trzykroć musieli ze szlachciców zostać emigrantami, ażeby zrozumieć legendę utraconego raju i co to jest Ojczyzna publiczna ; bądź wolnym od ojczyzny prywatnej krajowcom. Daremnie, bo dyplomacya patriotyzmu szlacheckiego bądź z Berlina zaraz, bądź z Poznania, a nareszcie z samychże obozów, odganiała natrętnych przybyszów. Tym trybem, straconym został dla sprawy publicznej nie tylko ktokolwiek na progu ojczystym nie ubiegł reakcyi szlacheckiej pilnie za pruską kroczącą, ale i każdy co dostawszy się z wielkim mozołem do czynu, nie zdobył sobie w nim przemożnego stanowiska po nad krakaniem parafiańszczyzny. Wprawdzie, drugi wydział rewolucyjności naro-

dowej, ta ruchliwa demokracja krajowa, co pod firmą Moabitów i strzelców, hegire zmartwychwstania Polskiego datuje od marszu z Miłosławia do Wrześni, w połowie przynajmniej wyreczyć mogła i wyreczyła rzeczywiście niedopuszczanych do Mierosławskiego współtułaczy. Ale jakże wytrwałego a ostrożnego sporu na to trzeba było, ażeby *bez galicyady*, bo takie było zadanie, uszykować w dziejach powstania ten nowy żywioł obok szlacheckiej niechęcej mu miejsca ustąpić? Dopieroż dech pruskich armat wiejąc przykro pod Miłosławiem, wydzielił ważne ziarna od starego pyłu; a choć i tamtych nie dużo zostawił, dość przecie na zasiew do następnego kiedyś żniwa.

Aż dotąd, niedziw że wszystko Mierosławskiemu kruszyło się w palcach; że na nic i na nikogo liczyć nie mógł; że już nie mówię rozkazy jego, ale niemal zamiary wszystkie odwodzone bywały pod koło młyna szlacheckiego i dyplomacyi parafialnej. Póki uporem i rezygnacją, do pojęcia których zmysłu czcigodnemu opowiadaczowi *Wypadków Poznańskich* zabrakło, garstka pomocników Mierosławskiego nie znużyła, nie zdesperowała parafii, daremnie biedni grzebali się w szlamie kontrarewolucyi, feldjegrując niemocy i ciskając groch o ścianę. Gdyby się był J. Moraczewski zapytał wprzód Alexandra, co to było

sekundować Mierosławskiemu w tej kokoszej wojnie przeciw wszystkim sztabom, komitetom, konsultacyom, deputacyom i protestacyom szlacheckichy poznańskiej, pewnieby tak lekce nie ważył adjutantskiej pańszczyzny. Dopiero po udaremnieniu w Witaszycach intryg Willisena i Stefańskiego, po przegadaniu polityki pacyfikacyjno-szlacheckiej jaką te intrygi wyrażały, po zmuszeniu W. Ks. Poznańskiego do abdykowania na rzecz drobnej jak pielgrzymie koczowisko Polski, ale Polski; wtedy dopiero można było przystąpić do owego uzdrowienia hierarchii obozowej, bez którego J. Moraczewski musiałby był książeczkę swoją zakończyć na str. 108.

Jeżeli nie na kulig przypasano szablę, naglącą było koniecznością pozbyć się kreatur komitetowych, co pod pozorem hetmanienia, sztabowania i gospodarowania w powstaniu, zawiązały między sobą konfederacyę, ażeby takowego nie dopuścić. Z czterech wojewodów, którzy z ramienia Komitetu rozebrali między siebie prawy brzeg Warty, jak przed czasami Popielowemi, z jednym tylko Białoskórskim można było, jeżeli nie wielkie rzeczy przedsięwziąć, to przynajmniej o zwyczajnych się dogadać. Mierosławski rachując na zażyłość swoją z tym dawnym żołnierzem, spodziewał się od niego zacząć zamierzoną epuracyę. Zauważyć tu należy, że w początkowym zamiarze wkrocze-

nia do *kongresówki*, obóz Pleszewski stanowił naszą awangardę na progu do Kalisza; niezmiernie szło zatem Mierosławskiemu o ujęcie tego oddziału komendantem swojego wyboru. To też zaprosił wcześniej Białoskórskiego, ażeby komendę Pleszewską złożył pułkownikowi Oborskiemu, pozostając prawą ręką tego męża, w obecnej sprawie niezrównanego zasługami, abnegacją i doświadczeniem; zarazem cały praktyczny mechanizm obozu porucił emigrantom wyprawionym wcześniej do Pleszewa, a szlachtę miejscową zaklął, ażeby rządy swoje uskromniła do straży bezpieczeństwa i dostaw wszelkiego rodzaju. Nie zawiśle od swojej doniosłości strategicznej, taki początek byłby może przeciał wszystkie supły parafianšczyzny południowej w Księstwie, i nietylko rozpętał Rewolucję w tych stronach, ale nadto dostarczył Mierosławskiemu nieodpartego antecedensu do rozwiązania wszystkich innych paszalików szlacheckich.

Tymczasem w Miłosławiu, Stanisław Poniński, niepospolitych zdolności i wielkiego serca emigrant, przydany został na dozorcę i wyręczyciela Brzezańskiemu; z Książa zaś, z okazji ostatniego między Budziszewskim a Stefańskim spisku, udało się Mierosławskiemu prędzej niż się spodziewał oddalić przewrotnego dowódcę, a zastąpić go nieśmiertelnej pamięci Dąbrowskim i orsza-

kiem wypróbowanych pomocników. Rozegnanie sztabu Nowo-Miejskiego musiano odłożyć na sam koniec; bo tam, ani perswazyja, ani dozór, ani prośby, tylko przykład już wszędzie indziej tryumfującej Rewolucyi pokonać mógł, bez gali-cyady, wstręt tych patryotów do Mierosławskiego za jego Berlińskie niegodziwości.

Nareszcie, ażeby na wskrós uzdrowić przynajmniej kadry, przynajmniej jądro powstania, Mierosławski jednym zachodem wezwał do głównej kwatery z każdego obozu po dwóch delegowanych, piechoty i jazdy instruktorów. Przy ich pomocy w 48iu godzinach sporządzono listę niższych officerów, z wyłączeniem, ile się dało, amatorów, psotników i samozwańców wszelkiego pochodzenia. Ta komissya, złożona i obradująca już pod wrażeniem powszechnego przeciwko szlachetczyzmowi, Komitetowi i parafianńczyźnie oburzenia, wynagrodziła gorzkie trudy Mierosławskiego zupełną przychylnością. Na dziewięciu członków składających ją, dwóch było tylko mal-kontentów: Brzezański i Kosiński. Wszakże i ci, przemożeni gwałtownością potrzeby publicznej, zdobyli się tą razą na chwalebna wyrozumiałość, szykany swoje odkładając do swobodniejszej pory.

Zresztą, ta epuracya podrzędnej hierarchii liniowej nie mogła napotkać znacznych przeszkód;

bo pańszczyznę szeregową, szlachta miejscowa chętnie odstępowała mnichom i kapralom Rewolucyi. Ale też ostatecznie niewiele znaczyła, dopóki usunięci z szeregów panicze, parlamentarze, feldjegry, partyzanci, wojażerowie, pewne a wygodniejsze zachowywali schronienie w sztabach dowódców obozowych. Tych to ostatnich trzeba było pozmieniać, a w tem był jeszcze sęk nieprzeparty, mimo znacznej już przewagi, jaką po scenie Witaszyckiej wola Mierosławskiego zyskała między officerami wszystkich obozów. Albowiem punkt oparcia dowódców obozowych, jak już kilka razy powiedziano, leżał zupełnie po za obozami, w rozległym, w niezwyrodnym prowincjonalizmie, który do wspólni z Prusakami naszą zbrojną biedę zewsząd obsaczał i nurtował.

I tak, Białoskórski, już opętany przez wpływy miejscowe, nie chciał zdać komendy Oborskiemu; a że dotąd nie było wyraźnie o co się do niego przyczepić, musiał się Mierosławski zadowolnić obietnicą przyjaznego posłuszeństwa; chociaż się nie mógł pozbyć przeczucia, że ten waleczny, serdeczny, lubiony, ale zawistościami prywatnemi zawojowany poczciwiec, mimowiednie jaką psotę okrutną sobie i sprawie publicznej wyrządzi.

W Miłosławiu, nieustanne chodzenie emigrantów naokoło Brzezańszczyzny, potrafiło udaremnić co niezgrabniejsze jej podstępny; ale to było jeszcze

pasowanie się moralne, nie tryumf żaden. Już powiedziano, że w Nowem-Mieście nie nadeszła pora zaczepienia na ostro wszechmocnego tam rokoszu, z którym też przekomarzać się było daremnym wydatkiem czasu i żółci. Ostatecznie tedy, w jednym tylko Książu Mierosławski zdążył przed bojem postawić komendę swojego wyboru, komendę na którą jak na bicie własnego serca mógł rachować. Wszędzie indziej miał partyę, miał przyjaciół, miał druhow do nierozwiązalnego ze szlacheckimi sztabami turnieju ; wreszcie znalazłby był może liktorów strasznych jak boża zemsta, gdyby się goła zemsta na co Bogu i Polsce przydać mogła; ale *nie zdążył* osiąść stanowiska, z którego by spokojnie i odpowiedzialnie potrafił obracać tą nawet garstką towarzyszków, jakiej mu głupota i zawisć parafialna wykraść z ręki nie zdołały.

Ten zastęp zbiorkowy, szczupły, sam jeszcze nie wiedzący jak się nazwać, czy kadrami, czy wojskiem, czy ruchawką, jednakże mimowiednie znosił pod jedną chorągiew, ze wszystkich warstw i ze wszystkich stron Polski, najprzedniejsze próbki zasiewu rewolucyjnego. Fundamentem pieśmym i siecznym tego wojującego zakonu był maciek, wyrobnik wiejski i to taki, którego patryotyzm żadnemi zgoła immobiliami nie był obciążony. Do jazdy zbiegli się fornale, słudzy

dworscy, emigranci z Zaboru Rosyjskiego, karbowi, ekonomowie, i ta trocha zacnej młodzieży szlacheckiej, której dyplomacya parafialna, sztaby lub komiteta nie wywabiły jeszcze z szeregu. Broń wyborową stanowili strzelcy, około 700 w czterech obozach. Najwięcej między nimi było rzemieślników z miasteczek, ludzi lęśnych i pi-sarków, nauczycieli wiejskich i lokai, nieco też emigrantów z Kongresówki; ale co tej broni nadawało hart osobliwy, to zejście się do niej w stopniach podofficerów i podporuczników, najczynniejszych spiskowych z r. 1846. Jakoż, odtrąciwszy osiadłą i przyzwoitą szlachtę, doktorów obojga fakultetów i belletrystów, których dwa razy w tem samem życiu do ruchawki nie złapiesz, co tylko wiedziało za co w Moabcie siedziało, odnalazło się na czele sekcij i plutonów strzeleckich. Dokładnym na przykład typem tych chorążych Demokracji wojującej, na których nieomylnie, po doszczętnem spruchnieniu kory szlacheckiej, przyszłość Polski spoczywa, są cieśla Gabryelski i młynarz Essman. W okresie *propagandy*, najskuteczniejsi, bo nieodstępni gminu kaznodzieje; w okresie *spisku*, niedostrzeżeni, krzątliwi a dyskretni jak mrówki; w okresie *wojny*, sformi, trzeźwi, waleczni jak wojska liniowego ambitny sierżant, wszystko robiąc żarliwie, choć najczęściej nie w porę i miarę, do okresu *organicznego*,

czy z bliźniami czy z siwizną, przystąpią jednakże w całej młodości serca, bo jako *millenerzy* * Demokraci tryumfującej, co iżby wypocząć, doczekują się dopiero powszechnej Polaków komunii w polskim Syonie, i bez patrzenia odrzucają wszystko co nie to. Nawet przywary całej tej świerzbującej warstwy narodu, a przywar nabiera, nie przeczę, w miarę zwlekania się zmartwychwstania Ojczyzny, przywary jej nawet są wszystkie protestacją przeciwko tej zwłoce. Stworzona do ruchawki jak ryba do wody, wszędy indziej ckliwo jej, nieznośnie, nie do temperamentu. Pluszcze się więc i rzuca bez celu, między martwością chłopstwa a mielizną szlachecką, obryzgując, psując wszystko na około siebie, nienawistna porządkowi który dla niej madejowem łożem. Czując się nerwowo prawowitem potomstwem rozproszonego i zdeptanego w Rozbiorach rycerstwa, po za doraźnym kodexem bojowym, żadnego innego nie uznaje; w żadne się uprzednie dyszle wprzęgać nie dozwala; moskiewską czy najświętszego sprzysiężenia hierarchię, z równą krnąbrnością na sobie potarga. Chociaż zatem je-

* Wiadomo że *Millenerów* dwie są antipodyczne sobie sekty: dla jednej, dzień *pierwszy* tysiącnoletniej cierpliwości trwa wiecznie; dla drugiej przeciwnie, każda jutrzienka jest nieochybną wiliją wniebowstąpienia. Mowa tu oczywiście, o tych drugich millenerach.

dyna do agitacji spiskowej, do przedwskrzeszalnego rozruszania spodnich warstw narodu, żadnemi jednak rubrykami statystycznymi na jedną godzinę przed wybuchem, nawet w przybliżeniu ująć się nieda, i prócz na krwi własnej w żyłach tętnienie, na nic nikomu przed tym apelem zrozumiale nie odpowie. To też każdy samozwaniec który przed czynem wybiegnie z jej szeregów pnąc się daremnie do kierownictwa spiskowego, wychodzi zaraz na najniebezpieczniejszego, bo na najbezsilniejszego herostratę.

Ale niech no gdziekolwiek na dobre przerwie się tama, a fal upust się otworzy ku stronom obiecany, wnet słuchu nadstawia i milcząc wielkiem nadziei milczeniem, karna pojętną zbawienia karnością, zbiega się w ściśniętą kolumnę *i byle był prąd potemu*, gotowa kulę ziemską przebić na wylot. Jednak powtarzam, trza jej prądu, upustu, wylotu. Takich Gabryelskich, takich Essmanów, takich strzelców, takich Moabitów w obecnej Polsce, przychodzi dopiero szukać głęboko pod podwójnem zawaliskiem szlacheckiego przeżycia i zewnętrznego ciemństwa. Co się ich wygrzebało w kilku tygodniach z drobnego zakątka Polski, wystarcza niewątpliwie ku odgadnieniu ich rozlegle zatajonego a niewyczerpalnego pokładu. Ale nie koniec na tem; bo bez chmary wieśniaczej, nie ma na czem osiądź i czego się trzymać

ta okrasa; a jedyną, a konieczną jeszcze do tego amalgamu solą, Emigracja.

Nadto doświadczoną miłością czczę męczeństwo mojego narodu, iżbym mizernemi pochlebstwami chciał zagadywać takowe; lecz przeszedłszy wszystkie kombinacye rewolucjonizmu, różnych pomocawczy ruchawek, powiadam że skoro, co najtrudniejsza, raz wola polska dokona tej syntezy rewolucyjnej pod spodem szlachezyny, natenczas dopiero biada starym dziejom, nie w Polsce samej, ale w całym Chrześcijaństwie!

Więc jeżeli nie jako rozległy ustęp dziejów narodowych, to przynajmniej jako doświadczenie, jako specymen nowego mechanizmu powstań, ruchawka poznańska jest nieoszacowaną nauką, ile że polskie społeczeństwo jak Polska długa i szeroka, jednego wszędzie składu i układu; a jeżeli nie z jednaką rzutkością wszędzie się pojawiło, to widać winą okoliczności czasowych, i różnaitości przeszkód jakie do tego napotkało.

Nie od talentu też Mierosławskiego zależało poznać się lub nie na tak okrągłych liczbach. Nie miał czasu przebierać, i naiwnie Ignął do tych, co do niego same jako do wspólnego mianownika Ignęły; odpychał zaś z równą naiwnością wartości sprzeczne ze zrównaniem, które mu przyszło rozwiązywać. Czy zaś bardzo się pomylił w przychylnościach a wstrętach swoich, nie

śmiem powiedzieć ; to tylko pamiętam, że jakoś, z nieznacznym wyjątkiem, wszyscy którym zawierzył przed bojem, albo zginęli, albo walczyli do końca ; wszyscy znów, z którymi od lat dwóch się sprzeczał, z drobniejszym jeszcze wyjątkiem, jedni zaraz po apelu uciekli, drudzy, zapewne ażeby odebrać sobie pokusę uciekania, wcale na apel nie przyszli.

X

Od str. 48 do 91. W. P. «Napady Bonina na Odolanów, Koźmin i Raszków.»

Wiadomo, jak niechętnie Mierostawski zatwierdził w Witaszycach uboczny układ Lipskiego z Willisenem o rozsypanie obozu Pleszewskiego po powiecie Odolanowskim, gdyż było do przewidzenia, że te kupki lada dzień napadnięte zostaną zniemacka przez kordon Szląski i poniszczone; wołałby był przeto kraj posiądz samemi drugimi i trzeciemi naborami. Dopiero na przełożenie Lipskiego, że bez poręki wojska już podmustrowanego niepodobna dźwignąć południowych powiatów, a niechcąc zrażać szlachty pedanteryą, ile razy dostrzegał w niej jaką bądź po-

chopność do czynu, Mierosławski uległ; ale zarazem obecnym w Witaszycach i nazajutrz Białoskórskiemu w Pleszewie, 18go kwietnia, zapowiedział, ażeby uważali kroki wojenne za rozpoczęte. Białoskórski odebrał zaraz rozkaz, ażeby z Pleszewa przeniósł czucie swoje na Raszków, odwołując na te stanowisko, za pierwszym drgnięciem Bonina, wszystkie swoje odłamy; ażeby bój odporny pod Raszkowem wytrzymał, a potem odskoczył przez Jarocin ku Nowemu-Miastu, flankowany sąsiednimi siłami Nowego-Miasta i Księża, do czego stosowne rozporządzenia wydane zostaną. Zapał, ochoczość, z jaką po przeglądzie obozu Białoskórski przyjął to zlecenie i takowe w przytomności Mierosławskiego wykonywać zaczął, nie dozwoliły temu ostatniemu powątpiewać o dobrej wierze podwładnego i przyjaciela. Za powrotem przeto do głównej-kwatery, Mierosławski zajął się stanowczo przygotowaniem wojny odporno-zaczepnej, i w dniach 20, 21, 22 i 23go Kwietnia wypracował onej programat, trapiiony, żgany raportami o napadach Bonina na Odolanów i Koźmin. Przedwstępny aktem tego programu, którego całe rozwinięcie niżej się wyjaśni, miało być przyjęcie boju przez każdego dowódcę, na stanowisku jakie mu przepisywały konwencye Jarosławiecka i Witaszycka; dla Białoskórskiego więc, na stanowisku Raszkowa.

Ale kiedy Mierosławski do tego porozumienia plan cały naciąga, Białoskórski niespodzianie a wiarotomnie przechodzi pod zarządy Komitetu, który wypadkiem narady Witaszyckiej aż do zupełnego obłąkania przerażony, wszystkim dowódcom tem mętniejsze, tem przeciwniejsze rozporządzeniom Mierosławskiego polecenia kontynuował wydawać. 25go Kwietnia, późno w wieczór, przypada do głównej-kwatery wieść, że zamiast stawić czoło Boninowi pod Raszkowem ze ściągniętymi z trzech powiatów południowych siłami, do czego przecie potyczki Odolanowska i Koźmińska wyborań dały mu przestrożę, Białoskórski uznając się rozgrzeszonym przez psotny i nikczemny kontra-rozkaz Komitetu Poznańskiego, odbiegł stanowiska i za sobą porzucił kompanię podchorążych, która z namowy Jana Koźmiana została się cała w rękach nieprzyjaciela.*

Następujący rozkaz dzienny zaskarżył obozom tę pierwszą katastrofę :

Wypis z Aktów Obozu Książkiego.

Wojsko Polskie.

Stab Główny.

ROZKAZ DZIENNY.

W skutek wiarotomnych napaści wymierzonych na Dolsk, Gostyń, Koźmin, Odolanów, i t. p. wydany był rozkaz do

* Obacz przypisek, na końcu książki, o tem zdarzeniu.

wszystkich dowódców obozów, pod datą 23go bieżącego miesiąca, iżby każdy obarykadował się na stanowisku swoim, krokiem w tył nie ustąpił i wojną na wojnę odpowiedział. Poszczególne dowódcy Białoskórskiemu nakazanem było bronić się do upadłego w Raszkowie, innym zaś dowódcom mieć do niego nieustanne czucie i dawać pomoc na każde zawołanie. Rozkaz ten wszędzie już wchodził w wykonanie, kiedy w nocy z 24go na 25ty b. m., o godzinie 1szej, nadeszło wprost do dowódcy Pleszewskiego rozporządzenie przeciwne od Komitetu Narodowego Centralnego, wyrażone jak następuje :

» DO OBYWATELA BIAŁOSKÓRSKIEGO,

» Z depeszy Obywatela do generała Colomba przesłanej, dowiedzieliśmy się, że pułkownik pruski Bonin żąda koniecznie opuszczenia Raszkowa przez nasze zakłady zajętego. Jak w ogólności gorąco pragniemy aby konwencya w Jarosławcu zawarta jak najskrupulatniej przez nas dotrzymaną została, tak w szczególności nie uważamy, aby nam wolno było o posiadanie Raszkowa wojnę rozpocząć. Wzywamy więc obywatela, abyś w razie konieczności cofnął się do miejsca w którym spokojnie rozłożyć się możesz, a w tym względzie porozumienie się z pułkownikiem Boninem zdaje się być najskuteczniejszem. Zakomunikowana depesza do Generała Colomba wręczoną mu będzie o godzinie 4ej, po jego do Poznania powrocie.

» Poznań, dnia 24go Kwietnia 1848.

» DO INSPEKTORA JENERALNEGO SIŁY ZBROJNEJ NARODOWEJ,

OBYWATELA L. MIEROSŁAWSKIEGO.

» Powyższy rozkaz do Obywatela Białoskórskiego, komu-

nikujemy ci Obywatelu w duplikacie, z tym dodatkiem, ażebyś się do niego zastósował jak najściślej.

» Poznań, dnia 24go Kwietnia, 1848, godzina 6ta w wieczór.

» Komitet Narodowy Centralny :

» (podpis.) Jarochoowski, M. Mielżyński, Szuman, Stefański, Jan Palacz, Essman, J. Moraczewski. »

Dla zaradzenia złym skutkom tego rozporządzenia, o ile to w obecnem położeniu od władzy wojskowej zależało, rozkazałem obywatelowi Białoskórskiemu, aby nie przyjmował za Raszków innego miejsca jak Pleszew, jako wskazanego na garnizon dla naszych sił przez konwencyę Jarosłowiecką.

Przy tej sposobności, sztab-główny ma sobie za obowiązek podać do pamięci i uwielbienia towarzyszy broni, męstwo i przytomność jaką obywatel Parczewski odznaczył się w potyczce Odolanowskiej.

Ten rozkaz dzienny ma być odczytany przed frontem wojska w każdym obozie.

Miłosław, dnia 25go Kwietnia 1848.

Inspektor Jeneralny Siły Narodowej.

Ludwik Mirosławski.

Tu już więc wyraźnie zaczyna się przeniecierstwo Białoskórskiego względem zamiarów powstańczych. Że jednak na teraz dowódzca Pleszewski nader wygodną znajdował ekzuzę w kon-

trarozkazie Komitetu, a zupełnie sobie szlachtę kupił tą swoją *roztropnością*, powyższe zaskarżenie przebrzmiało bez odgłosu. Rozumie się, że w obozach Nowomiejskim i Pleszewskim wcale go przed frontem nie odczytano. Brakiem tedy poparcia w opinii znowu osłupiałej pod wrażeniem napaści pruskich, Mierosławski musiał się zadowolnić zaręczeniem Białokórskiego, że mimo woli i serca ustąpił z Raszkowa, ale że od tego momentu, *poznawszy się na tchórzostwie i przewrotności panów komitetowych*, czy w Pleszewie, czy gdzie bądź władza wojskowa walczyć mu rozkaże, jej tylko będzie uległym. Czekałmyż na tę uległość.

XI

Str. 102, W. P. «W wilię bitwy Książkiej, po dwóch delegowanych z każdego obozu przybyło do głównej-kwatery, ażeby zostawić przy Mierosławskim dowództwo, a na miejsce Komitetu postawić rząd obstający za bojem; ale na przedstawienie Mierosławskiego, odstąpiono od tego drugiego zamiaru.»

To dobrze; ale nie wiedział autor *Wypadków Poznańskich* czy powiedziec nie chciał, jaką koleją obozy uzbroiły go zapóźno dowództwem, którego mu szlachta prowincjonalna tak uporczywie dotąd skąpiła.

Stałym zamiarem rozsądnych ojców rodziny w Księstwie, było Mierosławskiego odsadzić od wszystkiego, iżby bez przykrych zatargów z Prusakami powstanie rozwiązać, czyli wedle maxymy dawnego patryotyzmu, wycofnąć się z kłopotu i z honorami i tanio. Z początku, powiernicy Komitetu spodziewali się zrazić tego zarozumiałego trzpiota *ignorowaniem*, jak mawiają akademicy poznańsko-niemieccy; gubieniem jego rozkazów posyłanych, nierozumieniem tych które osobiście wręczał a zapominaniem słownie wydawanych, pytaniem o patent, którego wiedziano że nie ma; a gdy to wszystko nie pomagało, natrętną propozycją maszerowania prosto na Warszawę, przez żadne Wrześnie i Pleszewy, przez nudne wydatki, uzbrojenia, nauki, organizacje czy mustry nie przechodząc. Do tego ostatniego konceptu, obłuda kontrarewolucyjna sprzymierzyła się przechodnio z herostratyzmem wołającym o wypowiedzenie wojny na raz trzem mocarstwom, panu Bogu i sobie samym; a skoro z wypadku Witaszyckiego dostrzeżono, że silny zachętą ludu, czy własnem postanowieniem,

Mierosławski swoje ciągle kuje pomijając wszelkie szkany, sztab Nowomiejski uknuł przeciwko niemu dobitniejszy spisek, i od własnego obozu zacząć nie śmiejąc, zamierzył roznieść najprzód po trzech innych kadrach, wydany nań wyrok wygnania. Dopiero kiedy agentów tej psoty, w Książu zaraz, dokąd się na wstępną próbę udali, F, Dąbrowski przyjął jak należało*, raptem spiszek przemienił się jakoś na inwestyturę, którą Mierosławskiemu 29go kwietnia wieczorem, wręczyli samiż spiskowi Malczewski, Kosiński i Rostkowski, przez innych delegowanych do Miłosławia za poły eskortowani. Ażeby przecie cośkolwiek z pierwotnego swojego konceptu ocalić, malkontenci domagali się ażeby wodzowi dodani byli stróże, pomocnicy czy rajcy jacys, trudno mi zrozumieć co to być miało; ale co mi równie trudno zapomnieć, to że na takich ofiarowali się Kosiński i Rostkowski. Mierosławski odparł tę propozycję jako żart nieprzyzwoity, uznanie zaś urzędu swojego przyjął jako obietnicę posłuszeństwa ze strony dotychczasowych dyssydentów, jako nic więcej; bo kto go dotąd bez patentu i z czystego sprawy publicznej zamiłowania słuchał, pewnie się na to nie pytał o pozwolenie Malczewskiego, Kosińskiego i Rostkowskiego. To też

* Obacz na końcu książki przypisek o tem zawichrzeniu.

o tej nominacji, wojsko prawie nie słyssało. Dla dziejów zaś moralnych ruchawki znaczy ona, że dopiero w samą wilię boju partyaszlachecka uznała się złamaną przez wolę ludową; ale to była spowiedź bez pokuty i bez rozgrzeszenia. Jak tedy przed oną i bez onej, prawdziwi rewolucyoniści trzymali się tropów swojego herszta, tak po niej i mimo niej, prawdziwa szlachta nie przestała zatykać sobie uszu na jego rozkazy.

Podobnegoż dopełnienia potrzebuje powieść J. Moraczewskiego o abdykacji Komitetu; opowiedziawszy bowiem ostatnie drgnienie tej prokuratoryi szlachecczymu poznańskiego, kronikarz parą słowami zbył wezwanie przywiezione Mierosławskiemu przez jej delegatów do złożenia broni. A i w tych kilku słowach, pełno złej wiary.

XII

Str. 108, W. P. «Za powrotem Essmana do Miłosławia, nasłuchano się w pałacu przedstawień od wojska, i wiedziano że przy takiej propozycyi byłyby kosy w robocie.»

Co się dobrą polszczyzną ma znaczyć, że gdyby nie obawa buntu w obozie, Mierosławski byłyby

uległ sprośnemu testamentowi komitetu szlacheckiego

Owoż Essman wyprawiony był tygodniem wprzód od Mierosławskiego do Komitetu z zapowiedzią, że wszyscy dowódcy odbierają pod datą 23go, rozkaz nie cofania się więcej ani na krok, bez uporczywego boju, ze stanowisk zajętych umową Witaszycką; że zatem Komitet daremnie, jak przedtem przez Stefańskiego, teraz przez uboczne okólniki i matactwa próbuje rozwiązać sprawę, która już tylko orężnie rozwiązać się może. Essman, człowiek najzacniejszy; raz w szeregu, żołnierz karny i przytomny, ale jak Palacz Jan i w ogólności wszyscy ludowi hersztowie niezmiernie łatwowierny, tak się dał obalamucić umizgami szlacheckimi w Poznaniu, że posyłki zapomniał i zabrnął we wcale nie swoje rzeczy. Pozwolił wyłudzić sobie przez frantów komitetowych podpis na kontrarozkaz z 24go wyżej przytoczony, jako *na wniosek większości*, a którego nawet nie przeczytał. W Miłosławiu dopiero, spostrzegłszy że ów wniosek prosto do bezbojnego rozbrojenia kadrów zmierza, przysiągł, choć trochę za późno, że go więcej szlachta do swoich *większości* nie schwyli. Po takiej mimowolnej, ale nie mniej przeto szkodnej pomyłce, Essman schował się skromnie do szeregu, i przestroż nikomu dawać nie miał humoru. Postano-

wienie ogłoszone przez Mierosławskiego wojsku od dni dziesięciu, a Komitetowi od dni sześciu; postanowienie tak stateczne i rozmyślnie jak samą jego obecność w obozach; postanowienie, bez którego cała ta historia nie miałaby żadnego sensu; takie postanowienie przypisywać dopiero czyjejs przyjaźdze i szemraniu wojska, jest to bawić się w cenzórowanego, nie dzieje pisać.

«Więc po gorzkiej rozprawie ze sztabem, mówi dalej J. Moraczewski, poselstwo nawróciło sobie do Poznania.» To niejasne i niedokładne. Właściwie, spór cały owego poselstwa toczył się z samym Mierosławskim, nie ze sztabem, który chociaż obecny i jednego z Mierosławskim zdania, uważnem chyba słuchaniem i surowem wejrzeniem mu potakiwał. Al. Guttry, B. Dąbrowski i H. Ruszczewski, składający podówczas cały sztab Mierosławskiego, bez pretensyi żadnej i ściśle pojmowali swoje obowiązki. Nie grzeszyli też obyczajami sejmikowemi i nie utrudniali nigdy odpowiedzialności swojego zwierzchnika, wtrącając się do jego głosu. Zjawili się wprawdzie po nowinki albo po zlecenia, o ile pamiętam, W. Lipski i Kalksztein, St. Poniński i Brzezański; ale dwaj pierwsi nie głupi kompromitować się w tym zatargu, a dwaj drudzy nadeszli po zakończeniu takowego.

Dialog odbył się, z jednej strony, dyskretnem przymrukiwaniem Mottego, Hołłowskiego i Gryzingera na długą, uroczystą i pełną zapału perorę L. Szumana, o rzeczy nieuroczystej i niezapalczącej, bo o dekreście komitetu do złożenia broni; z drugiej zaś strony, milczącą aprobacją sztabu na odpowiedź Mierosławskiego: że postanowienie jego walczenia z kimkolwiek kto pierwszy zaczepi naszą organizację powstańczą nie dzisiejsze, więc niezłomne; że garstka ściśle z nim sprzyjęzona tem postanowieniem, nie da się bezkarnie rozbroić ani przez Prusaków, ani przez żadne komiteta; ażeby się zatem daremnie nie mozolili, i póki noc ciemna wynosili, bo za bezpieczeństwo ich osób ręczyć w pośród wojska przebudzonego taką wieścią, nikt się nie podejmuje. Poczem, poselstwo wręczyło Mierosławskiemu oplakany ów pozew większości komitetowej o złożenie broni, i skłoniwszy się odjechało.

Chyba, że J. Moraczewski sztabem mieni wszystkich amatorów, z którymi podobało się delegatom zagajać dysputę na schodach, o czem dostatecznego podania nie mam. Równie mi niewiadome jakie bądź przedstawienia od wojska, które owszem, tak mało i tak późno o tem poselstwie słyszało, że po dziś-dzień nie lada komu wyperwadujesz, ażeby komitet rzeczywiście czemś podobnem śmiał był swój dyaryusz zapieczętować.

Na pożegnanie, komitet abdykujący wzywał i kłął Mierosławskiego na miłość ojczyzny, ażeby się raczył z nim podzielić sromem bezbójnej kapitulacji; akurat jak w więzieniu, ta sama *większość*, pod innym nazwiskiem ale zawsze na miłość ojczyzny, wzywała go do podziału hańby w niemożliwych zaprzaniach; akurat jak w Jarosławcu, ta wieczna większość na wieczną miłość ojczyzny, wzywała go do kredytowania protokółów Komissyi Reorganizacyjnej; podobnie jak Brzezańszczyzna w Skąpem, wzywać go będzie do bratniego parlamentowania z Wedlem i do bratniej submissyi; tak samo jak dzisiaj kronikarze Poznańscy, chcieliby mu narzucić w zgryzotach szlachecczymu, dywidendę odpowiednią uporowi z jakim przeciwko szlachecczymowi walczył. Dziejopisarzem i filozofem był J. Moraczewski, a nie rozumiał, że te bratnie komitetu zaprosiny do solidarnego babrania na bezdrożu, nie były dla Mierosławskiego ani nowalią, ani kwitem; że zatem nie więcej potrzebował przestróg Essmana, szemrania ludu i natchnień sztabu do wypchnięcia za drzwi tego kapitulacyjnego poselstwa, jak do odmówienia swojego podpisu protokołom Komissyi Reorganizacyjnej i submissyom Brzezańszczyzny. Nie rozumiał J. Moraczewski, że takie wydzielanie się wolą i sumieniem od woli i sumienia parafialnego, było przewidziane,

nieunikalne, jak przepaść od dawna a na wieki rozwartą między kacerstwem emigracyjno-rewolucyjnym, w którym się Mierosławski wychował, a bogobojną parafią, do której go djabli przynieśli.

Bo też ażeby tę loiczność, ten prąd naturalnie unoszący Mierosławskiego w postępowaniu publicznem dostrzedz pod śmieciami anegdota prywatnych jakimi to wszystko zapruszono, nie dość było wymazać się z większości komitetowej, która mu kazała cisnąć święcone kosy pod nogi Prusakom; trzaby było nadto nie należyć do tej mniejszości, co krzyknąwszy « nie pozwalam! » uciekła do Pragi. Jednego tylko pamiętam członka mniejszości komitetowej, który zrozumiał uczciwie siebie samego: Słomczewskiego; albowiem chociaż także kawał filozofa i publicysty, przecież togę zostawił w Poznaniu i wdziawszy długie bóty, stawił się na posyłki do głównej-kwatery. A nie zginął z pierwszą depeszą jak tyle innych gołębic; ale o ile mógł, bez obserwacyj ani dodatków żadnych, dopełniwszy co mu polecono, wskrósł najprzykrzejszej ulewy zawsze trafił napowrót do wędrownego korabiu.

Mimo tak wymownego zamknięcia obrad Komitetu Poznańskiego, dla nauki potomnej raz jeszcze a z natężeniem uwagi przebieżemy wszy-

stkie stacye jego efemerycznego rozwoju ; ile że to, od epoki Rozbiorów, ciągle jedne i te same samozwaństwo szlacheckie, po wierzchu wszelkiego powstania narodowego piankujące. Nie inaczej już, choć w innych rozmiarach, Konfederacya Barska rządzoną była przez Generały ; nie inaczej, a tylko w innych rozmiarach, powstanie 1831 roku zaurzędowane zostało, jak świadczy M. Mochnacki, przez sejm konstytucyjny ; nie inaczej choć na innym gruncie, zjednoczoną Emigracyę okłamywały przez lat siedmnaście nieskończone jej komiteta Paryzkie, Bruxelskie i Londyńskie ; nie inaczej, a w tych samych akurat rozmiarach i warunkach, powstanie Galicyjskie w roku 1848 umorzone zostało przez Komitet Krakowski i Radę Lwowską.

Zkąd że ta radykalna, ta wypróbowana na wszystkie boki i we wszystkich czasach niemoc zbiorowa gospodarstw szlacheckich, w Polsce odradzającej się? Juści nie z loteryjnego nieszczęścia w dobieraniu się do ich składu samych wybraków, boć owszem, samo odważanie się na taką żeglugę takimi tratwami, raczej by niemałego poświęcenia i niemałego przemysłu było dowodem ; ale z kłamliwego trybu ich inwestytury, a doszczętnego spruchnienia materyi z której się wykrawać muszą. Jakoż, po za hie-

rarchią rycerską i urzędami czysto wykonawczymi, na których *de facto* pojedynczy szlachcic ma jeszcze dla ludu powstającego sens, powagę i legitymacyę swojego społecznego starzeństwa, wszelkie szlachty do rządów pretensye zaprzeczone jej są przez nieufność, przez żal nieutulony narodu do niej od dnia Rozbiorów. Za *szlachcicami* jakim np. Jan Mittelsztet, lud Polski jeszcze długo i wszędzie będzie szedł jak za dzisiejszym officerem i urzędnikiem, ufnie kroczy jutrzejszy officer czy urzędnik; na to łatwa zgoda. Ta nawet niezbędność powstańczych, a jedno z nią plemiennych trybunów, dla pleby ujarzmionego narodu, jest najpewniejszym ich dostojęstwa zaręczeniem przy każdym targaniu wspólnego jarzma. Pod warunkiem jednak, że w przedziałach owych wstrząśnień, swojej *leszy rycerskiej* a zatem i przywjązanego do niej trybunatu na indyjskie zemindarstwo* nie przespekulowali. Czerń kozacka, a przecie między szlachcicami polskimi szukała sobie wodzów! Obawa też szlach-

* Wiadomo że całe ekonomiczne ciemństwo Anglików w Indjach, odbywa się za pośrednictwem miejscowych *zemindarów*. Ci, na obraz i dziwne polskiej szlachty podobieństwo, przywłaszczyli sobie dziedzicznie ziemię gmin, których dawni zemindarowie byli tylko obieralnymi wójtami, a przez to, stali się w rękę Anglików statecznymi zakładnikami powszecznej kraju niewoli.

cica o gardło i mienie swoje, w obec gminu jednego z nim rodu, mimowolnem wyznaniem że swoją trybunową nietykalność z własnej winy, bo wraz z trybunową zasługą utracił. Niech bez wytchnienia imponuje się chłopom rzetelnym *szlachcicem*, to jest celującym chłopem w rozumie, w ofierze i w waleczności, a niezawodnie go żaden Szela na czele chłopów nie wyścignie. Zgoła że szlachcice, w narzeczu Demokracji wojującej, znaczyć mają jak głowa do karku zrosniętych z ludem przewodników, nie zaś upiorową *dekapitację* narodu obradującą sobie za grobem, mimo nieobradującego tołuba; samotną *inteligencję* tłukącą się jak mara po nocy ujarznienia, opodał od zgubionych zmysłów swoich.

Dta tego to *szlachty*, to jest oddzielnej, więc samozwańczej korporacji trybunów, lud Polski od wielu już pokoleń stracha się, nierozumie i nienawidzi, niby martwicy wdzierającej się «*farmazońskimi*» czarami do każdego jego wskrzeszenia, ażeby takowego przez zawiść niedopuszczyć. Wszelkie takiej szlachty *zbieranie się* w celu ustawodawczym wygląda, bo też fatalnie wychodzi na *zmowę* przeciw jeszcze nie uszlachconym warstwom społeczeństwa. Zatem, jaką bądź togą, aklamacją czy elekcyą się udrapuje, jakimi też kolwiek ludowymi wybraniami niestrawnie się nadzieje, wynikiem ostatecznym

takiej demokratycznej falsyfikacji, zawsze szlachecka klientela, koterya parafialna i kastowa, słowem sejmik konfederacki, nawet klócić się zrozumiale tylko z narodem szlacheckim sposobny, bez żadnego możliwego z massami węzła, bez wspólnego z niemi od dawna słownika. W takim oderwaniu warstwowem, najdramatyczniejsze jej uniesienia są teatralną fikcją dla ziewającego przynajmniej gminu, który słów jej ani gestów do siebie brać nie może; każda zaś jej pomyłka, każdy niedoczyn, każde wahanie się, zaraz podejrzywane o zdradę!

Ale nawet narodem szlacheckim, wszelka już w Polsce zbiorowość rządzić zapomniała; chyba więc potrafi tej przeżytej warstwy społeczeństwa wady uwydatniać i streszczać, ku odstręczeniu od niej żyjącego narodu. Oczywiście, że do spełnienia takiego mandatu, szkoda sumienności elekcyjnej, szkoda skrupułów obywatelskich, szkoda osobliwie cnot i talentów udzielnych, które się w podobnej cieczy niepowrotnie rozpuszczać muszą na korzyść by też najgłupszej przewrotności, dla tego że takowa jest tam u siebie, w swoim żywiole, na swoich śmieciach. Nie myślemy też wyjątkowo zarzucać Komitetowi Poznańskiemu nieprawego urodzenia, dowolnych jego attribucyj, nieograniczonej jego ram elastyczności, ani osobowego składu,

choćby co dzień innego, jaki z podobnej tom-boli mógł się uprzyypadkować. Jesteśmy bo przekonani że najwybredniejsza elekcya nic by lepszego, nie dla powstającego ludu zrozumiałszego i przychylniejszego nie wydała. Sądziemy nawet że poważniejsze takiego zgromadzenia posady i wydatniejsze w jego składzie znakomitości, li by się na prędsze i haniebniejsze jeszcze rozbrojenie ruchawki poznańskiej przydały. Zawdzięczajmyż dopuszczenie nas choć do Xiąży, Miłosławia i Wrześni, takiej Komitetu Poznańskiego niemocy.

Powiedzieliśmy już że Komitet Poznański nie pojawił się jako samozwaństwo osobliwe, ale jako krosta charakterowa cało-okresowej i cało-plemiennej narodu choroby. Amatorski ten zlepek indywidualności jakie się nie z opinii żadnej, lecz z temperamentu zbiegły do *Bazuru* 20 marca na pierwszą wieść o wypadkach Berlińskich, bardzo luźno nawinął na siebie w domu Mielżyńskich, a potem na Ratuszu, wszystkie słynności parafialne które się do niego z ciekawości zabłąkiwały; tak że po dziś dzień nie łatwo dochodzić kto był uczestnikiem, a kto tylko słuchaczem jego obrad. Ale ta jego właśnie zajezdna gościnność dla organów wszelkich warstw społeczeństwa i wszelkich odcieni myślowych, pójść zaraz musiała na zysk jedynej warstwy

przecząco uszeregowanej przeciw wszystkim innym.

Jakoż, żadna warstwa w ujarzmionym kraju ani wiedzieć jasno nie może czego pragnąć, ani zdolną jest wydzielać ze siebie rzetelne organa; bo taki powrót do zmysłów, a dopieroż ich zharmonizowanie, ostatniem zupełnie uwieńczeniem wszech-wyjarzmienia i wszech-uzdrowienia narodowego. Sądzić o woli narodu dobijającego się dopiero o zmysły, ze słów i gestów amatorów którzy mu w usta i w nerwy włożą, jest to samo co szukać sensu w malignowém bełkotaniu żeby największego gieniuszu. W takiej popsutej wielkości wielkiego organizmu, mikroskopiczne robactwo które go psuje, jedno ma *swoją* loikę, *swój* programat, a więc zmysły do przeprowadzenia takowego. Nie dziw też że we wszystkich zgromadzeniach schorzałego narodu, ono, a nie zawieszony rozum narodu przysyduje.

Daremnie na rozcież otwarte wrota i Bazaru, i domu Mielżyńskich, i Ratusza, zaprosiły do przekreskowania Chłapowszczyzny w jedynej osobie M. Mielżyńskiego, i najwrzaskliwszy herostratyzm w osobie Krautofera, i terroryzm komunizmu w osobie Stefańskiego, i bałagulstwo belletrystyczne w osobie Berwińskiego, i chłopów w osobie Palacza, i rzemieślników w osobie Andrzejew-

skiego, i patryotyzm kalwiński w osobie Potworskiego, i patryotyzm katolicki pod suknią kilku młodych księży, i demokratyzm szlachecki pod postacią J. Moraczewskiego, i liberalizm parlamentarny w osobie Kraszewskiego, i zacność prywatną w osobie Jarochońskiego, i rutynę konstantynowską w osobie Garczyńskiego, i romantyzm partyzancki w osobie Kościńskiego; daremnie nawet streszczenie wszechcnot powstańczych w lakonicznej osobie Alexandra Guttrego; daremnie też i wszystkie obietnice tęczowe, w szklanym posągu Libelta. To wszystko i wiele innych rzeczy, nie wiele mówiąc, mniej jeszcze myśląc, prawie się nie ruszając a wcale nie pokazując, przekreskował i roztoczył w niewidzialnych trzechwach komitetu, soliterowy korzonek Chłapowszczyzny.

A już wyżej powiedziano z kąd ta zadziwiająca nieomyślność fakcyi, w opinii pospolitej tak niepopularnej i niesmacznej. Oto z tą właśnie, że nie książkami, nie z trybuny, nie w teoryi, ale osobistą praktyką pokazała w roku 1831, jak się to wynosi nietkniętą ojczyznę prywatną choćby z najstraszniejszego pożaru ojczyzny publicznej, a po tém, jak na cud ten wymodlić sobie patent wieczysty przez Jezuitów. Bo też to jedno, nie żadne powstanie, było żywotnym zadaniem patryotyzmu szlacheckiego w latach 1846 i 1848, a

zatem to jedno, popularne czy nie, przeważać musiało wszystkie uroszczenia i zachcianki innych komitetowych patryotyzmów. Jakiż z resztą skład liczebny czy osobowy zaradzić może złemu, któremu dość jednego M. Mielżyńskiego, Adama Potockiego, albo Lubeckiego, ażeby nasiennie się osiedlić w mózdzku niemowlęcego jeszcze powstania, a takowego nigdy do samowiedzy nie dopuścić?

W Komitecie Poznańskim nie ugrzązł wprawdzie żaden emigrant, żaden mnich rewolucjonizmu, bo wszyscy niemal będąc członkami Towarzystwa Demokratycznego, a do tego wojskowymi, znaleźli zaraz schronienie w obozach, przed tą gościnną Kapuą. Ale gdyby Oborski, Floryan Dąbrowski, Mierosławski, Czapski, choćby ich trzydziestu, raz się na ten lep parafialny dało złapać, niewątpliwie by musieli odegrać do końca rolę Józefa Wysockiego w Komitecie Krakowskim, Heltmana w Radzie Lwowskiej, Lelewela w Pentarchii 1831 r. i samegoż Libelta w Komitecie Poznańskim: czyli, że na każde choćby najdobitniejsze założenie woli powstańczej, i mimo przemagającego w niej pozornie rewolucjonizmu, wszelka zbiorowość podobnego pochodzenia nie może odpowiedzieć jak tylko aktem symetrycznie kontrarewolucyjnym. Jest to nakształt [zrównania w którymby wyrazów i wartości nie tknięto,

ale parę znaków dodatnich na odjemne w ciągu rozwiązania zmieniono.

I tak, na wstępie zaraz od 20go do 23go Marca, kiedy najprostsza roztropność konserwatywna nie zdążyła się jeszcze zakraść do tego brukowego klubu, nie dopięro żeby jaki systemat dyplomatyczny nim zawładnął; kiedy więc instynktowa porywczosć stała mu za wszelki rozum stanu, a co tuż nad karkiem, za jedyną przedmiotową strategiczną, zdawało by się że co tylko mógł mieć rozumu i strategii przy narodzeniu się, natychmiast wymierzy na cytadelę. Zważmy, że inicjatorską pestką tego zgromadzenia był quasi *terro-rysto-kommunista*, Stefański, nie hrabia ani mecenas żaden, a do tego mieszczanin poznański, nie mieć w głowie i na sercu nie mogący, jeżeli co tam kiedy było, prócz owój bastylli niemieckiej, wyrychtowanej na jego kram księgarski. Oddając się bez namysłu prądowi porywającemu w téj chwili obie ludności miasta, niemiecką i polską, przy struchleniu pierwszej a wpraszaniu się jej na kolanach do braterstwa z drugą, czyż nie było zwołać do miasta kilkanaście tysięcy chłopstwa z drągami *na straż bezpieczeństwa*; potem z odurzonym tłumem Niemców pospołu, zwłaszcza z żonami i bachurami prusactwa w serdecznym zakładzie, otworzyć sobie i nakryć niby mrowiem

oniemiałą twierdzą, jak pijaka obalonego w rowie? Takiego *komitetu* nie żal by mi słuchać!

Prawda, że każda doba namysłu, postępowo-jeometrycznie uniepodobniała ten podchwyt; tak, że czwartego dnia naprzykład, udanie się takowego należałoby wliczyć do półcudów, a 28go wieczorem, za przybyciem Mierosławskiego do Poznania, i między cudami już ochoty do tego nie było. Nienawidzę junactw gołosłownych. Nie mówię też ażeby to był nawet w trzech pierwszych dniach poznańskiego wstrząśnienia zamach nieomylny; mówię tylko że był elementarny, w duchu miejscowego patryotyzmu jedyny, najwpierw przesnuć się muszący przez żyły jeżeli nie przez mózg Stefańskich, Krautoferów, Andrzejewskich i Palaczów, zbiegających się na jaki bądź hałas do Bazaru, wśród tłumu pytającego się ich: «co robić?» Wreszcie, czyby się takie zagajenie ustawodawstwa komitetowego udało lub nie, położyłoby ono odrazu na tej za-improwizowanej reprezentacji niezatartą pieczęć powstańczą, a więc mandat dla całej Polski zrozumiały i od całej dosłyszany. Innego też rodzaju inwestytury dla jakiej bądź władzy zbiorowej, w Polsce odradzającej się, żadna elekcya, akłamacya, uzurpacya czy konspiracya, póki jarzmo jarzmem, nie wymyśli.

Ale to było zbyt proste, zbyt chłopskie, zbyt

podręczne dla mieszczan od urodzenia swojego pod wieczną zmorą owych krzyżackich warowni o czym inném nie śniących. Ciekawi byli od czegoś mędrszego i dalszego swoje urządowanie zacząć, a czemś wykwintniejszym wkupić się do kompanii konserwatystów, którzy raczyli zaszczycać ich swoją poufałością. Komitet zatem na cytadelę ani już patrzy; ale za to wyprawia deputację do króla z żądaniem ażeby sam odrywał W. Księstwo Poznańskie od swojej monarchii Pruskiej, co nie tylko było dziką pretensją ze strony księgarzy, słószarzy i szlachciców, którzy przecież żadnej jeszcze bitwy nad królem Pruskim nie byli wygrali, ale nadto aktem szpetnego egoizmu parafialnego, bo przedwstępniem wydzieleniem najmniejszego z trzech Zaborów od solidarności powstańczej z resztą Rzeczy-pospolitej. Więc to traktatowa kontrarewolucya z polską kokardą i polskimi landratami, miała być fundamentem do odbudowania Polski całej, wolnej i niepodległej?

Ale co zastanowienia godne, to że nie arcybiskup, nie hrabiowie też deputacyi, najrzewniej naprzykrzali się ministrom Fryderyka Gwilhelma IVgo o tę sielankową oazis między zrewolucyjonizowanemi Niemcami a nietkniętym caratem, lecz najpieprznieszy właśnie zagorzalec komitetu, Krautofer. Wszyscy pamiętamy zapewne, jak

w Berlinie, petycyjne zabiegi tego pociesznego gorliwca powściągać musieli kontrarewolucyoniści, ażeby im rzemiosła nie zabierał i coś też przecie do zepsucia pozostawił.

Już powiedzieliśmy, że tym aktem programatycznym Komitet Poznański kontrarewolucyjnie się zdefiniował, a więc wrócić do rozsądku powstańczego nie mógł, jak przez spowiedne rozwiązanie się i oddanie bądź intendenturze i magazynierstwu, bądź szeregom kosynierskim, strzeleckim czy ułańskim co zeń jeszcze przystać do nich było godnym. Ale skoro natychmiast za przybyciem Mierosławskiego do Poznania, 28go Marca w wieczór, Komitet do tej wykupnej abdykacji się nie poczuł, daremnieby w jego dalszych krokach szukać co innego jak fatalnych wyników owej skazy pierworodnej.

Daremnie tedy, z ową wszystko studzącą i przesądającą deputacją petycyjną do Berlina, krzyżują się wysłańcy Mierosławskiego, ażeby otrąbić wszędy elementarne powstawanie, w szyku i planach z roku 1846; daremnie ta stereotypowa insurrekcyja, której dość pół słowa, sama się wyrывa na powierzchnię całej Wielkopolski i czeka tylko na herszta, którego jednomyślna jej aklamacyja już zdaje się dostatecznie zarekomendowała szlacheckiej mniejszości narodu. Komitet, tej właśnie mniejszości organ, musi odpluwać

ludowego wybrańca jako ość ze swojego gardła, i raczej wytrzymać wojnę domową z massami, które mu tym powstańczym symbolem związane z konstytucjonalizmem pruskim układy zamęczają. W sensie też tylko i akurat w rozmiarach tych układów, Komitet znosi gospodarowanie Mierosławskiego w Komissyi Wojny: «niechaj nam ten trzpiot zbiera obozy, wywołuje manifestacye, stawia parawan z kos i barykad, a z za takowego lepsze sobie wytargujemy warunki; boć kto pragnie pokoju, musi przynajmniej udawać że jest gotowym do wojny. Ale czego sobie samym tym postrachem nie wytargujemy, od tego z rezygnacyą odstąpimy, bo nam jeszcze lepiej pod najcięższem jarzmem, aniżeli w szponach szalonej ruchawki.»

Niechaj nikt jednak nie myśli że te arkana Komitetu Poznańskiego, dopiero ledwie całym ciągiem wypadków na jaw wydane, przystępnemi były podówczas dla najciekawszych nawet członków tego niewinnego zgromadzenia. Wierzę iż poczciwą a ślepą onego większość, Chłapowszczyzna oszukiwała odwracaniem argumentu: jakoby nie układy zbrojeniem się, ale przeciwnie zbrojenie się układami osłaniano, wedle zaręczeń uroczyste danych Mierosławskiemu w Berlinie, przez Deputacyę. Zdaje się że osobiście Libelt nie inaczej pojmował tę obosieczną dyplomacyę;

a ponieważ Mierosławski jedynie przez niego mógł wyrozumieć politykę Komitetu, nie podobna mu było przed wypadkiem przeczuć całego kłamstwa takowej. Mógł wprawdzie Mierosławski przewidywać że takie parlamentowanie nie wiele oszuka Prusaków, nie wiele zyszcze nam czasu i miejsca ku postawieniu obozów naszych na nogi, w obławie codzien groźniejszego na nie najazdu; ale żeby odgadnąć wskroś tajonych mu starannie szachrajstw co rzeczywiście na ich dnie się czerniło, na to musiałby był z góry i doszczętnie zwątpić o rozsądku swoich rodaków, czemby podobno także niczemu, w mieście prusactwem spętaném, nie zaradził. Powtarzam tedy, że ani przybycie Willisena do Poznania, ani pacyfikacyjne jego odezwy, ani zażyłość z tym komissarzem królewskim Tallejrandów komitetowych, ani nawet własne Mierosławskiego z nim rozmowy, na godzinę jedną powstrzymać naszych powstańczych przygotowań nie były powinny; i owszem, dodać im mogły żaru, jeżeli tylko jaka iskra rozumnego patryotyzmu tliła się jeszcze w głowach poznańskich. Wydzielenie z Komitetu *komissyi reorganizacyjnej*, celem porozumienia się niby z Prezydentem i z Kommissarzem królewskim, niczegoby także nie dowodziło przeciw powstaniu, gdyby członkowie tej komissyi do powstania ostatecznie zmierzali,

jak o tem Mierosławskiemu Libelt zdawał się samymże swoim w niej udziałem ręczyć. Byle Mierosławski do tych podstępów się nie nięszał, (jeżeli to tylko miały być podstępny) a trzymał nieustannie lont w ręku do zapalenia miny pod Prusakami, wolno było naszym parlamentarzom każdej sekundy zerwać gawędę z nieprzyjacielem, jak ją na przykład sam Mierosławski zerwał z Blumenem na mostku Winogórskim, kiedy osądził że tej komedyi dosyć.

Na nieszczęście pokazało się że dla tój szczerzej komissyi złożonej z Arcybiskupa, Brodowskiego, Gregora, Kraszewskiego, Potworowskiego, księdza Prusinowskiego, L. Szumana, Macieja Palacza, M. Mielżyńskiego i Libelta, a więc prawie z samej poprzedniej deputacyi Berlińskiej, nie te układy z Willisenem i Bauermanem były komedyą, ale przeciwnie komedyą do osłonięcia jej szlacheckiego traktatu przed podejrzliwością zbrojnego ludu, były wszystkie Mierosławskiego roboty. Mogłyż te dekoracyjne zbrojnie obowiązywać pa-cyfikacyjnych powierników Komitetu w obozach? Bynajmniej. I dla tego chór ten komite-towy, tak zgodnie kreskował we Wrześni i w Książu, 9go i 10go Kwietnia, za rozwiązaniem obozów, które ze zbiorowisk czysto *manifestacyj-nych* na widoczny już instrument powstańczy Mierosławski przerabiał.

Jednakże spełniwszy w jednym tygodniu wszystko co bez litowania osobistego bezpieczeństwa, koniecznie z centralnego punktu Poznania, po obu brzegach Warty rozporządzić mu wypadło, Mierosławski wynosi się do obozów. Libelt dopiero co wrócił ze Środy bardzo rozczarowany zgiekliwą mizerotą pierwszych naszych gromad, i usiłował wyperswadować Mierosławskiemu ażeby niemożliwego oporu z taką armią zaniechał. Niewątpliwie że przez nieodpowiedzialne usta Libelta, osobiście wszelkiego zmysłu wojennego pozbawionego, gadał tylko wstręt szlachty obozowej. Taka przestroga nie mogła Mierosławskiego od powziętego postanowienia odwieść, ile że o tej porze najwyraźniejszy nawet wstręt do wojny z Prusakami wcale nie przesądzał nierównie donioślejszego z Moskalami zapasu. Z pożegnaniem udał się przeto 7go Kwietnia na ratusz i od zgromadzonego Komitetu żądał nominacji dobitnej, mianowicie dla sztabów obozowych dobrze zrozumiałej, pod karą wielce niebezpiecznej kontradykcyi między aklamacyą ludową a parafialnemi uprzedzeniami tych panów. Ale szlachta ani potrzebująca, ani mogąca dłużej farbować się przed człowiekiem który od tego dnia wydawał jej się tylko nieznośną zawadą dla spokojnej *reorganizacyi* W. Ks. Poznańskiego pod dostatecznym jej puklerzem armat pruskich,

szlachta wręcz odmawia Mierosławskiemu swego patentu i wszelkiego uznania: «albowiem (są słowa M. Mielżyńskiego przy tém mroźnie uroczystem pożegnaniu) «albo pan istotnym je-»
 » steś wybrańcem ludu zbrojnego, to zechciej iść
 » się o tém przeświadczyć w obozach, nie tutaj;
 » albo to jest słuchowa pomyłka, a wtedy my
 » do takowej przypisywać się nie możemy.»

Jeżeli w tem dylemmie coś się więcej jak parafialna impertynencya dla natrętnego emigranta mieścić miało, może się to doprawdy znaczyło, że rozwaga Komitetu potrzebuje jeszcze zatwierdzenia aklamacyj brukowej przez aklamacyę obozową. ? Owóż wiadomo że Mierosławski przyjęty został 9go i 10go w obozach przez cały lud zbrojny, akurat jak temu dni ośm u bram Poznania: jednym i tym samym «*wodzem zmartwychwstałym*;» czemuż go za to właśnie, lenne Komitetu sztaby odepchnęły jako wroga publicznego? Bo w tej właśnie chwili zapadła zgoda między Berlińską deputacyą, przewaną za swoim powrotem do Poznania komisyją reorganizacyjną, czyli jaśniej mówiąc, między ciągle jednym i tym samym komitetem pacyfikacyjnym, a władzami pruskimi: Zbyt niestety! oczywista koalicya polsko-pruskiego konserwatyzmu, przeciw wszelkim usiłowaniom powstańczym Mierosławskiego i jego przyjaciół.

Żeby tam za lat sto i mimo zżymania się wszystkich parafialnych tego okresu dziejo-malarzy, nikt inaczej nie pojmie i nie nazwie umowy zaszłej 10go Kwietnia w Poznaniu między pełnomocnikami szlachty Wielkopolskiej a pełnomocnikami króla Pruskiego, po obrachowanym wydaleniu Mierosławskiego do obozów. A nie uda się wcale wytłómaczyć tej kapitulacyi w sensie pożądanego dla niedojrzałych uzbrojeń naszych majaczenia, jak o tem nieraz była mowa między Libeltem a Mierosławskim. Pamiętajmy że Komitet, jednego właśnie tylko Mierosławskiego się strzegąc, wyścignął go tajemnie przez swoich agentów pacyfikacyjnych w Środzie, Książu i Wrześni, ażeby z góry przekreśkować swojemi szlacheckimi sztabami, powstanie które chłopci okrzykiwali witaniem *zmarłych wodza*. Nie ma zatem ani lenistwa, ani dwóznaczości, ani wahania się żadnego w wojnie domowej na jaką się Komitet odważył 10go i 11go kwietnia pod tarczą armii Colomba. Rzeczą dzisiaj dla każdego dotykalszą, że gdyby w samym już Jarosławcu nie było się Mierosławskiemu udało wytargować na wyrozumiałości Willisena, czém do praktyczniejszej jeszcze potęgi podnieść bez boju nasze uzbrojenie, to co Komisya Reorganizacyjna ze swojej strony wytargowała, pewnieby Ks. Poznańskiego od sromoty

bratobójstw nie uratowało. Tak tedy, zawiść parafialna, konserwatywny upór i dyplomatyczne złudzenia szlachty Wielkopolskiej, na taką już ją przepaść w trzech tygodniach napały, że ocalenie jej szyj od hajdamackiego powroza a jej dworów od herostratowej pożogi, zawisło na włosku hazardownego dialogu między dwoma ludźmi, którzy z czterdziestu czterech powodów, mogli byli się w Jarosławcu o tej godzinie nie spotkać, albo i spotkawszy, nie dogadać !

Są, wiem, nieodpowiedzialni tych wypadków diletanci, którym się z późna i z daleka widzi, że by się było obyło bez zawieszenia broni w Jarosławcu; to jest, że Mierosławskiemu należało, bez oglądania się na ugody za jego plecami zawarte, przyjąć raczej przeciw armii Colomba bitwę nie wiem z czem ? A mówię, nie wiem z czém, bo już we wiliję, tę samą propozycję niedwóznaczenie odrzuciły przed delegatami Komitetu jednomyślne niemal wota officerstwa Xiążkiego i Wrzesieńskiego. Dopuszczyć tedy 11go Kwietnia ataku pruskiego na garstkę Szredzką, której pewnie nie Garczyński i Budziszewski przybyli by w pomoc, dopuścić jednego tylko wystrzału przy tak napiętym żalu i nieufności chłopstwa do szlachty, było to pierwsze skazać na bezbojną rozsypkę, a drugą na doszczętne zdeptanie w terrorycznym zamęcie takowej.

Nawet, gdyby zamiast kreskować za swoim Komitetem przeciw Mierosławskiemu, szlachta obozowa była się w zamiary tego ludowego wybrańca wgadła, nie pod Środą to, i nie z armią Colomba przyjąć miało do rozprawy. O tej porze wahania się jeszcze i trwogi moskiewskiej za Prosną, wszystkie przygotowania nasze w tę stronę były wymierzone; więc byle szlachta obozowa broni nie składała, a jej Komitet się do rozpędzenia naszych uzbrojeń Bauermanowi i Williselowi nie zobowiązywał, mogliśmy bez żalu, bez kłótni nawet czy z Prusakami czy z Komitetem, wynieść się z ich *Wgo Ks. Poznańskiego* na wcale inne pola. Ale po temu powtarzam, potrzeba było tego właśnie akurat, przeciw czemu szlachta obozowa z furją 9go i 10go Kwietnia głosowała, a jej wierny komitet w Poznaniu, jednocześnie walnym traktatem protestował: potrzeba było uznania niedoszłych planów i niedoszęłego dowódcy z r. 1846. Chłop zaś tak daleko nie patrzył.

Myśl wydarcia parafialnemu zacieśnieniu i parafialnej jałowości, szczepu czy pestki do zapłodnienia powstania narodowego za Prosną, myśl tak złożona, wprost do namiętności ludu poznańskiego trafić nie mogła; bo lud Wielkopolski moskiewskiego ciemniactwa wcale nie czuł, więc nie znał. Cały jego patryotyzm polegał na elementarnej nienawiści do Niemca, cały zaś jego spryt

polityczny, na podejrzewaniu patryotyzmu szlacheckiego. Ażeby zatem zwierzokrzewny ten patryotyzm *zmobilizować*, najprzód ze wsi do powiatu wyrwać, po tém z powiatu do obozu, a z obozu nareszcie za Prosnę, choć w jakimś ale wyborowym procencie za trzy tygodnie wygonić, niezbędném było Mierosławskiemu, od początku do końca pojętliwe a uległe pośrednictwo całej *intelligencji* miejscowej, to jest: myślenie, mówienie, działanie takowej, karnie i gorliwie, w kierunku zamiarami roku 1846 wytkniętym. Skoroż ta *intelligencya*, za lud w regionach wyższego i dalszego patryotyzmu myśleć obowiązana, nie dopiero planom z roku 1846, ale nawet powiatowemu mass patryotyzmowi nie sprostała; skoro wszystko co Mierosławskiemu stanąć miało do boku i do pomocy by lud poruszyć w tym czy owym kierunku, 11go Kwietnia stanęło do boku i do pomocy armatom Colomba, by rozbroić lud a oślawić jego wybrańca, ten wtedy znalazł się sam na sam z ludem, to jest z maczugą Szeli zamiast szabli w rękę. Jeżeli zaś Mierosławskiemu udało się tę kainową buławę, tyle mu razy przez romantyków rewolucyjnych zalecaną i zazdrozczoną, na skromniejszą, kosami Miłosławia i Wrześni przestругać, niechże szlachta Wielkopolska tegonie zawdzięcza swojej przeciw niemu konfederacyi. Odmawiając mu albowiem swojego

uznania na wodza, opuszczała go nieodpowiedzialnym hersztem bezhierarchicznej tłuszczy.

Z tak elementarnego, że tak powiem, instrumentu, osamotnionemu hersztowi, ten li ton wydobyć nie sztuka, na jaki go nastraja bieżąca pas-sya słuchaczy; wiadomo zaś jakim to tonem jednostajnym a przeraźliwym odzywały się od tej fatalnej 11go Kwietnia daty, kupy mające się za zdradzone w osobie swojego herszta przez szlachtę! Dla tego téż i z hersztem wcale na Szczęść nie stworzonym, lud dopóty dogadać się na czysto nie potrafił, dopóki przez trzy następne tygodnie obozowej edukacyi nie uzacnił się i opuszczając go szlachciców intelligencyę, rycerską intelligencyą emigrantów i Moabitów sobie nie zastąpił; dopóki za tem nowem pośrednictwem hierarchicznym, do trzeźwych zmysłów przywrócony, znowu swojego *zmartwychwstałego wodza*, w błyskawicach armatnich nie poznał.

Jeżeli tedy Bóg na trudy nasze nie zesłał łaski wszechnarodowego powstania, z tą przynajmniej zasługą staniemy przed Jego sądem, żeśmy pożar domowy już zatłony igraszką szlachetczyzmu, zegnali na zniczowy ołtarz bojowisk. Czyż te przynajmniej stróżów ogniowych czuwanie, Komitet przez kraty najazdu pruskiego dostrzeże i uzna? bynajmniej! Zamiast się upamiętać, ułaskawić zdobytymi w przysypce układów jego obozami,

nie mógł przebaczyć Mierosławskiemu tych właśnie czterech piorunnych konduktorów, pod chmurami szelizmu, sterczących. Więc zamiast mu pomagać w nabijaniu na nie całej elektryczności ludowej, iżby choć na Prusakach odegrać się z gromu już na Moskwę zwietrzałego, Komitet, dobrowolny gubernatora poznańskiego zakładnik, z tego swojego schronienia chmury drażni, wyzywa, exasperuje, stróża swoją szlachtą szczuje, konduktory zaś prusactwem oblepia a własną zawzięcią obala. Mówmy lepiej bez fajerwerków: Komitet przez trzy te nowe od 11go Kwietnia tygodnie, niczem nie zajęty jak niszczeniem wyrosłych wbrew jego przewidzeniom uzbrojeń, podkopuje je głodem, groźbą i klątwą, mami Willisenem, a tymczasem nakrywa Boninem, Brandtem, Wedlem i na Moskwę strąca: sam nietykalny w psotnej szkodliwości swojej, za ową gęstwiną bagnetów cudzych i za cudzemi wałami Poznania. Aż na domiar urągania, herostratowe jego deputacye przychodzą z pianą na ustach pytać się Mierosławskiego dla czego « *taką mając* » władzę, środków rewolucyjnych przeciw Prusom kom dotąd nieużył, a tylko mustrą lud męczy » i demoralizuje? » a jeszcze radykalniejsze, w desperackiem jakoby przejeździe do Niemiec: » dla czego *taką mając władzę*, bruźdzącego mu » komitetu *bagnetami* nie rozpędza, Polsce zaś ca-

» łój w granicach 1772go roku, powstawać nie » nakazuje? »

Z tego wszystkiego atoli, wnosić nie wypada ażeby Komitet być potrzebował jaką przewrotną potęgą, jakim sprzysiężeniem wehemicznem systematycznie ową domową wojnę podżegającym. Sam owszem wypadek armistycyi Jarosławieckiej tak go na pozór poróżnił i rozprzął, że nie o każdej godzinie wydobyć zeń można było trzy podpisy, koniecznie obowiązujące jego postanowienia, chociaż każdy jego ubytek jakimś świeżym gorliwcem co dzień się nagradzał. Obie jego ostateczności niby się nawet z widowni usunęły. Libelt samowolny bannita, wygnał się z jakąś pokutną missyą do Berlina, jak zawsze spowiadając się za wszystkich grzeszników z win których był tylko spowiednikiem. Przez pojedyńkową jakoby téż delikatność, Maciej Mielżyński na urzędowe posiedzenia się nie stawiał. Pokażny tedy i parafujący skład Komitetu zredukował się do biernych poczciwości których nikt posądzić nie mógł o świadome rozbieranie czegokolwiek, ani o świadome gaszenie niczyjego ognia; ale których dla tego właśnie, pieczęć bezmyślna była ciągle na posyłkach wszystko rozbierającej i wszystko gaszącej Chłapowszczyzny. Tej utajonej prusko-poznańskiego konserwatyzmu sprężynie, wystarczał na

wykonawczego plenipotentą, jeden Maciej Mielżyński. Temu znowu, aż za wiele było jednego merkurego jak Stefański, do grzeszenia za cały Komitet, więc téż i za całą szlachtę Wielkopolską, której juści Komitet był niezaprzeczoną śmiałką.

Do takiej bo zawsze sprężystości prostują się w swojej wypadkowej, żeby najliczniejsze reprezentacye w których jedna tylko osoba, w niemem porozumieniu z ich klientami, wie dobrze jakiego złego chce i do jakiej szkody dąży. Najopłakańszym téż dowodem takiej li do psot kontrarewolucyjnych wszechwładnej prokuratury, w szlacheckich sejmach, komitetach czy konwencyach (bo wodę jak chcesz warz i przezywaj, zawsze będzie woda), to właśnie takich Libeltów, Jarochońskich i Jędrzejów Moraczewskich daremne później zapieranie się tyla trucizn, przemycanych ongi pod ich szanowną kopertą.

Pocziwy autor *Wypadków Poznańskich* radby sumieniu swemu wyperswadować, że Komitet do któregooby z wielą innymi zacnymi obywatelami i należał i nie należał, oszukiwany był przez Willisena; że tego znowu jako przechodnie narzędzie swojej perfidy, oszukiwał dwór Berliński; tak, że oszukiwany Komitet na serio biorąc obozy ocalone od napaści Colomba za kadre rekrucką do obiecaney mu dywizyi Poznańskiej, miał prawo i

obowiązek wybrania sobie do tak paradnej formacji właściwszego niż Mierosławski instruktora. Owóż, my odpowiadamy, że to te właśnie oszukiwania się uporeczywe nie swoim, lecz niepodległości narodowej kosztem, stanowi grzech radykalny szlachty polskiej i wszech jej delegacyj: ową nieuleczoną ślepo-głuchotę co ją od wszelkiego udziału w polityce ludowego odrodzenia, wszędy i na zawsze odsądza.

Kiedy Mierosławski 10go kwietnia rano w Środzie, przed pamiętnem ogłoszeniem krucjaty z polowego ołtarza, na przypadek daremnoty wszystkich swoich usiłowań powstańczych, struchlałej Brzezańszczyźnie w obliczu Libelta sam proponował ustąpienie komendy Kruszewskiemu, to się znaczyło: «przeciw prądowi niechęci » powszechnej płynąć nie myślę, bo nie mogę. » Jeżeli zatem lud obozowy na wezwanie wysłań- » ców komitetowych da sam rację przeczuciom » waszym, składając kosy które ja mu w rękę » kładę, wtedy się usunę jako prózna zawada bez- » radnej pacyfikacji. Na ten opłakany przypadek, » a jeżeli wbrew wszelkiemu prawdopodobień- » stwu Prusacy pozwolą wam się bawić jeszcze » komendą i muzyką polską, nie sprowadzajcież » sobie na kapelmajstra zbyt głośnego z r. 1831 » występny. Lepiej sobie najmijcie instruktora » trzeźwego, któremu się udało czyste z tej epoki

» wynieść sumienie, a przytem rzemiosła swojego
 » w emigracyi na hecach szambelańskich przy
 » królowach migdałowych nie zależeć. »

Taki był sens i taka warunkowość bezstronnej Mierosławskiego porady *przed* rozstrzygnięciem położonego obozom pytania: porady samej przez się upadającej, skoro nazajutrz, 11go kwietnia, lud obozowy tak namiętnie zaprotestował przeciw pacyfikacyjnemu głosowaniu sztabów szlacheckich, że czy ze strachu, czy z pomyłki, sami Prusacy musieli zawrzeć z tą protestacją zawieszenie broni, które wirtualnie takową zatwierdzało.

Gdyby Komitet szukał tylko *prawdy*, a nie był wcieloną z góry kontrarewolucyą, niewątpliwie by 11go kwietnia przemazał kreski swoich sztabów szlacheckich i *prawdę* przyznając ludowej aklamacyi, uznał Mierosławskiego istotnym naczelnikiem. Ale jako fakcya szlachecko-dyplomatyczna przeciw powstańczo-ludowej woli postawiona, Komitet uczynić tego nie mógł; musiał tedy fatalnie przeprowadzać do końca wojnę tej woli od pierwszej godziny swojego zawiązania wypowiedzianą; musiał, powiadam, na śmierć *pacyfikować* powstanie, bez czego nie zachowałby żadnego powodu exystencji obok ludowego wybrańca.

.. Czyli że Komitet mając ciągle na myśli bezwarunkowy swój programat, czy przed, czy po

armistycy Jarosławieckiej, warunkowych Mierosławskiego przestroóg ani pojąć, ani dosłyszeć nie chciał. Od 11go kwietnia, jeszcze mu pilniej było niż przed tem, o kaprałski kaganiec na rozzu-chwaloną ruchawkę. Próbował najprzód, w porozumieniu z Willisenem, okiełznać ją Brandtem; ale to się pokazało zbyt niepraktyczném. Począł potem umizgać się do Chrzanowskiego; ale jak tu bez ironii częstować podobną komendą wybrednia, dla którego konstantynowskie szeregi, za dostatecznie wyrównanemi i milczącemi, w roku 1831 się nie wydały? W braku podręczniejszego nareszcie, Chłapowszczyzna pożyczła sobie hamulca od króla Belgijskiego.

Zdarzyło się osobliwem szczęściem, że Kruszewski wolny od kataru swoich patronów, powąchawszy incognito do jakiej go to roboty chcą nająć, po cichu cesarowi co ceszarowe, a powstaniu co powstańcze zwrócił. Jednakże przypuścmy, że zamiast na tyle roztropnego człowieka, Chłapowszczyzna zdążyłaby była trafić na jaki z upiórów wałęsających się na ówczas po Berlinach, Dreznach i Wrocławach, jakoby przed zaklętami dla nich progami wskrzeszenia narodowego; na jakiego z owych emigracyjnych zakazańców, od spojrzenia których gielgudówki same puszczają, wojdówki same z rąk uczciwym Polakom wyskakują, a w którym zapamiętałość szlachecka upa-

trzyłaby sobie dogodnego żandarma przeciw nie-
znośnemu jej trybunowi? Czyż to nie najrozmyśl-
niejsza pożoga domowa? Czyż nie wyraźne szcze-
cie Polaków na Polaków, w arenach ogrodzonych
ochronną dla widzów roгатką pruskich i moskiew-
skich bagnatów?

Cóż tu tedy gadać o pomyłkach, o oszukaniu po-
czciwości komitetowej? Pojedynczo, biograficznie,
każdemu członkowi tego zgromadzenia wolna
ulga powiedzenia dzisiaj żonie i dzieciom swoim,
że się pomylił do niego wchodząc; ale history-
cznie, jako instytucya, jużci Komitet nie mylił się
i nie oszukiwał, kiedy z konieczności solidarnej
wylewał na zaród powstania żółć i kwas, na dnie
jego szlacheckiego temperamentu fermentujące.

Nareszcie, od 17go do 22go Kwietnia przypadła
próba bezapellacyjna na niewinność owych po-
myłek komitetowych. Dotąd Komitet mógł się
mieć za oszukiwany przez Willisena, któren mu
obecnością swoją w pośrodku naszych obozów,
jakoby ręczył za wykonalność pacyfikacyi między
nim a Kommissją Reorganizacyjną ułożonej we
wiliję Jarosławieckiej armistycyi. Ale skoro Mie-
rosławski rozmową Witaszyką raz na zawsze ko-
missarza królewskiego z naszego powstańczego
gospodarstwa wyprosił, a bałamutne to rozjem-
stwo zastąpiły huzarskie sommacye Bonina, Brandta
i Wedla, upadł i ostatni parawan odgradzający

konserwatyzm szlachecki od robót powstańczych. To téż od tej daty, nie Willisen żaden, ale bezpośrednio Komitet musiał Brzezańskiego, Białoskórskiego i Garczyńskiego przeciw rozkazom bojowym Mierosławskiego kredytować; jednemu zaś uległemu tym rozkazom Florjanowi Dąbrowskiemu, komendę wydzierać. Wszystko to, spodziewam się, bez najmniejszej już pretensyi urzędywistnienia Willisenowej sielanki, za poręką Vgo i VIgo korpusu pruskiego?

Niechaj że by wtedy przynajmniej Komitet, oczywistością swojej pacyfikacyjnej niemocy skruszony, rozwiązał się; niechajby z fortecy pruskiej wyszedł na świeże powietrze i różne pierwiastki swoje, kaźden właściwemu powinowactwu zwrócił, ku moralnemu zasileniu czy powstania, czy konserwatyizmu. Niechajże by na dobitny sygnał pruskich morderstw w Odolanowie, Koźminie i Raszkowie, Libelt z rozumem swoim, a Moraczewski z drukarnią, jak Słomczewski z kurjerskimi bótami, stawili się do głównej-kwatery. Niechajby teraz kiedy nie wcześniej, księża komitetowi z krzyżem, Tyrteusze z iambami, *obywatele* z prowiantami, doktorzy z bandażami, trybunowie z dubeltówką wrócili do rezerw powiatowych: a nie na kokoszą paryzantkę, lecz do chmarnego natychmiast pochodu w pomoc czterem zagrożonym obozom? Wtedy Chłapowszczyzna, nie mo-

gąc już dyplomacyi swojej pieczętować poczwami imionami, pozostałaby sama na Targowickim pręgierzu ; szlachta zaś cała, pozbawiona swojego konserwatywnego organu, rada nie rada, rozplynęłaby się w kawaleryi narodowej. Ale, na karę zużytych, a naukę przyszłych narodu pokoleń, Opatrzność na tak późną pokutę zbiorowościom szlacheckim odwagi nigdy nie udziela; muszą przeto do dna samego loikę swojego pierworodnego grzechu wychylić, iżby te studia negatywne stały się czytelnymi dla potomności, od deski do deski. Jednym słowem, Komitet rozwiązać się nie mógł, bez wyszczerzenia się całkiem z psonnego mandatu jakim go polityka szlachty Wielkopolskiej dorozumiale upoważniła.

Wiadomo, że po odjeździe Willisena, ostatnia próba rozbicia naszych obozów od spodu, przez buntowanie dowódców obozowych przeciw głównej-kwaterze, nie powiodła się tyle, iżby Komitet nic już do roboty pruskim kartaczom nie pozostawił: otóż pruskie te laury, spać Chłapowszczyźnie nie dozwolały. Nie było rady jak napaśdź z góry naszą powstańczą klejonkę, przebrać się za trębacza pruskiego i w awangardzie Bonina, Brandta, Wedla, nakazać Mierosławskiemu w imieniu oburzonej na jego *blazeństwa* prowincyi, ażeby swojej *hecy kosynierskiej* zaprzestał.

Pomyśli ktomoże, że na takie przecie zgorszenie,

formuły w składzie komitetowym nie było, skoro imienną jego większość stanowiły może eunuchy, może niezdary, może półmędrki, ale przecież Polacy, przecież niewątpliwi obcego ciemiewstwa przeciwnicy; a cóż dopiero kiedy jedyny komitetu członek osobiście zdolny takiej sromoty przyjąć na siebie odpowiedzialność, starannie się od głosowania w tej śmiertelnej kwestyi usunął? Otoż się pokazało że w szlacheckim parlamentarstwie, zawsze się odszukają formuły na najniepodobniejsze rzeczy, by też między najzacniejszych ludźmi; kiedy bowiem, składowi takiego zgromadzenia nie dopisuje własna większość, żadne ramy mu nie zabraniają do wszechwładnego koła swojego zaprosić posiłków kontrarewolucyjnych. Tak, 7go września 1831 roku, sejm szlachecki zaprosił w pomoc swojej kapitulacyi zakonstytucyjną wymowę generała Prądyńskiego; tak, legalniej nierównie, skoro żadnym regulaminem nie stał ogrodzony, Komitet Poznański, w zastępstwie jednego Mielżyńskiego, wezwał sobie na ostatni ratunek pacyfikacyjny, przyczajoną za nim rezerwę *Marcinkowszczyzny*.

Wiadome to nowoczesne zjawisko dorobkiewiczów na wielkopolskich cmentarzach. Wiadomo też, ile filantrop Marcinkowski w epileptycznej zawiści swojej do Demokracji spiskującej, wypotrzebował recept, zabiegów, gniewu i pieniędzy

na sfabrykowanie patrycyatu łykowskiego, które-
by niespiskując, z czystego zamiłowania sławy na-
rodowej, czystą polszczyzną przeszachrował ży-
dów poznańskich.

To tylko zapisujemy, że z owej kosztownej filan-
tropii, dostatecznej na półtora-roczy budżet
powstańczy, wylął się *Bazar*, a z Bazaru Cegiel-
scy, Stefańscy, Szumany, Mateccy, Gryzyngiery,
Rymarkiewiczze, Mottowie i Mendychy różne,
które żydów nie przeszachrowały, napływu i
wzrostu niemieckiego w Księstwie nie powstrzy-
mały, ale za to, powstaniu poznańskiemu w roku
1846 nie mało przeszkodziły, a w roku 1848 do-
starczyły doskonałego materiału na klub kontra-
rewolucyjny. Ponieważ klub ten, choć raczej
przez konkurencyę niż z patryotyzmu, przekoma-
rzał się z niemiecko-żydowskim klubem w *Odeum*
zasiadającym, niedoświadczona opinia miała go
za coś niesłychanie radykalnego, ile że go nie-
omylny demagog Krotowski, na czystych za-
sadach *Prawd żywotnych* zawiązał. Studenci upa-
trujący w każdej knejpie klub Jakóbinów, a w ka-
żdym komitecie szlacheckim konwencyę naro-
dową, cieszyli się nieochybnym tryumfem rewo-
lucyi opartej na dwóch tak potężnych filarach, i
poczęli ze wzgardą opuszczać szkołę podchorążych
dla uczęszczania na rozprawy owego klubu. Dla
niedorostków i niedouków, wyglądało to na Kiliń-

szczyzną przeciwstawianą usypiającemu kapralstwu Mierosławskiego; znowu dla wojskich *rodziny, własności i ołtarza*, była to zbawienna od jego powstańczych zamiarów *marcinkowszczyzna*, w wierzycielskim ręku Chłapowszczyzny i Jezuitów. Ziściła się niebawem dokładność tej ostatniej definicyi.

Jakoż, Maciej Mielżyński czując że wyczerpał swoją osobistą wziętość w zbyt kompromitujących zatargach z główną-kwaterą i z Floryanem Dąbrowskim od 20 do 25go kwietnia, swojego téż faktora Stefańskiego do nitki zszarzawszy, uznał, że akurat pora wepchnąć na swoje miejsce do komitetu *świeży element*. Element ten, istotnie z najprzedniejszej Marcinkowszczyzny klubowej wybrany, stawiał się hardo u kratek Komitetu szlacheckiego, z gorzkiemi jak to wyznaje J. Moraczewski wyrzutami, na onego niezgodę, niedołęstwo i pobłażanie najazdowi pruskiemu. Zdawało by się zatem, że ta deputacya złożona z prezesa klubu Gryzingiera, Słupeckiego, Mottego i z Mendycha, najkosztowniejszego z treibhauzowych Marcinkowskiego wyrobów, domagała się zgody i sprężystości w wypędzeniu Prusaków z Wielkopolski, czyli po polsku mówiąc, w podaniu po temu moralnej i materyalnej pomocy Mierosławskiemu? Szlachta komitetowa, nic do odpowiedzenia nie mając na tak słuszne przedsta-

wienie, nie tylko z pokorą przyciska *świeży element* do swojego łona, ale doń go wlewa, niby ożywczy płomień mieszczańskiej Kilińszczyzny. Od czegoż niestety! w pośród tej szlachty komitetowej, zacny i uczony J. Moraczewski, kiedy nie do przypomnienia jej że Kilińscy wyrastają swobodnie, jak dęby w lesie gdzie las po temu, a nie fabrykują się ze stęchlizny w kieszeniach hrabiów i w retortach filantropów? Czy tylko zacna i uczona szlachta nie lepiej wtedy już aniżeli my dzisiaj wiedziała co czyni, wynaturzając swoją większość taką przyprawą?

Dość, że nie tylko czterej pełnomocnicy klubu weszli do składu komitetowego, ale na tężyznę jeszcze wtargnął doń odesłaniec konserwatyzmu galicyjskiego Hołowski, z doraźnem zaklęciem Wielkopolan od Komitetu Krakowskiego i od Deputacyi Lwowskiej w Wiedniu, ażeby *zawczesnem* powstawaniem niekompromitowali Chrobackiej braci. Nareszcie, jakby dla zrównoważenia szans w pojedynku, urlop M. Mielżyńskiego miarkował na szali kreskowej odjazd Libelta; tylko na to nie zważano, że tego drugiego żadne Mendychy nie weszły wyręczać i mnożyć.

W tak poprawnym składzie, dość było położyć kwestyę walki lub złożenia broni, ażeby ją na pewnika rozstrzygnąć. Chłapowszczyzna tak spokojna teraz o wypadek sporu, że pozwoliła Ste-

fańskiemu bezczelnej kreski za bojem, mogłaby się była obejść bez opłakanie sumiennej Jarochowskiego, przeciw bojowi.

Wprawdzie, sromotny dekret rozbrojenia zawieszony przez uroczystą deputację do Miłosławia 27 Kwietnia, utrzymał się tylko większością tego właśnie jednego głosu; ale gdyby inaczej kostki padły, za dwie godziny mniejszość wróciłaby niewątpliwie zasiąść w komitecie z całym klubem w mnożniku, bez możliwej dla przeciwników protestacji. Skoro ci albowiem, z takim zaufaniem przyjeśli byli pięciu Sicińskich do swojego zanadru, z sześć razy większém uściskać by musieli trzydziestu. Cóż to lepszego komitet szlachecki od klubu łukowskiego? takąż by to demokracja?

Dopiero po dośpiewaniu tej ostatniej strofy pacyfikacyjnej, komitet szlachecki odetchnął; czuł się nareszcie ze wszystkich służebności swoich względem Chłapowszczyzny wyzwolony. Pruskim tedy kartaczom realizację swojego dekretu zostawując, sam ze spokojną uciechą dopełnionego założenia, rozwiązał się i rozleciał na wakacje od Frankfurtu do Wiednia i na krzyż. Stefański *n. p.* oddał się na bezpieczną pokutę Steineckerowi do cytadeli; ale w ogólności, mniejszość która przy pewności niepowodzenia swojego, teatralnie za bojem obstawała, jak Halban skazujący Konrada na samobójstwo, ruchawkę

pobłogosławiła i z pośpiechem ruszyła w kraj świata, nieciekawym narodom opiewać takowej nieszczęścia.

« Starcze ! rozumiesz co ten łoskot znaczy ?

» I czegoż myślisz ? masz nalaną czasę ;

» Moja wypita : Starcze ! w ręce wasze »

Halban pobladnął w milczeniu rozpaczył :

« Nie, ja przeżyję . . . i ciebie mojemu synu !

» Chcę jeszcze zostać, zamknąć twe powieki,

» I żyć — ażebym, sławę twego czynu

» Zachował światu, rozgłosił na wieki . . .

Na zakończenie tego przedmiotu, obejmiemy trzema spostrzeżeniami różnicę istniejącą pomiędzy rozwiązywaniem się ciał organicznych, afirmacyjnych, a rozbijaniem się naczyń obejmujących same szkodliwości i przeczenia, do jakich mimowiednie redukować się musi po rozbiorach Polski, wszelka zbiorowa pretensja szlacheckich, jak się kolwiek ona przezwie, ustroi, wyróżuje czy wyblanszuje. I tak :

Po pierwsze : Gdyby taki Komitet Poznański był żywą w swoim uporze zaporą i po swojemu patryotycznym *toryzmem*, raz przełamany 27go Kwietnia przeciwną wolą ludu, jak kły lwie, a nawet jad węzowy, zaprzestałby swojej szkodliwości; rozczyn zaś jego poszedłby zaraz na pokarm i zdrowie zwyciężkiemu organizmowi. Ale, że był tylko galwanizowaną martwością, pękiem różnych psot i cierni w ręku nie polskiego i nie organicznego kontra-

rewolucjonizmu, nie miało w nim co umierać, co się psuć, co się na użytek zwycięzcy rozczyniać po rozwiązaniu jego postaci widomój. Rozpadając się, pierwiastki jego powróciły zatem do swojego negatywnego powinowactwa, to jest ku gorszemu tylko zakwaszeniu szlacheckich parafialnej, bez najmniejszej ulgi, a cóż dopiero pożytku, dla sprawy powstańczej? Rzekłbyś wysypaną szkatułę Pandory, lecz bez nadziei na spodye, bo i Libelt zbyt daleko od nas z niej wypadł, aż nad Menem.

Ztąd wszystkie owe uboczności, spiski sztabowe, partyzantki, parlamentarki tajemne z Prusakami; ztąd Białoskórszczyzny czy Brzezańszczyzny z tak niepojętym sukcessem nurtujące aż do ostatka, co na pierwsze wejrzenie niby to ocalało od Komitetu i jego agentów psotności. Z tąd ciągle, czy z widomą czy z niewidomą sprężyną, owe destrukcyjne powodzenie głupców i niedołęgów, na przekorę wszelkiej enocie i wszelkiemu rozumowi powstańczemu. Ztąd w ostatnim wypadku, iak to sobie założyła Chłapowszczyzna, *uspokojenie* Wgo Ks. Poznańskiego wśród ujarzmionej Polski, czyli tryumf parafii nad ojczyzną. I tak bezradnie będzie, przy każdym daremnym powstawaniu narodu, dopóki szlachecka czy dobrowolną, czy przymusową abdykacją na rzecz dyktatury rewolucyjnej, tego abstrakcyj-

nego po dziś dzień wszechwładztwa upostacić nie dozwoli, dopuszczając je nareszcie do wyłącznego spadkobierstwa po wszech poprzednich i pobocznych rzeczywistościach.

Powtóre a odwrotnie: Dotychczasowa szkodliwość zbiorowości szlacheckich w periodach powstańczych Narodu, nie zupełnie nie przesądza, niczego wcale nie dowodzi przeciw zwiastowanej przyszłą Rzeczpospolitą demokracji. To dowodzi tylko, że tej uporczywej zgrzybiałości chce się koniecznie acz na próżno, wigoru, szczęścia i wdzięków, należnych dopiero jej dziejowym spadkobiercom, i że na takie sobie samej kadzidło, rada by spalić całą należność swoich następców. Ale, niechaj raz tylko świeże ludu pokolenie wygrzebie się z pod jej zasypu, i takowym namierzwione wybuja ku słońcu, silne jak młodość a jak starość mądre, wnet to samo wszystko co nas tak boli i zasmuca w anachronicznej, w szpitalnej demokracji szlacheckiej, te same sejmy i sejmiki, te same komitety i kluby, zachwycać będą wiek XXty Ery chrześcijańskiej, w normalnej i zdrowej potomków naszych demokracji; bo wtedy dopiero będzie w Polsce na prawdę lud samym sobą władający i za los własny odpowiedzialny.

Potrzenie, a we wniosku z dwóch poprzednich spostrzeżeń wynika: że niepodobna zdjąć żadnego

portretu historycznego ze ściany na jakiej go chronologia nafreskowała, a więc oddzielić zasług czy grzechów prywatnych od czasowej zbiorowości do jakich się zaciągnęły. O ile też bezwładną jest wszelka indywidualność wbrew prawdomu zbiorowemu któremu się w życiu publiczném raz porwać dała, najelementarniej wykaże nam to paralella dwóch najwybitniejszych osobistości przeciwległe w Komitecie Poznańskim zasiadających.

Obaczmyż najprzód co było wartości osobistej a co okolicznościowej, w pełnomocniku delegowanym przez kontrarewolucję do Komitetu Poznańskiego? Przed rokiem 1848 imie pana Macieja Mielżyńskiego nie przesięgnęło parafialnych opłotków Poznańszczyzny, a i w tych, słynął raczej z wzorowego gospodarstwa, aniżeli z rozumu politycznego. Koledzy tylko pamiętali mu adjutantską przy Jle. Chłapowskim gorliwość, podczas składania broni pod stopy Pruskie i ratowania ojczyzn prywatnych zaprzęgami ojczyzny publicznej, przed laty siedmnastą. Ztąd w opinii hrabiów i Jezuitów uznających Chłapowskiego za mistrza, Edwarda Raczyńskiego za patriarchę a Marcinkowskiego za ekonomistę i ekonomą swojego, pozostała M. Mielżyńskiemu renoma męża tęgiego charakteru. Owóż, więcej i innej renomy nie było mu potrzeba, ażeby po siedmnastu latach nie roz-

targnionej żadnym wyskokiem medytacyi, kontrarewolucyi głęboko i bacznie za nim uszeregowanej ministrował przez parę tygodni, w obec tak lichego jak nasz rewolucjonizmu. Gdziekolwiek albowiem sięgnął na około siebie, same mu się narzędzia lepiły do palców, a wszystko narzędzia sformne i domyślniejsze od samego ministra. Nadto mu wojsko pruskie dostarczało ile chciał rezerwowej żandarmeryi, niemoc zaś naszego rewolucjonizmu, drugie tyle argumentów. Widno, że byle z przed-siedmnoletnią Mielżyńskiego renomą, każdy inny konserwatysta to samoby potrafił; czyli, że we fakcyach niszczących, ujemnych, jak w roiskach grobowych owadów, znakomite biografie są zupełnie niepotrzebne; a ktokolwiek z rodzaju choćby tylko na chwilę znajdzie się przypadkiem na czele, prawie z równem powodzeniem otwiera żerowisko rodzajowi całemu.

Przeciwnie, rewolucjonizmowi dopiero z mętów takiego rozczynu organicznie kiełkującemu, niedość i najładniejszych biografii do rozkopania sobie koniecznego wszelkiemu wskrzeszeniu gnieszdziska; bo na ten początek pilniej nierównie o ryj odyńcowy czy nosorożcowy oskard, byle z węchem nieomylnym, aniżeli o pawie kitki. Z tąd, po uludnem zapłonieniu się, dogrobowe umilknięcie Peryklesów zabłąkanych do Tezeuszowej epoki. Z tąd, w przewlokłych okresach cierpiącej

i wojującej Demokracji, i głodne i jałowe pokutowanie Libeltów w dezorganicznych trzewach komitetów szlacheckich.

Niewątpliwie że gdyby podobne ciała były do uzdrowienia ku użytkowi powstańczemu, jeden Karól Libelt godzien był w r. 1848 tego dokazać. Pomijając jego cnoty obywatelskie i obyczajowe, jako do tego rozdziału nie należące, to pewno że jako teoretyk abstrakcyjny, on jeden w związku 1845 roku pojął był gruntownie i przyswoił sobie naszą doktrynę centralizacyjną, ze wszystkimi jej warunkami i następstwami. Byle go tedy bez szwanku spisek zawiózł a wybuch wniósł na krzesło rządowe, byle znowu w samym już powstaniu, żadna bitwa przegrana takowego nie potrafiła, Libelt jeden zdolny był uchować i nietkniętą do ziemi obiecanej donieść arkę naszego przymierza. Był to zgoła mózg jasny, zdrowy, przenikliwy a dobry dla tego szczególnie, że rozum cały go zapełniający, najdrobniejszej komórki w nim nie zostawiał do zamieszkania myśli płoczej lub przewrotnej. Ale mózg na pokazywanie tylko, bo jakby bez czaszki; więc tak wystawiony czy na każdy zawiew, czy na każde draśnięcie materyalne, że chyba go ciągle nosić w monstrancyi: a i tę jeszcze pod banią, na nietykalnym ołtarzu. Co z takiego mózgu za pociecha w pomroce naszych przepraw hazardownych i ubijatyk?

Jednakże powtarzamy z należną czcią dla takiej znakomitości, że od powstania Listopadowego, Demokracja krajowa równie uznanej i szanowanej nie wydała; tak, że prawdę mówiąc cały skład zapowiedzianej przez nas dyktatury zbiorowej w powstaniu 1846 roku, mimo chcąc na tej osobistości uprojektował się i na niej jak na przecie rdzennym osadził. Bez Libelta, mającego w naszych bezdoświadczeniach nadziejach związać w jeden liktorski pęk jakichkolwiek innych ochotników pentarchii czy heptarchii krakowskiej na hasło 21 Lutego, pewnie żaden projekt władzy zbiorowej nie byłby się ostał w naszych naradach. Raczej byśmy byli powierzyli kierunek samego wybuchu jakiemu emigrantowi wypróbowanej determinacji, a aklamacyę i namaszczenie narodowego jedynowładzcy zostawili wszechmądrym i wszechmocnym wypadkom.

Nie widzieliśmy wtedy, a wyznajemy to ze szczerem upokorzeniem, nie widzieliśmy cośmy przecie łatwo z dyssekecyi trupów 1831 roku przez lat piętnaście mogli dostrzedz: że reputacye z okresów poprzednich propagandy i spisku, nie są żadnym paszportem do okresu powstańczego. Wtedy jeszcze, *popularność* braliśmy za patent na moc kierowniczą, kiedy owe krukwie dla naszej ułomności przedrewolucyjnej, oczywistym przeciwnie dowodem wszelakiej niemocy; mężowie

albowiem których przy mroku spiskowym szlachecka klientela pod pachy nieść musi do kapitolu, pewnie się nań szturmem nie wdrapią przy cynicznym świadectwie armat. Owóż po Lelewelu, nikt tej maxymy życiem swoim boleśniej od Libelta nie sprawdził. Mózg ten czysty płomień, zdolny opromienić najpiękniejszą kartę dziejów ojczystych, brakiem prostej czaszki chłopskiej twardej a morderczej jak czerep granatu, oblepić się musiał kruchemi strupami gliny parafialnej *popularnością* zwanemi, a które go zagniotły i zagasiły. Wewnątrz, niewidzialnie i nieużytecznie zdrowy, bystry, niepokalany, w każdym żeby najdrobniejszym pojawie zewnętrznym wyglądać musiał na faktora szlacheckiego i palestrowego filuta; a że będąc filozofem w starożytnem znaczeniu, wcale na to nie był stworzony, jako Libelt w gwiazdy patrzył, jako taki w glinę lał.

Ujęty w zakład przez prowincjonalną szlachetczygnę wszystkimi nerwami delikatniejszego jeszcze od mózgu serca, najsurowsze nakazy swojego rewolucyjnego rozumu składać codzien musiał na ofiarę koteryjnej i jarmarkowej dyplomacji, daremnie się gniewając na słabość swoją, daremnie z niej się spowiadając i pokutując. Jako zakładnik szlachty Poznańskiej, musiał pod eleuzyjskimi mistyfikacyami kilkoletniego związku osłaniać wszystkie jej kłamstwa i psoty kontrarewo-

lucyjne; mozolnie fabrykować jej z pruchna i ze sychu stalowe reputacye; podstawiać z niej lada co na filary do naszej zorobabełowej mularki. Że sądził się skazanym na niezbędną popularność, a we wszystkich *antraktach* rewolucyjnych młodzież za nic nie odpowiedzialna najhojniej takową szafuje, jak Leleweł na podobnem niegdyś stanowisku, osobliwie młodzieńczym przywarom pobłażał i dworaczył. To jednak powiedzieć należy ku wytłómaczeniu naszego Sokratesa z nieosobliwego tych jego Alcybiadów wyboru, że mu wszystkich dowcipniejszych zabierali Jezuici, a przezorniejszych, Marcinkowski. Pozostali mu tedy na adjutantów spiskowych chyba wychowańcy filozofii Hegeliańskiej, tem głównie Polacy zapaleni, że takowej się po uniwersytetach niemieckich nie nauczyli. Z tąd tyle zawodów, a w części i mus naszej spiskowej likwidacyi w Lutym 1846 roku.

Jako zakładnik parafiańszczyzny poznańskiej, Libelt odbiedz musiał swojego narodowego urzędu w Krakowie, i dla *kompanii* pójść ze swoją szlachecką klientelą do kozy pruskiej, na dni ośm przed oznaczonym do powstania terminem. Jest to grzech ze wszechmiar rażący, w życiu politycznym tak mądrego i cnotliwego męża. Wybuch krakowski, nie inny, miał być 21 Lutego 1846 r. wybuchem stołecznym. W Krakowie nie w Poznaniu zatykaliśmy rząd centralizacyjny Rzeczy-

pospolitej, a Libelt, nikt inny, rządu tego był, czuł się i wiedział zawiasą. Bez niego tam, na dni kilkanaście przed wybuchem, a bez wojennego dowódcy w samymże wybuchu, nikt za wypadki nie stał odpowiedzialnym; lada przeto Alcyacie snadnem było swoim *liberum veto* przekreślić całego spisku postanowienia; anarchia miała po sobie nieobecność obu naczelników : politycznego i wojennego.

Nawet upadek powstania Krakowskiego wcale inne przybierał rozmiary w dziejach naszej Demokracji cierpiącej, z takim Libeltem u rudła strzaskanej mimo niego nawy. Nie mając w takim rozbiciu do ratowania landszaftowych precyozów szlachty poznańskiej, dobrą całego narodu sławę, czy to jako obrońca, czy to jako męczennik, wykupiłby wszystkimi swojej duszy skarbami; bo z tych dla osobistego znowu ratunku, złamanego szeląga nie był zdolny uronić. Może wtedy i szlachta landszaftowa, pozbawiona swojego mecenasa przed kodexem pruskim, z oszalenia, kiedy nie z rozumu, musiałaby się jąć emigranckiej argumentacyi Mierosławskiego, ku obaleniu *hochverrathu* na nią ciężącego. A tak, zamiast jednej ze wszechstron przytłumionej, dwie sądne trąby wskrzeszenia na rok 1848, odezwałyby się zgodnie po krańce świata, choćby z ostatnich głębin polskich więzień i cmentarzów.

Przeciwnie, dostawszy się dobrowolnie do kozy pruskiej dla *kompanii*, dla tej kompanii i za całą musiał z daremnem oburzeniem na siebie samego, przy daremném biczowaniu swojej niedorzeczności błyskawicami własnego rozsądku, musiał co bądź, zaprząć się Libelta i zejść na landszaftowego szlacheica : a że zacny biedak osobiście z tą instytucją kredytową nie miał rachunków, na zaszerogowego i wielce niezgrabnego szlacheica, rozumie się. Tak tedy, dla kompanii szlacheckiej, Polska rewolucyjna utraciła swojego męża stanu, Demokracya wojująca swojego kanclerza, Mierosławski i wszyscy mu podobni jedynego zwierzchnika swojego w dobrowolnej hierarchii przysięgłego patriotyzmu ; parafianśszczyzna zaś poznańska nie na tem nie zyskała, bo do wykonceptowanego przez nią pieniactwa z kodexem pruskim, lada adwokat niemiecki dogodniejszym jej był od Libelta. To też w procesie ledwie że się przydał na aplikanta tym adwokatoni przy świadectwie *zaciasnych kaftaników, pomyłek zegarowych, wąsów niedowiedzionych, przysięg nieważnych, niegrammatycznych tłumaczeń* i tym podobnych argumentów niewinności. Warto było doprawdy, konserwatyzmowi szlacheckiemu do takiego sobie pomysłowania, wykradać nam ukochanego *Dziadka* naszego !

Osobliwie naszej polskiej lekkomyślności zda-

wać się mogło że świeże 1848 roku powietrze wszystko to zaraz przewieje i zatrze; że duszę na krótką pokutę wygnaną z niebios do szlachecczyzny, taka trzaskawica znowu ku najświetniejszym usługom sprawy narodowej natychmiast odeklnie i wyzwoli. Z częstych a przeszłozapomnych rozmów z tym czarownym umysłem, i Mierosławskiemu tak się podówczas widziało; bo jeszcze ten emigrant o wiele nie był dojadł swojej beczki soli z patryotyzmem szlacheckim, ani kielicha nalanej mu przezeń goryczy do dna nie wychylił. Niemającego pretensyi rozpędzać Komitetu obradującego w twierdzy pruskiej, za potrójnym parawanem komissarza królewskiego, zaufania szlacheckiego i wojsk Colomba, ostatnią Mierosławskiego otuchą był udział w nim Libelta..... Za późno dowiedział, a gdyby i zaraz tego dostrzegł, na co by się przydało? że jak w spisku a potem w więzieniu, tak i teraz w Komitecie nie mądry głupich będzie uczył, nie cnotliwy przewrotnych nawróci, ale owszem przewrotna głupota całą Libelta mądrość i cnotę, li do kadzenia za sobą zapraszała. Takie bo jest w dziejach ujarzmionego narodu nieunikalne przeznaczenie wszelkiej pojedynczej znakomitości, która się raz zapisała w rejestr jakiej bądź parafianiszczyzny.

XIII

Str. 112. W. P. «Zdaje się, że rozkazu Mierosławskiego postanowił Dąbrowski nad jego myśl przestrzegać; dość że powiedział przyjaciołom, iż mu nawet kroku niewolno się cofnąć, i sądzi że wszyscy zginąć będą umieli.»

Opinia szlachecka, której cała książeczka J. Moraczewskiego jest dziwnie wiernym odgłosem, tak nawykła do niesforności iż nie może po dziś dzień oswoić się z myślą że ktoś na serio przyjął był rozkaz dotrzymania placu. *Zdaje jej się* tedy, że F. Dąbrowski niepotrzebnie walczył, i nierównie lepiej byłby się przysłużył krajowi naśladować Garczyńskiego, który aż do samej bitwy, lub Białoskórskiego co podczas bitwy, czy Brzezańskiego który po bitwie, wypowiedzieli posłuszeństwo Mierosławskiemu. Opinia szlachecka pozwoli sobie powiedzieć, że się myli; bo dowiodę, że gdyby trzech inni komendanci na połowę tylko rozumnej uległości Dąbrowskiego byli się zdobyli, ani by Fl. Dąbrowski nie przepadł, ani by mu. J. Mora-

czewski nie poczytał tego heroicznego posłuszeństwa za winę.

Po temu, trzeba sobie przypomnieć, iż widząc : 1° że Galicya Zachodnia zupełnie odrzuca plan tak uroczyście umówiony w Poznaniu z Wysokim i Heltmanem* ; 2° że zamiast wyglądanego w Zaborze Rossyjskim choćby najdrobniejszego wstrząśnienia, całej ztamtąd otuchy przekradło się *tysiąc dwieście* złotych polskich i 175 rzetelnych ochotników ; 3° że jako w Galicyi jego plan ogólny, tak w Poznańskim komentarz jego do armistycyi Jarosławieckiej przekreskowany jednomyślnością szlachecką został ; czyli że wyjąwszy garstki opu-

* Dla gruntownego osądzenia sprawy Galicyjskiej, pojętej w związku ze spiskowemi dziejami Zaborów Pruskiego i Rossyjskiego, postanowiłem doczekać się niedostających dokumentów. Jednakże ponieważ zadanie wszelkie o tyle tylko jest rozwiązalne, o ile jasno i katogorycznie położone, czuję się w obowiązku uprościć i ułatwić poszukiwania kierowników sprawy Galicyjskiej od r. 1844 do 1850, zadając im siedm następných pytań :

1° Czy patryoci Galicyjscy zasłyszeli o pewnych planach i instrukcyach, w Centralizacyi opracowanych, przez Heltmana i Wiśniowskiego podczas roku 1845 wskroś Galicyi obwiezionych, przez Mierosławskiego w Styczniu 1846 wszystkim pełnomocnikom związkowym na zjeździe Krakowskim zakomunikowanych i wytłómaczonych, a dla większej rękojmi, Komisyyi Wojennej Krakowskiej w obszernie spisanyim i narysowanymoryginalie zostawionych ?

szczonej od ludzi i od Boga, cały Zabór Pruski znowu umilkł pod kolbami; wtedy, *ale dopiero wtedy*, Mierosławski musiał zawiesić pierwotny zamiar wtargnięcia za Prosnę, i ograniczyć swoje uśiłowania do wojny miejscowej.

Nie żeby tem co miał w ręku *teraz*, podobna było wyzwolić Poznańskie od nieprzyjaciela; ale tuszył sobie że wytrzymując próbę do końca, dobierze się nareszcie do głębin serca narodowego i wywoła dla rezygnacyi, kiedy nie dla bohaterstwa swoich towarzyszków, tę przynajmniej porękę jakiej nikt za wszystkich tonącemu odmówić nie śmie. Bo że od pierwotnej nadziei zapalenia kraju na cztery

2° Dlaczego ten plan rozdziału Galicyi na obszary powstańcze, rozkładu powstania na kolejne naboru, dokonania zborów na punktach przeciw Austryi odpornych a Moskwie zaczepnych; dlaczego plan ten obu Galicyj, Wschodniej i Zachodniej dotyczący, kiedy nie wykonany to przynajmniej zapróbowanym nie został, tam wszędzie naprzykład, gdzie mu Szela pola nie zabiegł, a niedoszłym Alcyaty odwołaniem patryoci zastawiać się nie mogą?

3° Czy z tych rozporządzeń, rozbiciem związku na zupełny jaw wydanych, aktami procesów Berlińskiego, Krakowskiego i Lwowskiego, zwłaszcza zeznaniami Tyssowskiego i Fr. Wiesiołowskiego do tego stopnia spopularyzowanych, że ich się każdy stróż więzień pruskich i austryackich nauczył; czy z tych rozporządzeń nie ostalo się trochę wrażenia na rok 1848, w pamięci Krakowian i Galicyanów?

4° Dlaczego, skoro rewolucya Wiedeńska rozwiązała zupeł-

rogi w około trzech razem ciemieżców odstąpić należy, to jasno dostrzegł. Ale liczył, że na obelgi dział pruskich, że nazakłęcie konających Polaków, sumienie polskie odezwie się nareszcie z pod lawiny szlacheckiej; a więc że byle dostał czy poległ w przedniej straży, rozpierchłe powstanie zawróci mu w pomoc. Na tem przypuszczeniu Mierosławski oparł wszystkie swoje rozporządzenia, skoro tylko przyszło mu zejść z wyżyn ogólnego powstania do taktyki forpocztowej.

Zapamiętać trzeba, że za powrotem Mierosławskiego do głównej-kwatery z przeglądu siły Pleśzewskiej, od 18go do 25go Kwietnia :

nie ręce patryotyzmowi Galicyjskiemu, a najgroźniejsze onego manifestacje uchodziły bezkarnie w obec struchlałej garstki *szwarcgelberów* i neutralnego chłopstwa; dlaczego wtajemniczonym w owe plany patryotom nie przyszło natychmiast do głowy choć teraz zapróbować ich urzeczywistnienia, jak się to, dokładnie czy nie, ale działo w Poznańskim? Ile że przecie taka próba nie więcej kosztowała, a nierównie mniej skomplikowana, aniżeli zamierzone na jej miejsce wyzwolenie pięćmilionowego królestwa od atrakcyi Habsburskiej, drogą petycyjną.

5° Przypuszczając (co mi się niezmiernie dziwném wydaje) że ani wysłańcy Centralizacyi w r. 1845, ani Mierosławski w Styczniu 1846, ani procesa Berlińskie, Krakowskie i Lwowskie w latach 46—47, ani nareszcie wyswobodzone rokiem 1848 pióra i języki, nie potrafiły nauczyć tego Galicyanów, co już wszyscy urzędnicy pruscy, austriacy i moskiewscy wie-

1° Garczyńskiemu po raz trzeci powtórzono rozkaz postawienia mostu na Warcie między Dębem a Nowem-Miastem, iżby móżdż na każde zawołanie związać wszystkie obozy w jeden zastęp. Zarazem Jan Mittelsztet, bez równego sobie *powstaniec*, miał ściągnąć ile się da pramów między Lubrzem a Solcem, ażeby zapewnić obozowi Książkiemu bliższą niż przez Nowe-Miasto komu-

dzieli; dla czego im tak elementarnej strategii, nareszcie przyjazd emigrantów i przykład Poznańskiego niewyapostowało?

6° Po przyjęciu dla Galicyi przez Wysockiego, Heltmana, Januszewicza, B. i Zienkowicza, rozporządzeń powstańczych, akurat odpowiednich temu co się pod ich oczyma działo w Zaborze Pruskim, co znaczy zatkanie się emigracyi w Krakowie i zupełny bezczyn Komitetu Krakowskiego względem szerzyny galicyjskiej? Nie uwiadomiliż go Mierosławskiego wspólnicy, że przybywają ażeby korzystając z zyskanej rewolucyą Wiedeńską zachęty, a za pomocą emigrantów żadnemi szlacheczkami skrupułami nie krępowanych, odegrać się *póki wena sprzyja* z przeddwuletniego szwanku, i na powrót postawić na nogi rusztowanie w owym czasie niedowiązane?

7° Jeżeli nareszcie (co mi się jeszcze od wszystkich poprzednich zabaczeń dziwniejszem wydaje), nawet Józef Wysocki kilkoletni Mierosławskiego kollaborator, swojego własnego planu powstańczego Galicyan nauczyć zapomniał, gdzie się zadział w tych stronach podczas r. 1848, ten axiomat, dowodzenia żadnego nie potrzebujący, iż «ażeby Polskę odzyskać, trza najprzód gdzie tylko się da, i jak się da, wziąć za broń jaka pod ręką, i lada kupami zbrojnemi owdłnąć drogi do środka Polski prowadzące?»

nikację z prawym brzegiem Warty. Nareszcie młody Szubert, jeden z inżynierów narzuconych daremnie sztabowi Nowomiejskiemu, zabrał się do ustalenia pod Czeszewem trzeciej przeprawy, która o milę tylko odległa od Miłosławia, a zagłębieniem wschodniem i i załamem rzeki dobrze ubezpieczona od nawiedzin pruskich, bardzoby właściwie dopełniła między Dębnem a Nowem-Miastem przygotowanej.

2° Białokórskiemu polecono, ażeby wypuszczając organizację drugiego naboru w południowych powiatach Fr. Żychlińskiemu, W. Lipskiemu i W. Kalkszteinowi, patriotom zaliniowym, sam po odparciu pierwszej napaści pruskiej pod Raszkowem, z gotową siłą swoją zbliżył się przez Jarocin ku Nowemu-Miastu.

3° Fl. Dąbrowskiemu, wysłanemu na miejsce Budziszewskiego do Księża, nakazał Mierosławski bronić się w Księżu choćby do upadłego, *dopóki przeprawy Wartejskie, a zatem związek i dosiebność czterech gron naszych nie będą ubezpieczone.* Poruczając mu to ważne stanowisko, Mierosławski miał serdeczną z Dąbrowskim rozmowę w obliczu wspólnych przyjaciół. Przekładając mu plan swój niezmiernie uskromniony przez dwutygodniowe zawody i przeciwiństwa, Mierosławski ostrzegł

go, że nie łatwiejszego zawiści, lenistwu czy złej wierze innych komendantów, jak udaremnić wszystkie rozporządzenia sztabu; ażeby przeto Dąbrowski na nikogo się nie oglądał, na sąsiadów porękę bardzo warunkowo, bardzo ostrożnie rachował, i tak sobie radził jak gdyby mu wszyscy chybić mieli, a on nikomu. «Plan mój, rzekł mu Mierosławski, jest tem zrozumialszy, że innego do wyboru już nie ma. Prusacy przedzieleni są szeroco Wartą, której najzwęższe przeprawy są w naszym ręku; ażeby ich na kilka dni doszczętnie rozerwać, trza tylko krótki ale jędrny opór stawić im na obu brzegach razem, a potem raptem przerzucić całą moc naszą na mniej natarczywą ich połowicę. Przy szczupłości i rozprzężeniu zbrojni naszej, musimy trzymać się statecznie *odporu zaczepnego*; bo do wręcznej zaczepki jesteśmy tak niezdolni i niechętni, że dla dokonania takiego zboru nierównie więcej liczę na napaść Prusaków, aniżeli na wszystkie rozkazy, które oto w tej chwili pod twojami oczyma, Ruszczewski, Tyl i Guttry po temu rozpisują. Niema jak czekać w ramię broń, aż nas nieprzyjaciel zaatakuje, co zresztą lada moment nastąpić musi; dopiero kiedy obawa zostania odciętymi, ściągnie wszystkich niesforników mimo ich woli, pod moją rękę, wtedy przyjdzie mi obaczyć którą ścianę obsaczenia pruskiego wygodniej jest nam przebi-

jać. Jedynym twoim frasunkiem, mój serdeczny Floryanie, żebyś Prusaków w Szremie zgromadzonych niedopuszczył po za siebie nad brzeg Warty, dopóki się Garczyński z mostem nie wyguzdrze, bo wtedy na wstępiebyśmy wszyscy przepadli. Podobną wartę, po tej stronie rzeki biorę na siebie; a dopiero skoro połączenie nasze będzie zapewnione, obaczemy na który brzeg wypadnie przerzucić nasz zwrot zaczepny. Dalsze rozwinięcie mojej myśli zależy całkiem od powiedzenia się tego pierwszego aktu; stawiam cię archaniołem na jej straży. »

Dąbrowski odpowiedział Mierosławskiemu ze łzami w oczach, że go rozumie *jak żeby mu własne słowa z piersi wyrывał*, uściskiem rozradowanego męczeństwa pożegnał go i pospieszył do swojej komendy. Ale sens stoicyzmu wojennego i karność rewolucyjnej zatracony jest dla opinii szlacheckiej. J. Moraczewski łamie sobie głowę nad odgadywaniem, co znaczyć może oświadczenie Dąbrowskiego takim towarzyszom jak Józef Czapski, Fałęcki, Kamiński, Cukrowicz, Kwiatkowski, Bajerski, Szmirkowski, B. Mazurkiewicz, wikary Koszucki, że im się na krok cofnąć nie wolno, dopóki ich siła Nowomiejska nie zluzuje. Czy oszalał taki demokrat, żeby krępować swoją i czyją wolność?

Tej lwiej uległości Oborskich i Dąbrowskich,

fantazyom «wątpliwego porucznika, półbakałarza, półstolarczyka,» żadną miarą porządni obywatele pojąć i strawić nie mogli. Zaledwie tedy Dąbrowski objął dowództwo w Książu po wygodnym pułkowniku Budziszewskim, zaczepili go jednocześnie Brandt, dowódzca pruski w Szremie, Raczyński, komissarz powiatu, i Maciej Mielżyński, ostatnia komitetu szlacheckiego personifikacya. Pod pozorem samowolnego postępowania nowego komendanta z żandarmem pruskim i z urwiszami podejrzanemi o szpiegostwo, wszczęła się zaraz gorzka korespondencya między M. Mielżyńskim a sztabem-głównym z jednej, między Raczyńskim a Dąbrowskim z drugiej strony. Przewódzca Komitetu żądał destytucyi Dąbrowskiego, mówiąc że smutnąby było rzeczą wojnę toczyć o żandarma. Mierosławski odpowiedział Komitetowi, że smutniejszą byłoby rzeczą płacić Dąbrowskim za żandarma. Zarazem namiestnikowi swojemu zalecił o głupiego żandarma się nie ujadać, ale też żeby po równi strzegąc się Prusaków i kontrarewolucyi szlacheckiej, ze szpiegami militarnie sobie postąpił, własną powagą poruszył sobie do pomocy drugie naborzy w powiatach do których sięgnąć wydaży, i uporeczywie Książa bronił.

Jednakże, określiwszy tak starannie przewidzenie attaku wymierzonego na Książ, wypadało także ostrzedz Dąbrowskiego o możliwości pochodu

Brandta i Bonina wprost ku Nowemu-Miastu. W tej ostrożności, i na zapytanie Dąbrowskiego co w takim razie począć, Mierosławski odpowiada mu :

Wypis z Aktów Obozu Książkiego.

Wojsko Polskie.

Sztab Główny.

DO OBYWATELA FLORYANA DĄBROWSKIEGO.

Attak wymierzony na Raszków, nakazuje ci Obywatelu jak największą czujność. Jeżelibyś był atakowany od strony Szremu lub Dolska, nie opuścisz Książa bez walnego boju, a zmuszony do odwrotu, powoli go wykonywać będziesz ku Nowemu-Miastu, zasłoniony odwodem Garczyńskiego.

Gdyby w zamiarze stanowczej rozprawy, nieprzyjaciel pomijając Książ, główne siły swoje skierował od razu na Nowe-Miasto, zwrócisz się na jego lewy bok, i będziesz się starał uderzyć nań podczas jego przeprawy przez bagna Obrzy, mając siły Nowomiejskie (Garczyńskiego) w rezerwie i gotowe do popierania ciebie. Potrzeba zapewnić sobie zawczasu pospolite-ruszenie na tyłach kolumn które cię atakować będą. W tym celu, roześlesz bez zwłoki na okoliczne powiaty ludzi pewnych i wziętość miejscową mających, których obowiązkiem będzie trzymać lud w pogotowiu do wystąpienia zbrojno na wszystkich tyłach nierzyjaciela nas atakującego.

Obywatelowi Cukrowiczowi przypomina się poleczone mu roboty.

Ob. major Słubicki odebrał ustne polecenie stawienia się w Książu, dla objęcia komendy nad poręczonym mu batalionem. Rozkaz ten powtórzony mu będzie na piśmie.

Milosław, dnia 27 Kwietnia 1848. rano.

Inspektor Siły Zbrojnej Narodowej :

Ludwik Mierosławski.

W tym rozkazie dotyczącym po równi obu sąsiadów, najprzód dowód że obóz Książki nie był skazany na śmierć gladiatorską, jak to sobie dotąd gawiedź szlachecka na konsolację powtarza. Następnie, solidarność między Dąbrowskim a Garczyńskim dotykalna i ślad niezatarty że ten drugi odebrał wiernie wzajemne zlecenia, względem pierwszego. Oczywiście, że skoro Nowe-Miasto było głównemu-sztabowi na koniecznej drodze do dalszego nierównie Książa, żadna depesza obudwu dotycząca, Garczyńskiego pominąć nie mogła.

Za niedbającego o własne, lecz o honoru ojczystego zbawienie, wszystkim innym myśleć, świętym jest obowiązkiem. Od 25go Kwietnia, hezbójne opuszczenie Raszkowa przeniosło od Białoskórskiego do Dąbrowskiego cały interes, całą pieczołowitość głównego-sztabu i obowiązujące czucie sąsiadów. W rozłącznych poruszeniach, które poprzedzają ogólny zbór powstania,

najpierw zagrożonemu należy się wszelka pomoc okoliczna; a jeżeli ten placu nie dotrzyma, powinien zejść natychmiast na posłuszny posiłek po sobie napastowanemu. Takie jest powszechne prawo strategiczne.

Garczyńskiemu, którego w skutek tej przemiany miał w Nowem-Mieście zastąpić Białoskórski, nakazano ażeby skoro choć jeden most postawi, natychmiast wyruszył w pomoc Dąbrowskiemu, zmienił się z nim w boju czy pod Książem, czy nad Obrzą, i po za siebie go przepuściwszy, ustąpił ostatni na prawy przeg Warty. W przeciągu siedmdziesięciu godzin, rozkaz ten został siedm razy powtórzony sztabowi Nowomiejskiemu pod wszelkimi formami. Najprzód dwa razy piśmiennie sposobem ostrzeżenia, przez zwyczajne posyłki; trzeci raz ustnie, przez gorliwego i walecznego ochotnika Jerzego Skarzyńskiego, z żywym naleganiem; czwarty raz, przez pułkownika Szczanieckiego; piąty raz znowu piśmiennie, najdobitniej a z ważnym dodatkiem, że z *dwóch komendantów Nowego-Miasta a Książa, wcześniej atakowany rozkazywać ma absolutnie drugiemu*:

Wypis z Aktów Obozu Książkiego.

Wojsko Polskie.

Sztab Główny.

DO OBYWATELA FLORYANA DĄBROWSKIEGO.

Na sześć godzin przed raportem twoim, Obywatelu, dałem

rozkaz Obywatelowi Garczyńskiemu, ażeby ci nadesłał w pomoc kilkudziesiąt strzelców i trzy działka Bajerskiego dla wzmocnienia twojej załogi; teraz zaraz posyłam mu powtórzenie tego rozkazu z zastrzeżeniem dla was obudwu, abyście się rozłączyć nie dali, ile że na przypadek stanowczego ataku ze strony Prusaków, obóz Książki ma się uważać za przednią straż, a obóz Nowomiejski za rezerwę jednej i tej samej siły. Pamiętajcie na to obydwa, że z dwóch sił atakowanych, wpierv atakowana ma moc i prawo rozkazywania drugiej.

Przyślij mi natychmiast ścisły rapport co do sił pruskich które cię naciskają, z wymienieniem ilości i rozkładu.

Miłosław, 27 Kwietnia 1848.

Inspektor Siły Zbrojnej Narodowej.

L. Mierostawski.

W tem poleceniu, tego samego dnia poprzednie dopełniającem, mowę o posiłku strzelców wywołało zażalenie Dąbrowskiego na Garczyńskiego, że ten ostatni bez względu na wszelkie zakłęcia czy rozkazy, odmawia mu należnej pomocy. Jakoż znajduję w aktach obozu Książkiego tę dobitną i wszystko wyjaśniającą odmowę. Jest ona z daty 25go, podpisana przez W. Kosińskiego z polecenia Garczyńskiego, i opiera się na konsyderacyi że :

«Dyzlokacya sił naszych nie zależy od dowódców obozów, gdyż nie jesteśmy w stanie wojny. Wyłączone więc nam i przez konwencyę zabez-

pieczone garnizony, *muszą być* bez żadnej zmiany utrzymane!» Muszą być utrzymane! tak zadecydowali pan Władysław z panem Józefem.

Od tego też momentu Dąbrowski przekonał się, że na szczerze współdziałanie Garczyńskiego liczyć nie może; że jego, Dąbrowskiego, jednego wyjąwszy, żaden z komendantów rozporządzeń naczelnych nie posłucha, a więc że «w obronie takich, sam obóz Książki będzie umiał zginąć.» Wprawdzie nie było w rozkazach naczelnych fatalnego wyroku śmierci na miejscu, dla obozu Książkiego; ale w termopilskim rozumieniu Dąbrowskiego na to wyjść musiało, skoro Garczyński odmawiając mu poręki, na niego jednego zwał całe ich wykonanie.

Tym czasem, szósty nakaz beznamyślnego już poskoku całym obozem Nowomiejskim do Książa, wyprawiony został na noc z 27go na 28my Kwietnia przez inżyniera Winnickiego, wraz z poleceniem przynaglenia robót mostowych na Warcie. O ile sobie przypominam, tuż za Winnickim odjechał jeszcze z głównej-kwatery, z osobliwym na ten nakaz przyciskiem, młody Unrug, officer pełen nadziei przerwanych waleczną śmiercią w boju Miłosławskim. Siódmy raz nareszcie zawołano o pośpiech, prawda że już zapóźno, przez Aleks. Guttrego, którego na wieść jeszcze głuchą o zatraceniu Książa, Mierosławski wysłał 29go

wieczorem, ku dopilnowaniu całego połączenia nakazanego trzem dowódczom lewego brzegu.

Ta powtarzanina jednego a tak elementarnego ostrzeżenia, najlepiej wykazuje *czy Mierosławski znał się lub nie na ludziach*, i ile to już podstępów, szykan, nieuczciwości doznać musiał aż do tego czasu od patriotów którym aż siedm razy trzeba było przypominać, że o półtóry mili przed nimi stoi awangarda w niebezpieczeństwie.

Jakoż, nasamprzód, pod pozorem uszanowania własności prywatnej; potem dla uchwiania sobie wymówki od dalszych poruszeń; nareszcie téż skutkiem tego rajskiego niedbalstwa polskiej szlachty, co to by chciała żeby pan Bóg nietylko jej drzewa naniósł, ale jeszcze takowe za nią porąbał: dość że ani osobista natrętność Mierosławskiego, ani przedstawienia jego powierników nie potrafiły, aż do samej wili bitwy Książkiej, skłonić Garczyńskiego żeby nakazał most czy pod Nowem-Miastem, czy pod Dębнем, czy pod Czeszewem. Koterya Nowomiejska zbywała ciągle zbyt delikatnych inżynierów z emigracyi Kowalskiego i Szuberta pospolitą impertynencyą, że jako nie krajowcy, głosu nie mają; sztab zaś główny pytaniem, czy tego Prusacy nie wezmą za wypowiedzenie wojny? Dopiero Winnicki, także emigrant, trochę zawierucha, ale za to bez skrupułu kiedy szło o dopełnienie publicznego obowiązku, pod wra-

żeniem Książkiego wołania, a przy pomocy Szuberta, zwerbował sobie ochotników, panu Mycielskiemu skonfiskował holowane już ku Pyzdom tratwy, i pod groźbą odwiedzionych pistoletów wykończył w kilku godzinach, co od dni piętnastu nawet zacząć, sceptykom Nowomiejskim zdawało się niepodobnem.

Co do solidarności między obozami Książkim a Nowomiejskim: aż do 27go w wieczór można było przypuszczać, że albo Brandt obchodząc Książ od południa, albo Bonin ubiegając Białoskórskiego przez Jarocin, może też obaj razem uderzą na Nowe-Miasto, ażeby z góry owładnąć węzeł wszystkich związków naszych nad Wartą. W takim razie Dąbrowski nie mając co robić w Książu, byłby obowiązany przyprowadzić swój obóz pod rękę Garczyńskiemu, jako *głównie zagrożonemu*. Jednakże, i na ten przypadek Garczyński był szczerze strzeżony postawą Białoskórskiego po drodze Jarocińskiej, a Dąbrowskiego w Książu. Ale to przypuszczenie zupełnie usunięte zostało ze schyłkiem dnia 27go. Jakoż, z dnia tego, znajdujemy w aktach obozu Książkiego duplikatę następującego wezwania:

DO OBYWATELA GARCZYŃSKIEGO, KOMENDANTA OBOZU POD
NOWEM-MIASTEM.

Obywatelu,

Wystawiony na pierwszy atak nieprzyjaciela, niejako prze-

dnia straż twoja, brakuje mi najgłówniejszej broni, to jest strzelców. Wzywam przeto uprzejmie szanownego Obywatela o przysłanie mi silnej kompanii strzelców, któraby w razie ataku mogła pierwsze jego ruchy wstrzymać do pewnego czasu, dopóki dywersya z wiosek okolicznych, *a następnie i twego obozu*, jako też i obywatela Mittelszteta nie przyjdą mi w pomoc; rozkaz albowiem Sztabu-Głównego nakazuje mi trzymać się w miejscu i nie ustępować aż w ostateczności,

Książ, dnia 27 Kwietnia 1848.

Pozdrowienie Braterskie.

Komendant Obozu pod Książem :

Floryan Dąbrowski, major.

P. S. Tego samego rodzaju żądanie posyłam obywatelowi Mittelsztetowi w Solcu.

Dąbrowskiego wołanie nie dozwoliło Garczyńskiemu najmniejszej wątpliwości co do zamachu Brandta na Książ. Nie ma też wcale o to sporu, ile że nareszcie pod dwóch dniach zżymania się, poczynając niby wykonanie rozkazu w tym sensie, komendant Nowomiejski wyprawił w przedniej straży do Książa oddział strzelców Karczewskiego. Wiadomo nadto, że Brandt przepuścił 24 godzin między sommacyą a napaścią, co dodane do sześciu najmniej godzin przygotowań i boju, udzielało 30 godzin z okładem sile Nowomiejskiej, ażeby się wybrać i przybyć sąsiadowi w pomoc.

Na tej stacyi opowiadania naszego, obaczmy do jakiej wysokości wezbrał o tym czasie najazd pruski na około czterech naszych zbrojnych garstek :

Natychmiast po zrzeczeniu się niemożliwego rozziemstwa przez Willisena w Witaszycach, Jrał Colomb naczelnie dowodzący w Wm. Ks. Poznańskim wezwał swojemu 5mu korpusowi w pomoc dywizję z korpusu 6go Szląskiego, a od 20 do 30 Kwietnia całą tę armię rozłożył na cztery kolumny ruchome, z dwiema rezerwami w Poznaniu i Bygdoszczy.

Od południa, pułkownik Bonin na czele dywizyi szląskiej obrał sobie podstawę działania w Krotoszynie, i rozpuszczając wodze tchórzliwej wściekłości swojego żołdactwa, taniemi mordami na rozproszonym ludzie lub bezbronnych jeszcze związkach naszych rezerw powiatowych, oświadczył 22 Kwietnia Odolanów i Koźmin a awangardę posunął pod Raszkw. Najazd ten południowy, przeznaczony do rozbrojenia całego trójkąta objętego między granicą Szląską, Wartą a granicą Polski kongresowej, składał się z 15tu półbatalionów* liniowych, 13tu kompanij landwery Szląskiej, 3ch dywizyonów huzarskich, 1go dywizyonu kirysierów i dział 4ch: razem, głów około 7000, mających osłaniać przytem formację landwery Poznańskiej, którą zawczasu po temu zegnano kompaniami nad granicę Szląską.

Półkownika Brandta, Polaka renegata, jedyne

* To jest kompanij potrojonych rezerwą.

z resztą między pruskimi dowódcami człowieka z głową, komenda zajęła kąt Szremski: lewem oparta o Zaniemyśl, prawem o Dolsk, środkiem w Szremie. Kolumna ta przeznaczona do stanowczej operacyi, bo do wręcznego napadu na Książ i zerwania naszej sieci związkowej przez zajęcie jednym tchem jej węzła w Nowem-Mieście, składała się z 10 półbatalionów liniowych, 8miu kompanij landwery, 1ej kompanii celnych strzelców, 2ch dywizyonów ułańskich, a 3ch huzarskich i dział 7miu: razem głów około 6500. Brandt dotykał się Bonina przez Dolsk i Borek.

Kolumna Jła Blumen, na trakcie od Poznania do Miłosławia, lewem zajmowała Pałczyn dotykając się Wrześni, a główną siłą Środę. Przeznaczeniem jej było, po przerzuceniu naszych szczątków na prawy brzeg Warty przez Brandta, wspólnie z nim dokonać naszej klęski w matni Miłosławskiej. Komenda ta składała się z 8miu półbatalionów liniowych, 4ch kompanij landwery, 1ej kompanii strzelców celnych, 1go dywizyonu kiryserów, 1go ułańców a 1go huzarów i z dział 6ciu: razem głów około 5000. Blumen dotykał się Brandta bardzo ukośnie i niewygodnie, bo przez Zaniemyśl, ale od Wedla odgradzała go tylko dowolna między nimi luka przez Wrześnię; z resztą za rezerwę prawie niewyczerpalną i bezpośrednią służyła mu ogromna załoga Poznania. Najgroźniej-

szą z tych kolumn obsaczających, ale najdalej rozsypaną, stanowił korpus Jła Wedla, po drodze północnej, Bygdoskiej, przez Gniezno do Wrześni. Miała ona trzymać w ryzie całą Regencyę Bygdoską, i zewsząd naganiać powstanie we więcierze trzech poprzednich. Korpus ten liczący ogólnie głów 11,000, składał się z dwóch dywizyj Jenerałów Hirschfelda i Pucklera. Pierwsza, naczelna, rozłożona od Gniezna do Wsrześni a stykająca się z Blumenem przez Zberki i Pałczyn, obejmowała 4 półbataliony liniowe, 4 kompanie landwery, 4 dywizyony huzarów i 4 działa. Druga, rezerwowa, sięgająca od Bygdoszczy przez Trzemeczno do Gniezna, i na krzyż od Wągrowca do Inowrocławia, obejmowała 16 półbatalionów liniowych, 4 dywizyony dragonów, a dział 2.

Do tych trzydziestu tysięcy, mogących z wyjątkiem rozsypanej komendy Pucklera, zwalić się w czterdziestu ośmiu godzinach w środek naszych zbiorowisk, mało co przenoszących razem summe 3,000 raczej na pielgrzymkę aniżeli do boju uzbrojonych powstańców, doliczyć jeszcze wypada blisko dziesięciotysięczną załogę Poznania, nierównie słabszą ale wzmódz się łatwo mogącą rezerwę w Bygdoszczy, około 5000 landwery ze zniemczonych powiatów Wgo Księstwa, a wreszcie 16,000 Moskwy rozstawionej tuż na granicy

Polski kongresowej pod Jłem Read, od Kalisza przez Słupce do Radziejowa.

Nie od razu wszakże Moskwa tak się spoufaliła. Powstania Paryzkie, Wiedeńskie i Berlińskie, jak grom po gromie dotknęły ją coraz głębszym paraliżem; a na pierwszą wieść o powstaniu Polaków w Zaborze Pruskim i przybywaniu emigrantów do Krakowa, mając dokładnie na pamięci ów nasz plan z r. 1846 którego tak gorzko szlachecki patriotyzm wyszydzał, wyglądała ona nieomylnego wybuchu w swoim Zaborze, na całym lewym brzegu Wisły. O tem świadczą nie tylko pokorna trwoga rozkwaterowanych po województwach officerów, biwakowanie załogi Warszawskiej po rynkach z nabitemi działami, wynosiny kass i archiwów ciemięskich do Brześcia-Litewskiego, emigracya rodzin moskiewskich z Królestwa, ale i przejęte przez nas korespondencye Gub. Kaliskiego i Reada z władzą pruską w Poznaniu. Zwierzenia te sprzymierzeńców uprzedzały władzę pruską o rozkazach wydanych do wszystkich komend moskiewskich po lewym brzegu Wisły, ażeby na pierwsze dotykalne symptomata poruszeń powstańczych, unikając wszelkiego z niemi zatargu, jeden tylko Kalisz opatrzyły dostateczną załogą, a resztę sił swoich zciągnęły do czterech punktów nadwiślańskich Włocławka, Modlina, Warszawy i Dębina. Z tych dopiero pod-

staw, zwrotem zaczepnym z operacyami pruskimi skombinowanym, Paszkiewicz zamierzał pokonać nasze podwojne w Wielko i Mało Polsce powstanie: tak przynajmniej wypadało nam wnosić z przejętych depesz moskiewskich.

Na nieszczęście, ciemiecy lepiej od nas nierównie pojmowali przewagę naszej o tej porze fortuny. Missye Mierosławskiego jeszcze z Poznania do Polski kongresowej spełżyły wszystkie na marnych obietnicach, a usiłowania ażeby wkroczeniem z Poznańskiego dźwignąć Zabór Rossyjski z tej zawstydzającej inartwości, rozbiły się o psotność pacyfikacyjną prowincyi nie tylko sąsiedniemu Zaborowi udzielić swojego ramienia nie głupiej, ale ku własnemu wyzwoleniu podnieść go wcale niechcącej. Jakoż do zbytku dowiedziono że nie dopiero wtargnienia w kilka tysięcy do Polski kongresowej, ale dwu milowego ruchu z mieściny do mieściny Poznańskiej, patentowani Komitetu dowódcy niepatentowanemu naczelnikowi wzbraniiali; aż do chwili w której przyznana mu nareszcie komenda nad drużyną podobnych mu desperatów, już się tylko do pogrzebowego akurat bojowiska rozciągała. W drugiej też dopiero połowie Kwietnia, kiedy się zapewnili: 1° że województwa lewego brzegu Wisły ani drgnąć, ani jednej szopy strażniczej podpalić im nie myślą, 2° że zupełna beczynność okręgu Krakowskiego

i Galicyan żadnem roztargnieniem od południa im nie zagraża, 3° że powstanie Poznańskie dogorywa w trojścianie trzydziestu tysięcy bagnatów, szabel i armat pruskich, Moskale przyparli dwiema dywizjami korpusu nadwiślańskiego granicę, ażeby tę oblawę czwartą ścianą od wschodu dopełnić. Aż dzięki osłupiałemu przypatrywaniu się dwudziestu milionowego, jak się zowiemy, narodu, tym przygotowaniom, wszystkie pogodnie dokonane zostały, a zbombardowanie bezbron- nego Krakowa, 26go Kwietnia, posłużyło Prusakom za racę sygnałową do obcesowego szturm na nasze poświęcone przez patryotyżin szlachecki opłotki.

Jakoż 27go, Brandt mający początkować ich niszczeniu, brnąc przebojem przez Książ do Nowego-Miasta, zciąga wszystkie oddziały swoje do jednej kolumny, a próbuje wystraszyć Dąbrowskiego z obarykadowanego miasta, fałszywą zapowiedzią attaku na 28go Kwietnia.

Chcąc przynajmniej na tak świetnym ustępie powstania poznańskiego zostawić pieczęć wiarygodności dla moich osobistych przeciwników nietykalnej, czytelnika odsyłam po szczegóły onego do opowiadania naocznych świadków*. Tu

* Obacz tę relację naocznych świadków w przypiskach, na końcu książki.

go pobieżnie tylko potrączę, ażeby wstawić jego wyniki w całość mojego opisu.

Doba 28go Kwietnia zostawiona przez Brandta do namysłu Dąbrowskiemu, wyszła tylko na fatalny przeciwko nam podstęp, skoro nie skłoniła Garczyńskiego do zdwojenia szeregów swojego sąsiada pod Książem. Jakoż rezerwy okoliczne, stosownie do nakazu z głównej-kwatery zwołane przez Dąbrowskiego do Książa na ten dzień, musiały być wieczorem rozpuszczone jedynie *dla niedostatku żywności*. Rzecz prawie niedouwierzenia, gdybyśmy już z samych zabiegów pacyfikacyjnych komissarza powiatowego, Komitetu i jego natrętnych nasłańców, dokładnie niewyrozumieli powodów tego systematycznego ogładzania naszych obozów przez szafarzy chleba wielkopolskiego. Bo też doprawdy, skoro od służby liniowej wzięła dymisyę, czyż przynajmniej z gorliwą wdzięcznością swoich zastępców bojowych wyżywić, szlachta wielkopolska nie czuła na sobie solidarnego obowiązku?

29go zatem, Fl. Dąbrowski przyjąć musiał bój czysto odporny w najgorszych jakie tylko można było warunkach dla siebie, w najlepszych zaś dla nieprzyjaciela, który dzień przez nas zmarnowany na zawziętej beczynności w Nowem-Mieście, a na sprowadzanie i rozpuszczanie posiłków w Książu, obrócił na zbiecie sił swoich w jedną kolumnę

szturmową. Groźna ta Brandta komenda, obejmująca nawet po odtrąceniu z niej obserwacyjnych oddziałów przeszło 5000 walczących, zesłała się 28go na dwóch punktach Dolska i Łęgu przed Szremem, a nazajutrz 29go, jak świt ruszywszy obiema drogami na Książ, o 9tej godzinie z rana uszykowała się o milę od miasta. O 11tej przypuściła atak.

Gdyby się godziło jakie uwagi techniczne przyłożyć do szyku bohaterskiej garstki bijącej się jak mogła w awangardzie siły Nowomiejskiej, a więc nic prócz parogodzinnego oporu nie mającej rzeczywiście na myśli, zarzuciłby się dało Dąbrowskiemu zatkanie kosynierów w środku miasta, gdzie bez żadnego wylotu zaczepnego, marnie wyginąć musieli. Barykady miejskie li odpornej broni strzelców do smaku i rzemiosła przypadały. Kosynierów wypadało raczej wypuścić na pole północne jako swobodny eszelon ułanów: boć to w gruncie jedna i ta sama broń, sieczna, więc czysto zaczepna. Ta pomyłka tak wytrawnego dowódcy tem się tylko tłómaczy, że użycie kosynierów jako *ułanów pieszych* wymagało osobnego a doświadczonego szefa batalionu; ten zaś, major Słubicki, komendę swoją odbiegł na krótko przed bojem przez starokapralską zawiść do swojego zwierzchnika; (bo i emigracya jako żywo! nie bezskażny kryształ). Wtedy Dąbrowski rozżalony,

sam postanowił zwyciężyć lub zginąć w szeregach tego wiernego chłopstwa swojego, do czego zachować je musiał pod swoim bokiem, na rynku miejskim. Szczupły tylko szwadron Józefa Czapskiego zajął to pole północne, naprzeciw pięciu dywizyonom konnym Brandta; sto zaś strzelców niespełna, rzadko obsadziło obwód zachodni i południowy miasta. Potoczne obrony Księża przez Mierosławskiego przed dwoma tygodniami wytknięte, i pod jego oczyma rozpoczętejeszcze za komendy Budziszewskiego, ale przez tę kreaturę komitetową zupełnie zaniechane, dopiero pod sprężystym dozorem Fl. Dąbrowskiego przez inżyniera z emigracyi Cukrowicza, znowu podniesione i szybko dokonane zostały. Rynek po czterech rogach zatkany mocnymi barykadami, stanowił *schron*. Po dwa domy na wylocie każdej ulicy zamieniono tanio na *blokhausy* strzeleckie za pomocą obsypu z ziemi i rowku zeń wynikającego, a narożniki te związane ciąglą kurtyną płotów podpartych kłocami. Wszakże reszty mieściny, całej niemal drewnianej, od spłnienia pod granatami niepodobna było ubezpieczyć bez zniszczenia zupełnie takowej; dla tego też, w żadnym razie, utrzymać się w niej długo nie było można. Ale gdyby zamiast stu strzelb a daremnych kos, zasadzki takiej broniło 300 połączonych Dąbrowskiego i Garczyńskiego strzelców, obu zaś obozów

kosynierstwo i jazda zachowały, jak pod Miłosławiem, swobodę zwrotu zaczepnego na polu między miastem a lasem, ani wątpić że po zadaniu Brandtowi strat paraliżujących, z wyjątkiem poległych, wszyskoby odnalazło się nazajutrz jak świt, pod ręką naczelnika, na prawym brzegu Warty, do odwetnej rozprawy z Blumenem. Na tej elementarnej rachubie, Mierosławski uzasadniał przewidywanie swojego zwrotu zaczepnego trzytysięczną summą powstania, po traktach Szredzkim lub Wrzesieńskim; żaden też dobrej wiary wojskowy temu nie zaprzeczy, że przydatek siły Książkiej a takich pomocników jak Dąbrowski i Czapski, wcaleby inne rozmiary nadał zwycięstwu Miłosławskiemu.

Przed godziną południową, i jednocześnie prawie, rozpoczęły się ogień działowy na miasto, a szarża jazdy pruskiej na Czapskiego. Dzielny ten officer władający swoim ludem jakby własnymi członkami, przełamał ją najprzód śmiałą kontraszarżą, i uległ dopiero w upartem, ale daremnie pasowaniu się jednego z sześcioma. Równie zaszczytny opór strzelców w blokhauzach i za barykadami trwał aż do wyczerpania ostatniego ładunku. Dąbrowski zachował swobodę odwrotu przez cztery godziny, ale nie chciał na krok ustąpić z płonącego mu już na tyłach miasta, póki nie przyjdzie go zluzować w awangardzie wspólnego

ruchu Garczyński, jak mu to nakazanem było z głównej-kwatery. Więc mąż ten, z większą połową swoich officerów i trzysto żołnierzami zagrzebał się dobrowolnie w popiołach stosu Książkiego, napróżno niestety! wzorowym męczennikiem karności powstańczej. Tem atoli prawdziwie termopilskim poświęceniem, opóźnił o całą dobę pochód Brandta ku Nowemu-Miastu i do szczętu popsuł morderczy plan Prusaków, bo tę zwłokę jak to zaraz obaczemy, jakoby zapisał testamentem pomście Miłosławskiej. Czegoż tedy niedostało ażeby waleczność obozu Książkiego i na ten nam odwet zarobiła, i sama cała doń się na Miłosławskim polu przyłożyła? Oto poręki obozu, którego ofiara Książka postawiła się awangardą.

Między Książem a Nowem-Miastem, jest wszystkiego dwie maleńkie mile przechadzki; a więc co dwie godziny była przez konnych możebna rozmowa między obozami. Ściśle rzecz biorąc, Garczyński niemogący bynajmniej przewidywać, że pierwsza sommacya Brandta niema być stanowczą, za pierwszym alarmem sąsiada powinien był wedle wyrażenia rozkazu, *zbliżyć się pod rękę wpierv zagrożonemu*. Wtedy, nie będąc zbyt naglony, miał sobie wytkniętą drogę samymże brzegiem Warty, iżby niedopuszczyć Prusaków między przeprawę Świączyńską a Książ, który pięcioma verstami od Warty odstaje. Na to też postawio-

no oddział Mittelszteta w Solcu i trzymano tam w pogotowiu przeprawę pramową, ażeby Garczyńskiemu podsunąć łatwiejszy przeskok na prawy brzeg rzeki, skoro po odbiciu i zluzowaniu Dąbrowskiego w tylnej straży, siła Nowomiejska zbyt żywo by napartą do rzeki została przez Brandta.

W tej kombinacyi tak prostej, tak dotykanej, że ją i ślepy bez kija mógł namacać, Dąbrowskiemu obowiązkiem było rzeczywiście na krok z Książa nie ustąpić, ale tylko *dopóki go Garczyński nie przyjdzie zmienić pod ogniem Prusaków*; inaczey siła Książka wpuściłaby Brandta wewnątrz sieci wszystkich naszych związków, i cały nasz zamiar zboru skompromitowała. Ale też wzajemnie, świętą powinnością Garczyńskiego było jak najkrócej przetrzymywać sąsiada na tem śmiertelnem stanowisku; inaczey dopuszczał się kainostwa.

Że te abecadło taktyczne pokazało się dla J. Moraczewskiego żelaznym wilkiem, nie dziwota. Ależ Garczyński, siwiejący, w swoim czasie zasłużony major piechoty; ależ doradca jego i szef sztabu, szkoły pruskiej erudyta, nie wiedzieliż co się należy w kombinacyach wzajemnej obrony, *wpierw napastowanemu sąsiadowi*, choćby ich tego sześć rozkazów naczelných w przeciągu trzech dni i trzech nocy nie nauczyło? Dlaczegóż obóz Nowomiejski nie dzwignął się zaraz 27go pod

noc, lub 28go we wilię odłożonego przez Brandta ataku? Dlaczegoż przynajmniej nie ze świtem 29go? Ale co nie do darowania, dlaczego wywłókłszy się dopiero na rzewne wołanie kanonady z Nowego-Miasta, i nareszcie brakiem dłuższej drogi mimowolnie przybywszy przez las Boguszyński na ćwierć mili pod gorejący Książ, *podczas najzacieńszej jeszcze strzelaniny*, Garczyński nawet nie próbował odgrzebać co się da z tego bratniego całopalenia? Prawda, że z już dokonanej winy poległych nie wskrzesiłby; ale by może odbił 400 jeńców, Mittelszteta na otoczenie nie wystawił, a obronną ręką cofając się w nocy za Wartę, przybyłby pod Miłosław rozgrzeszony i o raz niemal silniejszy. Wiem że Kosiński, któremu na szczerości, na charakterze, nie na teorii wojennej zbywa, naglił swojego tępego komendanta do uderzenia; ale i to wiem, że wybrykiem fantazyi nie naprawia się ogromu psot długiem koleżeństwem wicherzenia i przewrotności nagromadzonych. Cóż dziwnego, że teraz Garczyński, nawykły posługiwać się swoim szefem-sztabu li do wojny kokoszej, mimo uszu puścił niespodziany ten kaprys sumienia, i końca nie ciekaw, bez oglądania się na Gomorę, zawrócił do Nowego-Miasta?

Zbytecznem zdaje się dodać, że w tem całym bratobójstwie, ani Garczyńskiego, ani jego połowicy, o pospolite tchórzostwo nie posądzam; lecz

o coś w powstaniu gorszego : bo o tę ślepą i głuchą zawiść parafialną, co żadnej świętości, żadnego heroizmu wyrozumieć niezdolna, radaby wszystkie zagrzebać choćby pod ostatnim łodem Ojczyzny; eo wiecznie podrzyżniając Heroda, dla zgładzenia tego co ją upokarza, gotowa każde głupstwo swoje wynieść do dostojenstwa zbrodni.

XIV

Str. 120. W. P. «Już dawniej Mierosławski wzywał Białoskórskiego, ażeby się do niego zbliżył, i t. d.»

W tem, jak w całym dziełku Jędrzeja Moraczewskiego, jest prawda, ale dużo gorsza od fałszu, bo nie cała. Przy tej sposobności i jednym zachodem, sprostuję wszystkie przesady przebijające się w jego powieści o boju Miłosławskim.

Wiadomo że po zawodzie Raszkowskim osobliwie, Mierosławski rozesał był jedno i to samo rozporządzenie zboru dla wszystkich obozów; wiadomo, że od tej chwili Nowe-Miasto nad Wartą stało się wspólną wytyczną obrotów dla trzech obozów lewo brzeżnych, i że Białoskórski

poszczególne został ostrzeżony, ażeby na każde zawołanie czy Garczyńskiego, czy Floryana Dąbrowskiego, odskoczył im w pomoc z Pleszewa. W odpowiedzi na to wezwanie, Białoskórski wyprawił natychmiast swojego adjutanta Bronikowskiego do głównej-kwatery z oświadczeniem, że takie polecenie nie jest wykonalne, bo «obywatele niejscowi nie wypuszczą go z Pleszewa, postanowiwszy zagrzebać się z nim razem pod barykadami swojego miasta powiatowego.» Tem numanckiem Pleszewian postanowieniem, zbytecznie przerażać się nie należało; ale Mierosławski obawiał się raczej, ażeby poprzednią już niesfornością, i za to popularnością powiatową zbałamuconemu komendantowi, nie przyszła pokusa bądź fundowania osobnej dzielnicy nad Strugą, bądź zbycia powstania tak zwaną *partyzantką*, to jest szukaniem nieprzyjaciela gdzie go nie ma. Jak najdobitniej zatem powtórzył przez Bronikowskiego pierwotny rozkaz, z tym dodatkiem, że nawet bez żadnego ze strony Garczyńskiego lub F. Dąbrowskiego wezwania, może do nich odskoczyć, sam obierając do tego moment najwłaściwszy, byle w żadnym przypadku od nich odciąć się nie dał przez Prusaków. Trzeci, a do bezzwłocznego przybywania rozkaz, wyprawiony został Białoskórskiemu we wilię boju Książkiego przez bardzo akuratnego gońca, Sokolnickiego. Nare-

sztacie, Aleksander Guttry, wysłany do Nowego-Miasta 29go w wieczór, dla dopilnowania ostatecznej naszej koncentracji, powiódł Białokórskiemu rozporządzenia przypuszczające że go niezawodnie blisko już Warty zastanie, a nazajutrz przed świtem w samemże Nowem-Mieście, o dwie mile od Miłosławia. Wszelkie też przygotowania do boju odporno-zaczeptego pod Miłosławiem na tej rezerwie oprzeć musiano, od chwili jak dzielny obóz Książki, zgubiony nieposłuszeństwem Garczyńskiego, wypadł niepowrotnie z rachub naszych. Jakoż Białokórski miał teraz zająć miejsce Dąbrowskiego, w kombinacji opartej wprzód na wycofnięciu się siły Książkiej pod osłoną Nowomiejskiej; Garczyński zaś odebrał zlecenie zostawić czujny oddział pod majorem Czarnomskim dla strzeżenia mostu na Warcie pod Dębniem lub pod Czeszewem, a z resztą włączyć się w marsz do komendy Białokórskiego. Tym sposobem spodziewano się ugiąć, choć na jedną bitwę, niegodziwą swawolę sztabu Nowomiejskiego pod rygor rzemiosłowego officera, któremu aż do próby ostatecznej Mierosławski nie miał powodu odmawiać bratniego zaufania. Zresztą, aż dotąd dwustronny, wedle tego na którym brzegu Warty Prusacy pokażą się mniej groźnymi, plan Mierosławskiego od 29go w wieczór, zeszedł koniecznie do jednego kierunku i do jednego parcia:

przebić się po prawym brzegu Warty przez Blumena i Wedla ku szerzynie Gnieźnieńskiej, zaczęli Brandt i Bonin na ten sam brzeg się przesuwać. Od tego tedy momentu, nietylko że każdy rozkaz Mierosławskiego zmierzał wyłącznie, bo zmierzać musiał, do tej wypadkowej; ale choćby i bez żadnego rozkazu, wszelki odłam powstania poczuciem własnego zbawienia garnął się ku Miłosławowi. Czyli że nie było już nikomu możliwym wymknąć się Mierosławskiemu z pod ręki, więc się wszyscy zeszli; ale jeszcze zachodziło pytanie, czy zgromadzeni lepiej zechcą słuchać niż rozproszeni?

Przypomnieć raz jeszcze trzeba, że kombinacja Mierosławskiego nie ograniczała się bynajmniej przed ztratą Książką do zboru trzech tysięcy, a po ztracie Książkiej do zboru dwóch tysięcy kilkuset bezbrońców na pogorzelsku Miłosławskim; ale że się rozciągała do najgorliwszych usiłowań, jakie kiedykolwiek w Polsce i za Polską wyjęzono, ku wywołaniu wszechstronnej poręki dla tej krzyżowej awangardy. Wcale bo też sobie wytlómaczyć nie umiem, dla czego kronikarze szlacheccy owej epoki, tak nieciekawo wiedzieć czy to o nieustannych wezwaniach głównej-kwatery do komitetu szlacheckiego i jego komissarzy powiatowych; czy to o okólniku z 14go Kwietnia przekładającym układ Jarosławiecki w sencie spiskowej

armistycy, a więc jak najzbrojniejszej czujności po za obozami; czy to o doskonale Komitetowi wiadomej umowie z naczelnikami emigracji względem jednoczesnego powstania w Krakowie, Galicyi i Poznańskim; czy to nareszcie o daremnych wprawdzie, lecz nie mniej przeto głośnych w Berlinie i Paryżu zabiegach, ku wywołaniu dywersyi brukowej przeciw możnowładztwu widocznie sprzysiężonemu na naszą zgubę w całej Europie. Nie umiem także sobie wytłómaczyć, czemu Poznańscy kronikarze tak zgodnie przemilczeli, że od zatargu Mierosławskiego z Willisenem i Stefańskim w Witaszycach, aż do deputacy Komitetowej która mu broń złożyć kazala, *sto przeszło osób*, których ani nazwiska, ani zobowiązania nie są tajemnicą, rozjechało się z Miłosławia na wszystkie powiaty Księstwa, Prus-Zachodnich i do Kongresówki, z jednym i tem samym hasłem: wszędzie powstać z tyłu napastnika, *na pierwszy huk dział* wymierzonych przeciw któremukolwiek z naszych obozów.» Hasło, zdaje się, dobitne, a data dosłyszalna.

Owóż, we wilię spotkania Miłosławskiego, wraz z ostatecznemi podaniami o mocy i zamiarach nieprzyjaciela, zaczęły nadchodzić do głównej kwatery najsmutniejsze pod wszystkiemi temi względami rapporta. Po lewym brzegu Warty, jęk konania Książkiego, przecież dość donośny,

nikogo nie przebudził. Z prawego brzegu Warty, komissarza Szredzkiego, jako najbliżej obowiązającego nam pomagać, a przytem zawołanego patrioty, odpowiedź była wręcz odmowna: «Zawezwaniu twojemu, ażeby straże bezpieczeństwa powiatu Szredzkiego zgromadziły się zbrojno i zajęły Środę, skoro nieprzyjaciel przeciwko wam z tego miasta wystąpi, nie może być zadość uczynione, bo lud stracił wszelką chęć do boju i poruszyć się nie da.» Z powiatów Gnieźnieńskiego, Mogilnickiego, Inowrocławskiego, Wągrowieckiego, Obornickiego, albo takie same konsolacye, albo obelżywsze jeszcze milczenie. Z Galicyi, zawód najkompletniejszy i wieść o zbombardowaniu Krakowa; z wnętrza Polski, nic. Jakoby Komitetu sommacya do złożenia broni obiegła już kraja cały, a kara Książka zatwierdziła powagę tej parafialnej klątwy, granice dwudziestomilionowego państwa ścieśniły się nagle do dwóch wiejskich cmentarzów, sumienie zaś Polski do kilku garści kradzionego prochu.

Za to, wybadaliśmy z pewnością, że moc Brandta po lewym brzegu Warty, znacznie przenosiła komendę Blumena po prawym; bo ten ostatni nie miał więcej w Środzie pod ręką jak 4,000 żołnierza, a 1,000 we Wrześni. Wedel mógł go jeszcze zasilić dwoma tysiącami z Gniezna, ale do tego trzeba było dwóch lub trzech dni zwłoki.

Zresztą konieczność ubezpieczania się pilnie od grożącego wszędy wybuchu, w żadnym przypadku nie dozwalała Wedlowi użyć więcej nad te 7,000 razem przeciw Miłosławowi. Brandt owszem, sześcioma tysiącami zwycięzki pod Książem, samym już terrorem taniego powodzenia trzymał lewy brzeg Warty w ryzie, a mógł się jeszcze w każdej chwili posłużyć trzema tysiącami Bonina. Całej siły Pruskiej w Księstwie było na ówczas 38,000; za dni ośm wzrosć miała do 45,000: dużo i mało, stosownie do odsieczy jaką rezerwy odstawione do powiatów przez konwencyę Jarosławiecką, przyniosą obsaczonym kadrom. To zaś zupełnie zależało od rozumu i determinacyi właścicieli panujących ekonomicznie nad krajem; bo dopóki naród nie zleje całej woli swojej i wszelkiej potęgi do rzeczywistej armii, oczywiście hetmanią depozytorowie żywiołów z których łaską złożyć im łaska.

Taki był stosunek mocy naszej do nieprzyjacielskiej, kiedy 30go raniuteńko, podczas wymarszu Blumena ze Środy na Miłosław, chłopci z Murzynowa przyprowadzili Mierosławskiemu huzara z przejętą depeszą od Brandta do Blumena. Brandt ostrzegał sąsiada: «że zasła między nimi umowa, ażeby obie ich siły 30go wskroś Warty połączyć i połączonemi dopiero na Miłosław uderzyć, miono zagadnioną została przez nadspodziewany

opór powstańców w Książu; ażeby zatem Blumen nie rachował na tak wczesne przybycie Brandta pod Miłosław, i do 1go Maja napaść swoją odłożył. » Ów traf dopiero dał Mierosławskiemu jasne pojęcie o zamiarach nieprzyjaciela, gdy tymczasem spieszny postęp Blumena zaręczał, że przynajmniej dotąd, generał ten żadnej duplikaty przyjętego ostrzeżenia nie odebrał. Więc też dopiero w tej chwili, na parę godzin przed starciem, ustalonym został abrys bitwy: zwabić Blumena pod sam Miłosław brzegiem lasu Winogórskiego, tającego mu wszelkie dalsze obroty nasze; a podczas boju jakkolwiek wytrzymanego bądź przed miastem, bądź w mieście samą Brzezańskiego siłą, połączone w marszu Garczyńskiego i Białoskórskiego kupy sprowadzić przez ten las czy na flankę, czy na tył Prusaków, już pewnie rozwleczonych zdradnem powrotem.

* W myśl tej improwizacji, zaniechano oporu pod Winogórą. Bronisław Dąbrowski skoczył ścignąć z tamtąd jazdę i strzelców pod redutę Miło-

* Barykady na wylotach miasta, ruchome opłotki, cementarzowa reduta przed miastem i zasieki na szlaku zagaj, zgola wszystkie nasze improwizacje fortyfikacyjne obmyślane były nie ku wytrzymaniu statecznego szturm, jak się to z doniesień szpiegów Blumenowi wydawać musiało; ale raczej dla poplątania i rozprzężenia szyków nieprzyjaciela. W takiej zamieszce przetrzymać go mieliśmy, bądź aż do wydostania się naszej Je-

sławską, a gońca po gońcu wysłano na drogę Nowomiejską, ażeby wszelką pomoc tędy nadchodzącą skierować już nie na Miłosław, gdzie sam obóz Brzezańskiego do pozornego boju wystarczał; ale na lewo ku Winogórze przez Białe-Piątkowo, to jest na bok i tył zaplątanego w sieciach Miłosławskich nieprzyjaciela.

Między ósmą a dziewiątą z rana, Guttry powrócił ze swojej misyi, donosząc że obóz Nowomiejski przeprawiwszy się w nocy na tę stronę Warty, częścią pramami, częścią przez most w Dębnie postawiony, już się znajduje w borze Miłosław-

wicy na jego tyły po drodze Winogórskiej, jak z początku zamierzałem, bądź aż do chwili w której zaślepieni wstępem powodzeniem, jak się to rzeczywiście stało, Prusacy zaczęli się wylewać z miasta ku lasowi południowemu, między pasmem nieprzebytych moczar a zasadzką naszego zwrotu zaczepnego. Dla tego wszystkie te optyczne zawady na które biuletyny pruskie taki przycisk kładą, żadnej roli prawie nie będą miały do odegrania w naszym opowiadaniu. Po tem objaśnieniu wychodzi na jaw cała śmieszność zapytań kończących opis boju Miłosławskiego przez officera pruskiego Rothenburga: między innymi, dlaczego Mierosławski nie *podminował* barykad miejskich? choćby też i było czem. Jédnakże szczegółowe to opowiadanie strony pobitej tem jest bardzo ciekawe, że dobitnie zeznaje jako dokładne wykonanie choć połowy rozporządzeń Mierosławskiego przez podwładnych, jednej nogi pruskiej ani jednej szprychy działowej z tego bojowiska by nie wypuściło. (Patrz Das Gefecht bei Miłoslaw, von F. R. v. Rothenburg, Berlin 1850.)

skim; ale że Białokórski nad rankiem dopiero stanął nad Wartą, i najmniej dwiema godzinami pochodu oddalony jest od Garczyńskiego. Wyprawiono zatem trzeciego gońca ku Garczyńskiemu, ażeby zoczył ku Winogórze, skąd już Blumen wylewał się na pola Pałczyńskie, o ile dostrzedz się dało, trzema szwadronami, trzema batalionami, czterema działami pieszemi a dwoma konnemi, podając lewe ramię mniejszej kolumnie Bomsdorfa z Wrześni nadciągającej. Dżdżysta mgła przez cały dzień zaciemniała dla stron obu bojuwisko. Przytem ułudny podział taktyczny wojska pruskiego na kompanie podniesione naborem rezerwowym do mocy półbatalionów, a zatem na bataliony wyrównywające kilka - batalionowym pułkom przedwojennym, fortel ten statystyczny wszelkie dostrzeżenia nasze do reszty bałamucił. Dopiero więc później z objaśnień samegoż nieprzyjaciela dowiedzieć się mogliśmy, że po drodze Szredzkiej takich półbatalionowych kompanij przybyło 8 z pułków 19go i 7go, a dziewięta strzelców celnych z batalionu Gierlickiego; toż dwa szwadrony podwojone na dywizyony zwyczajne: jeden z 7go pułku huzarów, drugi, z 4go pułku kiryserów. Po drodze Wrzesieńskiej, przybył jeden taki dywizyonowy szwadron 1go pułku ułanów z jedynym *rzeczywistym* batalionem 6go pułku landwery, bo landwera jako ostatnia rezerwa wo-

jenna, żadną się już inną nie zasila. Wszystko to razem obliczone na stopę wojenną, wynosić najmniej musiało głów 4,800. Mało co większą siłą Prądzyński zniósł pod Iganiami szczątki korpusu Rozena i korpus Palena Ilgo. Zapewne że o ile wprawa mustrowa i wyborne aż do przesady uzbrojenie tego wojska niesłychaną mu zaręczało przewagę nad naszymi drągami i zardzewiałemi flintkami, o tyle duch jego, zdawał się lichey; osobliwie Polaków 19go pułku, ze zgryzotą i wstrętem zamierzających się na braci. Jednakże, rzecz dziwna! rozpacz tak fałszywego położenia właśnie działała, że ci nieszczęśni zakładnicy jeszcze się zacieciej bili od doglądających ich do koła i pchających ich w pierwszy ogień Prusaków.

Obrauchowanie naszej zbrojnej biedy, po sprowadzeniu jej przez zabiegi pacyfikacyjne Komitetu do najskronniejszego wyrażenia Jarosławieckiego układu, a po zgładzeniu obozu Książkiego, nierównie prostsze. Obóz Miłosławski obejmował około 650 kosynierów, 200 strzelców i 150 koni; obóz Nowomiejski, z przydanym mu oddziałem Mittelszteta kosynierów 750, strzelców 120 i tyleż koni; obóz Pleszewski z zabranym po drodze oddziałem Żerkowskim kosynierów 720, strzelców 100 i tyleż koni, co razem wynosiło 2,900 powstańców. Zważyć tylko potrzeba że na 420 naszych strzelb, zaledwie połowa ich niosła na stopiędziesiąt kro-

ków, a że sztuców z daleka morderczych nie było czterdziestu. Ładunków, w przecięciu każdy strzelec nie miał 15. Cóż powiedzieć o dwóch lub trzech wiwatówkach wylatujących z gwoździanych panwi za każdym wystrzałem? Chyba tedy *artylerya polska*, opisy pruskie nazywają jedną czterofuntówkę którąśmy zdążyli osadzić na istotnem łożu, i do której wielkim mozołem udało nam się ulać siedm kul cynowych, bardzo dowolnego kształtu i kalibru.

Po opuszczeniu Winogóry, cały obóz Miłosławski uszykował się do boju między redutą a miastem, frontem do Winogóry, a prawicą do Pałczyna i Kębłowa. Szwadron Brzezańskiego rozwinięty został po przed prawem skrzydłem, osłaniając za sobą cmentarzową redutę. Pluton konny Lipskiego posunął się pod sam Kębłów, pozornie poparty przez bezbronną kupę chłopów, na chwilowy efekt zwołanych z Grabowa i Lipia. W środku, za przenośnymi opłotkami, niby wiążącemi redutę z miastem, zaczęła się wyborna kompania strzelców Langego; a w drugiej za nią linii, batalion kosynierów Wronieckiego. Pukawki Wenclewskiego stanęły przed frontem, na jednej linii z szwadronem, mając rozkaz schronienia się do reduty po kilku wystrzałach. Pluton strzelców Grabskiego dopiero co zciągnięty z jazdą Brzezańskiego z Winogóry, rozsypany został w tyra-

liery brzegiem lasu Winogórskiego, tuż równolegle do traktu po którym Blumen nas nachodził.

Białoskórski odebrał rozkaz wydzążania gwałtownie w ślad za Garczyńskim i dobieżenia go w boju. Ażeby zaś zyskać czas i tajemnicę dla tego manewru, Mierosławski poszedł z całym sztabem na pół drogi ku Winogórze, zabawiać Blumeną zażadaną przez Prusaków rozmową. Ku schyłkowi tego fortelu, nadbiegł konny z podszeptem, że Garczyński wyszedł z lasu *wprost do Miłosławia*, a że Białoskórski przysparzając kroku, tylko o milę za nim w lesie się znajduje.

Jakkolwiek ten Garczyńskiego kierunek weale nie odpowiadał zamierzonemu planowi, nie było powodu unikać dłużej starcia, bo się raczej i ciągle należało obawiać, ażeby Blumen nie odłożył takowego aż do przybycia mu pomocy z lewego brzegu Warty. Więc zrywając nagle gawędę z generałem Pruskim, Mierosławski wrócił przyjąć pożądaną od zwłoki bitwę. Pierwszą jego myślą było oczywiście zwrócić Garczyńskiego, choćby przez groblę młynową na lewo miasta w poprzek drogi Winogórskiej, jak poprzednio postanowiono; ale było za późno, bo siła Nowomiejska już zalegała Miłosław, istny wąż między dwiema mokrzyznami, z którego teraz na powrót wyprowadzać tych 800 ludzi nie można było bez zgubniejszej od samego błędu mitregi. Musiano za-

tem zatrzymać ich do bezpośredniego posiłku Brzezańskiemu, a zwrot ku Winogórze przekazać Białoskórskiemu. Za pierwszym wystrzałem artylerji Pruskiej, inżynier Winnicki, który dopiero co przybył od Białoskórskiego, został doń na powrót wyprawiony z dobitnem zleceniem, ażeby zajął między Bugajem a Białem Piątkowem stanowisko, z którego możnaby go przerzucić żwawo przez groblę młynową w poprzek drogi Winogórskiej. Winnicki miał, podawszy ten rozkaz po drodze, dojechać aż do Dębna i do Nowego Miasta; wraz z majorem Czarnomskim i Szubertem wzbraniać Brandtowi przeprawy na naszą stronę na czele oddziału który tam Garczyński i Białoskórski mieli zostawić, most atoli pod Dębem jak najpóźniej zachować i dopiero w ostateczności zniszczyć. Szło nam bowiem niezmiernie o uchronienie jak najdłużej obcowania między dwoma brzegami Warty.

Ażeby naprawić zdrożność Garczyńskiego i zyskać Białoskórskiemu czas do wyręczenia poprzednika, wypadało teraz dłużej się opierać przed Miłosławiem niż początkowo zamierzono. Widząc zatem, że szeregi Brzezańskiego chwieją się mocno pod ogniem, do sprostania któremu nie mogliśmy mieć żadnej pretensyi, Mierosławski rozkazał szwadronowi Nowomiejskiemu zapełnić najprzód przedział między redutą a wylotem miasta; a

zaraz potem, upatrzawszy wahanie się i wielki nieład w łańcuchu tyralierów nieprzyjacielskich, łańcuch ten rozpędzić wstępną szarżą. Wszakże Nowomiejska jazda trzech salw armatnich nie wytrzymawszy, pierzchnęła mętną kupą za swoim dowódcą napowrót do miasta. W ślad za nią, począł się tłumny odwrot, który do 800 ludzi Brzezańskiego ograniczony, nie byłby popsuł planu Mierosławskiego, gdyż jak wiadomo na oporze rdzennym nic nie zasadzano; ale któren porywając teraz dwa razem obozy, udaną klęskę bardzo mógł łatwo na prawdziwą przemienić. Do wykupienia jakoby sześciu już spalonych ksiąg Sybilli, pozostawały tylko trzy ostatnie: ostatni Białoskórskiego obóz, a to dostateczny lub nie, stosownie do zmyślności podwładnej na jaką się zdobędzie.

Tu już wszakże, nastąpiło co prawie zawsze ocala żeby najlichszą ruchawkę, byle potrafiła przeciągnąć pozory boju aż do połamania się w zbyt niecierpliwej zaczepce, szyków napastującego. Na widok naszej jezdnej rozsyпки między redutą a miastem, komenda pruska zupełnie wypadła z rąk staremu Blumenowi. Szefowie jego konnych dywizyonów o rozkaz nie pytając, a gruntu naszego wcale nie rozpoznawszy, rzucili się na prawe nasze skrzydło, przed którem, rozwinięty szwadron Brzezańskiego zupełnie im ni-

ską redutę zasłaniał. Raptem szwadron nasz, ustępując w ślad za zamieszką Nowomiejską ale spokojnie i porządnie, odkrył ów szaniec do którego, po kilku skuteczniejszych niż się spodziewano salwach, Wenclewski schronił był swoje pukawki z poławą strzeleckiej kompanii Langego. Skoro zatem, majorowie dywizyonów: Gansauge z kiry sierami a Frankenberg z huzarami przypadli na miejsce opuszczone przez szwadron Brzezańskie-go, przywitał ich z reduty i ze stycznych opłotków ogień rzadki już prawda i mało doniosły, ale dostateczny ażeby ich odpędzić na wysokość równie wahającego się pościgu piechoty.

W takim zawieszeniu pruskiego ataku, dość było Mierosławskiemu zatrzymać na kilka minut ostatni w odwrocie pluton konny Lipskiego, między redutą a miastem, pod ogniem na nowo odprzodkowanych dział pruskich, ażeby Blumen zaniechał wdzierania się do Miłosławia przez ten szeroki przedział i zeszedł z traktu na zachodnie ubocza miasta. Jakoż po tem lekkim wyszczerzeniu zębów, spostrzeżliśmy zaraz zawrót całej piechoty pruskiej z mostku traktowego ku zachodnim zaułkom Miłosławia, pod ożywionemi bardzo strzałami naszych tyralierów. Kompania strzelców celnych z dwoma półbatalionami 7go pułku zeszyły półobrotem wprawo ku uliczce żydowskiej; półbataliony zaś pułku 19go z resztą

7go, zupełnie na prawo, ku pałacowi. Cała przestrzeń między redutą a miastem pozostała tym sposobem w naszym ręku, przy swobodzie najbezpieczniejszego odwrotu dla strzelców i pukawek odbieżonych pod redutą przez jazdę i kosynierów; aż do chwili w której Bomsdorf, z batalionem 6go pułku landwery i z dywizyonem ułanów wkroczył przedostatni do Miłosławia. Jednakże przez cały ciąg boju, do reduty już nawet przez nas opuszczonej Prusacy zajrzeć nie byli ciekawi.

Tymczasem wypadało jeszcze czemkolwiek do miłośnicy się przykrępować. Nieużyteczny już szaniec przed Miłosławiem wyprózniony został częścią z popłochu, częścią z nakazu. Powściągnąć jednak dalszy nasz odwrot z niezmiernym przychodziło mozołem, bo porażka od razu rozwiązała wietką komendę Brzezańskiego. Garczyńskiego też niechęć do wszelkiej bitwy nie od dzisiaj już datowała, a nerwowy powiernik jego Kosiński zdradził ją do szczytu w nowej dyspacie z Mierosławskim, nalegając wrzaskliwie o wysłanie parlamentarza do Prusaków. Czyż to pospolita płochliwość tak drętwiła serce tym kustoszom obozowym i odbierała im rozum w lada kłopotcie? Chwałebna przeszłość Brzezańskiego, rany przez Garczyńskiego i Kosińskiego odniesione w godzinę później, zaprzeczają temu. Chyba więc zgodzić się na domysł Jędrzeja Moraczewskiego, że grze-

szyli ciągle z żalu do Mierosławskiego za kompromitujący jego tryb obrony w procesie Berlińskim. Ale Mierosławski nie mając w tej chwili czasu poznać się na przytykach Kosińskiego, odpowiedział mu niecierpliwie żeby się pilnował swojego obozu, czem prędzej od mętu Miłosławskiego go wypłatał, i szedł go uszykować w drugiej linii na wybrzeżu południowego lasu, o resztę nie pytając. Szczęściem, że niezdarność napaści pruskiej udzieliła nam czasu do osadzenia *bazaru* i zabudowań przyległej uliczki żydowskiej kupkami strzelców, które z Domagalskim, Gabryelskim i innymi Moabitami najpóźniej opuściły szaniec, tudzież odłamek kompanii Goślinowskiego z Garczyńskiego komendy. Tej zasadzce, która natchniona domyślnością najwyższego poświęcenia, sama się zatrzymała w tyle naszego odwrotu, Mierosławski przejeżdżając, kazał tylko powiedzieć, ażeby pozamykawszy wszystkie drzwi i okna, nie wyjawiała się nieprzyjacielowi aż po przepuszczeniu go przez całe miasto, na sygnał powtórnej bitwy za miastem.

Na drugim końcu miasta, za budowlami rozległego forwarku Bugajem zwanego, symetryczne temu zlecenie, dla kosynierów, odebrali: St. Poniński, niezmordowany wyręczyciel Brzezańskiego, i Oborski któremu dopiero pod wrażeniem bitwy Mierosławski potrafił wślizgnąć komendę

całej piechoty Miłosławskiej, bo wiadomo jak bacznie aż do tego roztargnienia, parafia Brzezań-
skiego odmawiała swojej inwestytury podobnym intruzom. Resztę strzelców Miłosławskich, pod ręką dzielnego kapitana Langego, zaczajono za pagórkami które się rozciągają od Bugaju do grobli młynowej, panując nad ogrodami pałacu. Obyczajem starannie na mustrach wprowadzonym, te 600 piechoty Miłosławskiej położyło się na ziemię w najgłębszym milczeniu, kosyniery na prawo w rowach za folwarkiem, strzelcy na lewo za pagórkami, wypuszczając nieprzyjacielowi całe miasto, wyjąwszy przyległości bazarowych na przeciwnym biegunie. Droga do Kożubca pozostała zupełnie otworem dla naszej jazdy, która uchodziła przed pruską w nieładzie bardzo dla goniącej ponętym. Nie wiem też czy to przesadzając fortel, czy jeszcze na złość Mierosławskiemu za proces Berliński, szwadron sejmikowy Adolfa Malczewskiego nabytym pod redutą pędem przebił cały Miłosław, całą głębokość naszego szyku, potem las dwumilowy i zaleciał nad samą Wartę : z kądem jednym tchem rozjechał się to do mów, to do Wrocławia i Berlina, głosząc że skutkiem nedorzecznej taktyki naczelnika, bitwa przegrana. Brzezański mniej rzutki, ukoił i zatrzymał jazdę Miłosławską, około 150 koni, za prawem skrzydłem tego powtórnego szyku, ale piechotę

swoją zupełnie wypuścić z ręki. Dokonawszy tych rozporządzeń zaczęł nieprzyjaciel dotarć do Bugaju, Mierosławski odprowadził z Kosińskim całą piechotę Garczyńskiego w drugą linię nad wybrzeże lasu, a doń nie dochodząc, spostrzegł czoło Białoskórskiego kolumny występującej nareszcie ku nam po drodze Nowomiejskiej.

Odwrot nasz nie zmienił bynajmniej bocznego przeznaczenia tej odsieczy; ale ponieważ w tej chwili właśnie jazda pruska debuszowała z artylleryą konną z Bugaju, wypadało z nią najprzód się rozprawić wszelkiemi siłami. Zatem, szwadron Pleszewski pod komendą majora Kirkora pobiegł natychmiast w pomoc szwadronowi Brzezańskiego. Ten odwrócił się frontem równolegle do drogi Kożubca, po której się Prusacy żwawo wylewali na swoje prawe, nie widząc wcale Oborskiego i Ponińskiego kosynierów zaczajonych za budowlami folwarku. Mając teraz dość Białoskórskiego w rezerwie, Mierosławski posunął eszelonami na powrót w pomoc Oborskiemu całą prawie piechotę Nowomiejską. Ale przy tym zwrocie zaczepnym, Garczyński został postrzelony, a wyręczyciel jego Kosiński wkrótce potem zrąbany przez pierzchających już kirysyerów; co dodane do ucieczki Malczewskiego, uniezdatniło do reszty i na dzień cały ten obóz. Mimo tyl przeciwnieństw, zaimprovizowała się jako nareszcie

szyk nowy, w połowie nakazany a w połowie przypadkowy, jak to dzieć się zwykło, bo musi, w boju ruchawką. W tej kombinacyi naśladowującej kształt litery Z, linia nasza w sile około 2000, nie licząc załogi bazarowej, lewem dotykała ogrodów pałacu już obsadzonego celnymi strzelcami pruskiemi; środkiem, wrót Bugaju; a prawem, wielkiego boru południowego. Poprzed tą ciągłą zasadzką, z której nieprzyjaciel tylko trochę jazdy między miastem a borem mógł dostrzedz, defilowała rozległa jego pogoń ulicą rdzenną na oślepku Koźubcowi, zaniedbawszy w mieście się najprzód ustalić, i nie w niem prócz pałacu nie dzierżąc.

Razem, jazda pruska już zapędzona na pół drogi do Koźubca, opierając się lewemi żebrami o przepaścistą dla niej taśmę stawów i moczar, spostrzega na prawo siebie nasze dwa szwadrony, a za sobą słyszy jakąś strzelaninę w głębi miasta. Naczelnik, który w tej chwili szykował piechotę Białoskórskiego na wybrzeżu wielkiego lasu, rozsyła co mu tylko towarzyszy konno, z rozkazem do ataku, *każdemu prosto przed sobą jak stoi*. B. Dąbrowski, Ruszczewski, Unrug, rotmistrze Kurnatowski i Czarnomski pędzą do Brzezańskiego, do Kirkora i do Oborskiego z tem jednym lakonicznem hasłem. Sam Mierosławski, na czele 250 kosynierów Żerkowskich, podanych mu przez

majora Prądzyńskiego, bieży prosto ku dywizyonowi kirysyerów, który przodkował ułanom i huzarom; na tych zaś flankę poczyna się wyrывać na ochotnika po kilkunastu naszych ułanów. Nagle grzmotliwe *hurra!* rozniesione od prawego do lewego, wymiata nam z przed oczu bez rzeczywistego starcia te 600 pruskich koni, i przewala je zaplątane z artylleryą konną na półbataliony 7go i 19go liniowego, już debuszujące z Bugaju. Skutek takiego odwetu naszego był obliczenie nieomylny, jakieby kolwiek massy jazdy i artylleryi pruskiej precedziły się o tej porze przez Miłosław; bo niespodziany widok mokrzyzny zalewającej ich lewe skrzydło, od Bugaju pod sam bór Miłosławski, wystraszał je gwałtownie napowrót do cieśniny miejskiej, której nasze skrzydło lewe nierównie od nich było bliższe. Tylko zatem jakiego Józefa Czapskiego z jednym swoim szwadronem trzeba nam tutaj było, ażeby nieustającą szarżą całą jazdę pruską do Bugajskiego stawu wrzucił, dwa działa przed mostek wysunięte zabrał, i na wskroś zwycięzki powrót do Miłosławia nam otworzył. Wiadomo jak na nieszczęście błyskawiczną tylko jest działalność jazdy. Nasza, zbyt oględnie tutaj przez Brzezańskiego i Kirkora, bo bez wzajemnej między wodzącymi a wodzonymi ufności ruszona, depcze na miejscu drapiąc się w głowę, chybia moment zwrotu zaczepnego i

marnuje zwycięstwo. Szczęściem jeszcze, że Oborski z Ponińskim wyręczając jak mogą jej pogoń, zajmują owczarnie Bugaju piechotą Miłosławską, tem rozpołowiczają odwrót Prusaków i spychają połamane ich szeregi częścią napowrót do miasta, a częścią na zdradliwą przeprawę rozległego stawu, który oblewa wschód Miłosławia. Oddziały pruskie wszelkiej broni, mianowicie z komendy Bomsdorfa, które się za ten staw schronić zdążyły, musiały obejść przyległości kościoła i drugi jeszcze wylew, ażeby się porachować aż na odskocznych zupełnie drogach do Lipia i do Rudek. Ale odłamowi napowrót do miasta wepchniętemu przez Oborskiego i Ponińskiego, nierównie goręcej było, bo mu dalszy odwrót zagradzała zasadzka bazarowa, która niezmiernie morderczym a wcale niepojętym dla Prusaków ogniem, raptem owładnęła rynek i wszystkie przystępy kościoła. A ponieważ Blumen jeszcze nie wkroczył do Miłosławia z rezerwą swoją i artylleryą pieszą, był to trzeci odłam pruski bez możliwego związku z dwoma innymi. Na tem też nagłym przecięciu rozwleklej pogoni nieprzyjacielskiej na trzy bezwładne części przez nasz zwrot zaczepny, polega cała ciekawość spotkania Miłosławskiego.

Była godzina pierwsza. Trwając w przekonaniu, że ani oporem, ani atakiem rdzennym, żeby najpomysłniejszym, do końca nie trafiemy, Miero-

sławski ujął skwapliwie moment przewagi naszej, ażeby wykonać nareszcie co rano Garczyński chybił, a co wcześniej z Białoskórskim spróbować się nie dało. Już powiedziano, że ażeby wpaść poprzecznie na flankę i na tył zatkanych w cieśninie Miłosławskiej Prusaków, dość nam było wydość się lada czem na drogę Winogórską, przez gaje i moczary od zachodu między pałacem a młynem położone. Poleciwszy tedy Oborskiemu i Ponińskiemu zdobycie przyległości kościelnych wewnątrz miasta, a Langemu odzyskanie pałacu na strzelcach pruskich, Mierosławski bierze Białoskórskiego jakoby za rękę z główną kupą jego obozu a z niektórymi okruchami dwóch innych, bo nie było czasu przebierać, i z tem wszystkim ciągnie na lewo tuż po za natarczywym szturmem Langego, ażeby pomiędzyogrodami pałacu a młynem sięgnąć aż do drogi Winogórskiej, i zagapioną tam rezerwę Blumenę z beczynną artylleryą może rozproszyć, może zabrać. To dopiero uboczne uwieńczyłoby czemś stanowczem nasze trudy. Jakoż, Mierosławski towarzysząc aż do celu Białoskórskiemu, przyprowadza stokilkadziesiąt strzelców, najwięcej Pleszewskich i różnych kosynierów około 400 pod sam ogród angielski, za którym Blumen mozolnie szykował do odwrotu niedobitki wygrzebujące mu się z Miłosławia. Wprawdzie, zaledwie 30 rot strzeleckich z czoła

szło w niej jakim porządku za przewodnikami, reszta dociągając z dużemi przedziałami, a wielu też utykając w rowach; ale rzadkie a po omacku gwiżdżące kulki świadczyły, że nieprzyjaciel nie dostrzega nas przez zarośla. Szło więc już jedynie o to, ażeby kupę naszą do mety dopchnąć, ścisnąć, a potem raptem i całą rzucić wskroś tej franki na tył najzupełniejszy Prusaków; na co przecie samego wodza nie trzeba było, a Białokórski zdawał się wystarczać; bo i od czegożby w bitwach porucznicy? Naczelnika rzeczą było teraz dopilnować, ażeby Prusacy powtórnem wygnaniem nas z Miłosławia nie udaremniłi tego skrzydłowego zamachu. Zdając zatem kierunek lewego skrzydła i ostateczne niem uderzenie Białokórskiemu, Mierosławski wraca co żywo z dwiema pukawicami Wenclewskiego do miasta, gdzie trzaskająca strzelanina ostrzegała go o twardszym niż się spodziewał oporze ze strony Prusaków, obwarowanych w pałacu i około kościoła.

Wszakże dzięki szalonej odwadze Langego na pierwszym stanowisku, niezrażonej niczem wytrzymałości St. Ponińskiego i Oborskiego na drugim, a Gabryelskiego prawdziwie bohaterskiej determinacyi w bazarze; dzięki też Wenclewskiemu, który z wyżyny między pałacem a folwarkiem sięgając na cmętarz kościelny, kilkoma salwami wypluł co miał różnego żelaztwa w starym

kufierku; mimo krzyżowego ognia, który pod bokiem Mierosławskiego położył jedną po drugiej cztery posyłki nadbiegające z rapportami, całe miasto było o 3ej godzinie z wieczora napowrót w naszym ręku. Ale to nadzwyczajne wysilenie 200 może strzelcami i stoma, głównie Mittelszteta, kosynierami (bokto walczył świeżym powstańcem, zrozumie że go więcej do szturmów ulicznego napędzić nie można było), to wysilenie ubezpieczało tylko zachód boczny Białoskórskiego, samo przez się po za miasto sięgnąć nie będąc zdolne. Nie-roztargnionym też frasunkiem Mierosławskiego była dola naszej lewicy. Jakby na przekór, w tej chwili B. Dąbrowski, Ruszczewski, Domański, Szubert, zwykli jego pomocnicy, zatrudnieni byli opodal, a każdy gdzieindziej. Dopiero więc Aleksandrowi Guttremu, który pod gradem kul przybiegł zmienić mu zranionego konia na mostku między folwarkiem a pałacem, polecił zajrzeć do tego skrzydła i przywieść wytlómaczenie niepojętego spokoju jaki tam panował. Ale już Guttry Białoskórskiego na przekazanem stanowisku nie zastał, i daremnie się tam o niego wypytywał.

Dotykalem jest, że gdyby o tej porze, zamiast sromotnie porzucić poruczoną mu komendę, Białoskórski znalazł się był jak mógł i powinien, choćby tylko z garstką śmiałków, na wylocie zachodnio-północnym Miłosławia, w tyle zamętu

Prusaków, ani by noga ich nie uszła; im albowiem bój z obu stron anarchiczniejszy, tem momentami mniej ciężar, a więcej stosowność uderzeń stanowi. Pod Hohenlinden*, czoło zabłąkanej brygady roztrzygnęło nagle bitwę dotąd między stoma z jednej, a sześćdziesięcio tysiącami z drugiej strony, nierozwiązalną. Ale powtarzam, że to był jedyny sposób do otrzymania doniosłego z tej bitwy rezultatu, bo kawaleryą gonić rdzennie przez długą cieśninę miasta, do niczego nie wiodło. Końmi debuszować z niej pod ogniem było nadto hazardownie; z resztą, nie wypadało rachować na śmiałość tej broni spętanej w rękach niechętnych lub nieudolnych. Jakoż, nawet po zabranii się Prusaków do stanowczego odwrotu, nasza jazda jeszcze ruszyć się nie dała. Komentant szwadronu Pleszewskiego wymawiał się trudami ciągłego od wczoraj pochodu. Brzezański

* To porównanie między potyczką Miłosławską a walną bitwą, która po polowie z odbiciem Włoch przez Napoleona sprowadziła traktat Lunewilski, nie zgorzsi prawdziwych taktyków; bo ci wiedzą że prawa bojowe spoczywają nie na ilości sił walczących, ale na ich stosunku. Pod tym względem, manewra, podchwyty i gimnastyka dwóch pajaków bijących się o muchę, może tyle są ciekawe, nauczające, ile bitwa pod Akcium, lub pasowanie się Wschodu z Zachodem Europy na polach Lipskich. Mikroskop i teleskop z jednej zasady się rozchodzą, a skuteczności ich symetryczne.

zredukowany do koserwatyizmu szwadronowego, wtrącanie się kogo bądź innego do jazdy Szredzko-Miłosławskiej uważał jako osobistą urazę. Więc podających mu zlecenie ścigania nią Prusaków lżył od *ostów nie znających się na koniach*, i w stronnicy pieczołowitości swojej dla tych drugich, po godzinie majaczenia z posyłkami naczelnika, kazał je rozkulbaczyć i do stajen odprowadzić. Musiał dopiero Mierosławski poszukać sobie jakiego oddziału bez właściciela, oddziału coby go zrozumiał. Siedmnaście koni uchronionych przez rotmistrza Kurnatowskiego od rozsyпки Nowomiejskiej, i ze czterdzieści różnych innych, utworzyło nareszcie pod ochoczą ręką Modlińskiego i Słupskiego szpicę pogoni. Przytem, wydany był rozkaz komendantowi Berlie, ażeby co zbierze jakich bądź strzelców w przeciągu pół godziny, wyprawił za Mierosławskim ile się da na wozach, a resztę pieszo; ale poczynając od uzbrojonych w zdobyte na Prusakach karabiny, bo z dzisiejszego doświadczenia wypadło, że brak bagnetu u strzelby, pozbawia najsmielszego nawet strzelca zaczepności do rzetelnego boju koniecznej. O ruszeniu kosynierów myśleć nie należało dopóki nie wrócą do kupy, do czego mało było dwóch godzin bardzo gorliwego zabiegu.

Straty swoje w tym boju, Prusacy podają na 60 zabitych a 200 rannych; jest to rzeczywiście

wszystko co do pochowania lub opatrzenia pozostało w naszym ręku, z tyłuż popsutych karabinów czy pałaszy. Temi osobliwie pałaszami obdzielili się z wielką radością nasi officerowie, uzbrojeni dotąd po większej części zbywającami kosami a nawet lada prętem z krzaka. Ale pruskie rapporta starannie tają, że ani jednego rannego nie podnieśliśmy na polu za obrębem miasta, tam właśnie gdzie w pierwszym attaku, a zwłaszcza w męnym odwrocie pod naszymi zwyciężkami strzałami z pruskich ładownic czerpanemi, najwięcej paśdź ich musiało. Jakoż, zupełne naszej pogoni niedopisanie, dozwoliło nieprzyjacielowi uwieśdź przeszło 250 rannych z których większa połowa skonała niebawem w lazarecie Szredzkim. Nasze straty ograniczyły się ściśle do 42 zabitych i 154 rannych. Co do ubytku szlachecką dezercyą sprawionego, przekonamy się pod Wrześnią że takowy raczej uzdrowił jak osłabił nasze szeregi.

Skoro już spostrzegł zbiór strzelców na dokonaniu w ogrodzie przedzankowym, Mierostawski wyprowadził garstkę konną między drogi Szredzką a Wrzesieńską. Z wyżyny na prawo drogi Pałczyńskiej, ujrzeliśmy rozdział odwrotu pruskiego w dwóch tych kierunkach; jednak doścignięcia którego bądź z tych dwóch odłamów jaką siłą poważną, nie było już nadziei. Jedynie też dla wytopienia ich ruchu, puściliśmy się żwawo

traktem Wrzesieńskim, bo szczególnie poruszeń Wedla w tym kierunku byliśmy ciekawi. Ale naczelnikowi dojeżdżającemu ze zmierzchem do Kębłowa na czele tej zwiady, przybieżono donieść co się za nim wyrabia.

W godzinę po rozstaniu się z Mierostawskim, podczas najzaciętszego boju w środku miasta, porzucając rozproszoną w tyle i na lewo komendę, Białokórski, mimo przedstawień i zaklęć W. M., odjechał sobie do domu, namawiając kogo tylko spotkał ze szlachty do podobnegoż wojażu, iżby jak najrozleglejszem spółnictwem upoważnić niegodziwość swojego postępu. Zamiast tedy przywrócenia ładu w szeregach i gonitwy za Prusakami, począł się sejmik w mieście, za miastem i w lesie, w lesie najgwarliwszy, między licznymi zwolennikami odstępcy, który w tej okoliczności tym wygodniejszym stawał się dla frantów sztan-darem, że go o poślednie tchórzostwo nikt nie mógł posądzać. «Kiedy też i Białokórski się wynosi, to źle z nami być musi.» Rozgrzeszonych takim argumentem, a całego prawie szwadronu Nowomiejskiego nie licząc, ośmdziesiąt przeszło komendantów, przewódców, dziedziców czy oficerów, bo nie wiem jak ściśle ich nazwać, dało sobie tego samego wieczora urlop nieograniczony, porzucając chłopów na Bożą łaskę. W nocy i nazajutrz przez dzień cały, odjechało drugie tyle

szlachty różnego stopnia i różnej pretensyi; tak że na wymarszu do Wrześni, przy sile Pleszewskiej na przykład, pozostało wszystkiego officerów czterech, z których jeden tylko *osiedlony obywatel*. I ten, we Wrześni, przed bitwą zażądał dymisyi, lecz przecież *zażądał*, co w rozumieniu parafialnem wielką zdawało się łaską «dla tak głupiej sprawy.»

Na wieść o tej szlacheckiej rozsypce, strzelcy już zgromadzeni do pogoni za Prusakami, znowu się rozbiegli, ci dla wybadania prawdy, owi jak grozili, dla postrzelania w łby dezterterom; ale najgorsze wrażenie to odstępstwo zrobić musiało na kosynierach, których tylko za pomocą nieustannej pieczy i niańczego że tak powiem dozoru, w jakim takim ładzie utrzymać było możliwem, skoroć na uczuciu szeregowej powinności zupełnie im jeszcze zbywało. Widząc że panowie uciekają bez pożegnania i nie pytając co się z pozostałymi stanie, kosynierstwo wpadło w tę wrzaskliwą wściekłość, jaką dzieci odbieżone od niegodziwych piastunów oszukują swoją trwozę. Tak zwane bataliony, kompanie i plutony rozwiązały się do reszty, kupami bezimiennemi szukając to posiłku po trudach, to zaspokojenia zemsty, a na kim, same nie wiedziały. Dorabowawszy domy już przez Prusaków splondrowane, najgroźniejsza z tych chmar obległa nareszcie jedyny budynek

dotąd oszczędzony : aptekę na rynku, gdzie złożono rannych officerów pruskich, a gdzie, wychodząc z Miłosławia, Mierosławski na znak nietykalności kazał wywiesić chorągiew głównej-kwatery.

Powróciwszy cwałem z pod Kębłowa, w towarzystwie Ruszczewskiego, Domagalskiego i Szuberta, Mierosławski zastaje główne drzwi budynku przeparte pod taranowym naciskiem pijanego tłumu. Tak zwanych officerów krajowych ani śladu; emigrantów w boju słuchanych jak Boże słowo, po boju młody żołnierz miał za nic; tylko ryk krwi taniej łaknący, i ośmiu lub dziesięciu strzelców *Moabitów* pasujących się daremnie na progu z tą szaloną powodzią. Nie mogąc wprost się precisnąć, naczelnik boczną sienią dostaje się do izby i tłumiąc litość w zakrwawionem sercu, co natrętniejszego biedaka musi z ręki własnej kłaść trupem, ażeby resztę napastników zdumieniem powściągnąć. Ta przestroga dopełniona krótką przemową, w nasieniu przytłumiła szelizm który się już iskrzył w drapieźnem spojrzeniu mnóstwa, na wszelką swawolę we własnem sumieniu rozgrzeszonego przez swawolę i zbiegostwo szlachty. Na paroksyzmalne porywczosci ludu zawsze była rada, bo mu serce jeszcze nie spruchniało. Ale czego ani groźbą żadną, ani perswazją powściągnąć nikt nie był zdolny, jak tego wszystkie następstwa boju Miłosławskiego

dowiodą, to żalu jakim rozsądni obywatele postanowili odpłacić sobie na ojczyźnie, krzywdę wyrządzoną im przez Mierosławskiego w procesie Berlińskim.

XV

Str. 133, *W. P.* «Officerowie, prawie sami Wielkopolanie, postępek ten, obok nieścigania Prusaków po bitwie, i jak mówili, oddalenia się z tej przyczyny Białoskórskiego, zaliczyli Mierosławskiemu na karb wielkich grzechów; poopuszczali zatem szeregi zapowiadając, że będą tworzyli po lasach oddziały partyzantskie.»

To officerowie, *prawie sami Wielkopolanie*, tak tłumaczyli swoje zbiegostwo; aleśmy miernie tego ciekawi, zwłaszcza po doświadczeniu, że czy w Wielko czy Małopolsce, w Sycylii czy nad Renem, loika dezertarów wszędzie jedna i ta sama. Radziłyśmy raczej wiedzieć, co na to sąd powszechny w Polsce rewolucyjnej po tylu latach medytacyi? Ku pomocy temu opieszalemu zastanowieniu, przynosimy następujące objaśnienia.

Białokórski ukradkiem wręczył świstek pożegnany W. M., ochotnikowi z kompanii Langego, i zniknął, właśnie jak się ten hufiec szykował do szturmów przeciw pałacowi, a więc kiedy o ściganiu szarpniętych za ledwie Prusaków wcale jeszcze kwestyi być nie mogło. Rozsypka szlachecka rozpoczęła się akurat o tym samym czasie; trwała wprawdzie przez godzin dwadzieścia-cztery z różnymi przerwami i przygodami, ale oczywiście daleko na tyłach boju, nie w boju; zaś odwróconym ciągle do ognia plecami, wcale o tych rzeczach mówić nie wolno. Mniej jeszcze wolno im było odgrażać się tworzeniem po lasach *oddziałów partyzantskich*, bo kto w szeregu dwóch zwyciężkich tysięcy nie czuł się bezpiecznym, pewnieby nie nabył odwagi w garstce podobnych sobie rozproszonych, choćby też za najgłębszym lasem. Dziwną korekcią przezornością, nie dopiero od roku 1848 zbijaliśmy pod tym względem *Prawdy Żywotne, Partyzantkę Sztolzmaną, Pamiętniki Litewsko-Ruskie* i wszelkie kokoszej strategii koncepta. Dzisiaj pora odwołać się do ówczesnej przepowiedni naszej, że kto w przyszłym powstaniu czy w polityce czy we wojnie, nie weźmie natychmiast czucia do awangardy, zmarnieje pod płazami obcych żandarmów, zaczem mu dozwolą wybrać się na jakąkolwiek *partyzantkę*. O tem też w gruncie dysputy nie było, a «tworzyć oddziały partyzan-

tskie po lasach» miało się dobitnie znaczyć, pójść do domu i poddać się bez boju ni układowi.

Jakoż nazajutrz rano, kilkunastu przedniejszych zbiegów wróciło do gęstwiny boru Miłosławskiego na znowę z pozostałemi kreaturami Komitetu, mianowicie z Kuszlem i z Berliem, strzelców Pleszewskich i Nowomiejskich komendantami. Zeby nie czujność emigrantów, a nie instynkt dosiebny samychże żołnierzy, dnia tego zaraz wszystko zakończyło by się było sromotną rozsypką i pokątnemi rzeziami, bo do głównej-kwatery, czem innem zaprzątniętej, wieść jasna o tej *partyzantce* wieczorem dopiero się przekradła. Ażeby pojąć tę nową zgrozę, jako tyle innych przez kronikarzy parafialnych starannie przemilczaną, wypada odnieść się do pobojoych zaraz wypadków.

Wiadomo jakim dopiero przymusem rezygnacyi, uporu i czujności udało się Mierosławskiemu, za pomocą kilkunastu towarzyszy z emigracyi i z więzienia, zapobiedz po jałowem zwycięztwie zupełnemu rozprężeniu powstania. Szlachta krajowa, ku usprawiedliwieniu własnego rozczaru, daremnie usiłowała zarazić nim lud zbrojny, wołając na pożegnanie «że i tak za wiele krwi przelanej; że szalenstwem byłoby doczekiwać się odwetu Prusaków; że zadość uczyniwszy honorowi narodowemu, nie pozostaje każdemu, jak korzy-

stając z wygranej, co żywo wracać na miejsce urodzenia.»

Na wieczną szlachty Poznańskiej pokutę, lud pozostał wiernym chorągwi; ale między tem przeciw-stronnem ciągnięciem go w tył do lasu, a naprzód ku Prusakom, z miejsca ruszyć nie mógł: to axiomat dynamiczny. Trzeba było dopiero męt jego na nowy zupełnie hufiec przetopić, bo dotychczasowe jego spójnie pozrywały się wszystkie z dezercją *officerów Wielkopolan*; a do tego, była noc jedna, pełna widm i smętu. Kto pamięta, że najpotężniejszemu mocarstwu mało pokoleń całych, nieograniczonej władzy i nieprzebranych skarbów, ażeby wyszykować armię, którą jutro lada przegrana zamieni w trzodę owiec, ten dopiero zrozumie, co to było garstce emigrantów i Moabitów, w kilku godzinach, po omacku, przywrócić jaki taki ład w kupach na nic rozbitych ubytkiem znajomej im starszyny. Dopóki do nich napowrót nie trafił, ani Mierosławski, ani ktokolwiek bądź, półkompanii niczego z Miłosławia wyprowadzić nie był mocen. Więc aż późno w nocy, dało się trzema oddziałkami strzelców i ochotników konnych zająć Kębłowo naprzeciw Bomsdorfowi, Winogórę za Blumenem, i wybrzeże Warty w obec Brandta na lewy brzeg rzeki cofniętego; a dopiero po niewypowiedzianych trudach, nazajutrz bitwy około ósmej z rana, znowu

naczelnik stał się panem siły przenośnej i po trochu słyszającej co się do niej gada.

Pierwotnym zamiarem jego po bitwie zaraz, było Blumenę przepłoszyć tylko ku Wrześni i Środzie; całym zaś ciężarem zwycięstwa odwrócić się spieszenie na Brandta, który dopiero poczynał okraczać Wartę. Ale zaledwie przyszła wieść o tej przeprawie, dwoma dopiero batalionami, dwoma szwadronami i dwoma działami, 30go w wieczór pod Nowem-Miastem wykonanej, aliści wysłane zwiady doniosły nam 1go Maja rano, że Brandt jakby piorunem, odgłosem klęski sąsiada rażony, całkiem znowu się cofnął na brzeg lewy.

Gonić go za Wartą, Mierosławski nie myślał; więc zaraz powrócił do dawniejszego planu przedostania się pomiędzy pobitym Blumenem a zdumionym Wedlem, na północną szerzyznę Księstwa, iżby stanowczej bitwy unikając, rozsypane w tej stronie odłamy IVtej dywizyi Pruskiej kolejno rozbić, i powstanie serdeczne aż do Noteci rozniecić. W pomoc temu postanowieniu nadeszła przed południem pewna wiadomość z Wrześni, że kolumna Bomsdorfa cofnięta w nocy do tego miasta, wybiera się przez Bardo i Zberki do Środy dla powtórnego połączenia się z Blumenem. Wyruszając za godzinę z Miłosławia w poprzeg drogi Wrzesieńsko-Szredzkiej, trafialiśmy niechybnie na bok Bomsdorfa, znowu łatwe otrzy-

mywaliśmy zwycięstwo, i przegradzaliśmy zupełnie Blumena od Wedla. Stanisław Poniński, którego dowiedziona w bitwie przytomność i odwaga nastęrczyła do boku naczelnikowi jako szefa sztabu, w kwadrans rozpisał szczegóły zamierzonego ruchu, i do podpisu każdemu z pozostałych jeszcze komendantów rozesłał, iżby, jak się dotąd działo, żaden niewiadomością rozkazu wymówić się nie mógł.

Wszakże tych panów wyszukać, nie lada było zwycięstwem. W obozie Nowomiejskim, przywilej samowolności, po triumwiracie Garczyńskiego, Kosińskiego i Malczewskiego, *prawem starszeństwa* odziedziczył major Berlie; w obozie zaś Pleszewskim, po Białoskórskim, pułkownik Kuszel. W obozie Miłosławskim, li na piechotę wydartą Brzezańskiemu, a Oborskiemu poruczoną można było liczyć. To też tylko ten hufiec znalazł się gotów do wymarszu na oznaczoną godzinę. Inni komendanci ściągnięci zostali na burzliwy sejmik do lasu południowego, przez grzeszników którym szło już jedynie o oszukanie własnego sumienia pozorem umowy narodowej, albo przez owego rodzaju medyatorów, co to jak pan Ostrowski z Gutów, «do głupstw się nie mieszają.» W imieniu tych ostatnich, zapędził się aż do głównej kwatery Ludwik Szczaniecki, dawny pułkownik jazdy Kaliskiej, a obecnie mianujący się *Pier-*

wszym Ułanem Polskim. Jako taki, póty napierał się o wyprawienie parlamentarza do Prusaków, dopóki zwymyślany przez Mierosławskiego, nie został za drzwi wypchnięty przez straż strzelecką. Tymczasem, wedle doniesień Mittelszteta i Pilińskiego, Kuszel i Berlie przyrzekli kusicielom odprowadzić oba swoje obozy z pod Miłosławia i rozpuścić je na *partyzantkę*; ale kiedy przyszło do wywiązania się z obietnicy, zmysł szeregowych a czujność rzetelnych officerów, mianowicie Mittelszteta, Andrzeja Pilińskiego, Szuberta i Winnickiego udaremniły na ten raz cały spisek.

Nieszczęściem że we wojnie, każda minuta na sporach zmarnowana jest szkodą niepowrotną, a zaczem potrafiiono wyrwać wojsko z rąk kusicieli, minęło nie minut, ale godzin siedm. Nie dość na tem; wojsko raz spiskiem zarażone uniosło ze sobą nasienie nieuleczonego rozprzężenia, i właściwie nie na bronie ani bataliony żadne, lecz na dwie *partye* ruszyło podzielone. Partya szlachecka, co nie odważyła się pójść cała odrazu za przykładem Białoskórskiego, teraz bądź dozorem Moabitów i emigrantów, bądź resztą własnego wstydu pilnowana w szeregach, podszyła się pod firmę pułkownika Brzezańskiego, iżby (jak przy schyłku powstania w r. 1831, franty pretoryaństwa po rogach Giełguda, Rybińskiego i Ramoriny) wydrapać się powoli a bezimiennie ze studni rewolu-

cyjnej. Powiatowa popularność tem ukochańszego im ograniczonego starca, wyniosła go zaraz na niestrącalne stanowisko; bo i cóż ostatecznie począć było ze zgrzędą co w sędziwości, w nieudolności i przeszłych wysługach tyle mając wymówek, a przecież laź w ogień, od którego tylu młodych i mądrych patriotów stroniło? Więc też wszystkie poselstwa od poważnych obywateli, od struchlałych rodzin, od fant-briffów zagrożonych dyskredytem, jak przedtem do sztabu Wrzesińskiego, teraz do udzielnej kwatery Brzezańskiego poczęły się zbiegać, pomijając z affektacją «herzta emigrantów i wichrzycieli, za którego Białoskórski bitwy wygrywał a pan Bóg karał prowincję.» Takim to trybem, pół-szlachcica, pół-inwalidy, dó znieawidzenia którego potrzebaby dopiero ogromną pracę zadać swojej pamięci, stał się tyle prawie niebezpiecznym co najrozmyślniejszy zdrajca. Towarzysze związku i więzienia nie szczędzili Mierosławskiemu dobrodusznej porady, ażeby całą tę kontrarewolucję ogniem i kosą wykarczować; bagatela! Tak radzący nie dostrzegali, że za tą niepozorną wiechą, że za tą szczyptą kusicieli, że za tą mniejszością obozową która wydawała się tylko bruździć i kłamać na uboczu zdolną, stoi nie jak wczora trzysta pijaków za biednym rabusiem, ale cały, nienaruszony jeszcze dogmat szlachetczyzmu polskiego: a że dopóki onego,

trzęsienie całej ziemi naszej, od Dniepru do Odry nie podważy, dopóty żaden Mierosławski nie znajdzie ani kim, ani przeciw komu rozwijać terroryzmu.

Praktycznijszem acz niezmiernie mozolnem lekarstwem, zdało się Mierosławskiemu przeobrazić, ile się da, hierarchię i rozkład siły zbrojnej. Zaczął tedy od rozwiązania parafij obozami zwanych i podzielił wszystko na trzy bronie. Piechotę całą oddał brygadyerowi Oborskiemu, ze szczególną nad kosynierami komendą; jazdę musiał chcąc niechcąc zostawić Brzezańskiemu, skroć ją trzymał; a strzelców Berliemu, ale dla formy tylko, bo oprócz nadzoru brygadiera piechoty, każdy pojedynczy komendant strzelecki ręczył z osobna za swój oddział: Berliego, Kuszła, Brzezańskiego i wszystkich szlachty Poznańskiej powierników mając na oku. Do radykalniejszej przemiany, przy nagłych wypadkach, przy zaciętym malkontentów oporze, nie stało czasu a wreszcie i atlasu; bo jakkolwiek wymyślono by kombinacyę hierarchiczną, zawsze się do niej żywił spreczny, szlachecki, sejmikowy, wtrącał w ilości odpowiedniej owemu wpływowi prowincjonalnemu, na który po za okropną wojną domową rady i lekarstwa nie było. Chwilowe oczyszczenie trzech batalionów kosynierskich z oficerstwa parafialnego nadało im nagle, do jednej

przynajmniej bitwy, hart najwytrawniejszych hufców. Na czele Szredzko-Poznańskiego batalionu Jabłkowski, jeden z rzadkich weteranów którym Mierosławski mylną nieufnością poprzednio był ubliżył; na czele Nowomiejskiego, po odjeździe Słubickiego, nominalnie Kąsinowski a rzeczywiście Mittelsztet; a na czele Pleszewskiego, Mniewski Teofil, okazali pod sprężystą komendą Oborskiego, co tylko rzetelne poświęcenie i karna waleczność wydobyć są zdolne z garstki nicostrzelanego, obdartego i głodnego kosynierstwa. Jak oni Oborskiemu, a Oborski Mierosławskiemu, pomagało im w tej ciężkiej robocie około dwudziestu emigrantów i połowa tyła młodych podoficerów z landwery krajowej. Na nieszczęście, władza istotna tych *włóдарzy bojowych* kończyła się z bitwą, a najdalej z pochodem każdym. Raz na słomie biwakowej, chłop wracał pod czar amatorów, którzy albo włócząc się jak płochliwe zmory za obozem, albo zjawiając się z okolicy, codzien zasilali korpus officerski odmianą, nad którą kontroli możliwej nie było. Jakoż za lada wystrzałem, ci nieproszeni goście chronili się do fur, i z furami w las lub do wsi pobliskiej; na każdy zaś spoczynek wracali pod skrzydła Brzezańskiego, sejmikować przeciwko naczelnikowi, lamentami demoralizować, bałamucić, odstręczać żołnierzy, aż w Skąpem postawią na swoim.

Więc zamiast gromić partyę szlachecką, Mierosławski musiał ze swoją doczekać się aż do siódmej z wieczora pod wiatrakami, skutku rozkazów od sześciu godzin wydanych. Nareszcie kupę po kupie, wolno, Eierpliwie, jedną po drugiej, wydarłszy z garści odstępcom, ruszyliśmy 4go Maja o godzinie 8ej z wieczora, we dwóch kolumnach, naprzeciw IVej dywizyi Pruskiej, z postanowieniem napadnięcia jej odłamów po trzech powiatach rozproszonych, zaczem się bądź sama zebrać, bądź z Blumena i Brandta dywizyami połączyć zdąży.

Doniosłość tego elementarnego planu nie uszła bacznosci Prusaków, do żywego ostrzeżonych bodźcem niebezpieczeństwa. Świadczą o tem jeduomyślnie nietylko rozkazy zapóźno wydane dowódcom nieprzyjacielskim, lecz i wszystkie pisma niemieckie o tej krótkiej wojnie. Jakoż, przy gruntownem między Mierosławskim a szlachtą poznańską porozumieniu, następstwem dotykalmem spotkania Miłosławskiego powinno być było: 1° wyniszczenie siły pruskiej na całej powierzchni Księstwa, cytadelę wyjąwszy; 2° zgromadzenie pod reka naczelnika dwudziestu, może trzydziestu tysięcy wojska sfanatyzowanego powodzeniem; 3° zyskanie dostatecznej swobody, ażeby wtargnąć z tą armią do Kongresówki i przywrócić wszystkie kombinacye zamiarem r. 1846 objęte. Bo kto rad

odgrzebać istotny sens dziejów roku 1848 z podzaciemniających je kronik, musi ciągle odwoływać się do tamtego zamiaru, który pozostał źródłem całej Mierosławskiego polityki i rezygnacyi. Wszakże, ażeby to wszystko nie skończyło się na osobistej jego fiksacyi, trzeba mu było koniecznie uprzedzającej i rzewnej pomocy od prowincyi w której obrał sobie podstawę działania; bo Opatrzność wszystko może, prócz zbawienia grzesznika mimo woli onego. Chcąc tedy nadać zaczepliwości naszej przeciwko Wedlowi, tę wagę jaką jej przypisywali sami Prusacy, trzeba by było, ażeby podług przedbojowej umowy, huk dział pod Książem cały brzeg lewy, a huk dział pod Miłosławiem cały brzeg prawy Warty przebudził, rezerwy konwencyą Jarosłowiecką urlopowane napowrót powołał, i płomienistą taśmą słupów alarmowych, niby pierścieniami Laokonowego węża, zewsząd, a natychmiast i Wedla i Blumena i Brandta obramował. Smołyż to, albo słomy polskiej zabrakło do tych pamiętnych słupów?

Szlachta sama wybornie to pojmowała, kiedy ku obmyciu się z zarzutu dezercyi rozgłaszała, że «jeżeli się rozbiega, to dla poruszenia rezerw powstańczych na tyłach nieprzyjaciela.» I zaiste, musiano by wiele przebaczyć odstępcom, gdyby się byli mogli chwycić takiej exspiacyi; ale skutek pokazał, że to był z ich strony lichy tylko wy-

bieg, bo jakimże językiem miał wzywać lud do bronii, pan wracający z bielmem zbiegostwa na twarzy i za pierwszym wejściem nieprzyjaciela oniemiały? Jeżeli tedy głos na swoim progu odzyskał, to pewnie nie dla powtórzenia przykrego doświadczenia, ale raczej ażeby jeszcze niesparzonych, od takowego odstręczyć.

Z rozesłanych też po raz czwarty i piąty na wszystkie powiaty rozkazów do powstania w tyle Prusaków, wyjąwszy zapóźne i niefortunne, ale nie mniej dla tego szacowne wyskoki pod Bukiem, Rogalinem i Kcynią, żaden chętnie dosłyszonym nie został. Jedyny z nich rezultat, że wołanie dzwonów i łuny alarmowe opasując nagle walczącego z nami Wedla pod Wrześnią, przyspieszą na chwilę odwrót jego do Gniezna. Mylę się, bo i ten jeszcze, że mniejszość Komitetowa której, na wiarę opozycyj przez nią stawianej dekretowi rozbrojenia, Mierosławski zalecił przez Słomczewskiego zaburzyć powiaty najbliższe Poznania, odleciała zaburzać aż sejmy niemieckie i słowiańskie; i ten jeszcze, że czy na wszystkie Mierosławskiego przez Guttrego, Słomczewskiego, młodego Sokolnickiego wezwania, czy na zaklęcia konającego prawie Józefa Czapskiego, ażeby przebaczony wracał do obozu, Białoskórski odrzekł wyjazdem do Wrocławia, otwierając tryumfalny szlaban dla emigracyi szlacheckiej.

O tem było Moraczewskiemu pisać, nie zaś zaciemniać broszurę Rothenburga i inne biuletyny pruskie, dodatkami które nas oto zmuszają do nieskończonego komentarza. *

Powiedziano, że nasz dwukolumnowy marsz z Miłosławia do Zberków i Wrześni, w nocy z 1go na 2gi Maja, miał na celu zachwycenie wszystkiego coby od Wedla ku Blumenowi przemknąć się usiłowało, i zupełne dwóch tych nieprzyjacielskich dywizyj rozgrodzenie. Ale przybywając w późnej nocy do Zberków na czele kolumny lewej, naczelnik dostrzegł, co już podejrywał, że siedmiogodzinny rokosz komendantów komitetowych w lesie Miłosławskim, udzielił potrzebnego Prusakom czasu do przemknięcia się tędy, a że zysk nasz przyjdzie uskromnić do osobnej z Wedlem rozprawy.

* Niechże by przynajmniej J. Moraczewski, skoro strategią bawić się lubił, a Białoskórskiemu z Pleszewa do Dębna towarzyszył, jaśniej był opowiedział przeprawę sił naszych, a potem Brandta na prawy brzeg Warty. Gdyby był cierpliwiej poczekał, ukryty naprzykład po partyzancku w wysokich łożynach między Dębniem a Nowem-Miastem, dostrzegłby był w krótkce że wbrew rozkazom naczelny jakże Guttry powiódł, Garczyński a po nim Białoskórski uprowadzili ze sobą oddziały do strzeżenia mostu pod Dębniem przeznaczone; skutkiem czego, Czarnomski i Winnicki zamiast tego jedynego związku naszego z lewym brzegiem Warty do jutra bronić, musieli tego samego dnia most zniszczyć. Dostrzegłby także, co równie dla kronikarza cieka-

Siła nasza nie zbytecznie się zmieniła, bo cośmy utracili pod Miłosławiem, zastąpiło się 250 kosynierami przyprorowadzonymi ze Szredzkiego przez starszego Grabskiego i nauczyciela Wołyńskiego; cały zaś nasz odskok ku północy osłoniiony był 40 końmi i 60 kosynierami wytrawnego officera Piotrowskiego, który otrzymał rozkaz, wybornie dopełniony, dostać śmiało a spokojnie pod Winogórą, jakoby straż przednia nieruszonego powstania. W Miłosławiu pozostał drobny tylko pluton strzelców Snowadzkiego.

2go Maja przed świtem, obie nasze kolumny połączyły się we Wrześni w mocy 2,400 ludzi, z amunicją w patronaszach pruskich znalezionej i ze skrzynką niezładunkowanego prochu.

we, że Garczyński ani jednego strażnika przy pramach Nowomiejskich nie zostawił; tak, że gdyby Szubert sam nie był wrócił na czas nad rzekę, ażeby własną ręką, pod strzałami huzarów pruskich, liny pramów poucinać i te statki z wodą ku Szremowi puścić, przednia straż Brandta tuż by w tropach Białoskórskiego pod Miłosław nadbiegła. Po oddaniu tak znakomitej przysługi tyłom naszym, Szubert zdążył powrócić jeszcze na bitwę, jednego konia na śmierć pod sobą zamęczywszy, a drugiego, prawie. Dzięki temu młodemu a nieustraszonemu inżynierowi, Brandt wieczorem dopiero doszukał się sposobu przeprawy przez rzekę; ale niebawem dowiedziawszy się o wypadku bitwy Miłosławskiej, ledwie przeprowioną awangardę co żywo cofnął, i nazajutrz z całym swoim korpusem pociągnął na powrót do Szremu.

Spotkanie Wrzesieńskie dośćby wiernie oddane było w wojskowym dyaryuszu pruskim z Grudnia 1848, który J. Moraczewski nie dość pojętnie przepisał, gdyby nam ten opis nie dodał 2,000 walczących, a swojej sile tyłaż najmniej nie ujął. Jakoż w obliczaniu takowej, Prusacy albo mieszają niewinnie stopę wojenną ze stopą pokoju, albo wyrzucają z rachuby co od Gniezna aż pod same Sokołowo stało eszelonowane podczas starcia, bardziej się zbliżyć, po złamaniu naczelnej brygady pruskiej nie śmiejąc. Cóż naszych kosynierów sławie do pruskiej ostróżności? Przytem, ani pruskie biuletyny, a cóż dopiero kroniki poznańskie, nie dostrzegają że wdzierając się niespodzianie między Wedla opartego o Gniezno, a Blumena który dopiero się łączył z Brandtem od Zaniemyśła do Środy: 1° przebiliśmy od razu pajęczynę tak mozolnie, tak długo około nas snowaną przez trzy dywizye pruskie i same jej oko we Wrześni teraz tkwiące ubiegliśmy; 2° zaręczyliśmy sobie bardzo prawdopodobne powodzenie przeciwko dywizyi Wedla od dwóch innych odciętej i po całym powiecie Gnieźnieńskim tak rozrzuconej, że na żadnym punkcie *całych czterech tysięcy do pięciogodzinnego boju stawić nie była zdolna*. Czyli że za pomocą poskoku do Wrześni, *czynnie* powtórzyliśmy akurat przeciwko Wedlowi manewr, który

30 Kwietnia *biernie* odgrodził był Blumena od Brandta.

Ale strategia sama nie poradzi, a i w taktyce, po męstwie potrzeba jeszcze rzutkości. Owóż, ile zaciętości pokazali nasi strzelcy pod Miłosławiem, a kosyniery niewypowiedzianego męstwa pod Wrześnią, tyle jazda ani tam, ani tu, rzutkością piechocie nie dopisała.

Przez cały poranek 2go Maja, naczelnik głównie był zajęty rozesłaniem gońców kraju między Wrześnią a Gniezmem dobrze świadomych, ażeby wywołali nam pomoc dywersyjną po wybrzeżach tego traktu; tudzież zamówieniem sobie od północy pozornego przynajmniej ataku na załogę Gnieźnieńską, kiedy kolumna nasza rzeczywistego zaprobuje przychodząc od Wrześni. Jednym zachodem, owi amatorowie podjęli się pod przysięgą na rany Chrystusowe powołać na powrót pod strzelby i kosy powiaty Inowrocławski, Mogilnicki, Szubiński i Wągrowiecki. Za wszystkich rzeczy i sam najwięcej obiecywał, jako rej w całym Gnieźnieńskim wodzący, odnaleziony tutaj dowódzca znikłego pod Miłosławiem szwadronu. Cóż było z nim począć? — puścić na próbę bożą; «niechaj się rehabilituje!» *

* Z najmniej może wiadomą z tych misyj, wyprawiony został do Paryża bardzo blizki przyjaciel Mierosławskiego.

Wszakże i tak już wątle porozumiewanie się z okolicami, co chwila przerywał zgiełk miejscowy. Obficie przez żydów zaopatrzona Września dla spodziewanej dywizji pruskiej, zbyt ponętną znalazła się Kapuą po drodze zgłodniałej a marnotrawnej ruchawki, iżby tę snadno było czy perswazyą czy surowością jaką od takiej uczyt odsadzić. Kiedy więc na umówioną do wymarszu godzinę przyszło kupy wyprowadzać z miasta, gdzie z obozu pod Sokołowem wytkniętego zwały się mimo wszelkich zakazów i obstawień, najrozpaczliwsze sztabu zabiegi zdały się nadaremni. Dopieroż sam nieprzyjaciel jakby wziął na siebie przywiedzenie w mgnieniu oka tego zamętu do

Zawiózł on Ministrowi Spraw Zagranicznych Rzeczypospolitej dla formy, ale w gruncie zbrojnemu ludowi Paryża, cztery wiersze wołające o krucyatę Zachodu na ratowanie świętego grobowca wolności Europejskiej. Nie wiem ile to wołanie, odepchnięte przez nikczemnego retora który podówczas z urzędu denerwował Francję, dopieroż wywieszone po wszystkich klubach paryskich, przyczyniło się do zanego porwania się Paryżan pod wodzą bohatyrskiego Barbessa za ginącą sprawę naszą, w nieodżałowanym dniu 15go Maja; ale i ten niedoczyn świadczy dostatecznie, jak to jednak głęboko w rewolucjonizmie francuzkim tkwi wszelki odzew mąk i nadziei polskich! Takiej też *dyplomacyi*, ale takiej tylko, nie żal nam i nie szkoda dla naszego honoru narodowego, jaka bądź jej skuteczność na razie.

sferności i szyku dla niego i dla nas, wyznajemy, po dziś dzień niepojętych.

Na pierwszą wieść o klęsce Miłosławskiej, naczelniw Księstwie dowodzący Jrań Colomb, posłał trzem pruskim dywizyom Brandta, Blumena i Wedla elementarny rozkaz połączenia się uprzednio, ażeby nie mniej jak piętnastotysięczną masą przywalić nas w Miłosławiu. Ale to już wykonalnem nie było, skorośmy tylko odskoczyli z Miłosławia do Wrześni, w samo właśnie sedno nieprzyjacielskiej dyzlokacyi. I owszem, w wykonaniu tych rozporządzeń, rachujących na naszą w Miłosławiu nieruchomość, Wedel zbliżający się do Blumena, nie nań ale na nas trafić musiał, bez żadnego już możliwego czy to z Blumenem czy z Brandtem porozumienia. Przesadzone tedy polskiego rozsądku lekceważenie wywodzi Wedla z Gniezna na Wrześnię, którą sądził być jeszcze w lewem ręku pobitego sąsiada.

Wyszędłszy z Gniezna o jedenastej godzinie z rana, Wedel, o drugiej po południu, z komendą Hirszfelda na czele, w niedbałem zaufaniu przechodził Gulczewko, o milę od Wrześni a o półmili od pośredniego Sokołowa, ani się nawet po drodze dopytując w czyjem ręku Września. Komenda Jła Hirszfelda składała się z 8iu zmobilizowanych kompanij czyli półbatalionów 21go pułku pomorskiego, z dwóch dywizyonowych szwadro-

nów 5go pułku huzarów i czterodziałowej baterii. Za nią tuż, dochodziło półkomendy Jła Pucklera, którego drugie, większe półkomendy pozostało to na załodze w Gnieźnie, to rozsypane daleko po okolicy. Rachując te siły wedle tej samej normy co kolumnę Blumena, na komendę Hirszfelda przypada głów najmniej 3000, a na eszelon następny połowę tyle: razem więc 4,500 żeleźców mogących choćby milczącym następowaniem swoim, zgnieść naszą mizerną ruchawicę. *

Jak tylko nasz patrol konny, osobliwem szczęściem sam niedopatrzony, dostrzegł szpicę nie-

* Rachunek bardzo prosty, biorąc kompanię za jednostkę porównawczą. W czasie pokoju, kompania liniowa pruska składa się, z podofficerami, ze 140 ludzi. Co rok odchodzi do rezerwy jedna trzecia część tego kompletu. Dla zmobilizowania kompanii na wojnę, zciąga się do niej sześcioletnią rezerwę, co ją z officerami podnosi do summy 420 bagnetów, a więc silnego półbatalionu francuzkiego lub rossyjskiego. Wiadomo że landwehra obejmuje dopiero wysłużonych z sześcioletniej rezerwy. Wprawdzie brygada piesza poznańska (18ty i 19ty liniowe) bardzo niedokładnie dała się zmobilizować; ale też wiadomo że w dwóch spotkaniach od 30go Kwietnia, polska ta sła raz tylko była reprezentowana, pod Miłosławiem, przez jeden tylko batalion 19go pułku. Wszelka reszta wtargnęła do Księstwa na najwyższej stopie wojennej, i na taką rzeczywiście obliczana być powinna. Chyba tedy wstydomi że takie siły po dwa razy pobić się dały niespełna połowie tyła drągów, przypisać należy daremne zaciemnianie tej statystyki przez niektóre urzędowe i nieurzędowe rapporta pruskie.

przyjaciela występującą z Gulczewka, popłoch elektryczny znurtował odrazu całą głębokość naszego wywczasu, i w przeciągu dwunastu minut wymiółł karczmy i zaułki Wrzesieńskie do nogi. Naczelnik pełen obawy i niepokoju o rozprężone swoje kosynierstwo, dopada konia i przebiega pustą już mieścinę, ażeby choć strzelcami i konnicą na czas jakiś zamącić pole nieprzyjacielowi; ile że go po drodze jedni alarmiści miejscowi ostrzegali o umknięciu kup siecznych w tył ku Miłostławiowi, inni o rozpierchnięciu się takowych na cztery wiatry, czemu doprawdy zimny rozum nie miałby się co bardzo dziwować.

Ledwie aliści, przybiegł przed cmętarem pod wiatraki, spojrzy na prawo ! a tu już Oborski szykuje w czworoboki swoje trzy kompletne bataliony. Ostatnie trójki pijaków dźwigających się wzajem pod boki, tem ukochańszy od chłopstwa, im surowszy pułkownik, wbijał płazem, jakby martwe kliny, w każdą szczelinę trzech żywych redut. Zaraz po doświadczeniu Miłostławkiem, szyk ten uznaliśmy stereotypowym do wszelkiego boju kosynierskiego, mimo wszelkie jego taktyczne niedogodności, jako jedyny do wmówienia odrazu nierozzerwalnej solidarności w rekructwo nieoswojone z przemianami manewrowemi pod ogniem.

Batalion Miłosławski dostatecznie wymustrowany, przybrał ten szyk bez zawady; ale dla dwóch drugich, była to ewolucya zbyt uczona, z nieprzyjacielem tuż na karku. W takim kłopotcie, każdy inny, nie Oborski, straciłby był głowę; ale on, nie wiele myśląc komenderuje najprzód «do gadania, formuj koło!» A był to szyk kilka razy na dzień powtarzany przez całe chłopstwo poznańskie czy około trybunów, czy około kotłów z kaszą w okresie pamiętnych ludowi *manifestacyj*. Po czem, oba wieńce wywrócił na zewnątrz komendą «lewo w tył, zwrot!» a po trzeciej komendzie «brzuchy w tył, równaj się!» czterej officerowie naróżni ugnietli mu w mgnieniu oka dwa szczelne kwadraty, samym sobie się dziwujące.

Wytknięty za naszym przybyciem obóz między Wrześnią a Sokołowem, pokazał się teraz wyborem dla chudoty naszej bojowiskiem. Na dwa tysiące kroków przed miastem rozciągała się jakby umyślna firanka w poprzeg następowi nieprzyjacielskiemu, od ukośnej drogi Ostrowskiej na prawo, do ukośnej drogi Słomowskiej na lewo. Po skrzydłach, bagienka poprzerzynane rowami irigacyjnymi; w środku podwójna kurtyna: na przodzie długa wieś Sokołowa prostopadła do traktu Wrzesieńskiego, a za nią i grzęsk m smu-

giem, zagajenie najzupełniej zasłaniające naszą słabość i nasze wstępne obroty.

Lange i Kuszel natychmiast odebrali rozkaz schowania widet za wieś, a obsadzenia bez szelstu obiema swojemi kompaniami strzeleckimi zagajenia i płotów po obu brzegach traktowej ulicy, na zachodnim krańcu Sokołowa. Trzecia kompania strzelecka Berliego, rozsypana w drugą linię tyralierów, miała przodkować trzem czworobokom kosynierskim. W takim rozkładzie nie było stać nam na początkową *rezerwę*, ale aż nadto do przewidzenia było że się takowa sama w ciągu walki osypie za frontem walczących; byle tylko nie do zbytku i nie za daleko!

Każdy z trzech falanxów chłopskich, głównie officerami z emigracyi spojony, obejmował w przecięciu po 550 kos. * Lewo skrzydłowy pod Jabłkowskim postępował wzdłuż traktu Gnieźnińskiego; środkowy pod Teofilem Mniewskim, prosto na zagajenie; prawo skrzydłowy pod Kąsinowskim, a raczej Mittelsztetem brzegiem drogi Ostrowskiej. Na lewo traktu Gnieźnińskiego rozwinął się szwadron Kirkora z plutonem Lipskiego w rezerwie, a na prawem skrzydle, po drodze Ostrowskiej, szwadron Brzezańskiego z plutonem Słupskiego

* Miałoby co więcej zatem od każdej półbatalionowej kompanii, jakich sam Hirszfeld miał ośm pod ręką.

w drugiej linii. Całej tej jazdy było około 300 koni; z 500 zatem strzelcami siła nasza wynosiła 2,400 do 2,500 głów, mniej wyraźnie niż pod Miłosławiem.

O godzinie 3ej z wieczora, awangarda Hirszfelda niespodzianie sparzona przez zasadzkę Langego z zapłotków przydrożnej krawędzi Sokołowa, odwrotem swoim rzuciła popłoch aż pod Gulczewko. Ta też dopiero salwa uwiadomiła Jha Wedla o obecności naszej we Wrześni. Nastąpił kwadrans obustronnego milczenia, podczas którego Hirszfeld swojemi ośmioma półbatalionowemi kompaniami otoczył zachodnią krawędź Sokołowa, a po którym z czterech dział przez dwa dywizyony huzarów assekurowanych, otworzył niewygodnie, bo zbyt ukośny ogień na nasze czworoboki, które śpiewnie a żwawym krokiem przysuwały się pod zagajenie. Zaraz też *Wenclesio*, przy radośnych okrzykach lewo-skrzydłowego kosynierstwa, wyskoczył z za wiatraków z trzema swojemi pukawkami naprzeciw tej baterji. Dopiero podbiegłszy nieustraszenie na parę set kroków, z dwóch pozostałych (bo mu się trzecia rozleciała w kawałki po drodze) tuż przez rów który go od nieprzyjaciela odgradzał, jął się tak siekańcami dokuczać assekuracyi pruskiej, że dwa działa musiały nań wyłącznie ogień swój odwrócić. Zarazem obie kompanie Langego i Kuszla cofnięte do zagajenia,

celnym ogniem wstrzymywały cztery półbataliony pruskie, wygrzebujące się z opuszczonego przez nas Sokołowa na międzyleżną łąkę.

Tymczasem, im prędzej nasze czworoboki zbliżały się do zagajenia, tem dokładniej usuwały się od celów artylleryi nieprzyjacielskiej. Wkrótce środkowy i prawoskrzydłowy zupełnie znikły z oczu Prusakom, wraz z jazdą Brzezańskiego. Ale dla lewo-skrzydłowego, posuwającego się wzdłuż traktu, nie było możliwej osłony, i chyba heroicznej dywersyi Wenclewskiego winien, że chłop chłopą lewą ręką za siemiergę dzierżąc, a z kosą na prawem ramieniu, dobiegł pędem na wysokość zagajenia bez wielkiej straty. Raz tylko hufiec zachwiał się i utknął na chwilę, pod żalem chorągwi wypadłej ze strzaskanej ręki chorążego, Zejfryda; ale natychmiast brat jego, Alonzo, mężne dziecko za serce z rannym zrosnięte, niby za dwóch oburącz chwytając upadły sztandar, za nim znowu wszystkich pod samą wieś poniósł.

Tu dopiero zakryty przydrożnemi płotami, cały batalion na komendę rznął się o ziemię, i jakby się w nią zapadł pod szukającemi go nadaremnie o pięćset kroków dalej szrapnelami; tak że narzecie wskroś dymowych obłoków przedzielających Sokołowo od zagajenia, chyba Oborski konno, nieruchomy na trakcie jak posąg komendy i sztab naczelnika uwijający się w poprzeg, pozostali wi-

działnymi dla kanonierów i tyralierów pruskich. Ale też w tym momencie, Wenclewski wypłuwszy ostatnią garść żelaztwa z jedynej na coś przydatnej czterofuntówki, musiał z nią umknąć. Jeździe Kirkora i Lipskiego, udającej dotąd z daleka między Wrześnią a Psarami w jednoszeregowem rozwinięciu mgławy ogrom, Mierosławski rozkazuje zbliżyć się kłusem na opuszczoną przez Wenclewskiego pozycję, przed irigacye przegradzające trakt Gnieźnieński od drogi Słomowskiej, co miało jej dać lewem skrzydłem, wolny wylot na prawe skrzydło nieprzyjaciela, po tej ostatniej drodze. Na skrzydle przeciwległem, Brzeziński odbiera polecenie symetryczne po drodze Ostrowskiej.

Kiedy się to wykonywa, o godzinie 4tej z wieczora, ogień Langego i Kuszla złamał nareszcie upor zaczepny czterech naczelnych półbatalionów Hirszfelda i wyparł je w rozprężeniu do wsi Sokołowskiej; ale też ledwie że im po temu stało ładunków; wypadło więc bez zwłoki najmniejszej oba Mittelszteta i Mniewskiego bataliony przerzucić przed zagajenie, i przez międzyleżną mokryzną pchnąć na folwark Sokołowski. Już też dwa działa pruskie przybiegły z traktu na południowe wybrzeże wsi, którą cała piechota z mokryzny spłoszona, zajmowała. Straszliwy grad powitał czoło prawo-skrzydłowego szturmego naszego który

pierwszy wypadł z zagajenia ; odpędzić go jednak nie zdołał, i tylko na dwie kupy przekroił. Naczelną, z dwóstu może kosynierów Nowomiejskich złożoną, przeskakuje pędem ukośną strefę pruskich wystrzałów i po grobli wschodniej wdziera się na kraniec folwarczny Sokołowa, z emigrantami Drozdowskim, Wołoszyńskim i Krzysztofowiczem na przodzie. Do tego szturm siecznego przyłączyły się na mokrzyźnie oddział strzelecki z kompanii Berliego i garstka którą niecierpliwie od batalionu środkowego oderwał jakiś bohaterski ksiądz niewiadomego nazwiska, istny Robak, we wilię przybyły z Kongresówki w towarzystwie dwóch czerkiesów.

Skoro tylko krzyż tego natchnionego chorążego przedarł się na czoło poczynającej się wahać kolumny, Prusacy bez sporu wypuścili jej wewnątrz folwarku; ale niebawem okolili takowy wystrzałami, od których drewniane budynki słomy pełne zajęły się płomieniem. Mimo to, Pomorzycy kosą wyparowani zostali z całej wschodniej połowy Sokołowa; tak że o godzinie 5tej, Jał Wedel musiał dostać im w pomoc cztery inne, nieruszone dotąd półbataliony Hirszfelda.

Świeży ten odwet wdarłszy się z dwóch stron do folwarku już płonącego, bezlitośną przemocą i broni i liczby swojej wymordował większą część naszych oczaciałych od pożaru poświęceńców.

Padli tam, broniąc się zapamiętale, trzech officerowie i kapłan którzy im męczeńską drogę do tego całopalenia utorowali. Aż też i z naszej strony występuje ostatnia rezerwa piechoty. Z rozkazu naczelnika, strzelcy Nowomiejscy, jako jedyni w ładunki jeszcze opatrzeni, obiegają pożar folwarczny od wschodu, i dostawszy się do rowów bocznych o kilkaset kroków za wsią położonych, ogniem tyło-poprzecznym dopiekają rezerwom pruskim. Razem, Mniewski i Mittelsztet wypadają z zagajenia na łąkę, z ukosa czy z frontu równo grzmotliwie ostrzeliwaną przez wytężoną sumę armatnich i karabinowych ogniów Hirschfelda. Po dwa razy wyprowadzone chłopstwo z zagajenia, wraca doń w nieładzie i częścią osypuje się aż o pół drogi na powrót do Wrześni. Dopiero trzecim zapędem, na rzewne wołanie «że bracia ich giną na stosie, a i polskiego Chrystusa Lutry pieką na krzyżu,» przy tarabanieniu w beczki posępnie bęben wyręczające, w ślad za chorągwiami niesionemi przez dowódców którym święcie przodkuje młody kapelan Brzeziński, chmara nasadziwszy czapki na uszy, biegnie własnym wrzaskiem smagana przez moczarę i rowy. Aż ostatniem, rozpaczliwem wysileniem zanurza się w płomień i wylatuje na wskroś folwarcznego zgorzeliska, na karku pierzchającym mętną trzodą Prusakom.

Trwożny ten odwrót, którego sumienniejsi oficerowie pruscy zgryzocie bezpardonniego poprzecznie morderstwa swojego sami przypisują, wylał całe ich lewe skrzydło w tył, równoległe do traktu Gnieźnieńskiego; jednakże swoim prawem, jak do osi, Hirschfeld przytwierdził się jeszcze do zachodniego krańca wsi. Trzeba gwałtem było, za dnia do kresu już się chylącego, i od tego go oderwać, a potem zaraz obramienić obiema naszymi konnymi skrzydłami. Naczelnik wcześniej zatem był powrócił na trakt Gnieźnieński i batalion Jabłkowskiego przerzucił na lewo takowego, ażeby obszedł zachodnią krawędź Sokołowa.

Na widmo jakby z pod ziemi wybuchającego czworoboku, całe prawe skrzydło pruskie musiało znów nań skierować swoje ognie. Ale niezłomna reduta, bez żalu siejąc rannych czy trupa za sobą, ściskając ściany a wpatrując się w pałasz Oborskiego jak w labarum, obleciała zachodni skraj zabudowań. Taką *szarżą pieszą* znowu wpadając na trakt po za wsią, bez ztarcia się spędza pomieszanych w kołtun huzarów, działa i piechotę prawego skrzydła pruskiego, o pięćset kroków za Sokołowo, płonące nam teraz za plecami.

Nieprzyjaciel odskoczywszy na tę drugą pozycję, dzięki grzechom jazdy naszej poczyna wracać do ładu, i o godzinie 7ej z wieczora, z daleka

jakby powtórna bitwę palbową zagaja przeciw całemu naszemu kosynierstwu, do nieprzebytego pożaru napartego. Wszakże baczny na wszystko Oborski, drogie swoje chłopstwo długim zagonem o ziemię położył, a strzelcy znowu w ładunki po trupach pruskich opatrzeni, oskrzydłają od wschodu i te powtórne bojowisko.

W tem nareszcie, rozlegać się poczyna dalekie wołanie dzwonów na larum a cały horyzont goreje słupami smolnemi. Dość tej niewinnej, jak się pokaże zaraz dywersyi, ażeby nas natchnąć przeświadczeniem zupełnego zwycięztwa, a Wedlowi głowę zawrócić widmem doszczętnej klęski: nakazuje tedy Hirschfeldowi bezwłoczny odwrót, który z miejsca zaraz przemienia się na tłumną ucieczkę. Dwa działa najbardziej wysunięte grzęzną z jaszczykami w próbie dostania się na trakt; tylko sięgnąć po nie, a nasze! Jabłkowski nie widząc naszej konnicy po temu, kosynierskim swoim batalionem chce ją wyręczyć; ale podbiegły na kilkadziesiąt kroków czworobok, obskoczony zaraz przez dywizyon pruskiej jazdy. Nieśmiała szarżę tego lichego huzarstwa odpiera opodal sam chrzest kos o kosy, a nasz czworobok znowu się zrywając, depcze po niezdarach w mętnej pierzchaniu z koni zsadzonych.

Jednakże podczas tego roztargnienia pożądana zdobycz umknąć zdążyła. Zwyciężyliśmy prawda,

ale jak pod Miłosławiem, bezpłatnie! Żałobę naszą, cięższą od nieprzyjacielskiej osobliwie w zabitych, rachować trzeba na 260 ludzi. Tej samej nocy, bohaterskich męczenników naszych pochowaliśmy do ośmdziesięciu; pruskich zaś trupów zaledwie 60. Temu przewróconemu stosunkowi w stratach między zwycięzonymi a zwycięzcami, znowu winni Brzezański i Kirkor. Jakoż, natychmiast po powtórny zdobyciu kosą Sokołowa, natarczywe zajście jednego od wschodu, a drugiego od zachodu, dwoma skrzydłami całej naszej wypoczętej jazdy, byłoby niechybnie przyprawiło nieprzyjaciela o zupełną zaturę, osobliwie wśród trwogi panicznej jaką go przed zmierzchem przejęło domniemane wszech okolic powstawanie.

Na nic by się też nie przydała płochliwa pukanina jego ariergard, gdyby nasze groty bez wahania zamroczyły im ślipie. W boju, bez ofiar się nie obejdzie; ale wszystkie powinny się u schyłku bitwy ryczałtem opłacić, a poborcą jedynym tego wynagrodzenia jest kawalerya. Niemiłosierny upor z jakim naczelnik pchał rdzennie kupy kosynierskie na Sokołowo, i cierpliwa zawziętość z jaką one rwały się do szturm, aż się nie przedostały po za wieś zgorzałą w głąb pierwotnego szyku Hirszfelda, cóżby to wszystko miało za sens taktyczny, gdyby nam nie szło koniecznie o zyskanie obu naszym skrzydłom pola i czasu do zajścia

na boki zaślepionego własną strzelaniną nieprzyjaciela? Jakoż od prawego, Brzezański obszedłszy już półtora szwadronem rowy wschodnie, miał do wyboru, albo wpaść na drogę prowadzącą od Sokołowa do Ostrowa, albo nieco dalszym lecz pewniejszym zabiegiem, sięgnąć aż na drogę od Słomowa do Ostrowa, w tył zupełny nieprzyjacielowi. Od lewego, jednocześnie, szwadron Kirkora z plutonem Lipskiego w odwodzie, obszedłszy rów i mokrzyznę kończącą się dopiero u drogi Słomowskiej, mimo to jednak bliższy traktu Gnieźnieńskiego, miał nie później od Brzezańskiego przeciąć odwrót pruski po tym trakcie.

Wszakże, jak pod Miłosławiem pościgu, tak znów tutaj, jeden i drugi krnąbrnie odmówili szarży. Na Brzezańskim, wysłani kolejno od naczelnika Piliński, Szubert i młody Bogusz, nie prócz gderania pod szrapnelami wymódz nie potrafili. Sam nareszcie Mierosławski, zapieniony od gniewu, zabiegł drogę cofającemu się mężnie, ale Bóg wie po co starcowi. — Czemuś zaraz nie szarżował, kiedym ci kazał? — A no ta, skorno chcesz koniecznie gubić moich Szredzion, to i pójde, wielgo mi rzecz! — Ale oczywiście, zaczem Brzezański front swój wyplątał z mętnego kłęba w jaki młodą jazdę wszelka wsteczność zwija, nieprzyjaciel którego ostatni odwet właśnie tępiął w tej chwili o żelazny batalion Jabłkowskiego, za

ale jak pod Miłosławiem, bezpłatnie! Żałobę naszą, cięższą od nieprzyjacielskiej osobliwie w zabitych, rachować trzeba na 260 ludzi. Tej samej nocy, bohaterskich męczenników naszych pochowali-śmy do ośmdziesięciu; pruskich zaś trupów za- ledwie 60. Temu przewróconemu stosunkowi w stratach między zwyciężonymi a zwycięzcami, znowu winni Brzezański i Kirkor. Jakoż, natych- miast po powtórny zdobyciu kosą Sokołowa, natarczywe zajście jednego od wschodu, a dru- giego od zachodu, dwoma skrzydłami całej naszej wypoczętej jazdy, byłoby niechybnie przyprawiło nieprzyjaciela o zupełną zaturę, osobliwie wśród trwogi panicznej jaką go przed zmierzchem prze- jęło domniemane wszech okolic powstawanie.

Na nic by się też nie przydała płochliwa pukanina jego ariergard, gdyby nasze grotty bez wahania zamroczyły im ślipie. W boju, bez ofiar się nie obejdzie; ale wszystkie powinny się u schyłku bitwy ryczałtem opłacić, a poborcą jedynym tego wynagrodzenia jest kawalerya. Niemiłosierny upor z jakim naczelnik pchał rdzennie kopy ko- synierskie na Sokołowo, i cierpliwa zawziętość z jaką one rwały się do szturm, aż się nie prze- dostały po za wieś zgorzałą w głąb pierwotnego szyku Hirszfelda, cóżby to wszystko miało za sens taktyczny, gdyby nam nie szło koniecznie o zyska- nie obu naszym skrzydłom pola i czasu do zajścia

na boki zaślepionego własną strzelaniną nieprzyjaciela? Jakoż od prawego, Brzezański obszedłszy już półtora szwadronem rowy wschodnie, miał do wyboru, albo wpaść na drogę prowadzącą od Sokołowa do Ostrowa, albo nieco dalszym lecz pewniejszym zabiegiem, sięgnąć aż na drogę od Słomowa do Ostrowa, w tył zupełny nieprzyjacielowi. Od lewego, jednocześnie, szwadron Kirkora z plutonem Lipskiego w odwodzie, obszedłszy rów i mokrzyznę kończącą się dopiero u drogi Słomowskiej, mimo to jednak bliższy traktu Gnieźnieńskiego, miał nie później od Brzezańskiego przeciąć odwrót pruski po tym trakcie.

Wszakże, jak pod Miłosławiem pościgu, tak znów tutaj, jeden i drugi krnąbrnie odmówili szarży. Na Brzezańskim, wysłani kolejno od naczelnika Piliński, Szubert i młody Bogusz, nie prócz gderania pod szrapnelami wymódz nie potrafili. Sam nareszcie Mierosławski, zapieniony od gniewu, zabiegł drogę cofającemu się mężnie, ale Bóg wie po co starcowi. — Czemuś zaraz nie szarżował, kiedym ci kazał? — A no ta, skorno chcesz koniecznie gubić moich Szredzion, to i pójdę, wielgo mi rzecz! — Ale oczywiście, zaczem Brzezański front swój wyplątał z mętnego kłęba w jaki młodą jazdę wszelka wsteczność zwija, nieprzyjaciel którego ostatni odwet właśnie tępiął w tej chwili o żelazny batalion Jabłkowskiego, za

wsią przez nas zdobytą, nieprzyjaciel odskoczył o werstę w tył pod Gulczewko, odstrzeliwając się morderczo, bo bezpiecznie, zajadłym w marnej gonitwie kosynierom.

Na lewo, z Kirkorem, taka sama ceremonia. Szef sztabu St. Poniński, wyprawiony doń żeby dopilnować jednoruchliwości obu skrzydeł, nie zdołał wyrwać go z przed rowu, który go opodał przegradzał od huzarów pruskich. A przecie na zachód owego rowu, przez pole Słomowskie, poskok do traktu Wrzesieńskiego stał wyborynym otworem; pewnieby też nie dywizyon huzarów w odwrocie, szczeremu zapędowi przeszkodził. Taka to bieda z licho wodzoną jazdą, że niewiadomo nigdy gdzie ją podziać i kiedy jej użyć. Jeżeliś powolny na przestrogi jej komendantów, to w ogniu nie stawiaj, a po ogniu dopiero jej do szarży szukaj; a do szarży, to znowu jej jakiś rów czy płot regularnie na zawadzie; po chybionej szarży nareszcie, gonić za późno; pełno wybredzań, obserwacyj, a pożytku nie za tyla co siana zjedzonego. Na cóż więc jazda w powstaniu? Czy tylko na patrole i do eskortowania bryczek szlacheckich za granicę? To też w ruchawce Poznańskiej, chociaż z najzacniejszej i najbitniejszej młodzieży złożona, wyszła mimowiednie na gwardyę Brzezańszczyzny, która ochranianiem jej od niebezpieczeństwa wkupiła się tanio do jej przychylności.

ści, a za pomocą niej i officerstwa parafialnego, po spotkaniu Wrzesieńskim zaraz uniepodobniła dalszą wojnę.

Mimo to wszystko, nabytym pod Sokołowem impetem, udało nam się jeszcze tego samego wieczora zepchnąć Prusaków z Gulczewka i Ostrowa do Gulczewa, a z Gulczewa do Czeluścina. Poruczywszy Domagalskiemu zebrać strzelców zupełnie wypadłych z ręki Berliemu i obramienić Czeluścina, gdzie nieprzyjaciel mocną się ariergardą na noc usadowił, Mierosławski i Brzezański połączyli obie jazdy na polu Gulczewskim, a przodkując im ze sztabem, wpadli roztrzepanie o północy do samego Czeluścina. Dopiero połysk hełmów pruskich i trzask tuż odwodzonych kurków wypłoszył nas ze wsi; ale dzięki jakiemuś kapryśowi zapału, może poczciwej skrusze za poprzednie psoty, Brzezański żwawym szturmem nadbiegających właśnie pospołu strzelców i kosynierów, oczyścił i te stanowisko z Prusaków, tak że aż do lasu Gębarzewskiego przynajmniej, droga Gnieźnieńska rozwarła się przed nami. Ciemność nocna nie dozwoliła nam dostrzedz żeśmy tym poskokiem wyprzedzili ariergardę pruską, która na lewo polem wydążała. Ta też widząc że jej trakt w Czeluścinnie zatkany, odskoczyła w bok na złamanie karku, i nad rankiem dopiero doścignęła swój korpus.

Po krótkiej naradzie z Poniniskim, Guttrym i Brudzewskim, naczelnik postanowił dotrzeć naza- jutrz pod same Gniezno; nie żeby koniecznie mia- sto te zdobyć, bo po temu bardzo wątpliwą mie- liśmy siłę, a strzełwa już prawie nic; ale 1° ażeby zawodu nie uczynić powstaniu wywołanemu na około Gniezna przez ranne posyłki; 2° ażeby zmu- sić Wedla do skurczenia całej dywizyi IVej na tym punkcie, a przez to od razu ku powstaniu wyzwo- lić powierzchnię trzech powiatów Gnieźnieńskiego, Mogilnickiego i Wągrowieckiego; 3° ażeby je- dnym tchem jak najdalej odskoczyć od Blumen- a Brandta, którzy dnia tego właśnie połączyli na naszym tyle w kolisku Środy, 8,000 piechoty, blisko 2,000 kawaleryi i dział 12.

Dotąd zbyt oględny kontramarsz Brandta, z No- wego-Miasta aż przez Szrem i Zaniemyśl ku Błu- menowi, pomógł rdzennemu odskokowi naszemu przeciwko Wedlowi, i udzielił nam bezpiecznej swobody do stoczenia oddzielnej bitwy z samą IVtą pruską dywizyą. Ale przy wycieńczeniu na- szej wojującej garstki w obec tak dotykalnie oboję- tnego kraju, podobna fortuna prędko się nam sprzeniewierzyć musiała. Należało wyglądać co chwila nadbiegu za nami owych dziesięciu tysięcy Prusaków, a więc albo z Gniezna natychmiast wyparować Wedla, front nam w tem mieście za- tykającego, albo wyskoczyć z pomiędzy obudwóch

ku szerzyźnie Wągrowieckiej. Ponieważ z tyłu za-
 latywały wieści o zajęciu już Zberek przez Blume-
 na, nawet przesadzone o napadnięciu Wrześni tuż
 za nami, a do wypoczynku i uporządkowania się
 pozostawało nam ledwie sześć nocnych godzin,
 przeto naczelnik udobruchany na Brzezańskiego
 zdobyciem Czeluścina, zostawia mu nadzór obo-
 zu; sam zaś z oddziałem jazdy i z kilkudziesięciu
 strzelcami na wozach, wraca kłusem do Wrześni,
 tyle dla dokładnego rozpoznania grożącej nam
 z tyłu nawały, ile dla ściągnięcia z miasta ostatka
 zapasów do jutrzejszej bitwy niezbędnych. Jedną
 z wielkich bied naszych było, że do tego rodzaju
 starań i bacności, naczelnik na lada kogo spuścić
 się nie mógł. Dotąd, wysyłane w tył i na zachód
 patrole, wracały na pierwszy widok płotu lub
 kurzawy, usprawiedliwiając swoją płochliwość
 baśniami o nieprzyjacielu; to znów wyprawieni
 do miasta amatorowie z poleceniami gospodar-
 czemi, znikali na zawsze, polecenie li podobnym
 sobie dezterom podawszy, lub, co najczęściej,
 nic zgoła nikomu nie mówiąc. To zmusiło Miero-
 sławskiego do zabrania ze sobą najpocufniejszych
 pomocników, bo osądził że czy do zaopatrzenia
 w trzech godzinach drzymiącego na pustych po-
 piołach wojska, czy do zajrzenia spokojnie w oczy
 tylnemu niebezpieczeństwu, potrzeba mu było
prawdziwych oficerów sztabowych.

Ten cel został dopięty, ale jak zwykle ciężkim kosztem; bo jeżeli po wszystkich zakątach miejsciny szperając, mianowicie nadludzką Domagal-
skiego czynnością i przemysłem, wydobyliśmy jeszcze z Wrześni na jeden spoczynek żywności i na jedną jeszcze bitwę ładunków; jeżeli przytem uspokoiliśmy się pewną o położeniu nieprzyjaciela świadomością; za to, obóz wypuszczony kilkogodzinnej opiece Brzezańszczyzny znowu uległ wpływowi parafialnym.

XVI

Str. 145, W. P. «Mierosławski nie mógł od góry zaproponować rozejścia się wojska, ale nie taił przed przyjaciółmi, iż dobrzeby było, gdyby propozycja zaczęła się od dołu.»

Potwarz bez sensu, ile że trochę dalej J. Moraczewski zmuszony był wyznać, że Brzezański bez wiedzy Mierosławskiego, czcząc *officerami piechoty* owych biwakowych włóczęgów których nikt ani pieszo, ani konno w żadnej bitwie nie widział,

za ich natchnieniem i poręką podniósł rokosz wyraźny przeciwko bojowym zamysłom naczelnika. Jakoż, te żabska po burzy dopiero a w nocy z nór okolicznych wywabione, oblażyły kwatere swojego patrona i zerwały ledwie zawartą pod Czeluścinem zgodę. Wracając 3go Maja, o siódmej godzinie z rana do obozu, który wedle umowy miał być przed dwiema godzinami ruszyć pod Gniezno, Mierosławski przykró uderzony został rozczarem powszechnym. Jednakże z pomruków i zająkań Brzezańskiego, trudno mu było dobrać się do prawdy; dopiero też żale emigrantów i następne wypadki naprowadziły go na ślad tego dziesiątego czy jedenastego spisku. Po obłudnych targach, Brzezański zabrał całą jazdę i jako rozległem polem aż do Żydowa, powiódł ją w przedniej straży. Tam stanąwszy, miał przepuścić masę strzelców i kosynierów w las Gębarzewski, do harców z załogą Gnieźnienską.

Już powiedziałem, że nam nie szło o wcale może niepodobną zdobycz Gniezna; lecz o połączenie się w boju z powstaniem zamówionem od godzin dwudziestu czterech na około tego miasta, i o uzyskanie bezpiecznego odskoku na zachód ku jeziorom Kłęcka, Łopienna i Rogowa, iżby wybiegłszy na parę dni z obławy pruskiej, wzmódz się za tą osłoną gęstszymi nadciągami ludu. Nadto, pilne rozpatrzenie się Mierosławskiego w tej iniejsco-

wości podczas roku 1846, obudzało w nim mocną chętkę zwabienia na to bezdroże napaści nieprzyjacielskiej, iżby skorzystać z koniecznego jej między jeziorami rozdrobnienia i błąkaniny. W każdym razie, popłoch jakiego wczorajsza bitwa nabawiła Wedła, zaręczał nam bierność jego oporu, a przeto swobodę obejścia Gniezna z tak bliska jak nam się spodoba. Obaczmyż, jak nocna zmowa Brzezańskiego z parafialnymi pacyfikatorami obróciła w niwecz ten ostatni resurs wojny poznańskiej.

Przed godziną dziesiątą z rana, dochodzącej do karczmy Babiak piechocie, znikła raptem z oczu jazda z towarzyszącym jej oddziałem strzelców. Aż dopiero na rozłai trzech dróg do Czerniejewa, Gniezna i Witkowa, naczelnik spostrzega że Brzezański zboczył na prawo, i że zamiast pod Gniezno, ciągnie sobie do Witkowa. Dognawszy go w wąwozie pod Grotkowem, w poczcie rozmamanego sejmiku który na *officerów piechoty* wcale nie wyglądał, poczyna mu naczelnik wyrzucać przemieszanie tem zdradliwsze, że po zmarnowaniu trzech rannych godzin, li nieroztargnionym pochodem mogliśmy uniknąć dościgu Brandta, który już niezawodnie z Nekli ruszył za nami do Czerniejewa. W tej potrzebie, wolę naczelnika poparł najenergiczniej Aleksander Brudzewski. Nareszcie strzelcy Langego z zapalczywością domagają się

krwawego przykładu na Brzezańskim i jego doradcach; ale przerażony rokosz dosiadłszy koni i bryczek, tem śpieszniej uprowadza jazdę po drodze do Witkowa. Co widząc, ogon kolumny, do załamu drogi nie doszedłszy, na przełaj przez pola dobiega za swoim czołem; tak iż przepominając zupełnie naczelne rozporządzenia, wszystko się ku granicy królestwa kongresowego przechyla. Teraz oczywiście, ażeby uniknąć bratobójczego zatargu, lub co gorsza doszczętnej rozsypki, nie pozostawało jak ten ruch niesforny pozorem wyższego nakazu upoważnić.

Jak dawniej, a kolejno w Środzie, w Witaszycach, w Nowem-Mieście i po bitwie Miłosławskiej, tak i teraz wielu prawych patryotów, to jest rzetelnych officerów (bo w wojnie rewolucyjnej patryotyzm innej definicyi nie ma), obstawało namiętnie za złożeniem sądu doraźnego na Brzezańszczyznę; na nieszczęście, przy wiadomem nam usposobieniu prowincyi, podobne lekarstwo bynajmniej do zażycia nie było. Sądy składać nie trudno; ale trzeba się wprzód dobrze obliczyć z możliwością wykonania wyroku, to jest być panem kraju i mieć wiernego żandarma w każdym mieszkańcu onego. Owoż powtarzam, że punkta oparcia Brzezańszczyzny nie leżały w szczupłych szeregach ruchawki, ale wszędy za obozem, w jednomyślnych niechęciach poznańskiej szlachetczy-

zny, która każdy nasz spoczynek obsiadała deputacjami i konszachtami żadną policją nieujętemi; bo skoro pochwycono którego z tych kusicieli, to się łatwo wykreślił bajecznem od jakiego bajecznego *komitetu* poruczeniem, i hardo żądał *missyi na powiaty*. Jeżeli mu takowej odmówiłeś, ujeżdżał zaskarżać twoją oziębłość po knejwach Wrocławskich i Frankfurtskich; jeżeliś mu jakiej udzielił, jak dawniej Garczyńskiemu, tak teraz składał ją Brzezańskiemu, który mu w zamian dawał mandat do ubocznego układu z władzami pruskimi.

Dopiero po zakończonej wojnie, Mierosławski z niemałym zadziwieniem dowiedział się o piętnastu najmniej emissaryuszach, którzy *jako do szeregowej służby niezdatni*, wyprawieni przezeń dla poruszenia powiatów, wprost odjechali do Poznania w samozwańczym charakterze parlamentarzy. Ale *nec plus ultra* artystyczności szlacheckiej polegało na daniu sobie trzech missyj zarazem: jednej od Mierosławskiego, dla wywołania powstania; drugiej od Brzezańskiego, dla traktowania z władzami królewskimi; a trzeciej od jakiego bądź komitetu, do jakiego bądź parlamentu. Tak opatrzony emissaryusz, narobiwszy hałasu po drodze w imieniu Mierosławskiego, denuncyował w Poznaniu nasze swary domowe pod formą propozycji dyplomatycznej; a jeżeli mu Stein-

ecker nie udzielił schronienia w cytadeli, za tym potrójnym paszportem emigrował gadać imper-tynencye Niemcom, Czechom lub Francuzom. Tych ośtatnich, naliczyłbym z pięćdziesięciu, od W. Kościelskich, Mańkowskich, Żółtowskich, N. Niemojewskich, Kalkszejnow, W. Lipskich, R. Berwińskich, J. Bnińskich, W. Niegolewskich, R. Raczyńskich, J. Moraczewskich poczynając. Że do tego potrójnego kunsztu jednak, trza było, albo już oddawna nauczyć się trylogii Hegla po uniwersytetach niemieckich, albo mieć gotowe pieniądze na wojaż, najliczniejsze, najpospolitsze, a zatem najdokuczliwsze robactwo kontrarewolucyjne składało się z owych gości i faktorów interobozowych, których nie można było ani wykląć od sprawy skoroć Polacy, ani skontrolować, brakiem jakiegobądź na nich więcierza.

Po tem objaśnieniu, nie trudno pojąć ile zбочzenie nasze do Witkowa, zapewniające bezkarność układom z Prusakami, podniosło popularność Brzezańskiego w sercach szlachty poznańskiej. Mierosławski pozostał ledwie hersztem partyi wojennej, która od tej chwili każdą etapę na przód, osobną kłótnią i nowem zgorzeniem zdobywać sobie musiała. Noc zaraz strawiliśmy w głównej kwaterze na opędzaniu się deputacyom pacyfikacyjnym, które nie od dzisiaj wpadły na koncept posługiwania się damami, a patriotkami ile mo-

żności. 4go rano, kontrarewolucya rozzuchwalo-
 na namowami owych deputacyj, po raz pierwszy
 zaprosiła na sejmik, do karczmy czy ratusza do-
 brze nie pomnę, wszystkich officerów krajowych,
 ażeby złożyć Mierosławskiego z dowództwa i po-
 ruczyć Brzezańskiemu rozwiązanie negocyacyj,
 przez usłużnych pośredników od wczora tajemnie
 rozpoczętych z władzami pruskiemi. Ale właśnie,
 kiedy adjutanci Brzezańskiego wchodzili do głów-
 nej-kwatery, domagać się bezczelnie papierów
 i kassy od sekretarza sztabu, Moabici, strzelcy i
 emigranci tłumnie otoczyli siedlisko spisku, i tą
manifestacyą tyła wpłynęli na zdanie deliberują-
 cych, że za ukazaniem się Mierosławskiego w po-
 śród tych ostatnich, z kategorycznem zapytaniem
 czy chcą być się jeszcze, czy poddać? odpowie-
 dzieli prawie jednogodnie: «Pójdziemy gdzie
 nas zaprowadzisz.»

Szkoda że tej odpowiedzi nie dostawało dobrej
 wiary; bo gdzież chcieli żeby ich teraz prowadzić,
 skoro raz dali się Brzezańskiemu wprowadzić
 w matnię między 18,000 Prusaków a 16,000
 Moskali? Wszakże, Mierosławskiego rzemiostem
 było do ostatka doświadczyć i próbować wszy-
 stkiego ze stateczną rezygnacyą, skoroć skazan
 jest żyć i umrzeć w epoce zwiastowania, nie mes-
 syanizmu Rewolucyi. Dostrzegł z resztą, że ile na
 każdym wycieczku nabierały przewagi prowini-

cyonalizm i dyplomatyzm, tyle znowu na każdym, byle jakim ruchu, zyskiwał duch wojenny; co stąd głównie pochodziło, że przewidzenie walki uzdrawiało zaraz personalium officerskie, wymiatając z szeregów plewy przeszkadzające. Do tego, zważywszy że przy nadzwyczajnym pośpiechu, może się da jeszcze obejść Gniezno od wschodu północnego, iżby dostać się bez zbyt krwawego starcia do owych zalewów Rogowa i Kłęcka, między którymi wedle pierwotnego planu jużbyśmy byli znaleźli o tej porze obronne schronienie i świeży nabór powstańców, Mierosławski otrząśł się po raz dziesiąty z natrętnej tęsknoty, i przedsięwziął marsz na przebój ku północy, z tem co za nim pójść zechce.

Właśnie co był powrócił z przed Winogóry, Piotrowski ze swoim obserwacyjnym oddziałem, donosząc że korpus Brandta przenocowawszy pod Neklą, dziś dopiero miał ruszyć na Czerniejewo do Gniezna; co nieodżałowanem czyniło zaniechanie wczorajszego zamiaru, ażeby zaraz podejść to miasto, i podać rękę od zachodu niezawodnie obsaczającym je z tamtej strony powstaniom. Ale raz odbiegłszy na wschód i ustąpiwszy zborowi nieprzyjacielskiemu godzin 24, nie czas było powracać do chybionej kombinacji. Szczęśni jeżeli dopadłszy bez szwanku wód rozlanych od Trzemeczna do Mogilna, wyslizgniemy się z po-

między korpusu rosyjskiego, który pilnie na nas wzdłuż jeziora Powidzkiego czyhał, a całej masy pruskiej która nas nań spychała.

Do dziś dnia nie pojmuję, przez jakie przestąpienie owe 15,000 Prusaków rozłożonych 4go Maja od Czerniejewa do Rogowa, tego samego dnia w wieczór nie przecięło nam drogi do Gębic, i część pobitą rozproszywszy, reszty nie wagnało na kordon rosyjski? Bo też z 2,500 powstańców walczących pod Wrześnią, około 300 poległo lub zbiegło w nocy z 2go na 3ci Maja. W Witkowie, alarmy psotników oderwały nam może drugie tyle; tak że z Witkowa, zaledwie we 2,000 wybiegaliśmy z oblawy prusko-moskiewskiej ku Gębicom.

Przez dzień ten pamiętny, szliśmy pod osłoną gęstych lasów, jak gimnastyk po linie, nadstawiając ucha i odwodząc kurki na każdy szelest od zachodu. Ale widać, że nieprzyjaciel uniósłszy z boju Wrzesieńskiego niezmierny o sile naszej przesąd, w większym był jeszcze od nas strachu, i całą dobę strwonił na przygotowaniach do oporu pod samem Gniezmem. Dopadnięcie Gębic zapewniało nam nowy a dość rozległy obszar wojny, bo tutaj granica odchylając się ku wschodowi, otwierała nam do wyboru Kujawy, Pałuki, lub szerzyny jezior Rogowskich. Zbyt rozczarowujące wiadomości z Królestwa, nazajutrz bitwy

Miłosławskiej i znowu w pochodzie do Gębic odebrane, wcale nie zachęcały do sąsiedztwa z granicą. Przytem, przejęta korespondencya między jenerałami Readem a Colombem ostrzegała nas o gorącej sprzymierzeńców nadziei, że nas ścisną w swoje kleszcze. Podejrzliwość też ludu poznańskiego z tego względu tak była napięta, że siła nasza widocznie wzrastała lub malała w stosunku odległości naszej od słupów granicznych. Przypuszczając więc nawet rozwarcie się przed nami jakiej luki moskiewskiej, niezawodnieby nie znalaziono trzydziestu desperatów de jej przekroczenia.

Ale jeżeli do Kujaw nie nas o tej porze ani strategicznie, ani politycznie nie wabiło, wprost brnąć przez Pałuki ku Bydgoszczy także znaczenia doniosłego nie miało. Czyli że jak przedtem, tak obecnie, dolina jezior Wągrowieckich przedstawiała nam i jedyne do dalszych obrotów pole, i najsilniejszą porękę powstań gminnych. Prawda że do owładnięcia tej szerzyny, trzeba nam było gdzieś się zetrzeć z północnem skrzydłem Prusaków; ale idąc żwawo, byliśmy prawie pewni, że tylko z miernym odłamem tej zapory przyjdzie do starcia.

Do Gębic, powróciło przecie kilku emissaryuszów wysłanych z Miłosławia i z Wrześni dla dźwignięcia ludu w powiatach północnych.

Ostrzeżony przez nich, że lud Szubiński, Keyński, Gołaniecki, Wągrowiecki, Żniński, Kłęcki i aż Rogowski wygląda nas w zbrojnym pogotowiu, Mierosławski połowę tylko nocy dając wojsku na spoczynek, 5go Maja jak świt ruszył zająć pasmo wylewów Wilatowskich, z kąd zamierzał doskoczyć nocnym marszem do obronniejszych jeszcze jezior Rogowa.

Tu bodaj czy nie miejsce, przelecieć szlak wątych powstań które rozgłos zwycięstwa Miłosławskiego wywołał.

Już powiedziano że istotny moment zakłopotania na serio Prusaków powszechnem ludu powstaniem na ich tyłach przeminął, jak tylko kontrarewolucjonizm szlachecki dopuścił zbicia się trzech ich korpusów naokoło Mierosławskiego. Moznaby nawet powiedzieć że tej bratobójczej bezczynności, mieli teraz najzazdrośniej dopilnować powróceni do domów zbiegowie z pod Miłosławia. Nie było już zatem co myśleć o odgrzebaniu korpusu powstańczego z pod zawaliska pruskiego za pomocą krajowego ruchu, ale przeciwnie, trzeba było chyba wygrzebać z pod zawaliska szlacheckiego co jeszcze tlało żywiołów powstańczych, za poręką zwycięzców Miłosławskich i Wrzesieńskich. W tym już tylko sensie występować mogły tu i owdzie na ich spotkanie garstki posiłkowe.

Pierwsze zbiorowiska potrącone wołaniem Miłosławskiej zachęty, zjawiły się naokoło Poznania, po obu brzegach Warty. Kilkuset chłopów, strzelców i mieszczan pod wodzą emigranta Celińskiego zaskoczyło kompanię landwery blisko Sęszewa, na trakcie Wrocławskim, a że z samych prawie rodaków złożoną, bez wystrzału rozbroiło. Naturalnym zamiarem Celińskiego, jako starego a ze szkoły centralizacyjnej oficera, było na miejscu nie popasać, lecz natychmiast przebyć Wartę i unikając wątpliwych spotkań, co mu się nawinie posiłków zgarnąć do siebie i z tem wszystkiem najkrótszą drogą przedrzeć się do Mierosławskiego. Na utrapienie nasze, do obozu już potemu dźwiganego, Mefistofeles przyniósł Krautofer-Krotowskiego, wyprawionego przez naczelnika na nieograniczone *agitowanie* pleby Berlińskiej, a który wyczerpawszy tam zbyt rychło własny swój herostratyzm, powracał teraz experymentować na naszej ruchawce, nie swoje *Prawd Żywotnych* i *Partyzantki* wynalazki. Wiadomo że obu tych anarchii szlacheckiej ewanielij, zasadą jest w rozsypce a opodal samą aklamacją niszczyć nieprzyjaciela; *ducha* zaś w powstaniu, broń Boże! żadną karnością, żadnemi regulaminami i żadną jeografią nie przytłumiać. Zamiast tedy przechodzić Wartę i spieszyć na posiłek rzeczywistemu powstaniu, Krotowski *większością głosów* odbiera

komendę Celińskiemu, i 3go Maja ogłasza osobną Rzeczpospolitą Polską w Mosinie.

Wzmógłszy się na samym lewym brzegu Warty do 700 ludzi, dość sporo zdobytymi karabinami i strzelbą na olendrach wyszukaną opatrzonych, zawiązek ten mógł jeszcze podwoić się a nawet potroić prawobrzeżnym naborem, i drogą na Zaniemiśl ku Miłosławowi przez Celińskiego zamierzoną, przekraść się do głównego powstania. Ale temu skromnemu a jasnemu planowi, trzeba było bez zwłoki poświęcić rzeczpospolitą Mosińską, na co partya Krotowskiego żadną miarą zrezygnować się nie mogła. Jednakże po objedzeniu okolic Mosiny, rada nie rada przejść musiała na brzeg prawy, objadać Rogalin. Tu, Krotowski, który miał być sobie za sromotną niewolę słuchać zasłużonego emigranta, poddał swoją rzeczpospolitą hetmaństwu niedowarzeńszego jeszcze od siebie półgłówka, byle osiadłego szlachcica, regulaminem się ani jeografią nie odgrążającego.* Pod temi pactami-conventami, z dyktatora zeszedł na *szefa sztabu*.

Po marnej próbie napadu na Kurnik, partyzantka ta wybrała się na Szrem 6go Maja, a więc

* Całe hetmaństwo tego szkaradnego szaleńca obyło się po *partyzantsku* obraniem z kassy i powieszeniem jako *szpiega*, Tolkaczewskiego, kapitana czwartej kompanii i płatnika batalionu któreń Celiński daremnie był sformował.

kiedy wedle rachub Celińskiego już powinna była w trójnasób pomnożona, jeżeli nie połączyć się z Mierosławskim, to doskwierać tyłom Wedla i Brandta pod Gnieznem. Szrem od południa, a Oborniki od północy Poznania, są wprawdzie dwiema bocznymi bramami pruskiego panowania nad całą Wartą; ale dla tego właśnie, niewypadało sobie wyobrażać, że Prusacy lada hałasowi taki klejnot wypuszczą. To też to zarozumiałe o Szrem kołatanie odparte zostało bez żadnej straty ze strony Prusaków; kosztem zaś jednego zabitego, lecz rozpierchnięcia się wszystkich, po stronie partyzantki Mosińskiej.

7go, dowiedziawszy się że Prusacy zeszli z traktu Poznańsko-Szremskiego, Krotowski na konsolację powtórnie ogłosił sobie Rzeczpospolitą w Kurniku; ale nazajutrz, ostatek włączającej się jeszcze z nim kupy rozegnany został pod Rogalinem, nagłym napadem nieprzyjaciela. Tak tedy, pod przywidzeniem dwóch herostratów czyniących sobie kuligową igraszkę z najświętszej sprawy, strwoniony został nie mniej zapewne bitny od hufców Miłosławskich posiłek. Posiłek ten jeżeli nie wcześniej, to przecież 8go Maja, jak to zaraz obaczemy, spotkać się był powinien z Mierosławskim w Miłosławiu, dużo pomnożony w bezbojnym pochodzie przez lasy Zaniemyśla, Garbów i Murzynowa, labiryntowem wybrzeżem Warty,

do którego Prusacy nie mieli ani czasu ani ochoty o tej porze zaglądać. Prawda że tak dyskretną marszrutą, Krotowski nigdyby nie był wyszedł na fundatora udzielnej republiki, ku podziwowi i uszczęśliwieniu Jędrzeja Moraczewskiego.

O ile w tych partyzantskich podrygach chodziło już tylko o byle jakie zamącenie nieprzyjacielowi myśli i szyku, co, wyznać przecieć muszę, lepsze jak nic, nierównie zrozumialszą w nich położył zasługę, na czele swojej rezerwy powiatowej, Eugenii Szczaniecki, napadem dokonanym 4go Maja na batalion pruski w Buku. Kosztem ciężkiej straty, bo inaczej szczęć się drągom przeciw ogniowi karabinowemu nie może, Polacy wyparli nieprzyjaciela z miasta powiatowego, i sięgając do Gaju, w poprzeg szossy Brandeburskiej, na chwilę zagrozili żywotnym związkom ciemieżców z Kistrzynem i Berlinem. Wszakże gwałty sromotne i rabunek jakich się zbiegła z okolic hołota dopuściła na żydach Buskich, po połowie z odwetem pruskim który niebawem nadszedł z Grodziska, wytrąciły broń z ręki prawdziwym powstańcom i niepowrotnie cały lewy brzeg Warty oddały panowaniu pruskiemu.

Symetrycznie i jednocześnie z ruchem na pniu zwichniętym przez Krotowskiego na południu Poznania, od północy, zapróbowano podobnegoż około Oborników i Murowanej-Gośliny. Attak

wymierzony z Obiezierza na most Obornicki urwał się na bohaterskiej śmierci swojego przewodźcy zacnego majora Dobrzyckiego, słynniejszego jeszcze niegdyś patrioty niż wojownika. Związek sklejony w Murowanej-Goślinie, jakkolwiek równie lichy, najwięcej jednak przybliżył się do przydatnej rzetelnemu powstaniu dywersyi, przez to jedno że nie doczekując się rozbicia na miejscu, od razu wziął czucie do teatru wojny, po drodze Gnieźnieńskiej. Powiedziano już że o tej porze, żadne zbiorowisko powstańcze co bądź innego do czynienia nie miało. Do tego z resztą kierunku Goślinianów natrętnie zapraszała agitacya w obu powiatach Gnieźnieńskim i Wągrowieckim, przez posyłki z Wrześni wywołana.

Rozumie się że obiecana z 2go na 3ci Maja naczelnikowi przez Adolfa Malczewskiego krucyata na Gniezno, spełzła na przechwałkach. Jednakże samo jej zapowiedzenie wystarczyło: 1° na zciągnięcie całej niemal armii pruskiej do tego jednego punktu; 2° na przytrzymanie nieprzyjaciela na tem stanowisku, o tyle że Mierosławski mógł takowe bezkarnie obejść od północy, przez Mogilno i Rogowo; 3° na potrącenie tuż na zachodnio-północnych tyłach armii pruskiej, niezmiernie pomocnej Mierosławskiemu dywersyi.

Wyprawieni z głównej-kwatery Wrzesieńskiej podlegacze, znaleźli gorącą gotowość między

drobnem miezczaństwem i chłopami całego czworokąta wytkniętego Wągrowcem, Kłęckiem, Rogowem i Kcynią, ale zupełną niechęć w szlachecie, a zatem brak zupełny przewódców. Nie dziw więc że skoro kolejno zewsząd, byle gdzieindziej, umykający Malczewski, i tutaj się zjawił jakoby od naczelnika delegowany, pierwsze na drodze od Kcyni do Rogowa doszłe zbiorowisko, skwapliwie poddało się jego zwierzchnictwu. Mirosławskiego powiernicy naturalnie zalecali bezwzględny marsz na spotkanie głównego powstania przez Rogowo ku Mogilnu, a wszystkie następne kupy sameby trzodnym instynktem przechyliły się ku temu kierunkowi. Ale ex-komendant Nowomiejskiego szwadronu nie głupi wracać pod rękę naczelnika, raczej aż do Gdańska rad był od niego odskoczyć; w szczwanej zatem a płochliwej zawiści swojej, ukartował szaloną wyprawę wprost przeciwną stronę do Kcyni, byle go tylko «ani nieprzyjaciel, ani własny naczelnik nigdzie nie dogonili.» Niezmienna to od konfederacyi Barskiej partyzantsko-szlachecka strategia, strategii neoherostratycznej macica i mistrzyni; a Malczewski i Krautofer, wyprawa na Kcynię i wyprawa na Szrem, byle jak najdalej od centralnego koliska boju, czyż nie są dobitną dwóch tych tradycyjnych psotności filiacją?

7go i 8go Maja, przez dwa dni napadany w Kcy-

ni, mimo że nieuleczonym obyczajem swoim dowódca polski na posłuch pierwszych wystrzałów znikł wszystkim z oczu, pruski oddział piechoty ustąpił z mieściny opuszczając mały skład karabinów powstańcom. Oczywiście że chociażby i dokładniejsze powiedzenie się tak excentrycznej a poniewczesnej wyprawy, na nic by się zupełnie nie przydało głównemu powstaniu, rozwiązującemu się obecnie o piętnaście mil od Keyni i przegrodzonemu całą armią pruską od tej północnej partyzantki. Ale wracając do daty 5go Maja i naczelnych przypuszczeń zwichniętych w Mogilnie przez Brzezańszczyznę, taki odskok alboby nie był miał miejsca, albo nawet dokonany, łatwy był do naprawienia. Niewątpliwie bowiem, za zjawieniem się Mierosławskiego nad jeziorami Rogowskiemi, 6go Maja, wahające się dnia tego kupy między Żernikami a Keynią, pobiegłyby raczej na spotkanie głównego powstania; a jeżeli się znalazło kilkuset ochotników na Keyńską krotofilę, śmiało wyglądać ich można było parę tysięcy ku zasileniu po dwakroć już zwyciężkiej kolumny. Za taką to dopiero tarczą, zmartwychwstanie wszystkich powiatów północnych przybrałoby przerażającą dla Prusaków postawę, i na zdobyczy czterdziestu karabinów a zdobywców rozsypce pewnie by się nie skończyło. Dopiero też zastanawiając się nad obelżywym prawdziwie zawodem, jaki odwrót

nasz z Mogilna czynił temu rzewnemu ludowi, odgrzebującemu na powrót swoje drągi i strzelby wbrew zakazom czlacheckim, pójąc łatwo nieutulony do grobu i za grobem żal naczelnika do Brzezańszczyzny, która go 5go Maja z nabytego kierunku strąciła. Wracam do tej daty i do zamierzonego pod nią wymarszu z Mogilna do Rogowa.

Należało przewidywać, że nieprzyjaciel rozpromieniony na parę mil około Gniezna niedozwoli nam wykonać bezkarnie tego zachodu, i albo nas nad jeziorami, albo w marszu do Rogowa zaskoczy. Rozporządzenia naczelne, na to przypuszczenie obliczone zostały. Warowne z przyrody stanowisko Trzemeczna, dokąd właśnie nadsięgnęło stokilkadziesiąt kosynierów i trzydziestu strzelców dobrowróżbnego zasiłku, miało powstrzymać wycieczkę Gnieźnieńską, dopóki prawem skrzydłem nie wydostaniemy się przez Mogilno na drogę do Rogowa. Na tę oś naszego ruchu, Mierostawski wysłał pod dowództwem Berliego 300 strzelców, wyborowych kosynierów Mittelszteta i oddział jazdy, z poleceniem wytrzymania jak najdłuższego boju w Trzemecznie, iżby to skrzydło w nocy dopiero odskoczyło ku skrzydłu prawemu, wydzążającemu tymczasem przez Mogilno do Rogowa. Przy obfitości zdolnych komendantów, możnaby naczelnikowi zarzucić to poruczenie. Wszakże, od rokосу w lesie Miło-

sławskim, do którego z resztą cały patrycyat poznański mniej więcej należał, Berlie zdawał się zupełnie nawrócony. Pod Wrześnią dopełnił popolicie swojej powinności; zmowy jego z Brzezańszczyzną, jeżeli była jaka, dotąd się niedopatrzone; a że to był po Oborskim i Brzezańskim najdoświadczeńszy sztabs-officer, nie znalazło się do tej chwilowo udzielnej komeudy innego wyboru. Jednakże Mittelsztetowi i officerowi jazdy, dodanym mu do pomocy, polecono o tyle nań baczyć, o ile możliwem i przyzwoitem jest dopilnować kaprysów niepewnego zwierzchnika.

Niepojęta macanina Prusaków uzbytniła wszystkie nasze ostróżności. Ubieżenie Trzemeczna przez Berliego, dopadnięcie Mogilna resztą naszej siły, zyskanie koniecznego wypoczynku nad jeziorami, opatrzenie się w żywność, a nawet co niespodziana, w strzeliwo dość sporo na Niemcach i Żydach zabrane: wszystko się wyśmienicie udało bez przeszkody ani wystrzału. Niemoc naszą, niby tęczą tryumfalną, otulał jeszcze nieopadnięty dym Miłosławia i Wrześni. Wskroś tej przyzmy, nieprzyjaciel w czwórnasób nas widział, i wszędy przed następcem naszym się kurczył. Jednakże, długo na tym kredycie żyć nie mogliśmy. Pilno nam było korzystać z ostatniej doby złudzenia nieprzyjacielskiego. Mieliśmy do tego akurat dzień 5ty Maja i noc z 5go na 6ty. W chwili kiedy-

śmy zajmowali przeprawy jezior Wilatowskich od Trzemeczna do Mogilna, nieprzyjaciel nareszcie zgromadzony pod Gnieznem, szykował się do przyjęcia bitwy odpornej za pasmem jezior z których sący się rzeka Wełna, o milę na północ wschodnią Gniezna. Aż do Modliszewa, na północnym promieniu do Rogowa wiodącym, rozstawiła się w sile 6ciu batalionów, 6ciu szwadronów i 4ch dział, dywizya IVta pod generałem Hirschfeldem, z pułkownikiem Hermanem od czoła. Pułkownik Brandt ze swoją i dawną Blumeną dywizyą z Vgo korpusu, w sile 11tu batalionów, 9ciu szwadronów i dział 11tu, zajął promień wschodni przez Jankowo do Trzemeczna; ale ponieważ strzegąc się zbyt mocno od powstań Wągrowieckich, samo Gniezno zaległ nierównie większą połową tej massy, przeto na pół drogi z Trzemeczna do Gniezna bylibyśmy napotkali tylko oddział pułkownika Blumenthala, z 2ch batalionów, z 2ch szwadronów, z kompanii strzeleckiej i dział 4ch złożony. Tem bardziej, skoro bynajmniej zamiarem naszym nie było napastować Gniezno, lecz takowe od północy okrążyć, przypuszczenia bojowe w dniu tym redukowały się: 1° do wątpliwej utarczki pod Trzemecznem, między skrzydłem Berliego a jakim rekonesansem Blumenthala; 2° do wątpliwszego jeszcze spotkania aż pod jeziorami Rogowskimi, między na-

szem prawem skrzydłem a przednią strażą Hirschfelda z Modliszewa wychyloną. Gdyby albowiem nieprzyjaciel plan swój zmieniając, całą siłą wystąpił zaczepnie na prawą stronę źródeł Wełny, w takim razie nie potrzebowaliśmy czekać na niego, ale nieco się bardziej na północ przechylając, dopadlibyśmy w nocy z 5go na 6ty nieprzeparzonych wód i lasów Rogowa. Tu, niezawodne posiłki i otwarty nam odwrót ku Warcie, znowu by na czas niejakiś udaremniły nawałę pruską pod Gnieznem. Pomijam przypadek starcia się na drodze Bygdoskiej z nieściągniętymi jeszcze do Gniezna oddziałami IWej dywizyi pruskiej, bo to owszem było dla nas pożądaniem.

Jak na wychodnem z Miłosławia, dla udaremnienia wszelkich niedomysłów podwładnych, szef sztabu zreagował szczegółowy rozkład tego ruchu, i około 1ej godziny po południu, tak Berliemu do Trzemeczna, jako też Brzezańskiemu i Oborskiemu w Mogilnie, kopię takowego do podpisania posłał. Do wymarszu, za sygnał oznaczono pierwszą wieść o utarczce Berliego z Blumenthałem pod Trzemecznem; ale dotąd panujący tam spokój obiecywał że się doczekamy zmierzchu, co było nierównie pożądaniem, iżby zupełnie nieprzyjacielowi utaić kierunek naszego odskoku.

Za odebraniem rozkazu, Oborski ze zwykłą akuracnością uszykował natychmiast do wymarszu

pozostała mu piechotę, a Kirkor który od zdroźności Wrzesieńskiej do samego już końca stateczną pokazał gorliwość, wysunął też swój szwadron do Padniewa, ku Rogowowi. Ale z Brzezańskim, znowu do zażartej przyszło kłótni. Ciemny szlachcic nie rozumiał po co i jak stanęliśmy nad jeziorami Mogilnickimi; dopiero kiedy z rozkazu dostrzegł, że tu idzie o przedłużenie wojny, którą na wiarę swoich prywatnych konszachtów miał za skończoną, wpadł w bezecną wściekłość, wywołując sobie do pomocy całe malkontentstwo obozowe. Dotąd mi nie wiadomo czy to w porozumieniu z Brzezańskim, dość że o godzinie 2ej, podczas tej opłakanej waśni w Mogilnie, przypadł goniec z doniesieniem że napadnięty przez siły przemagające, Berlie od dwóch już godzin opuścił Trzemeczno i cofa się ku nam żwawo napierany. — A co? nie mówiłem żeśmy zgubieni! — woła na to Brzezański wybiegając zaraz do swojej jazdy, którą zabiera z całym taborem i wywłóczy na powrót do Gębic. Owi jego stronnicy którym rokosz Witkowski nadał był przewagę w niektórych oddziałach, pchają w jego tropy zahukanych kosynierów; tak że zamiast do Rogowa, zawracamy opętani do wczorajszej matni. Dopieroż w połowie drogi do Gębic nadchodzi rapport Mittelszteta, że Berlie ustąpił z Trzemeczna przed marą; że dostrzeżono wprawdzie patrol pruski od

Gniezna, ale napaści żadnej nie doznano; że kossynierzy acz pozostawieni w ariergardzie, do tej chwili nie są ścigani; że zgoła cały ten odwrót Berliego chyba zupełnemu utraceniu przytomności przypisać wypada. Jednakże, to ostrzeżenie już na nic przydatne nam nie było, skoro powrot nasz pod widła kaudyńskie nabył niepohamowanego pędu; zresztą ginęło w pomruku nieustannych baśni o pogoni pruskiej. Przywidziało się niemal wszystkim, że wolnego słońca więcej nie ujrzymy, bo za kilka godzin zostaniemy do ostatniego wegnani przez kule pruskie na moskiewskie bagnety. Zdawało się że Berlie ogromnie się odwrotowi naszemu przysłuży, jeżeli raczy, w ślad za nami uciekając, zbytecznie nam po piętach nie deptać. Tak, wracając szlakiem granicznym na onegdajsze bezdroże bez ładu, bez przezorności żadnej, biczowani lamentami Brzezańszczyzny, zrekliśmy się ostatniej doby jaką Mierosławski *do przeskoczenia* niebezpieczeństwa był obrał.

6go rano tedy, zamiast swobodnie oddychać na szerzynie Rogowskiej, pośród zbiegających się zewsząd posiłków, opadliśmy zdradliwe leże pod Orchowem, na pół drogi od Gębic do Witkowa; a tak się ocierając o granicę, że chłopci znowu podejrzewając jaki desparacki wyskok do Królestwa, poczuli całemi kompaniami obóz opuszczać i do lasów wsiąkać. Tego właśnie wyglądała

Brzezańszczyzna, bo to był najmocniejszy argument przeciwko dalszej wojnie. Partya Mierosławskiego zesła tutaj do takiego upokorzenia, że wyrzuty przez nią czynione przed frontem Berliemu, który nas na tym spoczynku dognał, zuchwale zakrzyczane zostały. Od tej chwili, Brzezański i Berlie *de facto* objęli dowództwo, zostawując Mierosławskiemu konsolację protestowania w gronie osobistych przyjaciół i zatrudnienie przewodnika, póki się albo nie wydostaniemy na szeryznę Wrzesieńską, albo nie spotkamy z jakim patrolem pruskim, któryby nasunął nam pozór do złożenia broni.

Owóz, dzięki większym jeszcze od naszych pomysłom Wedla i Brandta, trochę jeszcze wytrwałości, trochę jeszcze uległości instynktom dowódczym, a znów byliśmy uratowani. Jakoż, cały dzień 5ty Maja zmitrężywszy daremnie oczekiwaniem naszego ataku na Gniezno, nieprzyjaciel 6go dopiero, a więc już po odskoku naszym od jezior Wilatowskich ku Powidzkim, odważył się napaść opuszczone przez nas stanowiska Trzemeczna, Wilatowa i Mogiłna. W tym celu, korpus Hirschfelda poszedł zabiedz nam drogę do Bygdoszczy aż w Barcinie, to jest o mil sześć od miejsca obecnego pobytu naszego. Korpus środkowy pod jenerałem Puckler, ruszył wprawdzie na Trzemeczno i Wilatowo, ale 2/4ma godzinami za późno.

Nareszcie, korpus prawoskrzydłowy Brandta, najbliższy nas, a przecie całym dniem pochodu, rozległemi przerwami i gęstwiną lasów był od nas odgradzony. Idąc więc zwawo dalej ku południowi, nabytym pędem a bez swarów i alarmów, znowu mogliśmy wyminąć zupełnie Prusaków, i odzyskawszy szerzynyę Wrzesieńską, pobujając swobodnie między armią pruską a Poznaniem. Zużywając ku temu zbawieniu ostatek władzy i czujności swojej, Mierosławski 6go Maja, bez szwanku przeprowadził chętnych i niechętnych, między jeziorami Ostrowskiem a Powidzkim, aż do Skąpego pod Mielżynem, o dwie i pół mili od Wrzesni. Przez całą tę dobę, nieprzyjaciel szukał nas w Barcinie, w Trzemecznie, w Gębicach, wszędy gdzie nas nie było, a wypuścił nam południowy pas Gnieźnieńskiego powiatu otworem.

Więc pod Skąpem, 6go Maja wieczorem, psota Berliego i wędrownie Brzezańszczyzny intrygi znowu się znalazły umorzone. Nieprzyjaciel zabłąkany w tyle za nami, nazajutrz dopiero mógł o pogoni pomyśleć. Tego wytchnienia w pobliżu Mielżyna, wypadło nam użyć na przywrócenie ładu w szeregach; bo w obecnym stanie rozprzężenia, chyba do ciągłej ucieczki lub do rozsypki za łada wystrzałem byliśmy zdolni. Uszczuploną do dwóch niespełna tysięcy, ale wypoczętą, uszeregowaną i na dni kilka opatrzoną w żywność kolumnę,

Mierosławski zamierzył zaprowadzić wytrwałym marszem bądź przez Wrześnię, bądź przez Miłosław ku Środzie, okolicy, jak mu donoszono, prawie wypróżnionej z nieprzyjaciela, i gdzie chyba z pożądanymi eskortami dowozów pruskich byłoby przez dni parę do czynienia. Utracone w powiecie Wągrowieckim związki, obrony i posiłki, wynagrodziłyby się powstaniami potrąconymi w kącie Szremskim, w żyznych bitnym ludem okolicach Szreму, Zaniemyśla, Kurnika i Rogalina. Ubiedz Szrem, niebyłoby wtedy cudem żądnym, a z tego dopiero punktu u kolana Warty, po Poznaniu strategicznie najważniejszego, prawdziwie groźna przeciwko panowaniu pruskiemu otworzyłaby się kampania po obu brzegach Warty.

Prawda że w tej chwili, obłożonemu między Prusakami i Moskalami a prowincjonalną niechęcią naczelnikowi, nowy ten plan dopiero się w mgławym zarysie roił; ale też w tym momencie, prócz odskoku na zachód, niczego wyraźnie przewidywać, niczego pragnąć nie było potrzeby. Powzięty zewsząd język 7go z rana, nie zapowiadał nam żadnego bezpośredniego niebezpieczeństwa; a że sił naszych oszczędzić należało do gwałtownego i porządnego zarazem manewru, wymarsz nakazany dopiero został około południa, skoro nam doniesiono, że nieprzyjaciel zajął

Witkowo o dwie i pół mili za nami. Rozkaz ten, uwiadamiający Brzezańszczyznę że Mierosławski, mimo tyla wymownych przestróg, nie odstąpił jeszcze zupełnie od pretensyj dowódczych, rozkaz przerażający niechętnych wyraźnym zamiarem przeciągnięcia wojny, wywołał ów bunt ostatni, który J. Moraczewski wygodnie nazwał sobie *radą wojenną*.

Prosimy nie zapominać, że od pierwszego zaraz rokосу w lesie Miłosławskim, zwolennicy kapitulacyi ani na chwilę nie przestali wyrozumieć łaski pruskiej za pomocą mediatorów, którym *neutralność obywatelska* służyła za paszport między obozem powstańczym a Poznaniem. Co naiwniejszych osadzono w cytadeli; ale wielu władze pruskie wolno puściły, zbywszy ich zagadkami, w których Brzezańszczyzna namiętnie szukała zaczepki do układu. Przyjazd Pfuela na wielkorządzcę i zwodniczy jego manifest o reorganizacyi konstytucyjnej Księstwa, przed dwoma dniami wydany, do reszty zawrociły głowę naszym obozowym pacyfikatorom. W niecierpliwości swojej do domu, wyperswadowali sobie że byle grzecznie zażądać, to zaraz będzie pokój z honorem, kiedy nie ze swobodą; niby wyżej patrzący, dodawali, że byle sprawy W. Księstwa nie gmatwać powstaniem Polskiem, to się powoli i konstytucyjka parafialna w królewskiej wyrozu-

miałości odnajdzie. Taki jest sens filozoficzny piątych już czy szóstych wypowiedzin posłuszeństwa, jakimi 7go Maja Brzezańszczyzna utrapiała Mierosławskiego w Skąpem. Do tej przecie przenikliwości, mógł się wznieść J. Moraczewski, ile że to nie świeży kontrarewolucjonizmu polskiego wynalazek, ale 1° obyczaj bardzo utarty tradycją Radoszyc, Kurszan, Opoła i Słupna; 2° nieunikalne rozwiązanie sporu między parafiańszczyzną poznańską a Mierosławskim od dawna zagadniętego, bo jeszcze w latach 1845 i 1846. Zastanowieniu narodowemu zostawiam do rozsądzenia, o ile natechnienie prowincjonalne i obietnice generała Pfuela upoważniały przeciwników naczelnika do rozbrajania jego władzy; ale na co żadną miarą przystać nie mogę, to na osłanianie ich konceptów domniemanem współnictwem rozbrojonego. Przez jakież tedy nieuctwo czy roztargnienie, J. Moraczewski poważył się insynuować na str. 149, a na str. 160 *Wypadków Poznańskich* wyraźnie twierdzić, że Mierosławski zwołał 7go radę w Skąpem, dla przygotowania umysłów do układu z Prusakami?

Nie jestże dzisiaj każdemu wiadomo, że w Skąpem, przemożna poklaskami zaobozowemi i już nienaprawnemi poruczników psotami; że odurzona Pfuela manifestem i chytremi jego umizgami do partyi rozsądnej; że pewna nareszcie, iż tą

razą naczelnik nie potrafi wydobyć powstania z matni nadgranicznej i *dłużej kompromitować obywateli*, Brzezańszczyzna gwałtownie nasza główną-kwaterę, nie na radę żadną, ale żeby wydrzeć Mierosławskiemu podpis na dokonane za jego oczyma i wiedzą bezprawia?

Czyż J. Moraczewski, «z wyżyny dziejów zapatrujący się na wypadki,» nie dostrzegł że Brzezańszczyźnie nie szło wcale o porozumienie wojenne z naczelnikiem, ale o powtórzenie fortelu Jarosławieckiego, kiedy komissya reorganizacyjna nabroiwszy z Bauermanem i Willisemem w Poznaniu, wezwała Mierosławskiego ażeby ją swoim imieniem, pod celem dopiero armat pruskich rozgrzeszał? A przecież to wszystko jasne i loiczne jak fatalność! Czy w spisku z lat 1845 i 1846, czy później w więzieniu, czy w Jarosławcu, czy w Skąpem, szlachta Poznańska pojąć nie umiała, na co przydać jej się może emigrant, awanturnik, kiedy nie na ścierkę do zamazywania jej grzechów przed podejrzliwością ludu. Ztąd nieutulony jej żal do spiskowego, który w roku 1846 strącał ją z wygodnych przechwałek konspiracyjnych do niezartobliwego powstania; ztąd gniew jej ku więźniowi, który przed podwójnym Piłata i ludów trybunałem, za poły ją przytrzymał na rusztowaniu męczeńskim; ku *smartwychwstałemu*, który w Jarosławcu nieproszony, zdobył dla niej powtórny

czyściec bojowy; przeciw wodzowi nareszcie, co nie dla kapitulowania, ale dla walczenia wzięwszy urząd od ludu, układy *zejsć widocznie muszące do zdania się na łaskę i niełaskę*, miał statecznie za głupstwo i zdradę.

Jaż, skoro nastąpiły Brzezańskie w Skąpem, przyszedli zawezwać Mierosławskiego do wejścia w układ z nowym prokonsulem pruskim, nominalny już tylko naczelnik odpowiedział im: «W układy żadne nie wejdę, bo dla pobitego układać się, znaczy bez ogródki oddać gardło pod nóż zwycięzcy; wszak do tego panom wodza nie potrzeba, a jeżeli wam koniecznie o kozła ofiarnego chodzi, to sobie, jak temu lat siedmnaście pretoryanie w Modlinie, obierzcie jakiego Rybińskiego, nie mnie.»

Na to, powstała wrzawa i wyrzuty egoizmu: «Kiedyś laury zbierał, zbierajże i ciernie.» W końcu, rozsądniejsi rzekli: «Kiedy w układy wchodzić niechcesz, powiedzże nam, co z nami począć zamysłasz?»

— «Takie pytanie rozumiem, chociaż wbrew wszelkim obyczajom wojennym uczynione. Otóż, po za układami o których wiedzieć nie chcę, mamy jeszcze dwa ujścia; albo rozebrać wojsko na kupki i lasami rozbiedz się po kraju, ale to jest ostateczność której zawsze czas się chwycić; albo gromadnie pominąć gąszcz nieprzyjacielski za po-

mocą gwałtownego odskoku ku zachodowi-południowemu, ażeby się przebić przez naczelną pogon która w tej chwili niezawodnie nam trakt Mielżyński zabiega. Staniemy natenczas w takim położeniu względem Prusaków od południa, w jakim staliśmy onegdaj nad jeziorami Mogilnickimi od północy; a raz wydobywszy się z matni, obaczemy co dalej począć. Nie taję wam jednakże, iż ruch podobny wymaga wcale innej jak dotąd karności, odwagi i żwawości. Po temu, musimy za godzinę wyruszyć; bez wytchnienia w ładzie bojowym cztery najmniej mile wyścigu zyskać na Prusakach, a u mety, może jeszcze stoczyć walkę zaciętą. Kto się czuje na siłach i za oddział swój ręczy, tego podwładność przyjmuję, tego piszę się nadal wodzem; ale kto albo sobie samemu, albo drużynie swojej nie dowierza, niechaj sobie próbuje ratunku w układach; przeszkadzać mu nie mam pretensyi, bom oto znowu sponiewieranym wygnańcem na własnej ziemi. Nie myślę nawet sądzić go surowiej niż go sądzą jego współobywatele poznańscy; ale niech się od mojego i moich współwyznawców sumienia odczepi, bom Polak, nie Poznańczyk; powstaniec, nie szlachcic. Wreszcie, chociażbym chciał poświęcić moje przekonanie waszemu złudzeniu, tobym wam tylko popsuł szyki, bo z wskrzeszonym przez

lud Berliński skazańcem, urzędnikom pruskim dogadać się nie wolno.»

Wypadło tedy, że owego zgromadzenia bynajmniej nie zwoławszy, Mierosławski musiał tak samo rozprawić się z nieproszonem, jak żeby je był najrozmyślniej wezwał; a skoro już nie można było uniknąć dysputy, należało raz przecie kwestyę jasno postawić; bo znowu bawić się w milczącego dyktatora, byłoby żakostwem, mając przeciwko sobie prawie jednomyślność officerów krajowych, z Prusakami w drugiej linii, a z Moskalami w rezerwie.

Z resztą, sam skład tego stronniczego zboru wystarcza ku dowiedzeniu że go nie Mierosławski zaprosił. Na trzydziestu może przytomnych, dwóch tylko znajdowało się w nim rzetelnych officerów, z emigracyi: Oborski i Teofil Mniewski; do reszty wszystko prawie officerów krajowych, jeden tylko Mierosławskiego przyjaciel i powiernik, Mittelstet, zabłąkał się. Officerów sztabowych nie liczę, bo trzymali się zasady że pomocnicy naczelnika nie do sejmików wojennych, ale do roznoszenia i dozorowania poleceń dowódczych są przeznaczeni. Znacznie większa połowa officerów, bądź emigrantów, bądź krajowców, nie wiedząc, bo wiedzieć nie mogąc o radzie zmyślonej, pilnowała szeregów i gotowała się spokojnie do nakazanego wymarszu.

Na zadane przez Mierosławskiego pytanie, kto w wykonaniu zamierzonego ratunku za siebie i za oddział swój ręczy, pierwszy odezwał się Oborski, wymawiając naczelnikowi kładzenie podobnego pytania: «Pytań nie rozumiem od naczelnika lecz rozkazy,» zawołał wzorowy wojownik, patrząc groźnie na Brzezańskiego. Ale nawzajem, wojownika co lat czterdzieści doświadczenia i zasług poddawał rozporządzeniom niedawnego ucznia swojego, dwóch tylko z pomiędzy radców raczyło zrozumieć. Daremnie T. Mniewski i Mittelsztet, osmoleni kurzem kosynierskich ognisk, z zaognionemi znojem oczyma i jękający się od zapalczywości, przysięgali każdy przeprowadzić na przebój szczątki swojego batalionu gdzie się Mierosławskiemu spodoba; dwadzieścia kilka głosów zakrzyczało ich, wołając jedni, że to przechwałki, drudzy, że nawet tych szczątków połowa w nocy uciekła; inni znów, że niemając już czem walczyć, dłuższem włóceniem się bez boju, także Polski nie wywalczemy: co wszystko prawdy mogło dotyczyć, ale pewnie nie znową z nieprzyjacielem uleczyć się dawało. W tym mętным gwarze, zapamiętałem między innemi głos młodszego Rostkowskiego, który wstydząc się układów z Prusakami, natomiast proponował złożenie broni Moskalom, *jako zadatek przymierza Słowiańskiego przeciwko ciemnieniu Niemieckiego*. Dopiero Lipski,

porucznik jazdy Szredzkiej, bez ogródki wygadał ducha tego zajazdu, wyznając «że dopełniwszy swojego obowiązku jako Polak i żołnierz, woli ostatecznie choćby ośm lat cytadeli odsiedzieć, aniżeli marnie zginąć, opuszczając wdowę i sieroty na pastwę dziczyznie pomorskiej; że zatem otwarcie żąda regularnego układu z władzami nieprzyjacielskimi, nie w jakich bądź widokach politycznych, ale li dla ocalenia osób i rodzin od zemsty mocniejszego.»

To oświadczenie, pierwsze dopiero szczere i konkludujące, powitane zostało mimowolnym pomrukiem ulgi i zadowolenia. Jednakże, mal-kontenci jawnie nie śmiejąc stwierdzić tej spowiedzi, niby ze zgrozą odparli pokusę zdania się na łaskę, i poczęli się hardo domagać *honorowych warunków*; jak żeby schylenie się do jakiegokolwiek rozmowy z nieprzyjacielem nie miało mu zaraz wyjawić doszczętnej niemocy naszej, a więc nas wydać na jego łaskę i niełaskę! Do takiego rezultatu, wódz czy trębacz z białą chustką, akurat na jedno wychodził; więc też chyba na szyderstwo, Brzezańszczyzna powtórnie a koniecznie żądała od Mierosławskiego ażeby zeszedł z naczelnika na paramentarza, aż nie wskórać nie mogąc z tej strony, uczęstowała nareszcie swoim zaufaniem Oborskiego. Ale Oborski zniecierpliwiony, powstał na Brzezańskiego, mówiąc: «Czego da-

remnie skromnego udajesz? Naprowadziłeś sobie elektorów na sejmik żeby cię obrali wodzem swojej kapitulacyi, a teraz kiedy masz czego chciałeś, wymawiasz się od zaszczytu? Jesteś tutaj najsejdziwszym obywatelem księstwa; jako taki, jeżeli zawierasz traktatom pruskim, nie wstydz się: nikt ci nie broni traktować w imieniu twoich zaufanych; mnie tylko proszę do tego nie mieszać, bo ja nie Poznańczyk, i prawnie żadnych styczności z Prusakami nie mając, w niczem wam pomocnym być nie mogę.»

Na tem ostatecznie stanęło, że Brzezański, jako pełnomocnik obywateli poznańskich, wejdzie w porozumienie z władzami Pruskiemi, używając do tego form, tytułu i argumentów jakie tylko ku dopięciu swojego celu za potrzebne uzna, czemu Mierosławski przyrzekł wcale nie przeszkadzać. Nawzajem, Brzezańszczyzna obowiązała się słuchać Mierosławskiego w obrębie obozu, aż do roztrzygnięcia się jej losów na drodze układów; czyli że od tego momentu, dla Prusaków i do dyplomacyi, Brzezański: dla Polaków zaś i do boju, Mierosławski miał pozostać wodzem.

Jakkolwiek dziwaczna, ta kombinacya była li uznaniem od dawna dokonanego w umysłach i w czynie rozkładu między zawziętymi przeciwieństwami prowincyi a narodu, osiadłego a nieosiadłego obywatelstwa, konserwatywną a rewolucyj-

ną przezornością. Może dla filozofa nie było o co się gniewać; ale lud zbrojny nie filozof, antytez nie rozumie. Mimo więc umówionej nawzajem tajemnicy, powstał w tej chwili okropny zgiełk na około głównej-kwatery. Wierni sprawie strzelcy, moabici, emigranci, Mniewskiego i Mittelszteta kosynierstwo, ostrzeżeni o najściu Brzezańszczyzny i o celu owego najścia, przybywali tłumnie z deklaracją, że na zmianę naczelnika nie dozwolą. Mierosławski wybiegł ich uspokoić, zaręczając «że do ostatecznej czy klęski czy rozsyпки towarzyszyć im będzie, ponieważ wodzem chcących jeszcze cierpieć, słuchać i walczyć, na chwilę być nie przestał.» Jako taki nakazał im wrócić do szeregu, bo niebawem ruszymy w dalszy pochód. Tu przerwano mu namiętnem zagadnieniem o zamiarach układu z Prusakami, na co dobitnie odrzekł że sumieniami nie rządząc, nikomu nie wzbrania uciekać się do tego ratunku; ale że ani sam, ani w niczyjem imieniu, ani jako Mierosławski, ani jako wódz, w żadną umowę nie wda się nigdy z wiarołomcami traktatu Jarosławieckiego. Nareszcie, przerażony przekleństwami co raz grzmotliwiej miotanemi na Brzezańszczyznę, osobiście też do żywego bodnięty zarzutem że dozwala sobie i lud zdradzać przez szlachtę od Prusaków przekupioną, Mierosławski dobył najrzewniejszych tonów ze zranionego serca, ażeby te daremne

skargi przytłumić. Kończąc zawołał: « Bracia, zaprzysięgam wam dwie rzeczy: najprzód, że pókim przy zmysłach, kawałka polskiego żelaza nie rzucę pod nogi ciemężców Polski; powtóre, że was na marne jatki nie powiodę. Idźcie za mną póki tchu, miejsca i ładunków wam starczy, a skoro albo hańby poddaństwa, albo rzezi bezbronnej groźbą, los nieubłagany zabieży nam drogę, wszak znacie ścieszki domowe? W mgnieniu oka broń zakopimy, a sami wsiąkniemy do tajników ojczystych, aż do przyszłego zmartwychwstania. Przekładających układ z Prusakami nad ten warunek, przegagnajcie i milcząc wypuście z waszych szeregów, bo ani obelgami, ani sromotnym mordem nie pomnożycie już naszej drużyny, która co ranek przebudza się drobniejszą kroplą, w wylewie obojętności i zwątpienia powszechnego. A teraz, każdy żwawo na miejsce, bo oto Prusacy na karku, a Sybir pod bokiem. »

W tej chwili właśnie, kilka przypadkowych wystrzałów od strony Witkowa, jakby w zмовie z tem zaklęciem, ostudziło wszystkie gniewy i podejrzenia. Teraz, każdy powstaniec bez różnicy stopnia wyrozumiał, że wybiegi dyplomatyczne Brzezańszczyzny jej tylko dotyczą, ją tylko obowiązuja, bynajmniej nie przesądzając taktycznego ratunku, jakiego Mierosławski dla odmawiających układu w prędkiem odbieżeniu ku południowi

szukał. Ufności, tą świadomością przywróconej, winniśmy, że około godziny czwartej nareszcie, ludzi ledwie 1,800, ale we wzorowym porządku, wyruszyło ze Skąpego do Strzałkowa. Wytrwałość, ład i ochoczość tego gwałtownego pochodu (który wymijając czoło pruskiej pogoni do Mielżyna jeszcze nie doszłej, poniósł nas jednym tchem aż do Grabowa pod sam Miłosław i odgrodził dwoma zdjętymi mostami od wszelkiego niepokoju), znowu zadały fałsz trwogom pacyfikatorów. Na cztery mile odskoku rachubą Mierosławskiego wymagane, trzy z okładem były ubieżone bez żadnego narzekania, choć w ciągłej do boju postawie. Kilka godzin wytchnienia w Grabowie, poczem nazajutrz jeszcze jeden marsz trzymilowy ku zachodowi, a nie tylko wybiegaliśmy z obrębu nieprzyjaciela, ale nadto przejmowaliśmy jego związki z Poznaniem, podając rękę powstaniom Szredzkim i Sremskim.

Jedna tedy droga ratunku była nam prawie na rozcień otworzona. Ażeby żadnej nie zaniedbać, Mierosławski ze Skąpego jeszcze, wysłał był wprost ku Warcie zwiady dla wybadania rozkładu i mocy Prusaków po lewym brzegu rzeki, od granicy do kolana Szremskiego. Z Grabowa wyprawił drugi rekonesans do Czeszewa i Nowego-Miasta, z poleceniem ażeby zgromadził między temi dwoma miejscami wszystkie pramy, tratwy czy

statki jakie zachwycić się dadzą; ile że gdyby w Pleszewskim, skutkiem pierwotnego przerwania wojny na północ, zastano siły pruskie nieczujnie rozproszone w niejakiej dalekości od Warty, bylibyśmy się może z Miłosławia nie ku Środzie, ale na lewy brzeg Warty skierowali, o czym nazajutrz ostatecznie zadecydowanem być miało. Z resztą, Mierosławski wrócił z przeglądu forpoczt i ognisk takimi ożywiony nadziejami, tak spokojny o jutro, że po raz pierwszy od dni dziesięciu rozebrał się i pozwolił sobie snu prawdziwego. Jakże okropną a niezasłużoną Bóg go umartwił pobudką!

Podczas wymarszu naszego do Grabowa, Brzezański wysłał był swoich sztabowców, Szodrskiego i Lalewicza, na spotkanie ścigających nas Prusaków, mianując się dla nich nowo obranym wodzem powstania i żądając zawieszenia broni, iżby wejść w układy z królewskim wielkorządcą, generałem Pfuelem. Stało się to wprawdzie za wiedzą Mierosławskiego i całego niemal obozu, a w skutek tranzakcyi przyjętej między dwoma stronictwami, na jakie się nieszczęsna ruchawka nasza podzieliła. Raz też rozgrzeszywszy Brzezańszczyznę z win poprzednich które nas do takiego upokorzenia przywiodły, nie można jej mieć za złe tej wysyłki. Ale w dopełnieniu ugody w Skąpem zawartej, zaszła nadto w pochodzie, między

Mierosławskim a Brzezańskim, umowa pod słowem honoru, że jeżeli Prusacy zawieszenia broni odmówią, natenczas Brzezański wszelkich dalszych prób układu zaniecha, i albo odjedzie do domu ze swoimi stronnikami, albo się ślepo podda rozkazom Mierosławskiego. Był to niejako zakład między ufającymi w obietnice Pfuela, a tymi co przeczuwali że samo pożądanie rozejmu z naszej strony, wyrówna bezwarunkowej submissyi.

8go Maja o świcie, Brzezański wyrwany został ze snu przegraną zakładu. Wedel odpowiadał mu bardzo słusznie, że w żadne rozejmy się nie wdaje z powstańcami przyznającymi się do przegranej; wzywał przeto wypowiedzianych pod Mielżyn, gdzie mieli broń złożyć i zdać się na łaskę. Wywiązując się z prawością z danego słowa, Brzezański powinien był jednemu tylko Mierosławskiemu zeznać tę odpowiedź nieprzyjaciela, i bez hałasu albo się wynieść, albo słuchać. Ale ponieważ w Brzezańszczyźnie każdy towarzysz do wszechwiedzy i wszechgadania równe miał prawo, przeto somnacya Wedla przebiegła cały obóz, zaczem Brzezański pomyślał zakomunikować ją Mierosławskiemu. Nie proste też było w tem gadulstwo szlachcica do poziomych psot zbyt obrotnego; ani wątpić, że Brzezański rad był tą niedyskrecyą rozprządnąć ostatki powstania w ręku Mie-

rosławskiego, iżby wygrać zakład mimo losu i zjednać sobie sławę pojednawcy, w oczach nie Prusaków, broń boże! ale rozplakanych rodzin i wszelkich niewinności, które go zaraz na wstępie powstania swoim wojskim obrały. A że dość było teraz dmuchnąć na nasze szczątki lada postrachem, żeby się do reszty rozleciały, roztrąbiona przez Brzezańszczyznę wiadomość o nieubłaganem usposobieniu nieprzyjaciela, doszła dopiero Mierosławskiego wraz z drugą o powszechnej rozsypce.

Po rozpaczy emigrantów przybiegłych do głównej-kwatery, poznać można było że tą razą wszystko niepowrotnie skończone. Aż dotąd, Mierosławski miał ciągle do przełamywania sprysiężone w obozie i za obozem fakcye; ale rdzeń ruchawki był mu stale powolny, tak że od najzdradliwszych zdrożności pośrednich komendantów, można było ostatecznie do głębszej instancyi apelować. Dopiero 8go z rana, po raz pierwszy, żołnierz wypowiedział Naczelnikowi posłuszeństwo. Najwierniejsi dotąd pomocnicy rozłączyli się z nim, usprawiedliwieni w swoim sumieniu zniknięciem szeregów. Jednakże bliskość pogoni i ciasność miejsca między Prusakami a granicą, opóźniły nieco zupełną rozsypkę; jeszcze około 1,000 powstańców potoczyło się z Grabowa pod Miłosław, a z 500 dalej do lasu Borowego-Murzy-

nowa, wedle marszruty wczoraj nakazanej przez Mierosławskiego, który im już bez żadnej władzy, jako spółwędrownik towarzyszył.

Ale i taki rezultat zawodził jeszcze rachuby pa-
cyfikatorów, którzy się spodziewali że rozgłoszenie
pretensyj pruskich wygna tylko stronnictwo Mie-
rosławskiego z obozu i uprości kapitulację, nie
zaś że im samuteńkim przyjdzie kapitulować.
Ażeby tedy wytlómaczyć nieprzyjacielowi ulo-
tnienie się jednych, a odskok innych powstańców
ku Środzie, w odpowiedzi na sommacyę Wedla,
Brzezański odpisał mu dowcipnie że nie mogąc
wydać rozbrojonych ludzi na pastwę dziczynie
jaką generał pruski ma nieszczęście dowodzić,
postanowił mniej drapieżnej poddać się komen-
dzie, i w tym celu, zamiast do Mielżyna, zmierza
ku Środzie. Ale co mu się nie tak dowcipnie
udało, to wybór negocyatorów.

Wprawdzie, moralna bezsilność nasza już się
wygadała Prusakom samemże rozejmu zażąda-
niem; ale jeszcze pozostawało złudzenie o naszej
ilości, o której Prusacy żadne wyobrażenia ści-
słego dotąd nabyć nie mogli; bo wśród pstrej,
bezimiennej, żadną miarą liniową nieujętej ru-
chawicy, niepodobna im było tak prędko rozró-
żnić jej rozsyпки od jej wydęcia. Dowodziła tego
śmieszna oględność ich obrotów, które o tej go-
dzinie jeszcze obwąchiwały w około nas każdą

pięć ziemi, niby podkopanej wzdłuż i w poprzeg wulkanem.

7go w wieczór, Alfons Taczanowski, jeden z nieproszonych dyplomatów W. Księstwa Poznańskiego, jednakże w tym razie chwalebną zręcznością natchniony, łatwo wyperswadował Pfuelowi że Mierosławski rozporządza dwunastoma tysiącami zaciętego wojska i dierży nieprzeparte stanowisko okrakiem na Warcie. Pfuel niecierpliw zakończyć wojnę która całą jego władzę rozbierała między jenerałów połowych, polecił Taczanowskiemu dojechać do naszego obozu i skłonić Mierosławskiego do osobistej rozmowy z wielkorządcą, gdzie bądź na pół drogi do Poznania. Jako zachętę do negocyacyi, Pfuel proponował Mierosławskiemu przez Taczanowskiego, zachowanie kadrów wedle ugody Jarosławieckiej, ale tylko w sile 2,000. Ani wątpić, że to była ze strony wielkorządcy li recydywa podstępu Jarosławieckiego, a i to w nieświadomości rozbicia naszego zamierzona; czyli że po rozeznaniu rzeczywistości, warunki układu zesłyby zawsze do tych, jakimi Wedel częstował Brzezańskiego. Wszakże i to niewątpliwem, że w obecnym stanie rzeczy, rozejm choćby kilkodniowy tylko, prawdziwem był dla nas zbawieniem w porównaniu z wypadkiem dyplomacyi Brzezańskiego.

O godzinie 10ej z rana, w lesie pod Białem-Piątkowem, Mierosławski w rzewnych słowach powtarzał garstce jeszcze go otaczającej, co już był w Skąpem przewidział i zamierzył, kiedy Taczanowski, którego wprzód wcale nieznał, zjawił się z dziwnymi Pfuela propozycjami. Był to jeden z bardzo rzadkich wypadków, w których nie się do stracenia nie ma na dyplomacyi, skoroć już wszystko niemal było rozproszone i rozbrojone. Wszakże, ażeby traktować, trzeba mieć z kim i o co. Dalej tedy rozsyłać na wszystkie strony przyjaciół, dla zgromadzenia napowrót co się da w lasach między Miłosławiem a Zaniemysłem, a zkład gdyby do rozejmu nie przyszło, łatwo by nam stanowczo się rozbiedz po obu brzegach Warty, opodal od bezpośredniego dościgu. Czując przytem, że ze złudzenia Pfuela bardzo a bardzo nagli korzystać, Mierosławski odprawił natychmiast Taczanowskiego do Poznania po laupass, oznaczając Kostrzyń na miejsce rozmowy z wielkorządcą. Sam, strzegąc się wystawienia śmiertelnych podrygów naszego obozu na ciekawość posyłek Pfuela, wyjechał o podał przed Miłosław, a z pierwszej stacyi na drodze do Kostrzyna, poleciał na piśmie Oborskiemu, Kirkorowi, Ruszczewskiemu i Domagalskiemu, ostatnim stróżom chorągwanym powstania, ażeby oczekując jego powrotu, usiłowali nadać szczątkom naszym, kiedy nie moc

istotną, to przynajmniej wejrzenie wojska do rozpaczliwego boju gotowego.

Zaczerpnąwszy trochę nadziei w tych rozporządzeniach, Mierosławski przez godzin kilka ukrywał się w pobliżu Kostrzyna, wyglądając powrotu Taczanowskiego z decyzją Pfuela. Ale już w gorliwej głupocie swojej, parlamentarze Brzezańskiego odślonili wielkorządzcę ostatnią naszą tajemnicę. Szołdrski, odesłany przez Wedla do Poznania pod eskortą, przybył tam w parę godzin po odjeździe Taczanowskiego, i od razu wybajał Pfuelowi czego ten od swoich wcale dowiedzieć się nie mógł, a co Taczanowski, choć nie powstaniec żaden, przecież tak łatwo potrafił utaić: to jest że wojsko powstańcze rozwiązane, a więc że już nie ma z kim o zawieszenie broni się targować. Na domiar zeznania że nie miał wcale do czego wracać, jak niegdyś Franc. Morawski delegowany ze Słupna do Moskali przez Rybińszczyznę, powiernik Brzezańskiego z pokorną niecierpliwością żądał paszportu do Wrocławia. Wtedy to dopiero Pfuel dokładnie przeświadczony o naszym skonaniu, zatwierdził bazwarunkową sommacyę Wedla, a skoro Taczanowski zjawił się z przyjęciem rozejmu od Mierosławskiego, nie dziw że go wielkorządzca zbył gniewnem szyderstwem.

9go rano, jak tylko o tych przygodach w swojej kryjówce uwiadomionym został, Mierosławski

pośpieszył z powrotem do obozu, ażeby drużynę ostrzedz i na cztery wiatry ją rozpuścić. Zaskoczony w drodze blisko Środy przez patrol huzaarów, schronił się do probostwa, a po oddaleniu się Prusaków, napotkał właśnie rozbiegający się ostatek najwierniejszych strzelców. Od nich najprzód, a wkrótce potem od przekradających się ku Warcie emigrantów, dowiedział się że zbór przezeń wczoraj nakazany dość pomyślnie zaczął się wykonywać, bez względu na kapitulację Brzeżańskiego, bo w nadziei że rozejm zbrojny mający się zawrzeć między Pfuelem a Mierosławskim przesądzi wszelkie podrzędne układy; kiedy w tem, powtórne wezwanie Wedla do Oborskiego, a w którem generał pruski w imieniu Pfuela rozporządzał już kategorjami powstańców jakoby pewnymi jeńcami, stanęło za dowód iż do zawieszenia broni nie przyjdzie. Wtedy Mierosławskiego powiernicy uznali się upoważnieni do powtórnego rozpuszczenia obozu, iżby, wedle zaręczenia danego w Skąpem: «żaden kawałek polskiego żelaza nie był dobrowolnie złożonym u nóg ciemiężców Polski.»

Wiadomo że Mierosławski w parę dni potem zagarnięty z pięcioma towarzyszami tułaczki przez oddział kapitana von Sander, choć szczęściem od pruskiego żołdactwa nie poznany, wśród najsroższych obelg do cytadeli odwieziony został. Tam

wysiedziawszy pięć miesięcy kazamat, dopiero za natrętnem naleganiem posła Rzeczy-pospolitej Francuzkiej został powtórnie wypuszczony.

SENS MORALNY.

I

Dzieje demokracji wojującej w Polsce stanowią filozoficznie, całość w której ubocznie i ułomkowo rozpatrywać się nie można, bez obrażenia prawdy ojczystej i zbałamucenia sądu potomnego. Powstanie zatem Poznańskie powinno być studiowane: 1° jako pojaw ducha powstańczego w całym narodzie; 2° jako rozwiązanie propagandy w całej Polsce od lat szesnastu zasiewanej, i spisków od lat dziesięciu poczętych, a w roku 1846 do skutku

nie dopuszczonych. Mało plonną pokazała się szesnastoletnia propaganda szkoły demokratycznej; mozolnym a płytkim pokazał się dziesięcioletni spis ; karłowate powstanie jedyne ustronia Polski które powstało: snadź Rewolucya nie dojrzała była w łonie narodu całego, i długo jeszcze nurtować musiała nasze społeczeństwo, zaczem dzieje szkoły rewolucyjnej staną się dziejami ojczyzny, To też po tym mozolnym spisku, po daremnej niemal propagandzie, związek rewolucyjny napotkał do przełamania w r. 1846 nie tylko przeciwnictwa naturalne i przewidziane, jakoto nienawiść szlachty osiadłej i obojętność społecznie ujarzmionego przez nią ludu ; ale nadto, drażliwy spór domowy z zaślepieniem niecierpliwościami, które nie odbywszy prób emigracyjnej karności, stanęły nam w polityce, czem w bitwie roztrzępana a niesforna ruchawka, wybiegająca przed własne baterie.

II

Szlachetcyzm zaś, nie będąc dopuszczony w roku 1846 do wygadania swoich wstrętów kontrarewolucyjnych na polu powstańczem, uniósł ze sobą do więzień, gdzie je jeszcze zakwasił, wszystkie żale swoje do spisku, któremu był chwi-

lowo dla mody hołdował. Zamiast więc przyjąć walkę z zaborcami na polu jakie pan Bóg dał, i stoicznym cierpieniem schylić się do gminu związkowego, szlachecczym sprawę swoją niepowrotnie od jego sprawy wydzielił, przygotowując rozdwojenie które miało się niebawem, śmiertelnymi konwulsjami w powstaniu odezwać.

III

Sporu tego, między polityką rewolucyjną a polityką szlachecką, prokuratorami stanęli najprzód w roku 1848 z jednej strony, komitet rewolucyjny zaimprovizowany w Berlinie około Mierosławskiego, a z drugiej, deputacya prowincjonalna, wyprawiona do króla przez komitet szlachecki poznański. Pierwszego zadaniem było, wciągnąć Niemcy rewolucyjne w przymierze zaczepne przeciwko Moskwie; zadaniem drugiego, wyprośować na drodze konstytucyjnej pewne swobody i przywileje prowincjonalne *dla Wielkiego Księstwa Poznańskiego*. W czterdziestu ośmiu godzinach, jedno i drugie pokazało się równie płónnem marzeniem; ale z tą różnicą, że rewolucyoniści natychmiast apelowali do powstania narodowego, kiedy przeciwnie, parafianizm poznański upierając się przy złudzeniach swoich, wypowiedział domo-

wą a namiętą wojnę wszystkiemu, co go z takowych wyleczyć usiłowało.

IV

Z Propagandy i ze spisku zniesiona do więzień, z więzień wyrzucona na bruk Berliński, ta kłótnia między Mierostawskim a komitetami poznańskimi, między demokracją wojującą a szlachetczą, między Rewolucją Polską a Prowincjonalizmem (bo to tylko różne nazwy dla dwóch jednych i tych samych rzeczy), ta kłótnia odegrzała się pod ogniem Prusaków i jeszcze na powtórnej emigracyi, a ze wszystkimi obłudami waśniom familijnym właściwemi.

Ponieważ Demokrację całą, Rewolucję całą, ogrom bezimienny i bezcielesny, osławiać i kamienować niewygodnie, szlachta poznańska postanowiła odgniewać sobie na dyżurnym stróżu niemiłego jej obozu, wszystek kłopot jakim ją kiedykolwiek i gdziekolwiek demokracja rewolucyjna umartwiła. Więc w procesie Berlińskim, zasklepiła się szczelnie w skorupie głuchego parafianizmu, ażeby przypadkiem nie dosłyszeć pomruku wstrząśnienia europejskiego, które znowu o wrota polskiej mogiły kołatało; i zamiast jako zwiastun wskrzeszenia wkupić się do nowego

życia narodu, szyldwacha który ją do tego wzywał wykleła, a sama się skryła do nór grobowego robactwa. A nie przez żadną nienawiść osobistą do owego szyldwacha to czyniła, ale z sumiennego uprzedzenia, że w kilkudziesięciu kupcach żyta, okowity i wełny polskiej, jakich przypadkiem siecie policji pruskiej załowiły, mieszcza się dzieje, ekonomia i nieśmiertelność Narodu polskiego; zkład wniosek, że opóźnić ich powrót na jarmark wełniany, jedno znaczy co rujnować i gubić ojczyznę. A skoro się nie tylko zdanie obu półkół (bo się aż dziennikarstwo amerykańskie wtrąciło do procesu), ale sama Opatrzność wypadkami 1848go roku przypisała do tej przestrogi, przegrani jeszcze niekontenci z wyroku, apellowali do opozycyi w powstaniu, iżby raczej przegrać Polskę, jak swój zakład z Mierosławskim. Bo, cokolwiek mi o tem J. Moraczewski powiedział, nie uwierzę ażeby nienawiść kilku szlacheiców do biednego emigranta, tyle złego nabroić była zdolna; i sądzę że to być musiała raczej nienawiść całego próchna szlacheckiego do całej żywotności rewolucyjnej, wyrażona przypadkowemi nazwiskami, jakie z obu obozów pierwsze naprzeciw siebie wyskoczyły. Tak akurat; jak w niepodobieństwie polemikowania z całą szlachetczyzną polską, uczepiłem się temu lat siedm niewinnego jej kronikarza, nie z braku szacunku, a nawet przywiązania dla

jego osoby, bróń Boże! tylko że mi tak było taniej i podręcznie.

V

Na potwierdzenie czego, przechodząc do szczegółów powstania Poznańskiego, napotykam w każdym z nich, dwa te pierwiastki zawziętego antagonizmu między szlachetczyzną a rewolucjonizmem, wszechpolskim i wszechczasowym. Pierwsza, do rzetelnej insurrekcyi wzbić się nie chcąc, obwarowywa się starannie w ciasnym prowincjonalizmie, któryby umyślną niemocą swoją, wymówił się od udziału w ogólnej pańszczyźnie wojny narodowej. Drugi, widząc w jakimś *Wielkiem Księstwie Poznańskiem* li podręczny pocisk na zaborców Polski, nie pyta czy kalibrowe, i gwałtem, całe czy popsute, tłoczy do swojej armaty.

A to wszystko, nie od roku 1848. Powstanie poznańskie nieduże, prawda, a przecie najwyższe wysilenie wszechpolskiego patryotyzmu, rozwiązało spisek knujący się w Narodzie całym od roku 1836; wygląda na szmermel przypadkiem ochroniony z ogromnego, kosztownego a zamoczonego krwią galicyjską fajerwerku. We wielkie rozmiary wstawione, w roku 1846 miało ono być tylko po-

łową wstępu do dźwignienia orężem całej rzeczypospolitej, i we dwa lata później, nic do zmienienia w zapowiedzinach swojego wesela nie zastało. Jakoż, przypuszczając że wytrawiony twardem doświadczeniem, a nadto dopilnowany świadectwem rewolucjonizmu ościennego, tą razą Naród nasz cały skwapliwie ujmie sposobność rozgrzeszenia się z najsromotniejszej niewoli o jakiej zasłyszały dzieje ludzkie, nic lepszego nie było do wymyślenia mu ku pomocy, jak to co się rzeczywiście zaczęło: wierne powtórzenie planów powstańczych z lat 1845-46, mające za podstawę, wkroczenie na Powiśle siłami z Galicyi i z Poznańskiego wydobytemi.

VI

Ale znowu, jak przed dwoma laty, plan ten najprzód przewrotnem niedołęstwem Galicyan znieważony, potem parafialnym Poznańczyków konstytucjonalizmem przegadany, nareszcie do szczętu uniepodobnionym został przez taką bierność Zaboru Rossyjskiego — jak gdyby Chin, nie owych 13,000,000 Polaków się tyczył.

A tę samą negacyę rewolucyi, kaźden z trzech Zaborów właściwym sobie sposobem wyraził. Ta sama kontrarewolucya szlachecka, co w Galicyi

odrzucała tradycje z lat 1845-46, emigrację do podniesienia takowych nasłaną rozbrajała, a o pozwolenie uposażenia chłopów pytała się zdetronizowanego cesarza; ta sama kontrarewolucya szlachecka, co w Zaborze Rossyjskim za warunek do powstania kładła zniebozstąpienie archanielskiego zwycięztwa, któreby nikomu nic do roboty nie pozostawiło; w Zaborze Pruskim, ta sama kontrarewolucya, w niedostatku zdetronizowanego cesarza i archanioła, na których spędzić by mogła swój beczyn, zegnała go na ofiarnego kozła, Mierosławskim zwanego, nagląc go do podpisania pokoju, między nią a władzami królewskimi zawartego. Ale przeciwko owemu pokojowi, występuje protestacya rewolucyonizmu obozowego.

Ztąd układ 11go Kwietnia o dwóch licach i o dwóch końcach, i zamiast statku kontrarewolucyjnego, krótkie tylko zawieszenie broni między przeważną koalicją prusko-szlachecką, a okruczem wyklętej ruchawki. Wszystkiemu zaś winien Mierosławski; bo gdyby w procesie Berlińskim nie był pokompromitował patriotów poznańskich, nie byłoby w roku 1848 ani reakcyi pruskiej, ani reakcyi szlacheckiej, Galicya niezawodnie by powstała, a Zabór Rossyjski daremnie by nie wyglądał swojego zbawienia od panów Adolfa, Władysława i Józefa.

VII

A skoro Mierosławski tak nieuleczenie zdradził Ojczyznę w roku 1847, na co przydać się mogło powstanie w roku 1848? Szaloną więc jego pretensyę do rozwijania założeń przed-dwóletnich, mimo konwencji Jarosławieckiej i parafialnej nieślaski, wypadało wszelkim sposobem poskromić. Potemu, Komitet szlachecki przydaje komisarzowi królewskiemu swojego pełnomocnika, iżby w porozumieniu ze zwierzchnikami obozów, wszelką siłę zbrojną z ręki Mierosławskiemu wytrącić. Ze swojej strony Mierosławski, w armistycyi Jarosławieckiej upatrując li zwłokę potrzebną do wyrównania Galicyi i Zaboru Rossyjskiego na swoją wysokość, a sam wyobrażając sobie, że stoi w przedniej straży wskrzeszenia narodowego, przeprasza szlachtę za niedelikatność, ale przy swojej pretensyi uporczywie obstaje.

VIII

Ten spór niby tylko z różnego sposobu pojmowania konwencji Jarosławieckiej wynikły, a istotnie znaczący którykolwiek moment nieskoń-

czonego między wszechrewolucją polską a wszechszlachetczyzną antagonizmu, kończy się jako wszelkie procesa familijne, wycieńczeniem stron obu, na korzyść zaborców. Tranzakcyja Witaszycka, w nocy z 17go na 18ty marca zapadła, ani dość przytłumiła szlachetczyznę, ani dość rewolucjonizm podniosła, iżby nam na czas wywnioskowała prawdziwą dźwignię powstania. Tyle z niej pociechy, że szlachetczyzna, a z nią wszystkie zasoby ekonomiczne kraju, cofną się do zadąsanej neutralności odbiegając garstkę zbrojnych drągami desperatów, między naganianką pruską a sieciami moskiewskimi.

IX

Tego tylko szlachetczyzm polski nie przewidział, że od tej garstki, której się dla oszczędności zaparł i którą porzucił wilkom na pastwę, jak Roma od podrzutków wilczycy Albejskiej, Polska nowa, Polska przyszłości szczerp swój wywiedzie. Albowiem w niej streszczone wszystkie zarody, wszystkie pierwiastki prawdziwego Ludu Polskiego, bo jedyne który o własnej woli, przecie choć raz myślał, słuchał i walczył. Po raz pierwszy w długim trzęsieniu zmartwychwstania polskiego, na stosie Książa, w hutni Miłosławia i Wrze-

2
walki

śni, stopiły się do jednej spiży ludowej trzy kruszce dotąd osobno rozrzucone, pod nazwami emigracyi, chłopów, i błędnego między szlachtą a chłopami pospólstwa. Czy zaś ich było trzy, trzydzieści lub trzysta, tysięcy; czy po całej powierzchni polskiej posiane niby źdźbła niedopatrzonej saletry; czy zbite w naporstkowy nabój na drobnem ustroniu Polski, wszystko to, w genezie nowego Ludu, na jedno wychodzi. Wszak dość rozebrać kilka ziarn pokładu ziemskiego, ażeby doświadczyć czem cały pokład bogaty; nie duża też iskra, która pożarem spróchniałych lasów, użyźnia światy nowe. Dość że od Książa, Miłosławia i Wrześni, Lud Polski ma swoją hegiwę, kalendarzowi szlacheckiemu nic nie winną; ma też swoją legendę od epopei szlacheckiej nie pożyczoną, a która jako wszelkie legendy, w mikrokosmie dla współczesnej uwagi niedostrzeżonym, zawiera przepowiednie kolosalne.

Ale jednym zachodem, i straszliwe antagonizmu społecznego zagadnienie, dla całej Polski rozwiązane; bo definicya Ludu Polskiego, obozami poznanijskimi zdobyta, wykupiła i szlachtę od grzechu pierworodnego, zapraszając ją do swojego Syonu, po karkach zaborców. Bardzo wybrednym potępieniem będzie od tego czasu szlachcic polski, któren nie wyszuka sobie jakiej ścieżki do tak rycerskiego komunizmu. Błogosławione te

galicyady, które samą krwią zewnętrznych ciemiężców opłacić się umieją.

X

Ale z tego właśnie, że Polsce danem jest kosztem wojny o niepodległość, pokryć wszystkie wydatki swojego procesu społecznego i do szyku demokratycznego rozwinąć się wprost z karebatalionu, wynikło że nikt w Polsce nie rozumie propagandy, na głos trąbki i bębna nie przetłómaczonej. Cokolwiek napiszesz i wygadasz dla Polaków przed kontrasygnacją bojową, pozostaje dla nich zapieczętowanym rozkazem, pismem sympatycznego atramentu, które dopiero ciepło armat i krwi żołnierskiej odczyni. Więc aż do wystrzałów które miały rozproszyć szlachetczynę poznańską o podał od zbrojni naszej, ażeby rozkład naszych żywiołów społecznych rozpocząć, żadna władza, żadna komenda wyostać się na wierzch tego mętu parafialnego nie była zdolna. Każdy szlachcic który uskarbił sobie większość swojego komitetu powiatowego, więcej ważył w przeszkadzaniu rewolucyi, aniżeli ważył dla dźwigania takowej emigrant, choćby na wszystkie rany i przez wszystkie mogiły Rzeczypospolitej, okrzyczany zmartwychwstałym wodzem Zmartwychwstania.

XI

Dopiero też napady pruskie dały ruchawce poznańskiej naczelnika i wyprowadziły ją z zakłętego bezdroża, zmuszając owe *Zjednoczenie* do rozstąpienia się na W. Ks. Poznańskie i na kadry powstania narodowego, na szlachtę i na żołnierzy, na podwładnych Komitetu, i na podkomendnych Mierosławskiego. Ale ten zbawienny rozkład, dopiero pod ogniem nieprzyjaciela wykonany, przychodził za późno; w polityce albowiem jak w bitwie, wszelkie szyki powinny być już przybrane po za doniosłością armat.

XII

Daremnie więc, dnia w którym najprzekorniejsi wicherzyciele przynosili Mierosławskiemu patent na zbawiciela, kapituła szlachecka uroczyście abdykowała, testamentem zapisując Prusakom kosy, których powstańcom nie dała.

XIII

Daremnie, bo duch szlacheczyzny wraz z ko-

mitetem szlacheckim nie abdykował. I owszem, mimo testamentu, mimo abdykacyi cielesnego organu swojego, niby lichu niewidomie rozstawione na wszystkich drogach ruchawki, duch szlachetczyzny pomagał Brandtowi w rozbrajaniu F. Dąbrowskiego; przejmował rozkazy głównego sztabu do Białoskórskiego i do Garczyńskiego; emissaryuszów zwracał od powiatów, od Krakowa, od Kongresówki, na nieproszone ambasady do Frankfurtu i Pragi; zrywał mosty na Warcie; holował tratwy pod straż moskiewską, i obóz Książki ukarał stosem, za posłuszeństwo Mierosławskiemu.

XIV

Zaraźliwszy jeszcze bez komitetów jak z komitetami, bo jakoby wyciekły na całą Polskę ze stłuczonych naczyń swoich, zaprzeczył planowi umówionemu do wszechnarodowego wybuchu, na wskroś owiewając i mroząc Galicyę, więząc emigracyę w Krakowie pod granatami austryackimi, cały Zabór Rosyjski wykreślając z mapy powstańczej, aż w Zaborze Pruskim nareszcie, obsaczył ostatnią straż rewolucyi w lesie dwumilowym, między dwoma pożarami, Prusakami z trzeciej, a Moskalami z czwartej strony.

I z tego jeszcze nie kontent, w bitwie Miłosławskiej odwiódł Garczyńskiego od Winogóry w środek cieśniny miejskiej; Malczewskiego, od tyralierów pruskich do lasu; Białoskórskiego od tyłów Blumena do Wrocławia, a *officerów wielkopolan*, za nim *na partyzantkę*. Przeprawy na Warcie porzucił bez straży, kawaleryę podczas boju spętał, a do pogoni rozsiódłał; nareszcie dezercyą szlachecką szeregi tak rozprzął, tak unieruchomił, tak zbisurmanił, że nie było wcale kim zebrać plonów daremnego zwycięstwa.

XV

Po bitwie Miłosławskiej, skreślił łeb stu posyłkom wyprawionym do powiatów dla dzwignięcia 30,000 rezerw ludowych na około napastujących kadry Prusaków; wcielił się w Brzezańszczyznę; kusił wojsko do odbieżenia naczelnika, i o godzin siedm zwlekając wymarsz nasz z Miłosławia, Bomsdorfa przepuścił całego do Srody. W bitwie pod Wrześnią, znowu jak pod Miłosławiem ochwacił konie, stępił groty w rękę Kirkora i Brzezańskiego, czem wcale zrównał stratę zwycięzców i pobitych.

XVI

W nocy, po bitwie Wrzesieńskiej zaraz, sądząc że dość krwi ruchawce zupiorzył, przystąpił do pacyfikacyi W. Ks. Poznańskiego i obsiadł ogniska nasze dla stanowczej narady z Brzezańszczyzną. Jakoż, drogę do Gniezna uciął raptem przed nami i przepędził nas do Witkowa, z kąd chyba cudem można było wygrzebać się z pomiędzy 18tu tysięcy Prusaków, a 16tu tysięcy Moskali; a skoro i to jeszcze nie pomogło, skoro odskoczony do Mogilna drużynie otworzyła się szerzyna Wrzesieńska u północnego końca obławy pruskiej, natenczas opętał Berliego w Trzemecznie, i ukazawszy mu się w widmie olbrzymiego Prusaka, napowrót wegnał nas do matni.

Ażeby tą razą wszelkiego ratunku nas pozbawić, najprzód starannie rozprzął ruchawki posiłkowe które poczynały kąsać z tyłu obławę pruską w powiatach Szubińskim, Wągrowieckim, Poznańskim, Szremskim i aż Bukowskim; poteni dyplomacyą podziemną połączył kontrarewolucyę obozową z władzami zaborczemi, i w Skąpem, na czele zajazdu Brzezańszczyzny, gotową submissyę przyniósł Mierosławskiemu do podpisania. Nareszcie, karząc upór powstańczy naczelnika, som-

macyą Wedla trzasnął w ostatki szeregów narodowych pod Grabowem i na swoim postawił.

Odtąd znowu, niemy pokutnik, pospołu z sztyldwachami zaborców, przechadzał się przez lat dwanaście po mogile Polski. Ale czyż z pod tej dużej straży na popiołach piastowego gniazda, nie wyłamie się pokolenie nowe SZLACHCICÓW, serdeczne a rycerskie, język kmiecy Miłosławia i Wrześni rozumiejące, z którem anioły piastowe dogadać się nareszcie potrafią ?

P R Z Y P I S K I.

I

WSPOMNIENIE O WYDANIU SZKOŁY PODCHORAŻYCH PRUSAKOM

POD POGRZYBOWEM.

19go Kwietnia zaciągnąłem się do oddziału Szkoły Podchorążych który był przyłączony do obozu Pleszewskiego, pod dowództwem Białoskórskiego. Oddział ten obejmujący około 50 ochotników, wydał mi się kwiatem młodzieży Poznańskiej. Komenderował nim *dla formy* Edmund Taczanowski, dzielny lecz zbyt młody artyllerzysta, świeżo wypuszczony z więzienia Moabitskiego; jednakże, istotnym przewodzcą tej wykwintnej młodzieży był Jan Koźmian od lat kilku jej nie odstępujący; a przytem jako czy wiekiem, czy nauką najstarszy, rej między nią wodził. Wreszcie, dla zapewnienia sobie jej stałego posłuszeństwa, na parę dni przed swoim sromotnym czynem, kazał się jej obrać officerem za pomocą *głosowania*; Taczanowskiemu pozostały się tylko obowiązki mustrowego instruktora.

Przed atakiem wymierzonym na Odolanów przez pułkownika Bonina, oddział podchorążych stał w Pogrzybowie, o małą milę od południa Raszkowa. O bliskiej napaści Prusaków na Raszków, ostrzeżony dobitnie został Białoskórski przez walecznego Parczewskiego, który jeden głowy nie straciwszy w Odolanowie, po odparciu nieprzyjaciela przerznął się spokojnie ze swoim oddziałem strzeleckim do nas, i za ten czyn przedstawiony został rozkazem dziennym głównej-kwatery do uwielbienia i naśladowania wszystkim innym oddziałom. Nadto, Wojciech Lipski i Jan Koźmian wyprawieni na parlamentarzy do Bonina, z jego ust własnych dowiedzieli się bez żadnej ogródki o postanowieniu Prusaków zajęcia bojem czy niebojem Raszkowa, natychmiast *po Wielkiejnocy*. Niewiadomo nam było czy Białoskórski myśli bez boju ustąpić z Raszkowa; dość że żadnych rozporządzeń nie wydawszy, pozostawił nas za sobą w Pogrzybowie na łasce pana Boga i Jana Koźmiana.

Prusacy akuratnie dotrzymując pogróżki, o godzinie trzeciej z rana po Wielkiejnocy, w mroku jeszcze mgłą zasepionym, ukazali się od zachodu Pogrzybowa. Koźmian już na nogach z kilkoma innymi przed dworem, na wszystkie domysły towarzyszków zaręczał że to nie wojsko żadne, ale drzewka *porannym zefirem kołysane*. Mieliśmy ze sobą w Pogrzybowie oddział strzelecki Parczewskiego i dużą kompanię kosynierów pod majorem Świderskim. Po trzy razy major Świderski nawoływał nasz oddział podchorążych który się dopiero szeregował, do wyruszenia za kosynierami z Pogrzybowa; ale w nieobecności Taczanowskiego, Koźmian jako zastępca jego, nakazem « stania i milczenia » te ostrzeżenia udaremnił. Nareszcie przybywa Taczanowski i wyprowadza nas ze wsi po drodze do Raszkowa; ale już wtedy Parczewski ze Świderskim o tęą godzinę nas wyprzedzali, a szpica pruskich kirysyerów zabiegła nam drogę. Nie było ich więcej jak dziesięciu; więc się na doniosłość karabinową zatrzymali, doczekując się ostrożnie a

z daleka dociągającej piechoty. Mieliśmy w naszym oddziale strzelb dwadzieścia; można było zatem tę szpicę pruską odeprzeć i ruszać dalej wprost, czy na bok. Taczanowski zamiast komenderować, pyta się czy chcemy bić się, czy nie? co się zbyt dziwnem nie wyda tym którzy pamiętają jak Koźmian ciągle suszył głowę swojemu walecznemu, ale młodziutkiemu komendantowi, odpowiedzialnością za tak drogie żywota.

Jakoż, na to zapytanie, Koźmian zabiera głos i ex-professo dowodzi że wszelki opór niemożliwy i bezowocny; że lepiej zatem zachować się na przyszłość, aniżeli wrogów imienia polskiego radować marnowaniem krwi tak szlachetnej, i t. d. Retoryka trwała czas długi, aż nadeszła piechota pruska i do kola nas otoczyła.

Odprowadzeni do Krotoszyna, powitani tam zostaliśmy przez Niemców i Żydów winszowaniem nam *polskiej waleczności*, wśród szturchańców i zapamiętałego urągowiska. Taczanowski daremnie-Koźmianowi zdradę na oczy wyrzucał; o mało ze wstydu zacnego i z rozpaczyny nie zwaryował; tak że go prawie bez zmysłów odnieść musiano do lazaretu. W krótcy odprowadzeni zostaliśmy do kazamat kistrzyńskich. Z więzienia tego, Koźmian spokojny i tryumfujący napisał do króla prośbę o wypuszczenie nas, stylem tak uniżonym i podłym, że wyjąwszy przybocznych jego ulubieńców, nikt z nas do niej przypisać się nie chciał; ale on na tę wzgardę hezczelnie odrzekał, że byleśmy się z kozy wydostali, nikt się nas o sposoby do tego użyte pytać nie będzie. Tym czasem, zwolennikom swoim bezustannie się modlącym i w piersi bijącym, wykladał bibliję i kanony kościelne.

Paryż, 1go Lipca 1860.

Alexander Babiński

Nie wiem jak komu, ale mnie dzisiaj z tego prostego i wierzytelnego opowiadania jak na dłoni się widzi, że Koźmian umyślnie jeździł do Bonina, ażeby się z nim umówić o sposób wydania jego opiece tego *kwiatu młodzieży wielkopolskiej*. Mimowolnie przypomina mi się z tej okazji wydanie Kamillowi młodzieży Falisków, przez podobnego Koźmianowi belfera. Ale na tem się porównanie urywa, skoro od Kamillowej delikatności daleki, Bonin nie odprawił nam Koźmiana pod różgami zaprzędanych przez niego podchorążych.

II

SPISEK KONTRAREWOLUCYJNY

W NOWEM-MIEŚCIE I W KSIĄŻU.

Sądzę że najlepiej rozświecę ten, i kilka innych epizodów dramatu Książkiego, kiedy obok dokumentów znalezionych w aktach tego obozu, przytoczę jeszcze w całości list do mnie napisany w tej materii, przez nieodstępного powiernika myśli i trudów F. Dąbrowskiego. Bonawentura Mazurkiewicz, sekretarz i towarzysz polowy tego Zawiszy Demokracji Wojującej, tak się wyraża :

« W kilka dni po odebraniu komendy od Budziszewskiego pułkownika, Dąbrowski Floryan zmienił zupełnie postać obozu Książa. Niekształtną kupę wieśniactwa zamienił na szeregi gotowego do walki żołnierza. Jego czynność nie mogła ujść uwadze Prusaków. Widzieli oni że z każdym dniem obóz Książa nabiera ważności, która w chwili danej może wzmódz się do proporcji szkodliwych dla ich zamiarów. Nie tracąc bynajmniej czasu, chwyтали Prusacy wszelkie najdrobniejsze okoliczności aby zmusić Dąbrowskiego do walki: przecinali więc komunikacje, wzbraniali dostawę żywności; nasłali żandarmerii pruskiej do Książa, polecając mu już to śledzenie kroków Dąbrowskiego, już też czuwanie nad bezpieczeństwem, podług nich zagrożonem, ludności niemieckiej. W mieście zaś samem, czyniono wszelkie przygotowania do powtórzenia rzezi Trzemeczeńskiej. Zewsząd Dąbrowski odbierał ostrzeżenia aby się trzymał na baczności, a mianowicie nie spuszczał z oka Klutowskiego, rodem Polaka, i Weissa kowala.

» W skutek tych doniesień, Dąbrowski daje polecenie Mycielskiemu Stanisławowi, Komendantowi Placu, aby tenże przekonał się o rzeczywistym stanie rzeczy. Rewizya odbyta u jednego i drugiego, odsłoniła w całej ohydności ich zamiary. W piwnicy u Klutowskiego znaleziono znaczną ilość broni, prochu i kul, a u Weissa noże obosieczne. Nie można już tedy było wątpić o niebezpieczeństwie jakie groziło garstce Polaków zgromadzonych w Książu; i dla tego Klutowski i Weiss byli zaaresztowani dnia 27go Kwietnia około 2ej z południa.

» Nazajtrz w nocy o godzinie 2ej z północy, Dąbrowski odbiera list od p. Raczyńskiego, w którym tenże zawiadamia go iż pułkownik Brandt nalega aby Klutowski i Weiss zostali bezzwłocznie na wolność wypuszczeni; w razie przeciwnym, grozi najściem obozu Książa. Odpowiedź Dąbrowskiego nie mogła zadowolnić Prusaka; dlatego też dowódzca obozu Książa, nie tracąc chwili, wydał stosowne rozkazy do odparcia

napadu. Od godziny 9ej z rana, już Polacy w Książu stali w pogotowiu do walki; dość liczne oddziały kosynierów z okolicy spieszyły powiększać nasze szeregi (zobacz rapport z dnia 28 Kwietnia 1848). Dzień jednakże upłynął bez wystrzału.

» W chwili kiedy oczekiwano na nieprzyjaciela, przybywa od Nowego-Miasta kilku officerów mianujących się byđż delegacją obozu Nowomiejskiego; zanoszą żądanie do Dąbrowskiego, aby tenże zgromadził wszystkich officerów pod jego komendą będących, w celu ważnej komunikacji. Dąbrowski uczynił w istocie zadosyć żądaniu. W zabranym głosie, Rostkowski, jeden z delegowanych, wniósł aby Mierosławskiemu komenda odebraną została i powierzoną któremu z wyższych officerów, przedstawiającemu więcej gwarancji i lepiej mogącemu odpowiedzieć obowiązkom naczelnika. Skoro tylko Dąbrowski usłyszał te wyrazy, oświadcza natychmiast, iż on nie zezwoli aby w obec nieprzyjaciela rozpoczynano sejmiki szlacheckie, a co więcej intrygi szkodę niosące sprawie narodowej; że on osobiście ma nieograniczone zaufanie w młodym naczelniku, i nie wątpi ażeby wszyscy officerowie pod komendą jego w Książu będący, nie byli ożywieni tymże samym co i on duchem. Jednomyślny okrzyk zgromadzonych officerów Książa, był najwymowniejszem stwierdzeniem odezwania się Dąbrowskiego. Widząc przeto że intryga uknuta w obozie Nowego-Miasta pełźnie na niczem, Dąbrowski odwraca się do delegacji struchlałej, mówiąc: « Panowie, wasza missya jest skończoną; chciejcie opuścić bezzwłocznie mój obóz; w przeciwnym razie będę się widział zmuszonym postąpić sobie z wami z całą surowością prawa wojennego. » Rostkowski, niewiadomo dla jakich powodów, zmienia nagle zdanie; mówi iż *nie był zrozumianym*, że nie jest ich zamiarem odjąć komendę Mierosławskiemu, lecz owszem wzmocnić jego władzę, wysunąć go za wolą czterech obozów z pod opieki Komitetu, który nie przestaje krępować rąk jego i paraliżuje wszystkie jego usiłowania.

Bez względu na przyczynę tak nagłej zmiany, zgromadzenie, oprócz Dąbrowskiego i mnie, większością głosów przychyliła się do osnowy tego ostatniego wniosku. Dwaj oponujący uważali wniosek za zupełnie bezużyteczny, utrzymując że z rozpoczęciem się walki, która już jest nieochybną, Mierosławski spełni swój obowiązek i sam potrafi wysunąć się z pod wszelkiego rodzaju wpływów, skoroby takowe były przeciwne sprawie narodowej. Pomimo to, delegacya obozu Księża wybraną została; wybór padł na Cukrowicza i jednego z obywateli sprawującego obowiązki kwatermistrza. Jeden i drugi zobowiązali się powrócić do Księża następnej nocy, co też w istocie uczynili.

» Około godziny 4ej z południa, niewiem dobrze w jakim charakterze przybył do obozu Matecki doktor. Po porozumieniu się z Dąbrowskim, aby wytrącić z rąk Prusakom powód do zniesienia obozów Polskich, po spisaniu protokołu z obwinionych, wypuszczono ich na wolność. Pułkownik Brandt nie był jednakże z tego zadowolonym, bo nie chciał opuścić sposobności położenia tamy organizacyi wojskowej Księstwa. Jakoż dnia 28go z rana, o godzinie 10ej uderzył na Książ.

» Opis samej-że bitwy znajduje się w dwóch numerach *Demokraty* z dni 21 i 28 Października 1848 r. Możesz z zupełnem zaufaniem poszukać jej szczegółów w tym opisie.

» Widzę jednakże potrzebę nadmienić jeszcze kilka słów o postępowaniu Garczyńskiego.

» W skutek odebranego rozkazu ze sztabu-głównego i wy magań najusilniejszych Dąbrowskiego, dowódzca obozu Nowomiejskiego nadesłał pod wieczór 28go Kwietnia, do Księża, kompanię strzelców, złożoną z 66iu ludzi i dwa działka pod komendą Bajerskiego. W chwili samejże ataku, dnia 29go, umyślny posłaniec konny zawiadomił Garczyńskiego o zaczęciu się walki. Podług Szuberta, obóz Nowomiejski natychmiast pociągnął w kierunku Księża; stanął na wysokości jego pod

lasem, gdzie pomimo nojgorętszych nalegań officerów swoich, Garczyński wzbraniał się uderzyć na Prusaków ; ograniczał on się jedynie na rekonesansach. Jest rzeczą niezawodną, iż Garczyński mógł ocalić garstkę Polaków pasujących się w Książu z przeważnemi siłami pruskiego wojska, a co więcej, zmienić może zupełnie rezultat boju. Do ostatniej chwili Dąbrowski żywił tę nadzieję, ale daremnie. Prusacy spostrzegłszy że Garczyński nie zrobi naprzód kroku i chce tylko być widzem bezczynnym konania swoich rodaków w Książu, po rozproszeniu naszej kawaleryi, okrążyli miasto zewnątrz tak, że trudno było garstce Polaków przebić massy które każdej naszej wycieczce stawiały czoło. Poddanie się więc bazwarunkowe było niezbędną koniecznością, dla naszych szczupłych niedobitków.

» Oto jest wszystko kochany Ludwiku, co mi pamięć nastęrczyła ; czuję całą niedostateczność tego opisu, jednakże za wierzytelność jego zaręczam. »

Twój Bonawentura Mazurkiewicz.

Rouen, dnia 31 Września 1852.

III

BITWA POD KSIĄŻEM

OPIS NAOCZNYCH ŚWIADKÓW

Wyjęty z dziennika *Demokraty Polskiego* z dni 21 i 28 Października 1848 roku.

Zbiegające się zewsząd massy ludu zbrojnego w kosy i broń palną, której już było w obozie pod Książem około 150 sztuk, nie mogły wejść w karby porządku i karności wojskowej, pod dowództwem zbyt łagodnego pułkownika Budziszewskiego; rozeszły się też łatwo te massy do swych domów, na pierwszą wieść o zmniejszeniu kadrów wojskowych w obozach pod Miłosławiem, Wrześnią, Książem i Pleszewem, które nastąpić miało na mocy zawartych układów z jener. Willisen. Pozostała część tych kadrów w obozie pod Książem, przedstawiała tak bezkształtną siłę, iż można ją było wziąć raczej za zbiegowisko ludu mającego odbyć jakąś pielgrzymkę, aniżeli za obóz wojska przygotowującego się do ruchów wojennych. — Major Dąbrowski Floryan, przeznaczony przez Naczelnika na stanowczego dowódcę obozu Książa, odebrał go od poprzednika swego d. 22go Kwietnia w następującym stanie: 508 kosynierów, — 80 strzelców, — szwadron kawalerji ze 120 koni, — i rezerwę 23 koni, do służby sztabowej i do pociągów; — w ogóle 708 ludzi, mniej zatem jak umowa Jarosławiecka dozwalała. Siły moralnej nie było tam już prawie żadnej, — lud stracił pierwotne zaufanie do oficerów, i to nie bez słusznych powodów.

Officerowie nie wiele uważali na swego dowódcę, — wszystko było w zupełnem rozstrojeniu; — bezład ten również przedstawiały ulice miasta z niezupełnie porozbieranemi barykadami.

Pierwszem staraniem majora Dąbrowskiego było nadać żołnierską postać obozowi. — Przybywszy o godzinie 4ej z południa w wielką Sobotę, o 5ej odebrał komendę, — obejrzał miasto i o 6ej polecił inżynierowi obozu, aby się natychmiast zajął umocnieniem takowego, co tenże wiernie dopełnił. Przez noc całą wznoszą się barykady na nowo, — dowódzca sam nie śpi, — lud do pracy zagrzewa. Szczupły jeszcze batalion, nie przedstawiał żadnej jedności — każda kompanija, każde niemal kapralstwo, miało oddzielną i sobie tylko zrozumiałą komendę: — nowy dowódzca reorganizuje go natychmiast, — sam zajmuje się jego instrukcją, sam odbywa ront, sam ustawia i uczy każdą wartę, jak się zachować ma w danych, pewnych przypadkach. Przez tak silną wolę dowódcy i jego ciągłą a niezmordowaną pracę, w parę dni już batalion inną przybiera postać: żołnierz obeznawszy się z powinnościami swemi, jest więcej zadowolnionym ze siebie, — nabiera coraz więcej chęci doskonalenia się, znosi każde nowe trudy z wytrwałością, — a zadowolniony ze swego dowódcy, poczyna go kochać i nabiera ku niemu zaufania. Tym sposobem przez ciągle trudy i wytrwałość majora Dobrowskiego, wzrasta nieznacznie, lecz z całą chwilą, siła moralna.

Nieznacznie, choć szybkim krokiem przychodził zakład ten wojskowy do stanu porządnego i uorganizowanego, — nie dawał jednakże żadnego powodu do przekroczenia warunków umowy Jarosławieckiej, i z naszej strony byliśmy pewni niezzerwania stosunków przyjaznych, a przynajmniej neutralnych z wojskiem pruskim. — Nie tak się rzecz miała ze strony Prusaków, a ciągle marsze i sposób zachowania się pruskiego żołnierza, nakazywały spodziewać się co chwila, że na obóz polski

uderzą. W tem przewidzeniu, major Dąbrowski zażądał aby obóz pod Książem wzmocniony został oddziałem strzelców, z obozu pod Nowem-Miastem.

Nastąpiło wreszcie zerwanie ugody Jarosławieckiej, a powodem do tego pozornym tylko, była nader drobna okoliczność.

Dnia 27go Kwietnia aresztowanymi byli obywatele z Książa, Wejs, kowal, i Klutowscy; pierwszy za ucinanie grotów od lanc i robienie z nich obosiecznych nożów, których przeznaczenia wskazać nie mógł lub nie chciał; — Klutowscy, za szpiegostwo, przechowywanie broni palnej i siecznej, noży obosiecznych i tym podobnych narzędzi. Wszyscy oskarżeni byli przez kilku współobywateli o złe zamiary przeciwko oficerom oddziału wojska polskiego, jako też przeciw obywatelom polskim.

Dnia 28go Kwietnia o godzinie 2ej z rana, pułkownik Brandt za pośrednictwem komissarza obwodu Szremskiego, przestał expedycję do dowódcy obozu Książa, z zaleceniem ażeby natychmiast po odebraniu takowej, aresztowanych braci Klutowskich i Weissa wypuszczono na wolność, — jeżeliby zaś wezwaniu jego zadość się nie stało najdalej o godzinie 10ej z rana, wtenczas oświadczył iż *użyje siły zbrojnej i przywróci porządek.*

Dowódzca obozu Książa w odpowiedzi oznajmia pułkownikowi Brandt, iż uwolnienie lub ukaranie powyżej wymienionych,* należy tylko do sądu wojennego, i że takowy po rozpoznaniu sprawy obwinionych, stosowną do tego wyda decyzję.

* Bracia Klutowscy i Weiss, prócz innych zarzutów, obwinieni byli o porozumiewanie się z nieprzyjacielem, który miał ich użyć przy rozpoczynającym się ataku, do zapalenia miasta na cztery rogi, celem otrzymania łatwiejszego zwycięstwa. Na zaręczenie jednakże jednego z obywateli, oskarżeni wolność otrzymali, o czem pułkownik Brandt zawiadomionym został.

Dowódzca obozu Książa oświadcza zarazem swoje podziwienie z pogroźek pułkownika Brandt, który jako stary żołnierz, powinien był wiedzieć z doświadczenia, że *wojsko polskie pogroźek się nie lęka i mimo znacznie przeważnej siły wojska pruskiego, bój przyjąć jest gotowe; że zaś nie zламаł żadnego z warunków ugody Jarostawieckiej, odpowiedzialność przeto za przelaną krew spadnie na głowy tych, którzy pod pozorem przywrócenia porządku do tychczas niczem nie zachwianego, wymyślają powody, by ten porządek zaburzyć.*

Przedsięwzięty krok ze strony pułkownika Brandt, wykazywał jasno dążność rządu pruskiego. Major Dąbrowski mający rozkaz nie opuszczać Książa, jako przedniej straży innych obozów, bez stoczenia wytrwałej walki, postanowił przyjąć przeważnie liczniejszego nieprzyjaciela, siłami obozu powiększonymi, o ileby mu czas tego dozwolił, pospolitem ruszeniem.

W tym to celu dowódzca obozu Książa, rozesłał natychmiast wezwanie do ościennych wsi, żądając posiłku z ludzi zbrojnych i zażądał od dowódcy obozu Nowego-Miasta, aby mu tenże z swym obozem, *stosownie do rozkazu z kwatery głównej*, przybył na pomoc. W kilka godzin dają się postrzegać z różnych stron tłumy ochotczych kosynierów, poprzedzane tumanami kurzu, — słyhać wesole śpiewki z wtórem różnego rodzaju instrumentów;—wszystko to przedstawiało zachwycający widok gotowości do boju, a spragnione serca napawały się tą nadzieją, że już nadeszła chwila, gdzie się rozpocznie bój, który będzie początkiem do ostatniej walki z ciemiężcami Polski, dla jej zupełnej i nigdy już przeminąć niemającej wolności.

Liczba przybyłych ochotników do obrony miasta, równała się liczbie wojska w obozie będącego; — z Nowego-Miasta zaś, prócz 45ciu strzelców przybyłych na 36 godzin przed bitwą, żaden inny posiłek nie nadszedł. — Całkowita zatem siła składała się z 753 żołnierzy z obozu, i drugie tyle pospolitego ru-

szczenia. — Siły te stały w szyku bojowym, oczekując natarcia pułkownika Brandt. Ku wieczorowi, gdy powracające patrole zawiadomiły, iż wojsko pruskie nie ruszyło się z miejsca, ani nawet żadnego przygotowania do wymarszu nie przedsięwzięło, dowódca obozu po rozdaniu żywności przybyłym ochotnikom, przemówił do nich i podziękował im za spieszne przybycie w pomoc; a otrzymawszy od nich przyrzeczenie, iż staną do boju na każde zawołanie, polecił rozpuścić ich do domów; — brak żywności nie dozwalał stałego ich utrzymania w obozie.

Tak dzień 28go zeszedł na niczem. — Pułkownik Brandt uznawszy zapewne za potrzebne, nieatakować wprzód Księcia nim sił swoich nie powiększy jeszcze przez naciągające z różnych stron oddziały, — postanowił odłożyć atak na dzień następny, by pewniejszym był zniesienia małej garstki zaledwie w części uzbrojonej.

Nazajutrz, 29 Kwietnia, o godzinie 9ej rano, powracające patrole od strony Szremu i Dolska, zawiadomiły iż poruszenia wojska pruskiego odbywają się w celu skoncentrowania się w kilku punktach, a mianowicie na trakcie od Szremu. W godzinę, forpoczty jazdy polskiej dają znać o zbliżającym się nieprzyjacielu. Dowódca jazdy, dla sprawdzenia wieści, przebiega półkole forpocht, i przekonywa się o rzeczywistości zbliżania się wojska pruskiego kilkoma kolumnami ku miastu. — Zapóźno już było myśleć o powtórny zebrańiu pospolitego ruszenia, — zapalono przecież słupy i postanowiono bronić się siłami jakie obóz posiadał, a które rozłożone zostały w sposób następujący: — Szwadron kawaleryi stanął na prawem skrzydle za miastem, na płaszczyźnie od strony Nowego-Miasta; — strzelcy rozstawieni po za pierwszemi barykadami miasta, dla bronienia wszystkich przystępów do niego; — kosyniery w rynku, podzieleni na cztery kompanie, po jednej w każdym rogu, wyjąwszy 100 kos, których użyto do obsadzenia niektórych domów.

Przeciwko tej garstce powstańców, pułkownik Brandt wystawił: 7 batalionów piechoty liniowej, — kompanię strzelców, — 6 szwadronów jazdy, ułanów i huzarów, — i 7 dział. W ogóle przeto, licząc tylko po 180 bagnetów w kompanii, a 140 koni w szwadronie, pułkownik Brandt wystawił 5,220 bagnetów, 840 koni i 84 kanonierów, razem 6,144 żołnierzy regularnych, — przeciwko 753 powstańcom, z których zaledwie 80 było uzbrojonych w broń palną, zdolną do użycia; — to jest: 810 żołnierzy wyćwiczonego wojska, na jednego powstańca źle uzbrojonego i niewymustrowanego.

W tym samym czasie kiedy wojsko pruskie z trzech stron zbliżało się ku miastu, pułkownik Brandt o godzinie wpół do jedenastej przysłał parlamentarza do dowódcy obozu Książa, z żądaniem złożenia broni i bezwarunkowego poddania się w przeciągu jednej godziny, a w przeciwnym razie zagroził rozpoczęciem boju. Major Dąbrowski, po przeczytaniu ekspedycyi parlamentarskiej, wierząc poprzednim doniesieniom że jest tylko przez 4,000 atakowanym i ufny w zupełną pomoc z obozu Nowego-Miasta, — zdecydował się na przyjęcie boju; lecz odpowiedź nie była jeszcze skończoną, ani czas jednej godziny do parlamentowania nie przeminął, — kiedy bój już rozpoczętym został.

Kawaleria pruska złożona z 5ciu szwadronów, wsparta dwiema kompaniami piechoty i dwoma działami, usiłuje okrążyć miasto i zająć stanowisko od strony Łęga i Świączynia, aby odciąć naszym odwrót ku Nowemu-Miastu; — lecz szwadron jazdy polskiej, złożony ze 120stu ochotczych jeźdźców i śmiałych oficerów, niedozwolił nieprzyjacielowi tego skutecznić, i w tym celu postępuje naprzód. Kolumna pruska na widok naszej jazdy rozwija się podwojonym ruchem; — przeszkody miejscowe nie dozwoliły jak tylko trzem szwadronom (jeden ułanów i dwa huzarów czarnych), stanąć w szyk bojowy. Dwa inne stanowiły rezerwę; piechota zaś na prawem skrzydle nie-

przyjacielskiem zajmowała przedpłocia ogrodów miejskich. — Linia trzech szwadronów na pozór krótka, była przecież aż nadto wystarczającą do oskrzydlenia naszego jednego szwadronu, i do zmuszenia go cofnąć się pod strzały piechoty pruskiej; — lecz komendant jazdy polskiej łatwo temu zaradził, — dosyć mu było zakomenderować aby drugi szereg wysunął się w prawo i stanął na jednej linii z pierwszym. Za ledwie ruch ten został dokonany, już komendant polski daje komendę do szarży, która odbywa się przy odgłosie grzmiącego hurra! —

Lewe nasze skrzydło, czyli pierwszy szereg, uderza na szwadron ułanów pruskich i ten znosi: — major od huzarów który po danej komendzie swoim, przeniósł się przed front ułanów, pada pierwszy, ugodzony w piersi lancą: ale w tem, rezerwa przychodzi w pomoc i masą spędza rozpierzchnionych jeźdźców polskich z zajętego stanowiska. Prawe skrzydło czyli drugi szereg naszego szwadronu atakuje huzarów, którzy, przypuściwszy Polaków na kilkanaście kroków, dają ognia, podług rozkazu swego majora. Młode i nieostrzelane konie polskich jeźdźców, spłoszone grzotem strzałów, łamią szereg; — nieprzyjaciel chce korzystać i uderza. — robi się zamieszanie, następuje walka pojedynczych ludzi, gdzie nasi pokazali co może broń w ręku wolnego człowieka. Lecz trudno oprzeć się zbyt przeważnej sile: — zasławszy pole trupami ludzi i koni, czterdziestu kilku jeźdźców polskich z młodym i odważnym officerem przedziera się do Nowego-Miasta, — tyleż drugie prawie zgromadzonych przez dowódcę swego, wraca do miasta powiększyć szeregi kosynierów, gdzie po większej części znajdują grób lub kalectwo.

Gdy się to dzieje na naszym prawem skrzydle, pułkownik Brandt skutecznie atak na miasto od strony Szremu i rozpoczyna go działami. Nasi strzelcy wychodzą z za barykad, rozwijają się w tyraliery i kładą mnóstwo trupa, a między temi dwóch majorów. — Z drugiej strony, tyraliery pruskie wdzie-

rają się przez ogrody z wielką nieśmiałością do domów, ale napotkawszy tam kosę, cofają się z pośpiechem. Po dwóch przeszło godzinach działowego ognia na miasto, gdy ani jeden dom należący do systemu obrony nie mógł być zajęty przez nieprzyjaciela, artyllerya jego zdwaja ogień, — tyraliery pruskie wskazanemi drogami, przez Żydów i Niemców tam zamieszkałych, dostają się do domów przy ulicy Szremskiej, — i wspólnem działaniem wypierają kosynierów z tej ulicy, a zarazem odcinają od rynku część obrońców tej strony miasta z dwiema barykadami. Tu zjawia się nowy Głowacki: — Chłop, z kosą w ręku, przypada do komenderującego officera w sąsiedniej części rynku, — strzelców żąda i kosą grozi, — a gdy odpowiedziano mu że tu, « wytrwałości kosynierów, a nie strzelców trzeba, » — zwraca się do swoich, — pierzchających już kosynierów wstrzymuje, z nimi rzuca się na Prusaków i wypędza ich z zajętego na chwilę stanowiska w mieście. — Uciekającym Prusakom, przybywa nowa kompanija na pomoc, — kosyniery są zmuszeni cofać się do rynku, — strzelcy z barykad zasłaniają ich odwrót, — wreszcie przybyło naszym dwa działka, które wzięwszy pozycję w rynku, wstrzymują atak na chwilę.

Trwa jeszcze z godzinę podobna walka w około rynku: nieprzyjaciel kilkakroć wdarłszy się do miasta, tyleż razy odpartym został, — aż nareszcie teatr walki do samego tylko rynku ograniczył się. — Część miasta od strony Warty zapalona granatami, płonie, — rynek obsypany gradem kul działowych i ręcznej broni, przedstawia straszny obraz spustoszenia; — przecież ani widok ten okropny, ani świst kul karabinowych, ni huk dział i pękających granatów, nie przeraża polskiego powstańca. Lecz komendy w tej chwili już nie można było dosłyszeć.

W tem, Prusacy z dwóch stron razem zaczynają się wdzierać do rynku; Dąbrowski przemawia do kosynierów, — lecz

jedni nie słyszą go, drudzy się już rozpierzchają ; — rozkazuje więc officerowi obok siebie stojącemu z połową tego co mu pozostało, uderzyć na jeden bok rynku, — sam zaś na czele drugiej połowy z kosą w ręku uderza na drugi. Lecz wszystko już bezskuteczne ; — Dąbrowski błagany ze łzami by się bez potrzeby, a raczej bez korzyści nie narażał, « dopelniam mego obowiązku, » odpowiada, i w tem trzema kulami zostaje ranny; rzuca się jeszcze na nieprzyjaciela, własną ręką kilku trupem kładzie, lecz osłabiony, ku głównemu odwachowi w środku rynku cofa się i tam kilkoma kulami ugodzony, — pada.

Tak poległ zacny i waleczny mąż, wierny syn ojczyzny, komendant obozu Książa, a z nim kilku innych dowódców oddziałów i wielu żołnierzy. Pozostali, zazdroszczą im takiego losu. — Prusacy otoczyli rynek, — wdarli się do domów i z okien szła morderczy ogień ; — pożar, rozszerzając się objął płomieniami róg rynku : — należało już poddać się — lecz wszyscy chcieli zginąć ; — krzyknięto, odsiecz idzie ! — rozlegało się strasznie hurra ! — pozostali officerowie z kilkudziesięciu kosynierami uderzają w stronę Mchów, odpierają tyralierów pruskich po za staw, lecz odcięci przez nową kompaniję od miasta, jedni giną od krzyżowego ognia, drudzy wzięci w niewolę, — kilku zaledwie przedarło się na powrót do rynku.

Jeden nakoniec z wyższych officerów, który dziwnym przypadkiem pozostał jeszcze przy życiu, wśród największego ognia żąda kapitulować ; — z różnych stron słyszeć się dają glosy : *nie*, — *my śmierci chcemy* ! lecz większość na kapitulację przystała, i po przyjęciu jej z obu stron, broń złożono.

Tu kończy się krwawa, pięcio-godzinna walka, która okryła nową sławą imię Polskie, a zarozumiałemu żołdactwu pruskiemu objawiła jego niemoc. Ślepe to narzędzie despotyzmu, obrażone w swej źle zrozumianej miłości własnej, olśnione próżną pychą swej potęgi, postanowiło zemścić się na bezbron-

nych i niewinnych za urojoną zniwagę. Odtąd rozpoczyna się szereg najpodlejszych zbrodni, dokonanych przez regularne wojsko króla pruskiego, — jak im podobnego przykładu, szukać trzeba gdzieś tam w dalekiej przeszłości barbarzyństwa.

Poddaniem się naszych rozuzdana nikczemność wiedzie pruskiego żołnierza do szpitala, w środku rynku; — słycać strzały — to rannych mordują na śmierć, — niedobitych wyrzucają oknem na pastwę swym kamratom. Na tak okropny widok, kapelan obozu, z krzyżem w rękę, biegnie na ratunek nieszczęśliwym; lecz opadnięty przez kilku żołnierzy pruskich, zбитy kolbami, za ledwie sam od śmierci uratowanym został przez jednego młodego officera. Pożar ogarnia całe prawie miasto, — dzieci, starcy i chorzy, okropnym jękiem dają znać ostatnią swą godzinę: zdrowsi wyrwawszy się z pośród płomieni, znajdują śmierć od bagneta lub kuli, albo też kończą w parowach pod cmentarzem; — kobietom nawet nie przebacza rozjuszony żołdactwo, — jednej bagnetem wnętrzości wypruwa, — drugiej tymże samym sposobem wydobyte dziecko, w ogień wrzuca. — Serce się wzdryga na samo opowiadanie popełnionych tam zbrodni, niemogących się orzecz dostatecznie wyrazem, — myśl nie może objąć rozmiarów wściekłości dzikiego narzędzia despotyzmu. — Mordy te trwały tylko kwadrans, a przecież w tym przeciągu czasu więcej padło niewinnych ofiar, aniżeli w pięcio-godzinnej walce. — Oddać tu winniśmy słusność dwóm młodym officerom pruskim, którzy szczerze usiłowali położyć tamę tej tragicznej scenie, — ale starsi officerowie podżeganiem żołdactwa i własnymi gorszącymi przykłady, zastużyli sobie na wieczną hańbę — na wzgardę ludzkości.

Skończyły się nareszcie mordy w mieście, nasyciła się krwią niewinnych podła zemsta, a pozostałe ofiary innym siepaczom przeznaczono na pastwę. Zabrzanych w niewolę wyprowadzono za miasto, a ustawiwszy w szeregi, poprowadzono długą i krę-

tą drogą ku Świączyniowi. W drodze, naprowadzają ich na biwakujący batalion landwery: inna to dzicz, innego rodzaju dopuszcza się zbrodni: czereda ta uzbrojona w kije, butelki, kamienie i pazury, rzuca się wściekle na bezbronnych i pod opieką regularnego wojska będących niewolników, pluje im w oczy, targa za włosy, kopie nogami, bije i morduje, — aż sama wreszcie zinordowana, wpędziwszy ich po kolana w błoto, tam im odpocząć rozkazuje, zkąd po upływie kwadransa poprowadzono nieszczęśliwych jeńców długą znowu drogą, do Szremu.

W bitwie pod Książem,* legło około 140 Polaków i tyleż było rannych: co do Prusaków, tych z pewnością oznaczyć nie można; nie mniej przecież nad dwa razy więcej zabitych liczyć wypada.

Bitwa ta wszczęta przez pułkownika Brandta bez żadnego powodu, przegrana przez naszych dla zbyt wielkiej przemocy Prusaków, wykazała nam jawnie chytryść pruskiego rządu i moralną słabość jego wojska; zbrodnie zaś dokonane po kapitulacji przez to wojsko, na bezbronnych i niewinnych, rzuciło niezmazaną plamę podłej nikczemności i na narzędzia i na sterników; — i rząd pruski wynagradzając później Brandta stopniem generała, przyjął na siebie całą odpowiedzialność przed historią, za czyny spełnione w Książu przez wojsko pod jego komendą będące.

* W bitwie pod Książem z emigracyi było jedenastu; z tych polegli: Dąbrowski Floryan, dowódca obozu; Fałęcki Piotr, komendant batalionu; Kamiński Antoni, major; Roźbicki Leonard, kapitan. — Ciężko ranni: Czapski Józef, dowódca jazdy; Jarociński Walenty, komendant pierwszego pół-szwadronu; Jarociński Feliks, żołnierz skrzydłowy; Terlecki L., komendant drugiego pół-szwadronu. Cukrowicz Hippolit, inżynier obozu, zбиты kolbami tak mocno że uważany był za zabitego dostał się do niewoli.

Z drugiej strony ochoczość, wytrwałość, zapał i męstwo z jakimi walczyli bracia nasi w bitwie pod Książem, daje nam to przekonanie, że każdy tam walczący pojmował sprawę w której obronie staął, — i daje nam rękojmię paktu zawartego w imię demokracji z ludem Poznańskim. Pakt ten stwierdzony został krwią walecznych, — polegli oni w obronie praw wolności, — za sprawę narodową; — wdzięczna ojczyzna liczy ich w poczet tylu szczytnych męczenników swoich, którzy przez świętą i nieograniczoną miłość ku niej, ponieśli w ofierze swe życie.

IV

OSTATNIE SŁOWO TOW. DEMOKRATYCZNEGO

PRZED ZAMIERZONEM W R. 1846 POWSTANIEM,

PRZEMOWĄ PREZYDUJĄCEGO

NA CZTERNASTYM OBCHODZIE ROCZNICY LISTOPADOWEJ WYRAŻONE.

Obywatele!

Obchód rocznicy Listopadowej, co dla Polski przeszłości, co dla dziejów przekwitłych musi być pokutną żałobą, obchód ten dla Polski demokratycznej, dla Polski obecnej i przyszłej, bywa od lat czternastu uroczystą przestrogą i zwiastunem nieśmiertelnych Rzeczypospolitej przeznaczeń.

Towarzystwu Demokratycznemu, każdy rok tułactwa przynosi nowy szereg prawd ku ugruntowaniu przyszłego powstania, a zatem wyższy stopień wiary w nieomyślność żywotności narodowej. Nie umiemy lepiej uczcić boleści ojczystych, jak w każdą rocznicę zapadłego brakiem mądrości publicznej wstrząśnienia, zdawać sobie sprawę z dokonanego na nas samych postępu, i składać cierpliwie owoc naszego namysłu na wykup tych boleści.

W klęskach albowiem, w których fatalizm szlachecki widział jedynie igrzysko przypadku, niełaski Boga i gwałtu zewnętrznego, pokolenie wzrosłe na łomach ostatniego powstania, pierwsze dostrzegło skutek wewnętrznej ciemnoty, wewnętrznego uporu i wewnętrznego zepsucia. Od tej dopiero chwili, zadanie niepodległości naszej ujęte zostało w kunszt nieomyślny, bo naraz wszystkie powody bezwładności państwa pokazały się uleczalne potężną wolą i własnymi usiłowaniami Polaków, jak wszystko co od samego narodu pochodząc, przez sam też naród zmienionem i rozgrzeszonym być może.

Towarzystwo demokratyczne, zawiązane tej prawdy zaręczeniem na tułactwie, upadek czterech zeszłych powstań przypisało cały niedostatkowi uprzedniej propagandy, uprzedniej edukacji rewolucyjnej, uprzedniego wyrobu myśli, któraby utrzymując wytrwale naród na wysokości pierwotnego wybuchu, przeprowadziła go zwyciężko wskroś wszelkich przeciwności, aż do przystani wcześniej rozświeconej luną tej myśli. Towarzystwo wyraziło to twierdzenie, mówiąc: « że ażeby być, nie dość chceć być, ale potrzeba wiedzieć jak być. »

Do ciężkiego tedy a długiego zawodu, jakiemu się Towarzystwo Demokratyczne na wygnaniu poświęcało, torując narodowi drogę ku piątemu powstaniu, kładło ono za posadę jasną definicyę odrodzonego państwa, i definicyę tę nierozzerwalnie zespoliło ze środkami mającemi ją urzeczywistnić. Towarzystwo obowiązywało się tem samem do uskarbienia doktryny poli-

tycznej i społecznej dla narodu wybawionego, a zarazem do wskazania wszystkich potęg wybawczych, jakie potemu naród wynurzyć powinien z tajników własnego łona.

Ztąd dwa tryby naszej propagandy: pierwszy dla stanu normalnego, a drugi dla stanu rewolucyjnego w Polsce. Do jakich wypadków ostatecznych przyszło Towarzystwo Demokratyczne w tych dwojakich pojęciach swoich, i w oddziaływaniu przez takowe na ducha narodowego, oto jest dzisiaj, Obywatele, przedmiot mojego głosu.

Z tego, że Towarzystwo Demokratyczne całą odpowiedzialność klęsk dokonanych na własne narodu przywary i bezdroża złożyło, wynika też dla niego konieczność szukania środków zbawienia li wewnątrz istoty narodowej, a więc zrzeczenia się wszelkich teoryj po za dziejami, przymiotem i szczególnem Polski przeznaczeniem leżących. Zasadnicze twierdzenie nasze, że Polska nie przez zdrożności i nierozum obcych, ale przez własne zdrożności i własny nierozum upadła, nieuchronny narzuciło nam wniosek, że Polska nie cnotą i rozumem obcych, ale cnotą i rozumem własnym dźwignąć się musi. Z tego też jednego wniosku, rozkonarzyła się cała doktryna Towarzystwa Demokratycznego.

Odebrawszy sobie z góry nawet pokusę wszelkich wynalazków i hipotez abstrakcyjnych, Towarzystwo spuściło się od razu ciężarem własnego argumentu do zapomnianej kopalni ojczystego społeczeństwa. Ztamtąd ono przez lat dziesięć, zgodnie, rządnie i bez roztargnienia, jak na prawych rzemieślników przystoi, nurtowało Polski przeszłość, ekonomię i politykę, iżby wydzielić jądro prawdy rodzimej od rdzy i zgliszczów które ją długo i grubo pokrywały; iżby oczyszczoną, wyzwoloną, wróconą do życia i pamięci pierwotną narodu istotę, rozwiniąć śpiesznie i podnieść na dostojęństwo państwa mającego przodkować szczepowi Słowiańskiemu.

W robocie tej, na ojczystym pierwiastku dokonywanej, propaganda nasza musiała często posługiwać się metodami i nabytkiem ludów, którym Polska ostatnich dwóch stuleci wyścięgnąć się dała w praktyce swobód i udzielnosci; ale to jedynie sposobem przechodnim, jak w dochodzeniu prawd matematycznych używa się wartości pomocniczych, których w wypadku, ślad do szczętu się zaciera.

U kresu tych badań niezrażonych żadnem przeciwieństwem, otrzymaliśmy ideał państwa niezłomnej budowy, narodu niepodzielnego w jestestwie swoim, społeczeństwa rzetelnie urzędowistniającego obietnice Ewangelii na ziemi.

Tym ideałem jest dla nas Polska w granicach 1772go roku, bo tyle potrzeba temu państwu przestrzeni i powietrza, ażeby był jego ugruntowany i zaręczony został w obec wszelkich zagrożeń i przypadków; bo taka jedynie Polska wydolać może w kolejach przyszłości wszystkim powołaniom internacjonalnym, do jakich samo jej odrodzenie zobowiąże ją w rzeszy Europejskiej.

Polska jednoprawna politycznie, społecznie i ekonomicznie; czyli Polska z samych a prawdziwych złożona obywateli, iżby mnogością, patriotyzmem i światłem mieszkańców odpowiedziała rozległości swoich posiadłości; iżby państwo do samego brzegu wypełnione było jednowązną a zewsząd przez Rząd ujętą masą.

Polska równie przystępna i dobroczynna dla wszystkich wyznań religijnych; Polska pozwalająca czcić Boga na wszelkim ołtarzu i wszelkim głosem, iżby Ojczyzna pozostała na wieki wspólną matką i pośrednim dla wszystkich Polaków ołtarzem.

Taka definicya Polski, odgrzebaną w jądrze z pod wieków żaloby, a przyłożoną do obecnych rozmiarów polskiego społeczeństwa, dopowiedziała Towarzystwu Demokratycznemu wszystkie przyszłego państwa instytucye.

Gdzie wszyscy uletnieni mieszkańcy, politycznie, społecznie i ekonomicznie są obywatelami, tam jest oczywiście Rzeczpospolita; gdzie znowu całe państwo jednemi objęte jest granicami, tam oczywiście jest Rzeczpospolita niepodzielna, jednomyślna, jednowolna. A więc Polska musi zostać Rzeczpospolitą centralizacyjną.

Rozwinęliśmy dalej i tym samym trybem nasze założenie. W Rzeczypospolitej centralizacyjnej, wszechwładcą jest zbiorowość obywateli — jest wszechlud — istota abstrakcyjna, nie mogąca streszczać woli swojej jak tylko przez delegację. Wola tego pośrednika między abstrakcją a czynem, wola delegacji wszechwładnej, zowie się prawem. Prawo, czyli ujęta wola narodu wchodzi w uskutecznienie za pomocą Rządu. A więc Rząd będzie wykonawcą woli wszechwładnej, czyli niewolnem narzędziem prawa. Ale kto stanowił prawo, stanowić musi także narzędzie do wykonania takowego; a więc Rządu inwestytura będzie w rękach delegacji narodowej.

Ten Rząd jednoosobowy czy zbiorowy, jako wszelkie narzędzie odwołalny, a więc czasowy; odpowiedzialny jest, a zatem i pełnomocny w miarze swojej inwestytury. Środki też wykonawcze, wszystkie bez wyjątku są na zawołanie rządu; zkażd wynika, że naród cały winien mu ślepe posłuszeństwo w miarze wykonywanego przezeń prawa, że wszyscy urzędnicy są przezeń mianowani i odwoływani, że żaden ze sposobów poruszania maszyny publicznej, ani na chwilę jedną wyjść mu z rąk nie ma. Tym trybem, udział każdego obywatela w sprawie publicznej wyszedłszy od niego pod formą prawa, wraca zaraz do niego w postaci obowiązku; tak że wszelka indywidualność ze wszech stron i bez ustanku porywana mechanizmem państwa, umorzywszy się we woli i sile zbiorowej, staje się nieoddzielnym ich atomem.

Wszakże, to był dopiero ideał naszej doktryny — daleka meta, ku której Sekcye Towarzystwa Demokratycznego pilnie

miały zwrócone oko, w rozbiórce Kwestyj kładzionych im przez Centralizację.

Po ustaleniu tego ideału, brakiem którego wszystkie poprzednie rewolucje w Polsce zablądziły do kłęski;—po ulepieniu z gipsu wzoru Rzeczypospolitej w stanie normalnym, Towarzystwo zeszło do środków sprawdzenia go na brązie, i powołało ujarzmiony naród do tego genezyjnego odlewu. Tu się zaczął dla nas perjod podwójnej propagandy; trzeba bowiem było zarazem otrzymać od ujarzmionych uznanie wzoru który ma być celem Rewolucyi, i wytknąć środki dostąpienia takowego.

Ztąd poszukiwania nasze nad stanem rewolucyjnym, wskroś całego którego przejść musi Polska na przebój do swojej definicyi normalnej, do zupełnego tryumfu prawdy demokratycznej.

Przystępując do tego drugiego okresu prac swoich, Towarzystwo zadało sobie najprzód pytanie: co to jest rewolucya?

I znalazło w odpowiedzi, że rewolucya jest to dźwiganie z martwości wszystkich potęg narodowych, ku ziszczeniu założonego sobie ideału państwa. A że ideałem naszym jest Polska jeograficznie niepodzielna, społecznie jednoprawna, a politycznie wszechwładna; a zatem wedle pojęć naszych, Polska pozostaje w stanie rewolucyjnym, dopóki aż do ostatnich granic od najazdu, do ostatnich głębin społecznych od przywileju, w całym mechanizmie swoim od bezsilności wyzwoloną nie zostanie.

Oczywiście, że przez cały ciąg trwania tego stanu, wszechwładztwo ludu jest zawieszone; bo lud w znaczeniu demokratycznym nie jest obłudną utopią, ale dotykalszą zbiorowością już wyzwolonych moralnie i fizycznie obywateli, a Rewolucya dopiero po taką zbiorowość sięga, taką zbiorowość z martwości dźwiga, taką zbiorowość w boleściach rodzi i w boleściach

wychowuje, patrząc wytrwale na ideał przyszłości, którego jej wychowawcy jeszcze nie widzą i widzieć nie mogą.

Ztąd w rewolucyi, wynika substytucya dyktatury na miejsce wszechwładztwa powszechnego. Ale ta substytucya jest tylko oddaniem w innej postaci, zasady wszechwładztwa powszechnego. Jakoż dyktatura rewolucyjna nie może być jak tylko rzetelnym spadkobiercą i pełnomocnikiem sprzysiężenia które rewolucyę wywołuje, bo inaczej nie byłaby dyktaturą; wszakże to sprzysiężenie nie może być znowu jak tylko rzetelnym pełnomocnikiem woli powszechnej, boby inaczej Rewolucyi nie wywołało. Sprzysiężenie tedy wszelkie które zdolne jest wywołać Rewolucyę, jest tylko powiernikiem i drogmanem narodu który czuje czego chce, ale tego wyrazić językiem niewoli nie może. Cała istota żywotna, a zatem i cała władza narodu przystępującego do Rewolucyi, spoczywa na sprzysiężeniu które odgadło jego wolę. Owóż, jak w stanie normalnym wszechlud, tak przed Rewolucyą sprzysiężenie jest istotą abstrakcyjną, która władzę rodzi, ale sama jeszcze władzą nie jest. Tą narodzoną dopiero ze sprzysiężenia władzą, jest dyktatura rewolucyjna, jedno czy wielo-osobowa, oto mniejsza. Sprzysiężenie które wydać ze siebie samego dyktaturę rewolucyjną nie jest zdolne, nie ma też mandatu do wywoływania Rewolucyi; a jeżeli mimo tej niedojrzałości i nieprawności swojej, wstrząśnie naród ujarzmiony, wstrząśnienie to brakiem świadomego rzeczy piastuna, pójdzie na pastwę kontrarewolucyi, jak to miało miejsce w Powstaniu Listopadowem. W tym razie, charakter i geniusz osobisty sprzysiężonych żadnego prawie nie wywierają wpływu na powodzenie i dojrzałość sprzysiężenia. Ażeby ono potrafiło nieomylnie poruszyć naród i nadać Rewolucyi rząd ze swojego ramienia, potrzeba ażeby zbiorowo wyrażało maximum bieżącej wiedzy i odwagi narodowej; ażeby jako szkoła polityczna przodkowało instynktowi ogólnemu. Wtedy Rząd wydzielony Rewolucyi z jego ramienia,

będąc tylko wykonywaczem myśli oczywiście panującej w narodzie, bo myśli która naród z martwości dźwignąć zdołała, Rząd taki znacznie pomylić się nie może w dążności swojej, jakkolwiek z resztą stopień zręczności i energii rozwinię w jej praktyce.

Raz takimi warunkami pochodzenia zastrzeżony, Rząd w Rewolucyi wszystkie prawa ludu dzierży niepodzielnie i niezaprzeczalnie. Niepodzielnie, bo stanowienie i wykonywanie prawa znoszą się do jednej funkcji, dopóki stan normalny nie rozłączy dwóch tych momentów wszechwładztwa. Niezaprzeczalnie, bo wszechlud, jedyne źródło władzy, nie ma jeszcze zmysłów do przesądzania woli i zamiarów produkującego mu sprzysiężenia; sprzysiężenie zaś które w Rząd wlało wolę i zamiary swoje, samym aktem powstania rozwiązuje się i wraca do powszechności rządzonej. Jeżeli tedy Rząd w Rewolucyi dzieli się, to chyba sposobem prokuracyi i dla wygody własnego mechanizmu; jeżeli chwieje się i upada, to niedostatkiem tchu i mocy wewnętrznej do spełnienia swojego programu; ale legalnie i loicznie, nikt ani się z nim wszechwładzą obdzielać, ani mu takowej zaprzeczać nie może i nie śmie, dopóki on sam się nie zepsuje, nie zbezwładni. A więc w Rewolucyi wszystkie prawa są w ręku Rządu; tak że się narodowi zostają tylko obowiązki. Z tego stosunku między narodem dźwiganym z martwości, a dyktaturą która naród z takowej dźwiga, wynikają wedle doktryny naszej, karność i środki rewolucyjne.

Rząd rewolucyjny ma prawo wszystko chcieć w celach Rewolucyi; naród ma obowiązek udzielania mu wszelkich ku temu środków. A więc środki rewolucyjne, środki heroiczne, ograniczone są jedynie, z jednej strony wolą rządową, a z drugiej żyźnością moralną i ekonomiczną narodu; czyli że są potężne jak doniosłość władzy która wszystkie inne władze w sobie pochłonęła, a niewyczerpane jak sama istota kraju i społeczeństwa naród stanowiących.

Najwyższą mądrością Rządu w Rewolucyi, jest wydobyć wszystko z martwości, ku wywróceniu przeszkód zawadzających mu na drodze do ideału normalnego—do kresu organicznego. Najwyższym znów patryotyzmem narodu w Rewolucyi, jest wynurzenie całej żyźności swojej ekonomicznej i moralnej na zawołanie mądrości rządowej. Wtedy dopiero wszelka granica dla środków rewolucyjnych upada, a państwo występuje z pod wszelkich zawałisk i cienięztw, niezmierzone i niezwalczone żadnem przeciwieństwem ziemskim.

Pojmujecie teraz, Obywatele, dlaczego w teoryi swojej, Towarzystwo Demokratyczne nie odłącza Rewolucyi politycznej od Rewolucyi społecznej — Powstania o niepodległość, od powstania o zrównanie stanów; jak bowiem w Rewolucyi społecznej fakcja zagrożona przez powszechność narodową musi się uciekać do swoich powinowactw ościennych, tak znowu w wojnie z najezdzcą, najazd musi poszukiwać przymierza kontrarewolucyi wewnętrznej. Jakkolwiek tedy pocznie się rzetelna Rewolucya, zawsze ona kończyć musi na wojnie podwójnej narodu, przeciw najazdowi i kontrarewolucyi.

Ztąd wynika, a czego na nieszczęście żadne dotychczas Powstanie w Polsce dostrzedz nie umiało, że cienięztwo wewnętrzne i zewnętrzne, są dla rewolucyi wszelkiej dwojakim trybem jednego i tego samego przeciwieństwa; bo obydwa zarówno trzymają w martwości gąszcz narodu. Rewolucya zaś dźwigając ten gąszcz z martwości, musi bez różnicy imienia podważyć i obalić wszystko cokolwiek go tłoczy i znieruchomia. A więc niepodobna wyzwolić państwa od jarzma zewnętrznego, bez wywrócenia zarazem stanów, wyjątków czy faksyj, które cisnąc na niższe pokłady społeczeństwa, mimowolnie i mimowiednie sprzymierzają się w jednym wypadku z najazdem.

Stany i wyjątki, ograniczając do siebie istotę narodową, w Rewolucyi wszelkiej widzą jedynie zniszczenie, zburzenie,—

widzą tylko drobny a szkodliwy ułomek prawdy, jak same są drobnym tylko, a szkodliwym ułamkiem narodu. Ażeby je wyleczyć z tego błędu, potrzeba je wyleczyć z ich istności, odebrać im udziałność, zjednorodnić je z wyzwolonemi pokładami społeczeństwa i przywrócić im widzenie powszechne, które na osobni postradać musiały. Co tylko w Rewolucyi, samo i skwapliwie nie poddaje się tej assimilacyi, staje się oczywiście zaraz kontrarewolucyą, a jako takie, albo ginie do szczytu od wybuchu warstw zwulkanizowanych, albo sprzymiera się z najazdem zewnętrznym, iżby wraz z takowym, wtrącić napowrót naród do ciemnicy i grobu. Dotychczas, polityką grabieżców, popartą przez brak edukacyi rewolucyjnej w narodzie, było wmawiać w szlachtę polską niepodobieństwo jej assimilacyi z ludem, i z dwóch konieczności Rewolucyi, stawiać jej przed oczy ostatnią tylko. Jest to rozpaczliwe, ostatnie, przedgrobowe syczenie ciemnoty zewnętrznej, — ostatni jego fortel, we wigilię wszelkich przeciw niemu zagrożeń. Dzisiaj np. najemni Moskwy, Pruss i Austrii alarmiści, zwiastują szlachcie Polskiej Humaniszczynę, — co tylko jest potwarzą i obelgą dla szlachty, gdyż jest to jej zarzucać że się niepowrotnie od narodu wyosobiła, niby kora odstająca i uschła, którą rdzeń żywy musi bez miłosierdzia rozsadzić. Znaleźli się i w emigracyi i w kraju dobrej wiary, ale niedouczeni wynalazcy, którzy innego rozwiązania dla Rewolucyi przewidzieć nie umieli, nad odrąbanie gwałtowne stanu szlacheckiego od mass niewyzwolonych.

Towarzystwo Demokratyczne z pogodną bacznością pominęło ten skopuł, i przeszło niezachwiane między małpimi herostratyzmem a obłudnemi potwarzami kontrarewolucyi, odkrywając szlachcie Polskiej drogę assimilacyi z ludem; zaprzeczając jej bytu jako udziałnemu stanowi, ale otwierając jej zarazem na rozciecz szeregi Rewolucyi; ścierając z niej wszelkie piętno, po którym nienawiść czy zemsta długo gnębionych, mogłaby ją jeszcze poznać i od narodu odróżnić.

Czy cała szlachta Polska zrozumiała i przyjęła tę ochronę; czy bez żalu i oględności żadnej, zrzekła się klejnotu korporacyjnego; czy jednym słowem wsiątkła szczerze w Rewolucję, — to nam dopiero przyszłe Powstanie wykaże; ale co niezawodna, to że Rewolucya to tylko wysadza i druzgocze, co jej stawia opór, — jak trąba wietrzna tylko to wali i na pył zmiata, co jej się nie dozwala chciwie porwać i nieść po nad zniszczeniem.

Tak ostatecznie, doktryna Towarzystwa Demokratycznego zdefiniowała Rewolucję, widząc w niej jedyną drogę i przedsięwzięcie do ideału organicznego, do Demokracji tryumfującej.

Nie możemy wam zataić Obywatele, że ten drugi wydział naszej propagandy, twardszy nierównie od pierwszego napotkał przystęp do pokolenia obecnego w Polsce.

I rzeczywiście inaczej być nie mogło. Rozkochać się w ideałach Demokracji tryumfującej, wziąć tęsknotę swoją do wolności za samą już wolność, wzbic się roztrzepanie skrzydłem Ikara do niebios, — to było łatwe, miłe i zrozumiałe dla każdego. Ale brnąć przez ciernie i ognie Demokracji wojującej, dokupywać się wolności następnego pokolenia karnością własnego, iść do wszechwładztwa ludowego przez wszechwładztwo łebna i liktorów, — to było dla każdego trudne, gorzkie i niezrozumiałe.

Pomijając szemranie tradycyjnej swawoli, jaką podobna doktryna koniecznie potracić musiała w stronę szlacheckiej emigracji, zwrócę pamięć waszą, Obywatele, na pisma wyszłe z głębin ujarzmionego kraju, a które hołdując skwapliwie naszemu ideałowi Demokracji tryumfującej, z równą przynajmniej namiętnością odpierały ciężar i czyściec Demokracji wojującej. Pisma te były wołaniem młodzi, której pilno wykąpać się w jakiej bądź wolności z mąk straszliwego uciemiężenia. Zasługiwały przeto na uwagę i troskliwość naszą. Tu znowu, Towarzystwo Demokratyczne, spokojne powagą tyłu prób wytrzymanych, stawić musiała pierś potokowi tém niebezpieczniej-

szemu, tém pełniejszemu pokus i woni zdradliwych, że źródłem jego był samże ideał, tylko w anachronizmie, naszej doktryny. Trzeba nam było walczyć z własnymi żądzami naszemi, ażeby je odeprzeć na właściwe miejsce; walczyć z prawdą, w imię własnego jej zwycięztwa; walczyć z rzewnąą tej młodzi narodowej niecierpliwością, jak matka z niedorosłym synem któremu nadaremnie tęskno do pełnoletności.

Przekonać ją tedy o potrzebie silnego i jedynowładnego Rządu w Rewolucyi, było najzasłużeńszym trudem trzech ostatnich lat naszej propagandy. Musieliśmy w teoryi porządku rewolucyjnego, uchylić wszelki udział massy do władzy prawodawczej i wykonawczej; zaprzeczyć prawa bytu wszelkim stowarzyszeniom i organom wbrew czy obok delegacyj rządowych ukonstytuowanym; wciągnąć napowrót do atrakcyi centralnej wszystkie ubocza, przypadki i samowolności, które przy wybuchu Powstania, na moment od wiedzy przodkującej odpadną; zatrzeć wszelkie narowy federalizmu, i wszystkie Rzeczypospolitej prowincye do jednego wzoru i do jednej woli przytwierdzić.

W teoryi społecznej i ekonomicznej okresu rewolucyjnego, musieliśmy równie oddzielić starannie wszystko co ma być środkiem, od tego co ma być celem Powstania. Nadania własności tej części ludu która ziemię uprawia, nie uważaliśmy zatem ze stanowiska ekonomicznego; bo wszelkie reformy tego rodzaju należą do perjodu organicznego. W uwłaszczeniu włościan widzieliśmy jedynie środek rewolucyjny; jeden, a najpodręczniejszy, a najpraktyczniejszy, a najskuteczniejszy ze sposobów dzwignienia mass z martwości. Szukaliśmy jedynie w tym środku pomnożenia gwałtownie i śpiesznie ilości obywateli i bogactwa publicznego dla państwa powstającego, bez przesądzania przemian radykalnych a stałych, jakie u kresu Rewolucyi, spodoba się sejmowi organicznemu zaprowadzić w społeczeństwie i ekonomii Rzeczypospolitej. Co zaś do ideału

naszego w tem ważnem między wszystkiemi zagadnieniu, wiadomo wam Obywatele, że Sekcyje Towarzystwa mają niebawem przystąpić z kolci do jego rozbioru.

Tymczasem, odnosząc cały mechanizm ekonomiczny państwa do nienasyconych łaknień Rewolucyi, poddaliśmy wszelki dochód własności i wszelkie siły produkcyjne zawołaniu władzy; bo w Rewolucyi, władza jest jedynym regulatorem ich wydatku, jedynym odpowiedzialnym szafarzem krwi i mienia powszechnego. W Rewolucyi, innych zastrzeżeń od samowolności i rozrzutności rządu niema, nad powodzenie i trwałość takowego; gdyż władzy która niezłomnie wie dzie rewolucyę do mety, naród nie odmówić nie ma ani powodu ani mocy; władzy zaś która z tej drogi kapitulskiej zbacza, państwo całe natychmiast psuwa się z pod ręki. Władza więc taka zapaść się zaraz musi w próżnię, mimo wszelkich jej wybiegów finansowych i ekonomicznych. Nic jej wtedy gimnastyka i biegłość techniczna nie poradzą.

Nareszcie, w tem odpieraniu pokus anarchicznych na rzecz absolutyzmu i centralizacji rewolucyjnej, mieliśmy w tych ostatnich czasach do sprostowania wiele fałszywych pojęć w przedmiocie wojny narodowej. Pisma o których wyżej wspominałem, podobną wnosily samowolność, a więc podobne rozprężenie do wszystkich wydziałów przyszłego Powstania. Jak pod firmą wszechwładztwa ludowego zarażały politykę i ekonomię rewolucyjną nieładem i bezsilnością, tak pod firmą *wojny ludowej*, wprowadzały do teoryi wojennej zaprzeczenie wszelkiej teoryi i niepodobnienie wszelkiej wojny. Propaganda nasza i te zboczenia prędko uleczyła, oparta na niezachwiającym argumencie jedności, karności i sprężystości rewolucyjnej.

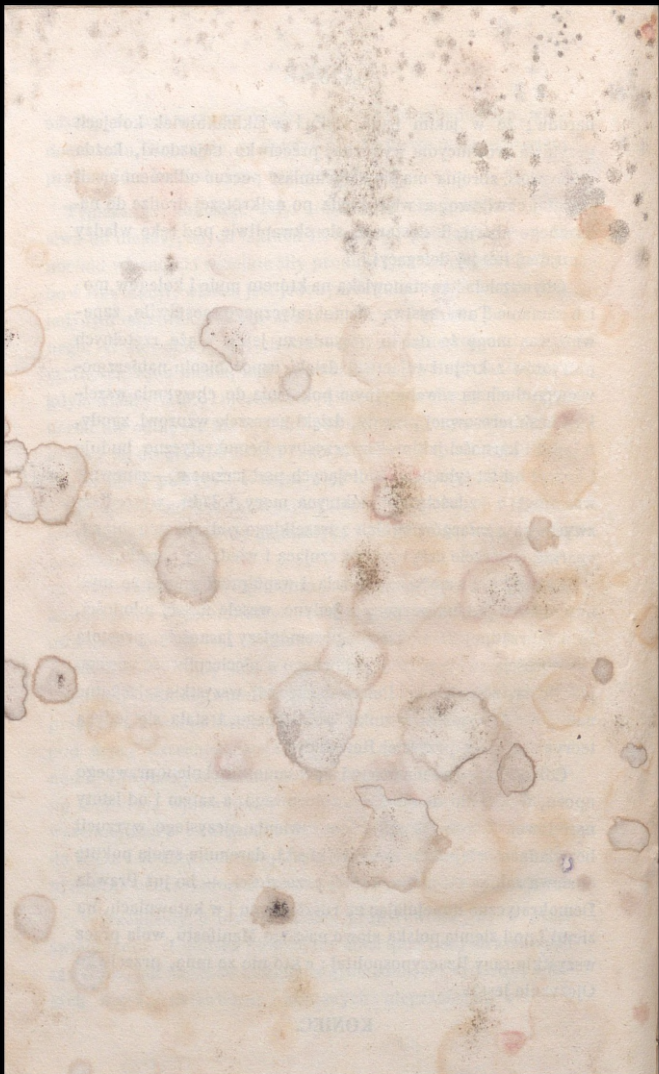
Wyrzekliśmy, i utwierdziliśmy kraj rewolucyjny w przeświadczeniu, że Polska powstająca musi pod karą straszliwych zaawodów, jak najspieszniej uleść gromadności i rygorowi wielkich wojsk, ustawicznie zasilanych nieprzebraną rezerwą

narodu; że w jakim bądź szyku i w jakichkolwiek kolejach przyjdzie prowincjom wybuchać przeciwko najazdowi, każda zbiorowość zbrojna ma się natychmiast poczuć odłamek armii rozbitej chwilowo, a więc biedz po najkrótszej drodze do nakazanego zboru, i dostawać się skwapliwie pod rękę władzy centralnej lub jej delegacyi.

Obywatele! ze stanowiska na którym mnie i kolegów moich zaufanie Towarzystwa Demokratycznego postawiło, zapewnić was mogę że dzięki przymierzu jakie wiąże rzetelnych patriotów z kraju i tułactwa, dzięki usposobieniu nabierzmowanego duchem rewolucyjnym pokolenia do chwywania wszelkiej bezinteresownej prawdy, dzięki nareszcie wzorowi zgody, miłości i karności jakim Towarzystwo Demokratyczne buduje i krzepi od lat tylu braci mdlejących pod jarzmem,—zapewnić was mogę z radością, że doktryna mocy i ładu, wyszedłszy zwycięzka z zatargów swoich z wszelkiego rodzaju anarchiami, ogarnia nareszcie całą warstwę czującą i wiedzącą narodu.

Zwiastować wam mogę bracia i współpracownicy! że myśl nasza, że ta jedyna poezya, to jedyne wesele naszej młodości, że myśl rządnej Demokracji, przemógłszy jasnością, prostotą i szczerością swoją przesady dawnego a niecierpliwość nowego pokolenia, zespoliła w Polsce dzisiejszej wszystkie szlachetne namiętności sojuszem ratunku publicznego, i stała się jedyną teorią stanu dla przyszłej Rewolucyi.

Cokolwiek po za nią martwi się w samotności niepoprawnego uporu, wydzieliło się od życia zbiorowego, a zatem i od istoty narodowej. Cokolwiek wylew odżywienia ojczyznie wyrzucił bezwładnem z tajników ostatniej klęski, daremnie swoją pokutę odziewa żałobą po niepowrotnej przeszłości, — bo już Prawda Demokratyczna dopełniając na rusztowaniu i w katowniach, na ziemi i pod ziemią polską słowo naszego Manifestu, woła przez wszystkie rany Rzeczypospolitej: «kto nie ze mną, przeciwko Ojczyźnie jest!»



S P I S R Z E C Z Y.

WSTĘP. Powody formy polemicznej tego pisma.—Dlaczego odpowiadam J. Moraczewskiemu, a Jana Koźmiana opowiadanie pomijam? — Obraz Chłapowszczyzny; zgubny jej wpływ na młodzież Wielkopolską i na sprawę narodową: do str. 35.

ROZDZIAŁ I. Obraz Towarzystwa Demokratycznego na Emigracyi i wpływ tej szkoły na związki krajowe. — Lelewelizm; doktryna centralizacyjna a herostratyzm. — Emigracyjna doktryna centralizacyi rozbiła się w roku 1846 o herostratyzm krajowy. — Ostatnie słowo Towarzystwa Demokratycznego przegadane w kraju przez *Prawdy Żywotne* Prawdowskiego, co głównym powodem niedoczynu powstańczego w roku 1846: do str. 66.

ROZDZIAŁ II. Parę słów o propagandzie szlacheckiej w więzieniu Moabitskiem: do str. 67.

ROZDZIAŁ III. Wypuszczenie więźniów Moabitskich po rewolucyi Berlińskiej, w Marcu roku 1848. — Komitet Rewolucyjny obalony przez Deputacyę Komitetu Poznańskiego. — Powstanie poznańskie na pniu zwichniętym, przez mandat pacyfikacyjny tej deputacyi: do str. 76.

ROZDZIAŁ IV. Fałszywe położenie Mierosławskiego w obec szlachty poznańskiej w roku 1848. — Zatargi jego z tą szlachtą w procesie Berlińskim, i nienawiść zapamiętała jaką przeciw

sobie wywołać musiał swoją emigrantką udzielnnością. — Następstwa tej nienawiści w powstaniu poznańskim: do str. 82.

ROZDZIAŁ V. Przybycie Mierosławskiego do Poznania. — Od razu zrywa z Komitetem prowincjonalnym ludzącym się reorganizacją konstytucyjną W. Księstwa Poznańskiego, a podnosi plan narodowego powstania w roku 1846 niedokonany. — Umowa ze współemigrantami jadącymi do Krakowa o jednoczesne powstanie w Poznańskim i w Galicyi, ażeby wspólnymi siłami dźwignąć z pod jarzma Zabór Rossyjski. — Wszystkie instrukcye rozpisane do obozów poznańskich w tym duchu, napotyka opór nieprzezwyciężony ze strony dowódców mianowanych przez Komitet szlachecki. — Komitet szuka jedynie w tych obozach *manifestacyi* za swojemi usiłowaniami dyplomatycznymi w Berlinie i w Poznaniu, a Mierosławski narzędzia powstańczego. — Złąd wojna domowa między Rewolucjonizmem a Szlachetczyzną: do str. 93.

ROZDZIAŁ VI. Falszywa missya pacyfikacyjna Jha Willisen. — Komitet Poznański wydaje mu sprawę narodową w ręce, a Mierosławski odmawia wszelkiego uznania. — Jednoczesny wyjazd Mierosławskiego, a delegatów komitetowych do obozów. — Officerowie obozów Wrzesińskiego i Książkiego wotują za złożeniem broni, przed delegatami Komitetu. — Układ pacyfikacyjny zapada między Willisenem a Komitetem Poznańskim, bez udziału i wiedzy Mierosławskiego. — Jął Colomb nachodzi ze swoim wojskiem obóz Szredzki. — Konwencya 11go Kwietnia w Jarosławcu, zawiesza broń, z rękojmą czterech obozów powstańczych: do str. 110.

ROZDZIAŁ VII. Podwójne tej konweneyi oblicze, stosownie do jej dwojakiej interpretacyi przez komitet pacyfikacyjny, a przez zwolenników Mierosławskiego. — Rozpędzenie ludu zbrojnego przez pełnomocnika i powierników Komitetu. — Co Mierosławskiemu zostaje się w rękę? — Rozpacz ludu rozbrajanego przez szlachtę grozi tej ostatniej rzezią domową. — Usiłowania Mierosławskiego ażeby takowej zapobiedz i stopienie jego mocy powstańczej w tych usiłowaniach: do str. 134.

ROZDZIAŁ VIII. Dalszy ciąg walki zaciętej między rewolucjonizmem a kontrarewolucją Poznańską, o utrzymanie lub

rozwiązanie czterech obozów w Miłostawiu, Nowem-Mieście, Pleszewie i Książu. — Dowódcy i sztaby tych obozów odbierając wprost rozkazy od Komitetu i od Willisena zaprzeczają wszelkiej władzy Mierosławskiemu. — Komitet sprowadza przeciw niemu z Belgii Jła Kruszewskiego. — Dowódca obozu Książkiego, Budziszewski, rozpusza swój obóz z nakazu Komitetu. — Zjazd Witaszycki 17go Kwietnia, na którym Mierosławski przemaga nareszcie pacyfikacyjne zabiegi Jła Willisena. Ostatnie wysilenia kontrarewolucyjne Komitetu, przeciw postanowieniom powstańczym Mierosławskiego: do str. 151.

ROZDZIAŁ IX. Strona społeczna powstania Poznańskiego. — Szlachta Wielkopolska z małym wyjątkiem kontrarewolucyjna. — Lud sielski i polsko-mieszczański na wskroś rewolucyjny, zastępuje sobie odbiegającą go *intelligencję* szlachty, zwierzchnictwem emigrantów i szczerych związkowych z roku 1846. — Za pomocą tej nowej hierarchii, Mierosławski usiłuje przeobrazić obozy i uchwycić rzeczywistą nad nimi władzę. — Jednakże przed bojem, nie zdołał oczyścić ich z żywiołu kontrarewolucyjnego, a więc nad nimi zupełnie zawładnąć: do str. 168.

ROZDZIAŁ X. Przygotowania pruskie do zniszczenia polskich obozów. — Rozkazy w tem przewidzeniu dla Białoskórskiego. — Za przeciwnym rozkazem Komitetu, Białoskórski wypuszcza Raszków Prusakom. — Rzezie i rabunki pruskie w Odolanowie i Koźminie. — Jan Koźmian wydaje oddział podchorążych w ręce nieprzyjaciela: do str. 173.

ROZDZIAŁ XI. Razem z podszczuwaniem sztabów obozowych przeciw naczelnikowi, herostratyczny wydział Komitetu knuje na niego spisek w Nowem-Mieście i w Książu. — Floryan Dąbrowski rozgania spiskowych. — Lud obozowy domaga się uznania Mierosławskiego przez sztaby, wodzem rzeczywistym. Deputacje obozowe przywożą mu to uznanie dopiero 28go Kwietnia wieczorem: do str. 176.

ROZDZIAŁ XII. Komitet Poznański przybiera sobie Klub do pomocy kontrarewolucyjnej, dekretuje złożenie broni bez boju i rozwiązuje się. — Deputacya Komitetu i Klubu przywozi

ten dekret Mierosławskiemu, do Głównej-Kwatery, w Miłosławiu, 27 Kwietnia. — Mierosławski odrzuca ten nakaz i gotuje się do bitwy. — Treściwe dzieje i charakterystyka Komitetu Poznańskiego, od zawiązania się jego, aż do rozwiązania we wiliję bitew. — Maciej Mielżyński a Libelt : do str. 230.

ROZDZIAŁ XIII. Wojna. — Mierosławski zmuszony odstąpić od początkowego zamiaru powstania narodowego, ogranicza się do rozpaczliwej walki z Prusakami. — Floryan Dąbrowski zastępuje Budziszewskiego w Książu. — Rozporządzenia wydane czterem dowódczom obozowym. — Sprzysiężenie się sztabu Nowomiejskiego przeciw dowódcy Książkiemu. — Rozkład zaczepny armii pruskiej. — Bitwa w Książu 29go Kwietnia. — Bratobójcza bezczynność Garczyńskiego: do str. 260.

ROZDZIAŁ XIV. Brandt zrażony ze złością oporu książki, ostrzega nadaremnie Blumena ażeby odłożył swój atak na Miłosław. — Rozkazy do Białoskórskiego i do Garczyńskiego ażeby się łączyli z obozem Miłosławskim. — Bitwa pod Miłosławiem 30go Kwietnia. — Ucieczka Białoskórskiego i mnóstwa szlachty. — Rozprzężenie tę dezercy sprawione nie dozwala korzystać ze zwycięstwa: do str. 292.

ROZDZIAŁ XV. Mozolne prz wrócenie ładu w obozie odbieżonym przez szlachtę. — Nowy spisek kontrarewolucyjny w lesie Miłosławskim o całą dobę opóźnia poskok do Wrześni. Brandt cofa się za Wartę. — Marsz naprzeciw Wedlowi do Wrześni. — Posyłki insurrekcyjne do okolicznych powiatów. — Missya do Paryża. — Bitwa przed Wrześnią 2go Maja. — Nieśmiałość komendantów jazdy i te udaremnia zwycięstwo: do str. 328.

ROZDZIAŁ XVI. Pościg za pobitymi Prusakami. — Brzezański odwodzi wojsko od Gnieźna ku Witkowie. — Zabiegi pacyfikacyjne Brzezańszczyzny w Witkowie. — Marsz do Mogilna, dla przedostania się do powstań Wągrowieckich. — Zawiązki powstań ludowych około Stęszewa, Buku, Rogalina, Oborników, Murowanej-Gośliny i Kcyni, rozbite przez herostratyzm, sprzysiężony ze szlachetczyzną przeciwko zamiarom Mierosławskiego. — Koncentracya całej armii pruskiej na

około Gniezna. — Niechęć bojowa Berliego i Brzezańskiego, spędza nas na powrót ku południowi, brzegiem granicy. — Nowy plan obrany w tym kierunku, udaremniony rokoszem Brzezańszczyzny w Skąpem, 6go Maja. — Brzezańszczyzna wchodzi w otwarte układy z Jłem Wedlem, na wiarę proklamacyi Jła Pfuel, wielkorządzczy królewskiego. — Mierosławski pozostaje tylko przewodnikiem błędnej garstki desperatów. — I ta rozproszona w Grabowie, odpowiedzią Wedla na propozycje Brzezańskiego. — Ostateczna rozsyпка pod Murzynowem : do str. 375.

SENS MORALNY : do str. 381.

PRZYPISKI. 1° Wzwanie oddziału podchorążych nieprzyjacielowi w Raszkowie ; 2° Spisek kontrarewolucyjny w Nowem-Mieście i w Książu ; 3° Opis bitwy pod Książem, przez naocznych świadków : 4° Ostatnie słowo Towarzystwa Demokratycznego : do str. 425.



17012 / 7

pobitymi Prusak
niezna ku Witkow
w Witkowi



18 toz

11012 /

1